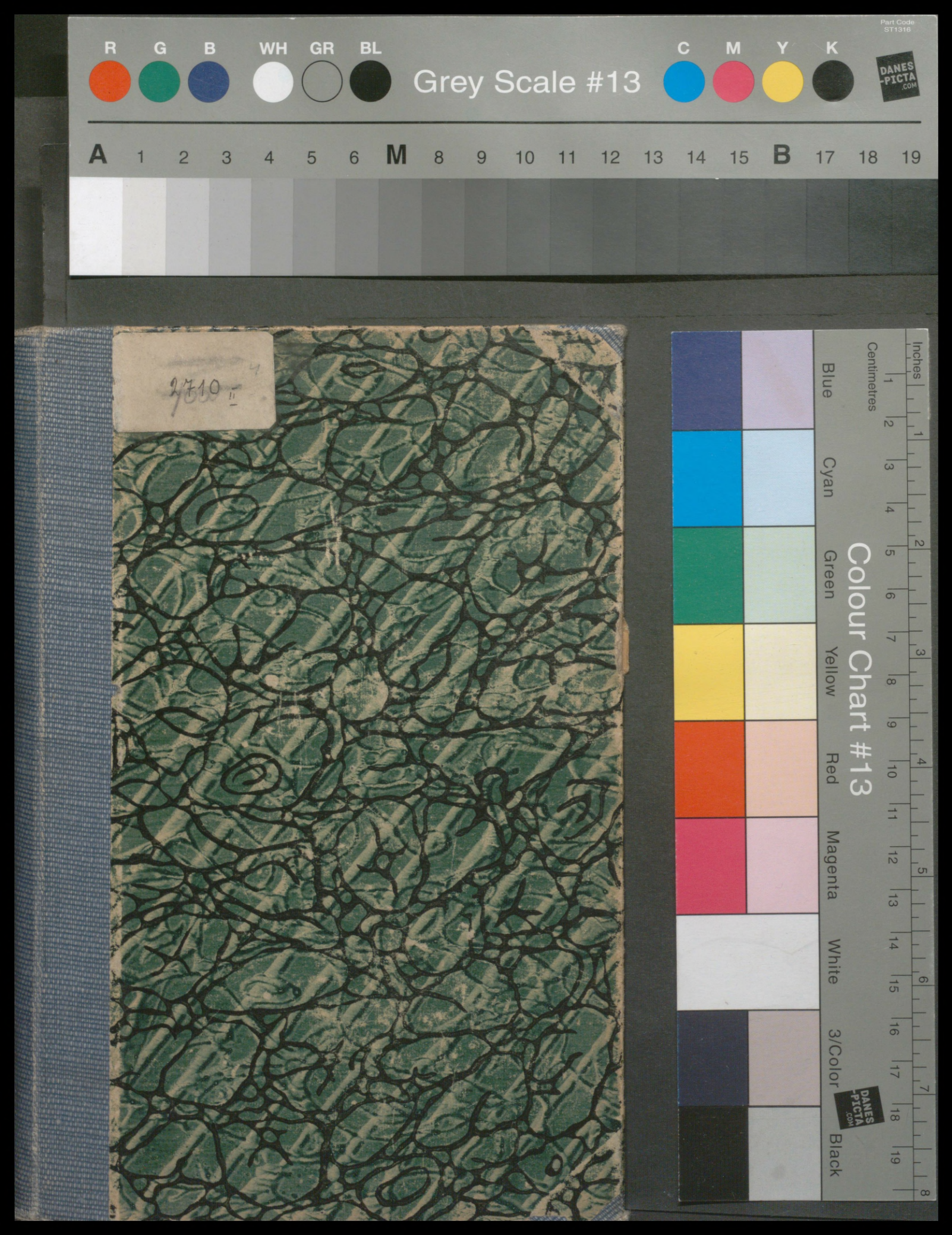

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
Part Code ST1316
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
2710

2710 II

BIBLJOTEKA
WOJSKOWA
SZKOŁY
PODCHORĄŻYCH
PIECHOTY
14523

BIBLJOTEKA WILEŃSKA

KSIĘGARNIA STOWARZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

WIKTOR FELIKS SZOKALSKI

WSPOMNIENIA Z PRZESZŁOŚCI

Z rękopismu wydał i przedmową opatrzył

ADAM WRZOSEK

Tom I.

(1819 — 1837)

2278

KSIĘGARNIA STOWARZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
WILNO 1921
M. ARCT: WARSZAWA, POZNAŃ, LUBLIN, ŁÓDŹ. LWÓW.

92

~~14523~~ II

c.s.

4460

~~1506~~ 1511

BIBLIOTEKA
14405
HIST.-WOJSK.

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
55741 | 2
im. F. Dzierżyńskiego



Wiktor Szokalski w młodym wieku.

(Według portretu współczesnego, w posiadaniu p. Kazimierza Szokalskiego).

BIBLIOTEKA

OD WYDAWCY.

Podjąłem się z chęcią, a nawet z pewnym zapałem wydania Pamiętników Szokalskiego, a to z dwuch względów: po pierwsze, ponieważ uważam je za dzieło pożyteczne; po wtóre, że przez staranne wydanie ich pragnąłem niejako oddać hołd tej niesłychanie zasłużonej osobistości, jaką był bezsprzecznie autor Pamiętników.

Pamiętniki Szokalskiego znałem już oddawna z urywków, które d-r Zygmunt Kramsztyk drukował w „Krytyce Lekarskiej". Żałowałem, że nie zostały one w całości wydane. Poruszyłem przypadkiem tę sprawę w rozmowie z d-rem Ludwikiem Janowskim, docentem literatury ruskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, badaczem i znawcą dziejów naszej kultury w czasach porozbiorowych. Gorąco przezeń zachęcony, postanowiłem zabrać się do wydania Pamiętników Szokalskiego, zwłaszcza, że się niebawem i nakładca znalazł.

Od nieżyjącego już czcigodnego Karola Szokalskiego, syna autora Pamiętników, otrzymałem autograf wspomnień jego ojca wraz z odpisem bardzo znacznej ich części. Odpis ten, przez samego autora przejrzany i nieco poprawiony, zawiera jednak dość dużo rażących błędów, jak się o tem przekonałem ze skrzętnego porównania go z oryginałem. W odpisie nieraz sens całych zdań był zupełnie spaczony. Nie można się temu zbytnio dziwić, zważywszy, że rękopism Szokalskiego jest bardzo nieczytelnie napisany.

Inżynier Karol Szokalski, powierzając mi troskliwie przez siebie przechowywane Pamiętniki swego ojca, pozostawił zupełnie do mego uznania, albo wydać je bez zmian, z opuszczeniem jedynie kilku ustępów, przez rodzinę wykreślonych, albo też usunąć z nich wszystkie miejsca, które czytelnika w małym tylko stopniu zająć mogą. Otóż, opuściwszy kilka przez rodzinę wykreślonych ustępów, w których były opisane drobne sprawy rodzinne, postanowiłem wydać Pamiętniki, o ile możności, bez zmian, których atoli w zupełności nie można było uniknąć.

Szokalski podzielił na trzy tomy swoje Pamiętniki, które nazywa rozmaicie. Na czele pierwszego tomu wypisał następujący tytuł: „Moje Pamiętniki — Co się przeżyło między 1811 a 1890 rokiem. Wspomnienia z przeszłości doktora Wiktora Feliksa Szokalskiego". Na początku drugiego tomu znajduje się taki tytuł: „Co się przeżyło — Pamiętniki d-ra Szokalskiego. Tom II od 1837 r. do 1853". Trzeci tom zatytułowany jest krótko: „Tom III, Pamiętnika".

Z powodu śmierci autora Pamiętniki nie zostały ostatecznie do druku przygotowane, a nawet tom trzeci nie został ukończony.

Szokalski zamierzał podzielić każdy tom na pewną liczbę rozdziałów, podał atoli tytuły tylko pierwszych kilku rozdziałów tomu pierwszego; potem zaniechał dalszego dzielenia tekstu, mając zapewne zamiar uczynić to po ukończeniu Pamiętników. Poczynając przeto od piątego rozdziału pierwszego tomu, sam podzieliłem tekst na rozdziały i nadałem im tytuły.

Dalszą trudnością wydawniczą było odczytanie wielu nazwisk i nazw przeróżnych miejscowości, o których są wzmianki w Pamiętnikach. Trzeba było zadać sobie trochę trudu i szperać w encyklopedjach, aby sprawdzić jak należy te rzeczy pisać. Niestety, nazwisk mało znanych ludzi i nazw niektórych miejscowości nie mogłem znaleźć. Stąd w tekście znajdą się z pewnością drobne,

lecz nieuniknione, niedokładności. Aby ich zaś było jak najmniej, wolałem raczej niektóre imiona własne, nie mające w Pamiętnikach dużego znaczenia, opuścić, aniżeli je mylnie podawać; inne zaś, co do których nie byłem pewny, jak je należy pisać, opatrzyłem znakiem zapytania w nawiasach.

Wypada także kilka słów powiedzieć o języku Pamiętników. Szokalski uchodzi powszechnie za wzorowego pisarza. Zygmunt Kramsztyk nazywa go mistrzem słowa, mówiąc, że niejeden ustęp z prac jego może śmiało za wzór języka posłużyć [1]). Zdaniem zaś Henryka Dobrzyckiego polszczyzna Szokalskiego „to wzór jasności i prostoty, to wdzięk, w którym jednak cienia niema ckliwości, to dosadność lepiej jak pędzel artysty rzecz malująca, daleka jednak od trywialności, jeśli czasem ma nawet rubaszne zacięcie“ [2]).

Istotnie, język Szokalskiego posiada wiele zalet, styl jednak Pamiętników nie jest w zupełności wolny od usterek. Bardzo być może, że te usterki byłyby usunięte przez samego autora, bądź to przed oddaniem Pamiętników do druku, bądź to w czasie korekty drukarskiej. W Pamiętnikach jest bardzo wiele zdań nadzwyczaj długich, sztucznie spójnikiem **i** powiązanych, którym autor aż nazbyt często się posługuje. Zdania takie należało koniecznie rozdzielić na dwa lub nawet więcej. Szyk wyrazów także pozostawia niejedno do życzenia. Niektóre wyrazy, np. **niesłychany, uderzający, tymczasem,** powtarzają się zbyt często, czasem kilkakrotnie na tej samej stronicy.

Te drobne usterki starałem się, wedle możności, usunąć, bacząc jednak na to, aby w rękopismie robić jak najmniej zmian. Niektórych wyrazów, często przez Szokalskiego używanych, poniekąd już archaicznych, lecz stanowiących cechę charakterystyczną jego języka, z umy-

---

[1]) Z. Kramsztyk, l. c. Medycyna 1884, str. 741.
[2]) H. Dobrzycki, l. c. Medycyna 1884, str. 737.

słu nie zmieniałem, choć się może nie jednemu czytelnikowi nie będą podobać. Zanim zrobiłem najdrobniejszą poprawkę, długo zastanawiałem się nad tem, azali jest ona niezbędną.

Na usprawiedliwienie moje, że w rękopismie Szokalskiego porobiłem trochę drobnych zmian, a nawet kilka zdań i ustępów usunąłem, niech posłuży ta okoliczność, że autograf Szokalskiego należy uważać tylko za bruljon rękopismu, który przed oddaniem do druku byłby zapewne jeszcze poprawiony przez autora. Sam Szokalski nie uważał zresztą swego stylu za doskonały; owszem, był nawet zdania, że należy go poprawiać. W pierwszym tomie Pamiętników z właściwą sobie skromnością, lecz i zarazem szczerością pisze: „Styl mój w mówieniu wykształcił się jako tako, ale w pisaniu grzeszy zawsze formą i musi być poprawiany".

Niektóre ustępy z pewnych względów należało usunąć. Wszystkie opuszczone miejsca zaznaczono w druku kropkami.

Nie jest rzeczą wydawcy prostować wszelkie niedokładności, znajdujące się w wydawanem dziele. Jest to rzecz krytyki. Dlatego zaniechałem sprostowań w Pamiętnikach Szokalskiego. Nieraz różne niedokładne daty i nieścisłe wyrażenia w Pamiętnikach są cennym dowodem, iż autor pisał swoje wspomnienia z pamięci, nie posługując się drukowanemi źródłami. Szokalski podaje np. liczbę Polaków, którzy walczyli pod Grochowem o kilkanaście tysięcy mniejszą, aniżeli podają ją źródła historyczne. Mógł Szokalski, pisząc o powstaniu listopadowem, zaglądać do dzieł historycznych i w ten sposób uniknąć podawania nieścisłych wiadomości. Ale wtedy Pamiętniki jego nie byłyby wyłącznie wspomnieniami osobistemi, a właśnie o to chodzi, aby pamiętnikarz tylko swoje wspomnienia podawał, choćby nawet w nich niejedna rzecz była mylnie przedstawiona. Wszakże Pamiętniki nie są pracą historyczną w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz jeno mniej lub więcej cennym materja-

łem historycznym, którym należy się zawsze bardzo krytycznie posługiwać. Pamiętnikarzom, niestety, nie zawsze pamięć dopisuje, osobliwie, jeżeli spisują swoje wspomnienia w późnym wieku. I Szokalski, mimo wogóle dobrej pamięci, opisał w swoich wspomnieniach niektóre rzeczy nie całkiem dokładnie. Lecz to, że tu i ówdzie znajdzie się w jego Pamiętnikach brak ścisłości, nie obniża ich istotnej wartości, jako wspomnień osobistych człowieka niepospolitego, który pragnie podzielić się ze swoimi czytelnikami nie tylko wiadomościami o tem, co się działo około niego przez długie jego życie, lecz i tem, co w duszy swojej przeżył.

Pracę, podjętą około wydania Pamiętników Szokalskiego, wynagradza mi sowicie przeświadczenie, że przyczyniłem się do wydania książki pożytecznej, napisanej przez człowieka zasłużonego, dobrego Polaka i mądrego obywatela kraju.

Z powodów techniczno-wydawniczych tom pierwszy rękopismu Pamiętników został w druku podzielony na dwa tomy osobne.

A. Wrzosek.



WIKTOR FELIKS SZOKALSKI.

Szokalski należy do ludzi, którzy położyli dla społeczeństwa niespożyte zasługi. Niezmordowany pracownik na polu działalności naukowej i społecznej, może pod wielu względami służyć za wzór Polaka, mądrze oraz wytrwale dążącego do odrodzenia umysłowego i moralnego narodu.

Szokalski urodził się 15 grudnia 1811 roku w Warszawie. Kształcił się w rodzinnem mieście w szkole Pijarów, a potem w Liceum, po którego ukończeniu zapisał się na Wydział Lekarski w Uniwersytecie Warszawskim, mając niespełna 17 lat. Dziewiętnastoletniego młodzieńca zaskoczyło powstanie listopadowe na trzecim kursie medycyny. Mimo bardzo młodego wieku, bierze w niem czynny udział, służąc najpierw w gwardji honorowej, a potem w pułkach piechoty — 13-tym jako podlekarz i w 17-tym jako zastępca lekarza bataljonowego. Za niesienie pomocy rannym na polu bitwy odznaczony został krzyżem virtuti militari.

Po upadku powstania przeniósł się do małego miasta Giessen w Księstwie Heskiem, i tam w roku 1834 otrzymał dyplom doktora medycyny. Doskonalił się potem dalej w medycynie w Heidelbergu.

Nie mogąc uzyskać, jako cudzoziemiec, prawa praktyki lekarskiej w Księstwie Heskiem, udaje się w roku 1837 do Paryża, aby tam szukać chleba. Przybywszy do stolicy Francji, pracuje jako asystent w prywatnej kli-

nice słynnego okulisty d-ra Sichla, a jednocześnie składa powtórnie egzaminy, aby uzyskać prawo praktyki lekarskiej we Francji. Dyplom paryski otrzymuje w 1839 roku. Nie łatwo jednak było wygnańcowi ustalić sobie byt w Paryżu. „Położenie moje było bardzo trudne, — pisze Szokalski w Pamiętnikach — zaczynało mi brakować chleba, a musiałem się jednak uśmiechać, ażeby mojej matki nie martwić".

Nie zraża się początkowemi niepowodzeniami i, w nadziei lepszej przyszłości, pracuje z podziwienia godną wytrwałością. Chwile wolne od praktyki lekarskiej poświęca pracy naukowej i publicystycznej. Pisuje artykuły naukowe do francuskich i niemieckich czasopism lekarskich, a polityczne do „Trzeciego Maja", czasopisma wydawanego w Paryżu przez stronnictwo Czartoryskiego.

Ożeniony z Niemką, niewiastą zacną, wchodzi w bliższe stosunki z liczną wówczas kolonją niemiecką w Paryżu. Pełen inicjatywy podaje myśl założenia w stolicy Francji Towarzystwa lekarzy niemieckich, i zostaje pierwszym jego przewodniczącym. Szokalski utrzymuje w Pamiętnikach, że Towarzystwa lekarzy polskich nie można było wówczas założyć w Paryżu, gdyż było ich tam bardzo mało i, z nielicznymi wyjątkami, nie interesowali się oni ruchem naukowym.

Nie mogąc sobie zdobyć w Paryżu stanowiska, zapewniającego byt spokojny, przenosi się w roku 1847 do Burgundji i osiada w małej wiosce Alice Sainte-Reine, gdzie obejmuje kierownictwo szpitala i obowiązki lekarza przy budowie lyońskiej kolei żelaznej.

Rok 1848 przerywa Szokalskiemu spokojne życie w wiejskiem ustroniu. Na wezwanie księcia Czartoryskiego udaje się w misji politycznej do Niemiec Nadreńskich, aby zbadać tamtejsze stosunki i przyjrzeć się bliżej wszystkiemu, co się tam wówczas działo [1]). Spełniwszy to za-

---

[1]) Emil Kipa. Misja polityczna d-ra W. Szokalskiego do Niemiec 1848 r. Bibljoteka Warszawska 1913 r. Szokalski po-

danie, wraca na wieś i zajmuje się gorliwie nie tylko praktyką lekarską, lecz i pracą naukową.

W tym czasie otrzymuje jednomyślne wezwanie Wydziału Lekarskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim do objęcia katedry okulistyki w Krakowie. Niestety, rząd austrjacki, z powodów politycznych, nie zatwierdził wyboru Szokalskiego na profesora. Nadzieja powrotu do kraju okazała się złudną, a tymczasem przyszłość w coraz czarniejszych przedstawiała się barwach. Lecz cóż było robić? Trzeba się było pogodzić z twardym losem.

Po kilku latach pobytu w Alice Sainte-Reine przenosi się Szokalski do burgundzkiej wioski Savigny, aby w dalszym ciągu klepać biedę na obczyźnie. Nie opuszcza jednak skrzydeł, lecz z zapałem pracuje, zyskując sobie coraz większą sławę w świecie naukowym.

Nareszcie wybiła dla wygnańca radosna chwila powrotu do kraju. W roku 1853 pozwolono mu wrócić do Warszawy, z czego zaraz skwapliwie skorzystał. Wrócił do kraju pełen sił do pracy, ze sławą zdobytą za granicą, jako znany autor kilkudziesięciu prac z dziedziny medycyny, i jako członek kilkunastu Towarzystw naukowych.

Dopiero na gruncie ojczystym rozwinął Szokalski w całej pełni swój talent organizatorski, tudzież swoje zdolności naukowe i nauczycielskie. Zanim jednak mógł się ustalić w Warszawie, musiał najpierw poddać się egzaminowi lekarskiemu, i to już po raz trzeci w życiu.

W roku 1854, wkrótce po otrzymaniu od Rady Lekarskiej dyplomu doktora medycyny, został zamianowany konsultantem Instytutu Oftalmicznego [1]), powstałego

---

daje w Pamiętnikach, że wezwał go do Paryża książę Adam Czartoryski, aby mu powierzyć misję polityczną. Z rozprawy atoli p. Kipy dowiadujemy się, że nie sam książę, lecz zastępca jego w kierowaniu sprawami politycznemi na gruncie paryskim — Stanisław Barzykowski wyprawił Szokalskiego do Niemiec i instrukcją go opatrzył.

[1]) Stan. Kośmiński. Słownik lekarzów polskich. Warszawa 1883—1888.

z legatu Edwarda ks. Lubomirskiego. W roku 1858 zostaje naczelnym lekarzem tego Instytutu, założonego w r. 1823, to jest w czasie, w którym zaledwie kilka podobnych zakładów było w całej Europie [1]).

Na stanowisku kierownika Instytutu Oftalmicznego położył niezmierne zasługi. Mając nader życzliwą opiekę kuratora Instytutu ks. Tadeusza Lubomirskiego, podniósł zakład ten na wysoki poziom swoją światłą i niezmordowaną pracą. Głównie dzięki jego zabiegom powstał w r. 1870 nowy gmach Instytutu, wzorowo pod każdym względem urządzony.

Gdy w 1879 roku minęło dwadzieścia pięć lat pracy Szokalskiego w Instytucie Oftalmicznym, urządzono na cześć jego uroczysty obchód, w czasie którego ofiarowano jubilatowi litografję, przedstawiającą portret jego, a obok wizerunki 15 okulistów polskich, w ich liczbie Gałęzowskiego, Gepnera, Jodko-Narkiewicza, Kośmińskiego, Kramsztyka, Rydla, Talki, Bol. Wicherkiewicza i innych [2]).

Jako znakomity organizator zapisał Szokalski świetnie swe imię nie tylko w Instytucie Oftalmicznym, lecz i w Towarzystwie Lekarskiem Warszawskiem. Zostawszy w 1857 roku Sekretarzem stałym tego Towarzystwa, był nim bez przerwy w ciągu 33 lat aż do samej śmierci. Jedną z pierwszych jego zasług na stanowisku sekretarza stałego było przyczynienie się do założenia tak potrzebnej instytucji, jaką jest „Kasa wsparcia dla podupadłych lekarzy oraz wdów i sierot po nich pozostałych“. Grunt pod tę instytucję, związaną z Towarzystwem Lekarskiem Warszawskiem, przygotowali byli Andrzej Jan-

---

[1]) J. Talko. Prof. d-r Wiktor Feliks Szokalski. Książka jubileuszowa dla uczczenia pięćdziesięcioletniej działalności naukowej prof. d-ra Szokalskiego, wydana pod redakcją d-ra J. Talki przez okulistów polskich. Warszawa 1884, str. 10.

[2]) J. Talko, l. c., str. 12.

kowksi i Helbich, lecz została ona wprowadzona w życie dopiero staraniem Szokalskiego [1]).

Dzięki również Szokalskiemu został wybudowany dom Towarzystwa Lekarskiego, na który zapisał był fundusz d-r Bącewicz. Ile starań, zabiegów i pracy włożył w to Szokalski, aby wreszcie stanął okazały dom Towarzystwa Lekarskiego, o tem wiedzieli dokładnie członkowie rzeczonego Towarzystwa. Urządzili oni, w dniu pierwszego posiedzenia we własnym domu ucztę na cześć Szokalskiego, w czasie której ofiarowali mu srebrną zastawę do herbaty i album ze swojemi fotografjami.

Szokalski dbał nie tylko o materjalną stronę Towarzystwa Lekarskiego, był on nie mniej troskliwy i o podniesienie jego poziomu naukowego. W celu ożywienia w Towarzystwie ruchu naukowego sam bardzo często zabierał głos na posiedzeniach, poruszając różne żywotne sprawy, zwłaszcza z dziedziny hygjeny społecznej, która miała w nim gorliwego rzecznika. Z jego również inicjatywy zostały wprowadzone w Towarzystwie Lekarskiem tak zwane posiedzenia biologiczne, na których bywali nie tylko lekarze, lecz i przyrodnicy [2]).

W r. 1882 upłynęło 25 lat wytrwałej i owocnej pracy Szokalskiego na stanowisku sekretarza stałego w Towarzystwie Lekarskiem. Skorzystali z tej sposobności członkowie Towarzystwa, aby wspaniale urządzonym obchodem jubileuszowym okazać dowody wdzięczności temu, który, nieraz z zaparciem się siebie, pracował przez ćwierć wieku dla dobra instytucji. W czasie uroczystości jubileuszowej odsłonięto w sali posiedzeń To-

---

[1]) H. Dobrzycki. Rys naukowo-społecznej działalności prof. Wiktora Feliksa Szokalskiego. Pamiętnik Tow. Lek. Warsz. 1895, str. 140 — 141.

[2]) B. Bartkiewicz. Szkoła Główna Warszawska (1862 — 1869). T. II. Ces.-Król. Warsz. Medyko-chirurgiczna Akademja (1857 — 1862) i Wydział Lekarski Szkoły Głównej Warszawskiej. Kraków 1901, str. 218.

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

warzystwa Lekarskiego portret jubilata, pędzla Horowitza, zakupiony ze składek członków.

Mimo posuwania się w lata, Szokalski nie ustawał w pracy około rozwoju Towarzystwa Lekarskiego. On to pierwszy rzucił myśl utworzenia w Towarzystwie pracowni naukowej i, wyjednawszy fundusze na jej utrzymanie, znakomicie się przyczynił do jej założenia [1]).

Trzecim posterunkiem w Warszawie, na którym Szokalski położył duże zasługi, była katedra profesorska. W czasie zakładania Akademji medyko-chirurgicznej brał dość znaczny udział w jej organizowaniu, służąc radą i wskazówkami Cycurynowi, prezydentowi i organizatorowi wspomnianej Akademji. Szokalski rozpoczął w tej wyższej uczelni swoją działalność profesorską w r. 1859. Najpierw wykładał fizjologję, a w r. 1861 objął katedrę chorób ocznych i usznych. Na tej katedrze pozostał i po przekształceniu Akademji medyko-chirurgicznej na Wydział Lekarski Szkoły Głównej. Po zrusyfikowaniu tej sławnej, acz tylko kilka lat istniejącej, wszechnicy, zmuszony był — wbrew najszczerszym swoim chęciom — z katedry ustąpić, z niepowetowaną szkodą dla młodzieży naszej, kształcącej się na lekarzy. Nad wyraz przykre okoliczności, towarzyszące usunięciu Szokalskiego w r. 1871 z katedry uniwersyteckiej, sam on opisuje w trzecim tomie swoich Pamiętników, więc ich tutaj powtarzać nie będę.

Na polu działalności nauczycielskiej zajął Szokalski jedno z najwybitniejszych miejsc w Szkole Głównej. Utalentowany pedagog, oddawał się on swemu zawodowi profesorskiemu z wielkiem zamiłowaniem. Pozbawiony katedry, nie usunął się jednak w zupełności z pola pracy nauczycielskiej: kształcił on, jak dawniej, okulistów polskich w Instytucie Oftalmicznym. Atoli braku katedry uniwersyteckiej nie mógł nigdy odżałować.

---

[1]) H. Dobrzycki. Profesor Wiktor Feliks Szokalski. Medycyna 1884, str. 730—731.

Szokalski pojmował obowiązki profesorskie bardzo szeroko. Był on zdania, że nie dość jest nauczać młodzież z katedry, lecz że trzeba jej nadto pomagać i poza murami uniwersyteckimi w gruntownem poznaniu studjowanego przedmiotu, a to przez opracowywanie dla niej podręczników. Pod jego redakcją wyszedł obszerny, bo 811 stronic zawierający, litografowany kurs fizjologji, który wyłożył w r. szk. $18^{59}/_{60}$ [1]). Przed samem zaś ustąpieniem z katedry wydał najważniejsze swoje dzieło p. t. „Wykład chorób przyrządu wzrokowego u człowieka“. Dzieło to, wydane w dwuch tomach w r. 1869 i w r. 1870, miało duże powodzenie nietylko wśród swoich, lecz i u obcych [2]). Zostało uwieńczone nagrodą przez Akademję Umiejętności w Krakowie i przełożone na język rosyjski.

Działalność pisarska Szokalskiego była niezwykła. Bibjografja lekarska podaje około 200 rozpraw i artykułów naukowych, ogłoszonych przez Szokalskiego w czasopismach polskich i obcych [2]). Do tego plonu naukowego trzeba jeszcze dodać kilka dzieł, a mianowicie, oprócz wspomnianych już podręczników fizjologji i okulistyki, dwutomowe dzieło p. t. „Fantazyjne objawy zmysłowe“, którego tom pierwszy ukazał się w 1861 roku, a drugi w r. 1863, — dalej obszerne dzieło filozoficzne p. t. „Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie“, wydane w Warszawie w 1885 roku, wreszcie trzytomowe Pamiętniki, które obecnie ukazują się w druku. Należy także wspomnieć, że Szokalski w czasie pobytu swego w Paryżu pisywał artykuły polityczne do „Trzeciego Maja“.

Doprawdy, nie wiem, czy jest drugi lekarz polski, któryby się mógł pochlubić tak obfitym dorobkiem nau-

---

[1]) Szczegółową ocenę dzieła Szokalskiego napisał d-r Narkiewicz-Jodko w Gazecie Lekarskiej, 1871 r., Nr 34. Ocena ta została przedrukowana w „Księdze jubileuszowej“ Szokalskiego, wydanej w 1884 r.

[2]) Kośmiński, l. c. str. 800.

[3]) Kośmiński, l. c.

BIBLIOTEKA № PRZEMYŚL

kowym. Bo też Szokalski był wyjątkowym u nas człowiekiem, istnym tytanem pracy.

Szokalski rozwinął swoją działalność naukową najwybitniej na polu okulistyki. Zasługi w tej dziedzinie nauki przez niego położone ocenił d-r Zygmunt Kramsztyk w mowie, wypowiedzianej w czasie uroczystego obchodu półwiekowej Szokalskiego działalności zawodowej i naukowej [1]). W czasie tego obchodu okuliści polscy ofiarowali jubilatowi księgę pamiątkową, w której znajduje się także napisana przez d-ra Talkę ocena jego zasług w dziedzinie nauki o chorobach oczu. Dotychczas nie doczekaliśmy się jednak wszechstronnej oceny wszystkich różnorodnych zasług naukowych naszego uczonego.

Szokalski porusza w pracach swoich bardzo wiele zagadnień nietylko naukowych, lecz i społecznych. Pisma jego cechuje, obok zalet naukowych i literackich, otwartość i stanowczość, z jaką wypowiada swoje naukowe przekonania. W okresie, w którym materjalizm cieszył się dużem powodzeniem, Szokalski nie waha się wystąpić do walki z nim zarówno z katedry uniwersyteckiej we wstępnym wykładzie z fizjologji [2]), jak i w dziele p. t. „Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie".

W działalności naukowej Szokalskiego zasługuje na szczególne podniesienie dążenie jego do postawienia nauki polskiej na poziomie zachodnio-europejskim. Wystąpiwszy na widownię działalności publicznej w Warszawie w czasach, w których tam panował zastój w życiu społeczno-naukowem, dokłada usilnych starań, aby — mimo nieprzyjaznych okoliczności — obudzić żywsze zainteresowanie się sprawami naukowemi. Podkreśla dobitnie znaczenie nauki rodzimej dla społeczeństwa. Do-

---

[1]) Medycyna 1884, str. 737 — 742.

[2]) Przemowa przy otwarciu kursu fizjologji d-ra Szokalskiego, profesora Ces.-Król. Medyko-Chirurgicznej Akademji d. 4 listopada 1859 r. (broszura litografowana). Wykład ten został także wydrukowany w „Książce jubileuszowej" dla uczczenia Szokalskiego.

wodzi, iż nie powinniśmy ślepo naśladować obcych i od nich tylko czerpać wiedzę naukową, lecz że, przeciwnie, sami powinniśmy garnąć się do pracy naukowej. Jakby dla dodania otuchy do pracy nielicznym naszym ówczesnym uczonym i jakby dla pokazania, że i w nauce Polacy mogą położyć wielkie zasługi, podnosi publicznie niejednokrotnie pierwszorzędne znaczenie naukowe „Teorji jestestw organicznych“ Jędrzeja Śniadeckiego. W mowie, wypowiedzianej na trzecim zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie w 1881 roku, cieszy się ten już wówczas 70-letni starzec, że i u nas praca naukowa zapuściła głęboko korzenie w ojczystą glebę. „Z nauką — mówił Szokalski — rzecz się ma, jak z literaturą i sztuką: nauka jest także płodem umysłu ludzkiego, a w tym umyśle wycisnęła Opatrzność piętno narodowości; narodowość przebija się tak w płodach naukowych, jak w muzyce, malarstwie, rzeźbie; każdy naród pojmuje prawdę ze swego właściwego punktu widzenia. W tym kierunku brakowało nas, ale dziś jesteśmy, stoimy, przyszłość do nas należy, bośmy najmłodsi może między powołanymi do pracy, która w naukowości naszej rozbudzi kierunki dotychczas zaniedbane“ [1]). Że zaś nie brak nas teraz w rzeczypospolitej naukowej — nie mała w tem zasługa Szokalskiego. Przyczynił się on bowiem nietylko do ożywienia ruchu naukowego w Polsce, lecz zyskał także sławę za granicą, dając tem dowód, że w ogólnym ruchu naukowym Polacy mogą z powodzeniem brać udział. Historyk okulistyki Hirsch podnosi wysoko zasługi Szokalskiego, zaliczając go do najsławniejszych okulistów [2]). Echo sławy naszego uczonego nie przebrzmiało dotychczas za granicą, o czem przekonywają nas współczesne dzieła z zakresu historji medycyny [3]).

---

[1]) Książka jubileuszowa, str. 43.

[2]) Hirsch. Geschichte der Augenheilkunde. Leipzig 1877, str. 401, 411. Cytuję według życiorysu Szokalskiego, skreślonego przez d-ra Talkę w „Książce jubileuszowej“.

[3]) a) J. Pagel. Biographisches Lexikon hervorragender Aerzte des XIX Jahrhunderts. Berlin-Wien 1901, str. 1684.

Jeżeli się rzuci okiem na ogrom pracy społeczno-naukowej Szokalskiego, to ze czcią trzeba schylić czoło przed tym zaiste niepospolitym pracownikiem naukowym. Trudno wprost zrozumieć, jak mógł on wszystkiemu podołać. Dla przykładu weźmy tylko kilkoletni okres z jego prawowitego życia, między rokiem 1866 a 1872. W tym krótkim przeciągu czasu przyczynił się on w znacznej mierze do wybudowania nowego gmachu Instytutu Oftalmicznego i okazałego domu Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego; napisał obszerny dwutomowy podręcznik okulistyki, pierwsze tego rodzaju dzieło w Polsce; był profesorem okulistyki i dyrektorem kliniki okulistycznej w Szkole Głównej; był wzorowym sekretarzem stałym w Towarzystwie Lekarskiem; pełnił nader sumiennie obowiązki naczelnego lekarza Instytutu Oftalmicznego; był członkiem Rady Lekarskiej w Królestwie [1]). Jeżeli dodamy, że w tym czasie napisał, prócz wspomnianego podręcznika okulistyki, 30 prac naukowych i że, nie będąc człowiekiem zamożnym, musiał się zajmować prywatną praktyką lekarską, to zrozumiemy, że odznaczał się on nietylko niesłychaną pracowitością, lecz i wyjątkową umiejętnością rozporządzania swym czasem. Na wszystko znajdował czas: i na sumienne spełnianie swoich licznych codziennych obowiązków, i na zakładanie czasopism naukowych, i na przewodniczenie w sekcji przyrodniczej Towarzystwa Ogrodniczego Warszawskiego [2]), i na twórczą pracę naukową, i na współudział w organizowaniu ważnych instytucji publicznych np. Kasy imienia Józefa Mianowskiego [3]), i na zajmowanie się budowaniem domu Towarzystwa Lekarskiego w

---

b) Handbuch der Geschichte der Medizin begründet von Th. Puschmann, herausgegeben von M. Neuburger und J. Pagel. Jena 1905, III Bd., str. 254, 551.

[1]) H. Dobrzycki, l. c. Pamiętnik Tow. Lek. Warsz. 1895, str. 138.

[2]) Bartkiewicz, l. c. str. 220.

[3]) Dobrzycki. Profesor Wiktor Feliks Szokalski, Medycyna 1884, str. 727.

Warszawie, i na robienie planów wewnętrznego urządzenia Instytutu Oftalmicznego, i na wiele, wiele innych rzeczy. A ta niezwykła pracowitość nie przytłumiała w nim bynajmniej polotu myśli i inicjatywy.

Jak przystało na prawdziwego uczonego, Szokalski nie miał w sobie nic z napuszoności zarozumialca. Do niego nie można było żadną miarą zastosować łacińskiego przysłowia — honores mutant mores, sed raro in meliores. Mimo sławy i uznania, czego dowodem były obchody jubileuszowe, mimo zaszczytów, których mu nie szczędzono, Szokalski był zawsze bardzo skromnym. Zygmunt Kramsztyk podaje w krótkich słowach dosadną jego charaktersytykę: „Przy świeżości i sile umysłu, — pisze Kramsztyk — przy sławie naukowej i lekarskiej, jaką na szerokim zdobył sobie świecie, odbijała dziwnie, a nadzwyczaj sympatycznie jego prostota". ...Profesora Szokalskiego spotkać można było zawsze pieszo chodzącego po mieście; przez długi czas codziennym bywał gościem w cukierni; w domu był zawsze dla każdego, sam często drzwi otwierał, a gabinet jego był, jak i całe mieszkanie, z nadzwyczajną urządzony skromnością; nic w jego osobie, ani w sposobie życia nie było na pokaz: Szokalski roli półboga nigdy grać nie chciał i niczem ludziom nie chciał imponować" [1]).

Co najbardziej uderzało w Szokalskim to niestygnący jego zapał do nauki i świeżość umysłu, którą zachował do ostatnich dni swojego życia. Na trzy miesiące przed śmiercią, mając już 79 lat, wygłosił w Warszawskiem Towarzystwie Lekarskiem odczyt „O rozwoju medycyny w ciągu ostatnich lat sześćdziesięciu". Mówił wtedy z zapałem o postępie, jaki się dokonał w medycynie za jego czasów [2]).

---

[1]) Z. Kramsztyk. Wiktor Szokalski. Wspomnienie pośmiertne. Gazeta Lekarska 1891. Szkice krytyczne z zakresu medycyny. Warszawa 1899.

[2]) H. Dobrzycki, l. c. Pamiętnik Tow. Lek. Warsz. 1895, str. 145.

Idąc zawsze z postępem nauki, cieszył się szczerze z jej zdobyczy i umiał je należycie oceniać. Mimo licznych krzyżyków, które dźwigał na swoich barkach, duchem zawsze był młody. Najlepszym dowodem tego są jego Pamiętniki, które zaczął pisać w 78-ą rocznicę swoich urodzin. Czytając niektóre ustępy tych Pamiętników, ma się takie wrażenie, jak gdyby je pisał nie starzec nad grobem stojący, lecz młodzieniec, rwący się do życia. Znajdujemy tam i piękny ustęp na pochwałę nowych czasów, i wspaniałe słowa o odradzającej się Polsce, i prześliczne opisy przyrody, i trafne spostrzeżenia obyczajów społeczeństw, wśród których Szokalski żył, i dosadne charakterystyki różnych osobistości, i wiele innych rzeczy. Wprawdzie pamięć nie zawsze autorowi dopisywała, zwłaszcza, gdy chodziło o szczegóły, które łatwo ulegają zapomnieniu, atoli naogół zbyt wielu sprostowań Pamiętniki nie wymagają. Dużo uroku dodają Pamiętnikom szczerość i bezpretensjonalność, z jaką są napisane. Autor nie tai się ani ze swojemi sympatjami, ani z antypatjami, np. z niechęcią do profesora Andrzeja Janikowskiego, ale też i o sobie potrafi bez ogródki napisać, że w szkole był nieukiem, że mu nauka szła bardzo tępo i tym podobne rzeczy.

Można się zupełnie nie godzić na niektóre zapatrywania Szokalskiego, wyrażone w Pamiętnikach, można w jego charakterystykach Słowackiego i Towiańskiego dopatrzyć się braku głębszego zrozumienia tych znakomitych rodaków, ale nie można mu odmówić wogóle dużej znajomości ludzi.

Godzi się także podnieść w Pamiętnikach samodzielność sądu autora. Jeżeli nie zgadza się z większością opinji publicznej, wypowiada to otwarcie, nie troszcząc się o to, czy ludzie, płytko rzeczy biorący, nazwą go wstecznikiem, lub posądzą o brak patrjotyzmu. Gorący zwolennik odrodzenia Polski wytrwałą pracą u podstaw, występuje on w Pamiętnikach, jako zdecydowany przeciwnik powstania styczniowego.

Pamiętniki Szokalskiego posiadają podobne zalety, jak i dawniejsze pisma autora. Szkoda, że mu śmierć wyrwała pióro z ręki i nie pozwoliła dokończyć tego dzieła, w którym czyni spowiedź ze swego życia oraz dzieli się z czytelnikami przeżytemi wrażeniami i nabytem doświadczeniem życiowem.

Szokalski rozstał się z tym światem 6 stycznia 1891 roku, zaznawszy w życiu dużo biedy, zawodów i przykrości, lecz także nie mało uznania za swą niezmordowaną i szlachetną pracę dla nauki, tudzież dla społeczeństwa, którego był prawdziwą chlubą.

Adam Wrzosek.

ROZDZIAŁ I.

Moje pochodzenie. Lata dziecięce.

Kupiłem sobie librę papieru, kilkanaście piór niezłych, oraz dobrego atramentu flaszkę, i zaczynam dziś pisać moje „Pamiętniki“ w rocznicę siedemdziesiątą ósmą moich urodzin. Wszakże lepiej późno, niż nigdy, bo ludzie mówią, że wspomnienia starca zawsze mają swą wartość, zwłaszcza dla jego rodziny. O publiczność obszerną wcale mi tu nie chodzi, na świeczniku bowiem nigdy nie stałem; żyłem zawsze w ten sposób, ażeby nigdzie nie być pierwszym, ale też nigdzie ostatnim. Pocóż więc mam się spowiadać przed nią ze szczegółów mojego życia i ściągać na siebie zarzut o zarozumiałość? Przyznaję jednakże, że, biorąc pióro do ręki, mam nieco ważniejszy do pisania powód. Ot, chcę osobiście sam stanąć przed sobą, spojrzeć sobie w oczy i zapytać się sam siebie: a coś ty za jeden, czego szukałeś i co znalazłeś na świecie, i jak się ze swego życiowego wywiązałeś zadania? Streszczę więc pokrótce tutaj, co się przeżyło wśród ludzi, i spiszę protokuł, jak sędzia śledczy, a jeżeli do końca doprowadzę me dzieło, to osądzi mnie potem moje własne sumienie, albo ocena mych dzieci i wnuków.

Zaczynam od protestu. Pisząc o mnie, Encyklopedja Orgelbranda oznajmia wszem wobec, że się w Sandomierzu urodziłem. Otóż jako żywo nie prawda! Jestem dzieckiem Warszawy, i to jeszcze Nowego Miasta. Jeżeli

staniesz w jego rynku, to ujrzysz kamienicę, której róg tępy stoi prawie naprzeciw kościoła Ś-go Kazimierza, tam, gdzie się plac ku kościołowi Panny Maryi zakręca; w tym to domu dnia 15 grudnia 1811 roku, na drugiem piętrze od frontu, ujrzałem po raz pierwszy światło dzienne, a raczej światło łojowej świecy, gdyż urodziłem się w nocy a świec stearynowych wtedy jeszcze nie było.

Kiedy się malarz zabiera do pracy, to naprzód sobie tło do swego obrazu maluje, a potem dopiero stawia na niem swe wizerunki, mające myśl zamierzoną objaśnić. Otóż zdaje mi się, że i ja tak postąpić powinienem; przeżyłem bowiem najburzliwszą epokę w historji mojego narodu, która zmieniła nie tylko jego byt polityczny, lecz nadto cały jego społeczny i umysłowy ustrój, i wyrobiła zarazem wszystkie moje pojęcia, mój charakter, oraz cały tryb następny mojego życiowego postępowania. Skoro więc żyłem duchem owej epoki i tylko swym własnym wpływem urabiałem go w sobie, rzecz tedy naturalna, że dla króciutkiej chociażby tam o niej wzmianki pierwsze się jej miejsce w mojej autobiografji należy.

Urodziłem się w lat 16-cie po ostatecznym rozbiorze Polski, po owym strasznym gromie dziejowym, który roztrzaskał nasze polityczne istnienie, ale jego duch i jego obyczaj owiewał jeszcze moją kolebkę. Ludzie, którzy mnie otaczali, byli to jeszcze owi dawni po staropolsku myślący ludzie, chociaż znękani teraźniejszością i nie umiejący się z nowemi wymaganiami połapać. Jakież to straszne w owym pruskim zaborze, do którego w Warszawie należeliśmy, przechodziło się koleje! Na rozhukanym republikańskim staropolskim gruncie, skalanym wprawdzie bezmyślnem życiem, nieładem i obyczajów zepsuciem, ale zawsze jeszcze republikańskiem, wystąpiło naraz zobojętnienie i bezradność pod żelazną dłonią systematycznego pruskiego despotyzmu. Naród nasz, zawsze daleko

więcej sercem jak głową żyjący, znalazł się naraz pod obuchem lodowatego rozumu, nie uznającego nic więcej na świecie nad bezwzględny interes, bo rząd pruski, schwyciwszy Polskę w swe krogulcze szpony, uważał owe nowo nabyte prowincje wprost jako las do wykarczowania, aby grunt przysposobić pod nową niemiecką kulturę. Wszystko w tym celu było uplanowane, obmyślane głęboko i wszystko dokonywało się z systematycznym spokojem. Nie czując żadnego oporu, robiono wszystko bez złości; nie grabiono, choć wszystko, co polskie, miażdżono; nie poniżano, choć ujarzmiano; nie pastwiono się, choć zabijano. Jakaż to różnica od tego, co się później dokonywało w zaborze rosyjskim! Wszystko to odbywało się z regularnością zegara przez lat 13 (od 1795 do 1807 roku), dopóki historyczna Opatrzność nie pokrzyżowała planów, gdyż po strasznym gromie, jaki wstrząsnął monarchją pruską pod Jeną, trzeba było oddać, co polskie, i to jeszcze oddać najwstrętniejszemu swemu nieprzyjacielowi.

Traktat Tylżycki utworzył z zaboru pruskiego Księstwo Warszawskie pod panowaniem króla saskiego i francuskim protektoratem. Odtąd, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmieniło się wszystko. Powypędzano pruskich urzędników Niemców, przywrócono język polski w administracji, w sądownictwie i w szkole; utworzono wojsko polskie, w którem młodzież, osadzona przez Prusaków na bruku, szlachetne zyskała pomieszczenie. Ale z pod pruskiego ucisku kraj nieszczęśliwy dostał się naraz pod ucisk francuski, bo Napoleon był także zimnym egoistą i wyrachowanym despotą, chociaż innej zupełnie wody, wychowanym pod sztandarem rewolucji francuskiej, najwstrętniejszej na świecie dla spadkobierców krzyżackiego plugastwa. Uszczęśliwił on odrazu społeczeństwo nasze konstytucją, według swego widzimisię, oraz zaimprowizowanym kodeksem francuskim, który zrazu mało kto u nas rozumiał, a który do głębi wstrząsnął i zakłócił wszystkie nasze starodawne społeczne sto-

sunki. Napoleoński systemat kontynentalny, zamykając nam zagraniczny handel, pozbawił nas wszelkich ze sprzedaży naszych ziemiopłodów korzyści, a finansowe szacherki francuskiego protektora naszego z tak zwanemi Bajońskiemi sumami, godne są rzeczywiście stanąć u boku pruskich hipotek z ułatwieniem przez nie rządowych pożyczek, jakby umyślnie w celu puszczenia z torbą naszej nieoględnej szlachty. Pomimo jednak tego wszystkiego nowa zmiana wszystkich spraw naszych ożywiła, jakby iskra elektryczna, cały nasz narodowy ustrój, tak, iż w miejsce pruskiego znękania wystąpiła naraz gorączkowa energja, oraz duch bezwarunkowej ofiary i bezwarunkowego poświęcenia w celu zapewnienia sobie politycznej przyszłości. I nie dziwota, bo do takowego nastroju przygotowało nas aż nadto siedmioletnie przygnębiające oczekiwanie pod obcym nienawistnym rządem.

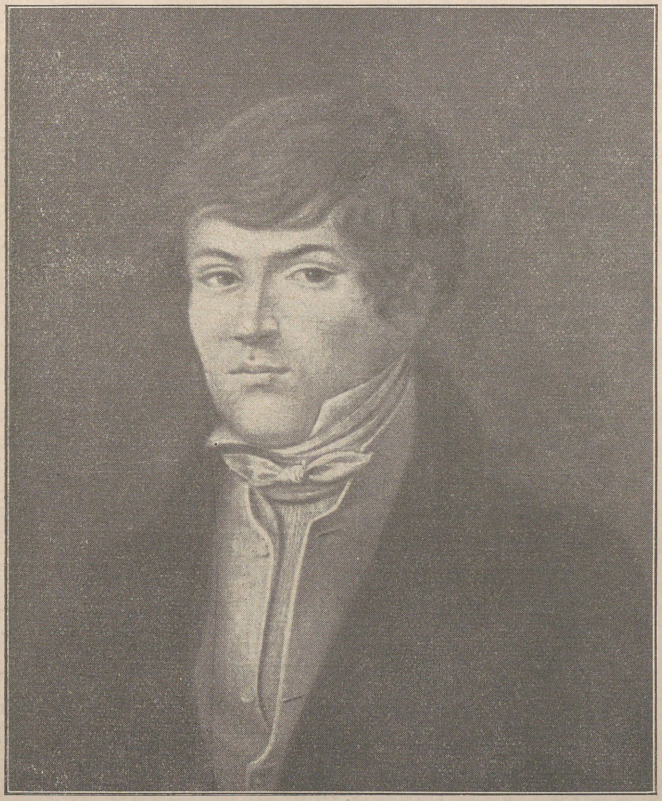
Cały nasz zakrój umysłowy oraz dziejowe stosunki ubiegłych wieków zbliżały nas zawsze do Francji, nic więc dziwnego, że po rozbiorze Polski oparły się o nią wszystkie nasze nadzieje. Stąd powstały nasze legjony we Włoszech, a wschodząca gwiazda Napoleona tak nas olśniła, żeśmy w niej upatrywali nasze zbawienie. Jego bezwzględne postępowanie z bohaterskimi zastępami legjonów naszych powinno nam było otworzyć oczy, ale kreacja Księstwa Warszawskiego wydawała się być zapowiedzią przywrócenia Polski tak pewną, iż wszelkie powątpiewania za świętokradztwo niemal poczytywano. A tymczasem szczwany spekulant wcale o tem nie myślał, a nawet przywrócenie Polski było wyraźnie jego chwilowemu interesowi przeciwne; poruszona bowiem już sama myśl przywrócenia byłaby silniej jeszcze ze sobą złączyła trzech zaborców naszych, których on właśnie pojedyńczo rozbrajał. Jemu chodziło li tylko o założenie sobie silnie oszańcowanego nad Wisłą obozu, w pośrodku swych nieprzyjaciół, obozu, któryby mu dostarczał zarazem wojska i zapasów wojennych. Opierając

się więc na ślepem zaufaniu nieszczęśliwego narodu, ręką patrjotów naszych wyciskał z niego wszystkie jego soki. Bankructwo niewiele go obchodziło; rządził, jak w kraju podbitym, mając tylko swój własny egoizm na względzie. Unikał nawet wszelkich urzędowych pozorów, że ma jakieś rozleglejsze na Polskę widoki, czego sam nawet początek jego rosyjskiej kampanji jak najwidoczniej dowodzi, bo też przywrócenie i utrzymanie Polski w dawnych jej granicach, czego właśnie wszyscy u nas oczekiwali, przedstawiało nawet dla niego na szczycie jego potęgi nieprzezwyciężone trudności, czego przy narodowem rozgorączkowaniu nie dostrzegaliśmy. Nadzieja odbudowania ojczyzny spotęgowała się już niezmiernie po szczęśliwej kampanji księcia Józefa Poniatowskiego przeciw napadającej na nas Austrji i po pozyskaniu dla Księstwa jej ostatniego na Polsce dokonanego zaboru. Przybyło nam blizko o połowę więcej obszaru, ale cóż, kiedy i system napoleoński, wysysając z niego ostatnie krwi krople, stawał się coraz więcej wymagającym.

W chwili mego urodzenia zebrały się były gęste chmury, zwiastujące straszną zawieruchę 1812 roku, a niebawem kraj cały zamienił się na obozowisko, w którem armje całej zachodniej Europy zaległy. Nędza była straszna po nieurodzajnym poprzednim roku, ale nadzieja ożywiała wszystkie umysły i do coraz nowych pobudzała ofiar. Niebawem butne i pewne swego sprzymierzone wojska utonęły w bezdenne rosyjskie stepy. Kłamliwe ich biuletyny donosiły o ich nieustannych zwycięstwach, aż nakoniec wśród zimy z pół miljonowej armji zjawiły się znękane, zgłodniałe i obdarte niedobitki nad Niemnem, gnane w nieładzie. Rozczarowanie było niesłychane. Wszystko było odrazu stracone. Przygnębienie nie miało granic. Nie było człowieka, któryby nie był najboleśniej dotkniętym, nie było rodziny, któraby nie opłakiwała swoich. Wszyscy truchleli na opowiadanie o przebytych klęskach nędzarzy, którzy z pod Berezyny zawlekli się jeszcze do domów. Niebawem jednak wpośród

owego strasznego pomroku zabłysło najniespodzianiej słabe światełko, i oto Rosjanin....., co to pod Suworowem Pragę zdobywał....., wystąpił naraz jako szlachetny człowiek i, zamiast się mścić za doznaną napaść, rozpostarł nad nami swoją opiekę. Co to miało znaczyć, pytano się siebie wzajemnie; czy to kaptowanie sobie przychylności znękanego narodu, ażeby go od Francuzów odciągnąć? Niedowierzano, a byli nawet i tacy, którzy woleliby byli zemstę zamiast narzuconej sobie wdzięczności. Dziwić się temu nie można, bo wśród tylu klęsk i zawodów, wpośród wahania się ciągłego między rozpaczą i nadzieją, naród oszołomiony, przecierpiawszy w przeciągu lat 18-tu niespełna tyle, ile inne narody nie cierpiały w ciągu stulecia, stracił był ufność w siebie i ludzi, a to, co się wokoło niego działo, przedstawiać mu się musiało jako krwawa z nim Opatrzności igraszka. Kongres Wiedeński, nowy podział kraju przez odstąpienie Prusom Poznańskiego, wzmocniły niedowierzanie, a szlachetne cesarza Aleksandra z nami postępowanie nie zatarło jątrzącego wrażenia przeszłości. Nikt nie znał motywów postępowania cesarza, gdyż te dzisiaj dopiero z pomroku wychodzić się zdają, a ujawnienie ich wówczas byłoby zupełnie niezrozumiałem. Oczekiwano od niego przywrócenia Polski i to natychmiastowego, Polski od Dniepru do Dźwiny, jako wynagrodzenie za czyn, jakiego się jego babka dopuściła na nas, a nikt wiedzieć o tem nie chciał, że rozbiór Polski był nieuniknionym skutkiem odwiecznej naszej politycznej przeszłości, i że odrodzenie może być tylko skutkiem postępu umoralnienia i cywilizacji, a nie dziełem bagnetu i dyplomatycznej szacherki. Lecz wobec wówczas ogólnie panującego w pojęciach, uczuciach i dążeniach zamętu niełatwo było znaleźć człowieka, któryby to zrozumiał, a zwłaszcza mógł to przewidzieć, czego nas dopiero miała nauczyć przyszłość. Błąkano się, jakby wśród mgły gęstej, nie widząc jasno ani przed sobą, ani poza sobą, powtarzając sobie, że jakoś to będzie, lub pośpiewując śpiewkę naszych włoskich legjonów: że jeszcze

nie zginęła Polska. Tymczasem wobec groźnego bankructwa rozwinęło się życie hulaszcze, bo każdy, tonąc myślą w sprawie publicznej, obojętniał na swe osobiste



Antoni Szokalski,
ojciec autora pamiętników.
(Według portretu współczesnego; w posiadaniu p. Kazimierza Szokalskiego).

sprawy, traktowane zazwyczaj z największą nieoględnością. Do wielkich naszych narowów szlacheckich, pomimo niezaprzeczenie wielkich cnót obywatelskich, dołą-

czyło się lekkomyślne traktowanie teraźniejszości, i one to właśnie, zrosłszy się z szarpiącemi wspomnieniami, co chwila zmieniających się politycznych położeń, nadały właściwe piętno duchowi czasu, który owiał pierwsze lata mojej młodości, a który nie mógł pozostać bez wpływu na całe moje moralne usposobienie.

Ojciec mój, Antoni Szokalski, a nie Szukalski, jak go w Wielkopolsce zwano, 23 lat wówczas mający, gdy na świat przyszedłem, był kontrolerem w Ministerjum Skarbu Księstwa Warszawskiego, a matka moja 17-letnia Justyna z Rogozińskch, była córką skromnego szlachcica, który, kupiwszy sobie kamieniczkę z ogrodem obok Panny Maryi w Warszawie, żył, jak mógł, przy szczupłym kapitaliku, w owych strasznych czasach. Ponieważ byłem owocem zjednoczenia dwuch rodzinnych składników, muszę więc przedewszystkiem o nich coś wspomnieć, zanim zacznę mówić o sobie.

Rodzina ojca mojego pochodziła z Brańskiego na Litwie, gdzie musiała przecież trochę wyjść na wierzch, skoro jeden z Szokalskich był deputatem na Sejm czteroletni, — jak mnie o tem Wejnert, znany archiwista miasta Warszawy zapewnia, i był członkiem Komisji przez Sejm wyznaczonej, która w imieniu kraju do chrztu trzymała synka burmistrza miasta Dekerta. Znałem dobrze potem owego chrześniaka, który był biskupem w Warszawie, i ani mi na myśl nigdy nie przyszło, ażeby nas niegdyś przeszłość łączyła. Ojciec mi opowiadał, że rodzina Szokalskich żyła od wielu pokoleń w nieprzyjaźni z Jasińskimi, a gdy razu pewnego mój pradziad spotkał się z Jasińskim na moście, obaj porwali się do kordów, ale pradziad mój tak brzydko pokiereszował swego przeciwnika, iż cała klika Jasińskich zemstą zawrzała. Musiały to być nie żarty, gdyż mój antenat-bohater czmychnął do dalekich wielkopolskich krewnych i między nimi gdzieś się zaprzepaścił. Było to przy końcu panowania Augusta II-go. Dopiero syn jego, chłopiec bardzo dorodny, wychodzi na wierzch, jako dworzanin i ulubieniec

arcybiskupa Podoskiego, którego ten później z panną Rolińską, respektową księżny Sułkowskiej, zeswatał. Ponieważ arcybiskup, również jak księżna dali po 5000 złotych na wiano, pan Józef zatem, człowiek bardzo czynny, prawy i stateczny, kupił sobie folwareczek pod Słupcą i energicznie w nim gospodarować zaczął. Pędził wódkę, wypasał woły i sprzedawał je do Gdańska. Dorobił się wkrótce pokaźnej fortunki. Lecz nie długa była uciecha, kochani bowiem nasi opiekunowie Francuzi w roku 1807 zrabowali wszystko do szczętu i na ogień rozebrali budynki, tak iż po jednodniowym ich pobycie pozostała pustka, jak po napadzie Tatarów. Trzeba było do Słupcy udać się piechotą i okropną przecierpieć biedę, którą dziadek przypłacił chorobą, a naostatek i życiem. Pozostała wdowa nie umiała dać sobie rady. Najstarszy syn, także Józef, był do niczego, córka Kunegunda była podlotkiem, a mój ojciec Antoni, 18 lat wówczas mający, ukończywszy szkoły Jezuickie w Pokosi, do stanu duchownego naglony przez matkę bigotkę, salwował się ucieczką. Czmychnął do Berlina i został tam guwernerem dwuch małych Mycielskich, a że dosyć mu zostawało czasu wolnego, uczęszczał na kursa prawne, co też na dobre mu wyszło, gdyż wkrótce otrzymał posadę w Księstwie Warszawskiem przy regulacji granicy, a potem, z uwagi na jego zdolności i wykształcenie przeniesiono go do Ministerjum Skarbu. Ojciec mój był wysmukłym blondynem o białej, delikatnej cerze i różowych policzkach..... Wesoły, otwarty, dowcipny, bardzo miły w obejściu, miał wielkie szczęście do ludzi i umiał ich sobie ujmować. Kochali go też wszyscy i on kochał wszystkich, tak, że go przezywano kochanym Antosiem. Umysł miał bystry i przenikliwy, byle tylko nie do interesów materjalnych własnych..... Bardzo na owe czasy wykształcony i oczytany, władał płynnie kilku językami; wymowny, słynął ze swego zwięzłego, dobitnego i niemal tacytowskiego stylu. Wychowany pomiędzy księżmi, lubił z nimi w teologiczne wchodzić spory, a że mówił wtedy zawsze

po łacinie i to wybornym językiem, do rozpaczy więc ich przywodził.....

Rodzina Rogozińskich, z której pochodziła moja matka, zamieszkiwała w Poznańskiem. Mój pradziad z matczynej strony, pan Rafał, miał dom w Poznańskiem rynku i był w Magistracie ławnikiem. Miał tylko jednego sy-



Rafał Rogoziński,

pradziad autora pamiętników.

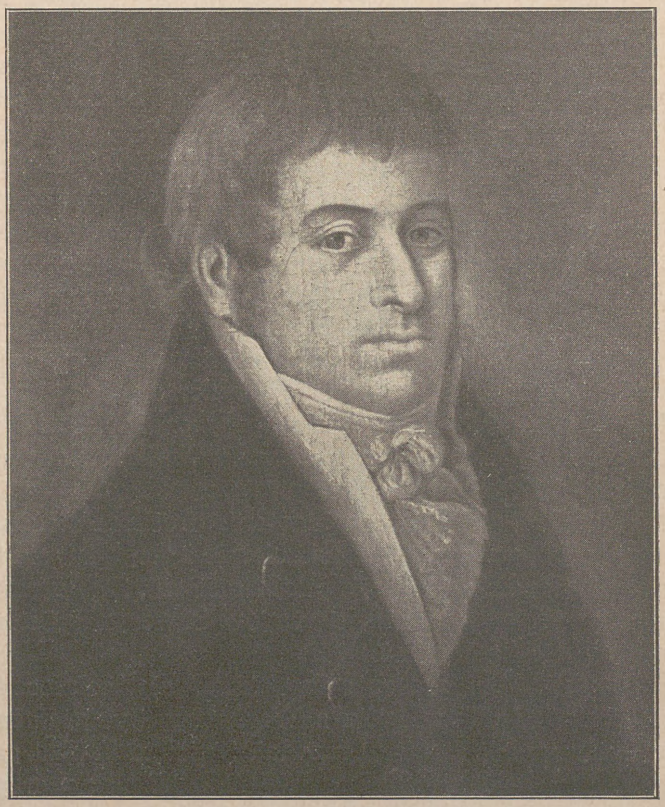
(Według minjatury powiększonej dwukrotnie; w posiadaniu p. Kazimierza Szokalskiego).

na Wojciecha, który, przeniósłszy się do Warszawy w połowie panowania Stanisława Augusta, został kasjerem Zakładu królewskich paziów. Wkrótce potem pan Rafał, sprzykrzywszy sobie długie wdowieństwo, ożenił się z Niemką, ale niebawem pokochała się ona w jakimś oficerze pruskim i uciekła z nim za granicę, zabrawszy ze so-

bą co było najkosztowniejszego. Wskutek tego opuszczony starzec sprzedał dom i przeniósł się na dewocję do syna, lecz w drugim już roku zniknął, zabrawszy ze sobą część swojej gotówki, i zdala dopiero doniósł, iż, wziąwszy kostur w rękę i kutę dominikańską, puścił się na pielgrzymkę piechotą do Ziemi Świętej, mając już wówczas lat 80. Nie spodziewano się go już ujrzeć, a jednak staruszek, świętościami poobwieszany, zdrów i cały powrócił i żył jeszcze lat kilka. Król Stanisław August kazał go sobie przedstawić, a że mu się jego twarz podobała, kazał zrobić na kości jego minjaturę. Mam ją dotychczas; nie wiem, kto ją zrobił, ale to pewna, że posiada niemałą artystyczną wartość. Pan Wojciech, mój dziadek, był już wtedy wdowcem i miał jedną córkę, pannę Monikę, którą trzeba było wychować. Ożenił się więc powtórnie z moją babką, Katarzyną, uderzającej piękności kobietą, której portret, wykonany przez Bacciarellego, mam także. Była ona panną respektową u kasztelanowej Bromirskiej. Wychowana była po domowemu, skromnie, pracowicie, religijnie aż do bigoterji. Doskonała żona, matka, gospodyni, umiała znosić ciernie i głogi, jak się to zaraz pokaże, ale umysł jej wyżej nie sięgał. Z tego małżeństwa wyszło dwuch moich wujów Seweryn i Antoni oraz moja matka Justyna.

Wszystko dotychczas szło dobrze, ale ostateczny rozbiór kraju i odjazd króla z Warszawy był gromem, który cały spokój domowy rozwiał. Zwinięto Zakład paziów i dziad mój został na koszu. Król, odjeżdżając, przyjął go bardzo łaskawie i dał mu na pamiątkę złoty pierścionek z zegarkiem, który mam także. Należało mu się z kasy 500 dukatów zaległej płacy, które ledwie ze szponów pruskich wykukał. Ofiarowano mu za to pałac Karasia, gdzie Zakład paziów się mieścił, ale żądano 1000 dukatów dopłaty. Na to się pan Wojciech nie zgodził, w przekonaniu, że po rozbiorze wkrótce na ulicach Warszawy trawa będzie rosła. Kupił sobie kolonję Józefów za Pragą, i zdawało mu się, jak wielu Warszawiakom, że

na wsi z Bożej łaski się żyje. Tymczasem przekonał się, że bardzo pracować trzeba, a co gorsza znać się na gospodarstwie. Przyszedłszy więc do przekonania, że mieszczanina Pan Bóg do orki nie stworzył, sprzedał kolonję Niemcowi, powrócił do Warszawy i na Nowym Świecie kamieniczkę kupił. Był to jednak człowiek rozumny, lecz



Antoni Rogoziński (senior),
ojciec Justyny Rogozińskiej.
(Według portretu współczesnego; w posiadaniu p. Kazimierza Szokalskiego).

wyrzucony okolicznościami z drogi, po której postępował, dotąd nie wiedzący jak sobie dać radę i także rachujący na to, że jakoś to będzie. Zapalony patrjota, marzyciel, tonął w politycznych kombinacjach, przypominając sobie czasy Kilińskiego, z którym łączyły go niegdyś bliższe stosunki. Nienawidział Prusaków i nazywał ich niemieckiemi szołdrami, z którymi nic nie chciał mieć do czynienia. Bohaterami jego byli książę Józef i Kościuszko, a całą nadzieją Napoleon i Francja, dla której wówczas, jak wszyscy, bałwochwalczą cześć wyznawał.....

To, com tu opisał, niechaj posłuży za dowód ucisku i biedy, jaka za czasów pruskich panowała w Warszawie wśród rozpasanych zbytków, do których dawał popęd Pałac pod blachą. Prusacy wygnali odrazu aż do ostatniego woźnego wszystkich Polaków z urzędów i obsadzili je swojemi kreaturami, a handel i przemysł był dla szlachcica polskiego zniewagą. Rząd wszystko obrachował na naszą zagładę i dążył do niej z demoniczną systematycznością. Tłumy zbiedzone tułały się po mieście, lub wieszały się, gdzie mogły przy zbytkujących panach, żyjących butnie, kosztem pruskiego hipotecznego kredytu, na to obrachowanego, aby ich także zrujnować.

Matka moja, oczko w głowie ojca swojego, była wzrostu średniego, bardzo przystojna, kształtna, zgrabna i żywa; umiała się bardzo podobać. Ojciec jej marzył dla niej o świetnej przyszłości, a nie mogąc jej dać majątku, postanowił jej dać świetne wychowanie i dlatego też oddał ją do pani Peters na pensję. Był to wówczas słynny arystokratyczny zakład w Warszawie w pałacu obok Ś-go Krzyża. Wychowywały się tam córki wysokiej szlachty, pomiędzy któremi mieszczka z Nowego Miasta nie ciekawą musiała odgrywać rolę. Stąd też w młodocianym jej umyśle rozwinął się rozdźwięk, który w późniejszem życiu stał się źródłem wielu goryczy..... Celowała w naukach, stawiano ją nieustannie za przykład, a to znów w najwyższym stopniu drażniło szlachecką pychę. Jedna tylko młodziutka księżniczka, a późniejsza

księżna Sapieżyna, uśmiechała się do panny Rogozińskiej przyjaźnie, nie przewidując, że je los w starości kiedyś do siebie przybliży. Opuściwszy pensję, matka moja mówiła po francusku wybornie. Rząd pruski, gniotąc wychowanie, postarał się o to, że i niemczyzna obiła się jej o uszy. Grała nieźle na fortepjanie, co wówczas było jeszcze rzadkością. Znała mitologję na palcach, bo to było szczytem dobrego wychowania, a że ojciec jej był człowiekiem bardzo wykształconym, zaostrzył więc jej zamiłowanie w polszczyźnie na Janie Kochanowskim, którego treny na pamięć umiała, i nauczył ją pisania listów tak pięknych, że je w naszem otoczeniu za wzór poczytywano. Ale co było dalej robić z podlotkiem szesnastoletnim? — o to postarały się wypadki.

Po upadku panowania pruskiego (1807 r.) w nowopowstałem Księstwie Warszawskiem otworzyło się naraz dla młodzieży wykształconej bardzo obszerne pole, czy to w cywilnym, czy to w wojskowym zawodzie, ale też także i wielu poszukiwano starszych, bogatych doświadczeniem i wykształconych, stosownie do położenia, w którem kilka języków krzyżowało się ciągle ze sobą. Otóż i dziadek Rogoziński znalazł pomieszczenie. Zrobiono go komisarzem administracyjnym na Nowem Mieście, ale niedługo mógł się na niem utrzymać, samowola bowiem wojskowa francuska i formalizm niemiecki, z którym odrazu rozstać się było niepodobna, a zwłaszcza straszne rekwizycje na współobywatelach, z którymi bezpośrednio komisarz musiał się stykać, do rozpaczy go doprowadzały, aż nakoniec, nie mogąc już dalej wytrzymać, zrezygnował ze swej posady. Wkrótce potem przy nowej organizacji szkolnictwa, po zniesieniu niemczyzny, władzy miejskiej ówczesnej przyszło było na myśl założenie szkółki z wyższym już nieco zakrojem dla dziewcząt Nowego Miasta, i obrano na to dawniejszy refektarz w skasowanym klasztorze Benonów, a dziadowi memu zaproponowano, z rekomendacji pani Peters, matkę moją na nauczycielkę.

Niebardzo jej się to podobało, zabrała się jednak do pracy za wcale niezłem na owe czasy wynagrodzeniem, ale ze zgorszeniem znów mieszczek, że jedna z ich grona wystrzeliła nad nie.



Katarzyna Rogozińska,

babka autora pamiętników.

(Według portretu pędzla prawdopodobnie Bacciarellego; w posiadaniu p. Kazimierza Szokalskiego).

W tym to właśnie czasie matka moja z moim poznała się ojcem. Stary Rogoziński spotykał się z nim często

w loży masońskiej, gdzie pan Antoni z patrjotycznemi występował mowami. Poznał tam także Marszałowskiego i porucznika Gołębiowskiego, przyszłego historyka naszego oraz bibljotekarza w Puławach, obu serdecznych ojca mego przyjaciół, i zaprosił ich do siebie. Odtąd cała owa trójca zaczęła się do panny Justyny uśmiechać. Ojciec dawał błyskotliwemu panu Antoniemu pierwszeństwo, chociaż córka byłaby skromnego Gołębiowskiego wolała, jak się o tem od niej dowiedziałem później, ale cóż było robić, trzeba było być posłuszną, gdyż ojcowie owego czasu z córkami nie parlamentowali. Gesagt und gleich gethan, jak mówią Niemcy.

Ślub odbył się niebawem. Nowożeńcy osiedli w bliskości rodziców na Nowem Mieście, i ja przyszedłem na świat w oznaczonym czasie. Marszałowski miał mnie trzymać do chrztu. Chodziło o wybór dla mnie imienia. Długie były dysputy, bo staropolskie imiona już się były przyjadły, Adolfy zaś, Alfredy i Edwardy jeszcze się nie rozpowszechniły, gdy naraz mój ojciec zaczął deklamować jakąś łacińską poezję, w której wyrazy Feliks Wiktor wchodziły, a matka zauważyła, że i święci patronowie są tacy i że mnie właśnie Wiktor Feliks możnaby nazwać. Niechaj będzie Wiktor Feliks — zadecydował mój ojciec i na tem się stało. Tylko babka moja nie była zadowolona, gdyż koniecznie mnie chciała nazwać Rafałem.

Wkrótce potem ojciec mój został wyznaczony na kasjera Województwa Sandomierskiego w Radomiu. Było to miasteczko bardzo wówczas smutne, gdyż w kilka lat potem, jak je widziałem, wcale jeszcze wyglądało posępnie. Nie mogło jeszcze przyjść do siebie po rabunku austrjackim, gdy już kraj wypadało opuszczać po kampanji księcia Józefa 1809 r. Wśród obszernego bagna, utrzymywanego ciągłymi zalewami Radomki, poprzerzynanego kanałami i rowami, otaczały miasto, skupione koło dzisiejszego rynku, szerokie, głębokie i błotniste fosy, a za niemi poszczerbione na trzy łokcie grube z polowego

kamienia mury. W rynku — kilka kamieniczek wązkich, szczytami do placu obróconych, brudne z podcieniami żydowskie dworki i rozwaliny kilku większych domów.



Justyna z Rogozińskich Szokalska,
matka autora pamiętników.
(Według portretu współczesnego; w posiadaniu p. Kazimierza Szokalskiego).

Przy jednej połaci rozpoczęta i już waląca się kaplica Pijarska, dalej z wysoką wieżą, ale w proch rozsypujący się kościół farny, kilka błotnistych, po największej części

niebrukowanych ulic, a za wałami rozsiadłe kupczące żydostwo w rozmaitego autoramentu chałupach i szałasach naokoło kościoła Kapucyńskiego.

Podróż nasza do Radomia miała być okropna, przypadała bowiem właśnie w czerwcu 1812 roku, kiedy różnonarodowa armja Napoleona przeprawiła się przez Wisłę do Rosji. Zjechawszy nareszcie do Radomia z gratami i z mamką, wszystkie domy znaleźliśmy tak pozajmowane, iż nie podobna było pomieszkania znaleźć. Jedno tylko było mieszkanie wolne, którego nikt nie chciał, gdyż w niem straszny niedawno rozegrał się dramat. Zajmowali go dwaj bracia Strejblowie, utrzymujący handel korzenny na dole, z których jeden zabił drugiego i pochował go w piwnicy. Rzecz się wykryła i zabójcę powieszono na rynku. Powszechnie mniemano, że w pomieszkaniu dusze nieboszczyków pokutowały, że słyszano jęki, trzaski, dzwonienia łańcucha, że przez okno w nocy błyskało i że widziano przez nie białe, wzajemnie szarpiące się mary. Strachy te nie zraziły moich rodziców, zajęli pomieszkanie z podziwem małomiasteczkowej gawiedzi, służby tylko nie można było utrzymać za nic w świecie, dopóki się nie przekonano, że Warszawiakom łbów nie poukręcało. Wszystko to trwało aż do końca kampanji moskiewskiej, gdy naraz na wiosnę 1813 r. po strasznej klęsce nad Berezyną, przyszły niespodziewane zawiadomienia od księcia Józefa, cofającego się z wojskiem polskiem na Kraków. Polecono też mojemu ojcu, ażeby spakował całą kasową gotówkę i odstawił ją potajemnie do Krakowa na potrzeby wojska, i to bez żadnej eskorty, ażeby tem nie zwracać na się uwagi. Zadanie było do rozwiązania nie łatwe, gdyż drogi roiły się od maruderów, a nadto i kozacy zaczynali już plądrować. Spakowano w największej tajemnicy złoto i srebro w beczułki, i włożono na wozy. Mój ojciec, jego sekretarz Skonieczny i dwaj starzy wojskowi woźni, przebrani za chłopów i uzbrojeni od stóp do głowy, jechali konno, ale najtrudniejsza rzecz była z kobietami, bo i Skonieczny

miał żonę i malutkie dziecko, które szczęściem, że sama matka karmiła, a zostawiać ją samą w Radomiu, zagrożonym co chwila napadem, podobieństwa nie było. Kupiono więc żydowską, płótnem krytą brykę i w trzynaście koni puszczono się na Skaryszew w drogę. Przebyto z niesłychaną ostrożnością Iłżyckie i Świętokrzyskie lasy, i naostatek po 10 dniach wędrówki do Krakowa się dostano. Niesłychana była trudność z dostaniem żywności. Konie żyły kiełkującą trawą, a ludzie głównie drobiem i upolowaną zwierzyną. Matka opowiadała mi okropności o tej strasznej podróży, obiecywała mi ją nawet opisać, ale do tego nie przyszło. W Krakowie nowa bieda, bo nikt nie chciał pieniędzy odebrać. Rozkaz księcia Józefa był osobisty i nikt nic o nim nie wiedział, a księcia w Krakowie nie było. Tymczasem rodzice ulokowali się na Stradomiu, środek bowiem miasta był przepełniony, drożyzna była okropna. Ojca ratowała tylko wymiana złota na srebro, od czego kupcy krakowscy, w braku banków i wekslarzy chętnie pewien procent płacili. Wreszcie odebrano pieniądze, ale kasjerowi, który tak gracko się spisał, polecono, ażeby jak najprędzej do Radomia powracał, zabrał wszystko, co z podatków w czasie jego nieobecności ściągniętem zostało, i znów do Krakowa odwiózł. Matka moja ze mną, nie mogąc się narazić na nowe trudy, pozostała w Krakowie, umieściwszy się przy rodzinie majora Zabłockiego, byłego legjonisty we Włoszech, który był komendantem twierdzy na Tyńcu, a raczej zarządzającym wielkim wojskowym szpitalem, jaki tam założono w gmachu niegdyś Cystersów. Ja tam nauczyłem się chodzić, wybiwszy sobie na czole ogromnego guza, o którym matka zachowała długo wspomnienie. Druga wyprawa ojca odbyła się prędzej i swobodniej, a książę, odebrawszy rachunki, odprawił ojca na dobre i sowicie go nagrodził. Obie te wyprawy wielce ojca później partji narodowej zarekomendowały, lecz szczęściem, że władze rosyjskie, które zaraz po wyjściu wojsk naszych wciskać się do nas zaczęły, co innego mia-

ły do czynienia, niż na szczegóły zwracać uwagę w pośród ogólnego w kraju nieładu.

Rząd prowizoryczny rosyjski aż do 1815 r., oraz ogłoszenie następne Królestwa Polskiego, w niczem nie zmieniły urzędowego położenia mojego ojca w Radomiu. Rodzice wydzierżawili dom duży na Warszawskiem Przedmieściu naprzeciwko dzisiejszej poczty. Był to w ogrodzie długi drewniany, oddzielony od ulicy sztachetami, budynek, do którego należał obszerny sad i kawał ornego gruntu. W domu parterowym starym, o czubatym gontami pokrytym dachu, były dwa obszerne pomieszkania, jedno dla nas, a drugie na pułkownikowską kwaterę. W ogrodzie stały stare lipy ze studnią na środku i ławkami dla gości. Gdy studnię tarcicami zakryto i na duży stół zamieniono, rodzice wśród skwarów słonecznych przyjmowali tam nieraz liczne towarzystwa. Pierwszym u nas kwaterunkiem stanął pułkownik Mierosławski, wesoły i rubaszny, gadatywus i szaławiła, ożeniony we Francji z jakąś gryzetką paryską, z którą matka moja obcować nie chciała, z powodu czeredy oficerów, ciągle jej asystujących. Ich synek Ludwiś, późniejszy emigracyjny generał, który się nam dał potężnie we znaki, był to rozpustny łobuz, na ulicznika paryskiego zakrawający, który dla zabawki kurom łby ukręcał, okna kamieniami wybijał, po dachach chodził i drzewa owocowe w ogrodzie zrąbywał, z wielką swego tatki pociechą, upatrującego w tem wszystkiem przedświt późniejszej synka dzielności. Ludwiś mógł mieć wtedy lat osiem, szczęściem, że nie mówił po polsku, gdyż ja czteroletni chłopak byłbym z nim się bawić zmuszony. Spotkaliśmy się ze sobą potem w Paryżu, lecz nie czuliśmy wzajemnie wielkiego do siebie pociągu, jak o tem wspomnę następnie. Za tę nieprzyjemną załogę wynagrodziła nas kwatera następna najniespodziewaniej. Stawił się major Zabłocki, ów nasz krakowski opiekun, z żoną i już podrastającemi dwiema pannami, mający już dwuch synów w wojsku. Rodzice pośpieszyli z wywią-

zaniem się im serdecznem przyjęciem z długu wdzięczności zaciągniętego na Tyńcu, nie przewidując jak ścisłe łączyć nas będą później w Warszawie stosunki.

Tymczasem matka moja zwracała na mnie całą swą baczność, wychowując mnie jak najstaranniej. Bigotką nie była, lecz miała głębokie przekonania religijne i moralne, od których nie zbaczała nigdy, pomimo, iż przesiąkła ówczesną literaturą Rousseau i Woltera i pomimo że rozkołysała swe serce na marzycielskich pani Cottin i pani de Genlis romansach. Nowa Heloiza i Emil byli jej najulubieńszą lekturą, a ile łez nad nieszczęściami pani de Maintenon i pani de la Vallière (?) wylała, to Bogu tylko wiadomo. Emil był, jak mi się zdaje, kodeksem mojego wychowania, ale matka moja pojęła go jako Polka i chrześcijanka. Jej też zawdzięczam zasady moich religijnych, moralnych i honorowych pojęć, z któremi na świecie nigdy nie popadłem w niezgodę, ale pod względem wyrobienia mego charakteru zacna kobieta nie umiała dać sobie rady: raz dla tego, że wówczas pedagogika domowa nie miała o tem żadnego jeszcze wyobrażenia, a powtóre, że w społeczeństwie naszem istniały kapitalne wady, z których dotychczas nawet nie zupełnie jeszcześmy wyrośli. Żyło się sercem i wyobraźnią więcej, aniżeli rozumem i prawdą, a zimne i trzeźwe zapatrywanie się na rzeczy było tylko udziałem ludzi, których uważano za tetryków i oryginałów. Łudzono się, jakby z upodobaniem oczekując ciągle czegoś niespodziewanego, drżano za rozrywkami, a powierzchowność, ogłada i konwenans zapanowały ogólnie, tak, że, gdy ci powiedziano, że to nie wypada, to już na to nie było repliki.

Innemi znów ogólnemi wadami mego czasu były egzaltacja i sentymentalność. Były one wprawdzie ogólnym wówczas umysłowym w Europie nastrojem, ale przyczepione do nas dziwnie wybujały. Wszystko co żyło, tęskniło, wzdychało, rozpaczało, dumało, marzyło i kochało się na zabój. Słowem, uczciwość była wszystkiem,

rządziła całem postępowaniem, a na biedny rozum patrzano z ukosa. Popełnił ktoś występek, to mniejsza, ale jak on kochał! — lub też mówiono: rozum jego nie sięga daleko, ale jakież to złote serce u tego człowieka! — albo, gdy żona znikła z kochankiem, miłość ją jak najzupełniej usprawiedliwiała. Sentymentalni, marzyciele, Bajroniści i uczuciowi byli wyszczególniani, a nawet podziwiani i szanowani; polowano na wrażenia, a pomijano pojęcia. Nerwowość główną odgrywała rolę, a szła w kąt rozwaga.

Że i matka moja, pomimo swych wszystkich zalet, uległa w części takiemu nastrojowi czasu, trudno temu się dziwić, a że była ona dla mnie wszystkiem na świecie, marzycielstwo jej zaraziło i mnie, czteroletniego pędraka. Siedziałem nieraz godzinami sam jeden i, zamiast się bawić, marzyłem o niebieskich migdałach. To będzie kiedyś znakomity z niego człowiek, mawiali niektórzy z naszych znajomych, a byłby niezawodnie wyszedł na wielkiego ciemięgę, gdyby go później szkoła życia nie była wzięła w swoje objęcia. Byłem jedynakiem, pod wpływem najzacniejszego wprawdzie, ale kobiecego wychowania. Na mojego ojca kolej jeszcze wtedy mieszania się do niego nie była przyszła, a miękkość w charakterze, płytkość w pojęciach i bierność w czynach zaczęła się już we mnie rozwijać. Mówiono, że byłem bardzo dowcipnem dzieckiem, bo, obok żywości mojego pojmowania rzeczy, nauczyłem się lotem błyskawicy z jednego wrażenia przeskakiwać na drugie, alem się nie nauczył skupiać mej uwagi. Szczęściem, że to zawczasu spostrzegli moi rodzice i że przyjęto mi za dozorczynię dawną koleżankę matki mojej, pannę Bogucką. Była to osoba, około 25 lat już wówczas mająca, więcej jak średniego wzrostu, silnie zbudowana, czynna, wesoła, praktyczna, bardzo trzeźwo się zapatrująca na świat i ludzi. Prawda była jej żywiołem i umiała wszędzie ją ocenić, gdzie tylko pod pokrywką fałszu mogła ją rozeznać. Troska o chleb powszedni na marzenia i egzaltacje czasu jej nie

zostawiała. Bardzo ją pokochałem; bawiła się ze mną w ogrodzie, opowiadała mi mnóstwo zdarzeń z codziennego życia, a że byłem bardzo ciekawy i sprytny, miała więc nie mało ze mną do roboty. Pozwalała mi swobodnie bujać po ogrodzie, co było wielką dla mnie rozkoszą, albowiem wszystko mnie tam interesowało; latający motyl, żaba, skacząca po grzędach, kocie gniazdo w altanie, mrówki, biegające szybko jakby za interesami, — pochłaniały całą moją uwagę. Przypominam sobie, z jaką to radością odkryłem raz gniazdko wróble w krzaczku porzeczek, a gdy mi panna Bogucka z niekłamanem zajęciem i rzewnem współczuciem opisywała, jak taka biedna wróblica pracować musiała, ażeby sobie wybudować domek i zamiast się po wizytach wałęsać jak cierpliwie siedziała w domu na jajach, jak teraz pracowicie karmi swe pisklęta, rozpłakałem się z zachwytu, a myśląc ciągle przez dni kilka następnych o mojej ptaszynie, znosiłem dla nowo wyklutych muszki do gniazda.

Do naszego ogrodu dotykał, nizkim tylko oddzielony płotem, ogród burmistrza Królikowskiego. Chodziła tam często służąca z dwojgiem małych dzieci, a więc poznaliśmy się ze sobą, naprzód przez szczeliny w parkanie, a potem, jakeśmy sposób znaleźli wygramolenia się na niego, zażyłość nasza wzrastała. Mała Stefcia opowiadała mi o swoim tatku i o swoich laleczkach drewnianych, a ja jej o moich kotach i gniazdkach.

Królikowski był to człowiek uczony; żył osamotniony, utraciwszy żonę. Odbywszy swe kancelaryjne zajęcia, powracał do domu i zawzięcie naukowo pracował. Mój ojciec starał się z nim zbliżyć, ale się wszystko na grzecznej wizycie skończyło. Przy nowej organizacji służby w przywróconem Królestwie (1815 r.), Królikowski uwolnił się od niej, przeniósł się do Poznania, gdzie objął obowiązki profesora gimnazjalnego, i wkrótce się swojemi lingwistycznemi pracami odznaczył. Był to ojciec sławnego później artysty dramatycznego w Warszawie.....

Z nową organizacją Królestwa położenie urzędnicze mojego ojca polepszyło się znacznie. Pozwolono mu połączyć stanowisko kasjera wojewódzkiego z posadą wojewódzkiego poborcy, a to płacę jego podniosło do 12 tysięcy złotych, co było ogromnem wynagrodzeniem na owe czasy. Było to skutkiem bezpośrednich w Ministerjum stosunków i pamięci u ludzi na ową podróż krakowską. Lecz w miarę powodzenia i zazdrość rosła, umiał ją jednak ojciec przez swe ujmujące postępowanie utrzymać w szachu, a zresztą wyrobił był już sobie w Radomiu takie stanowisko, że się z nim trzeba było rachować. W owych czasach masonerja niesłychanie w kraju naszym się rozgałęziła, i nie było miasteczka, w któremby masońska nie istniała loża, skupiająca w sobie bez różnicy stanu i wyznania całą inteligencję miejscową. Ponieważ prasy perjodycznej prawie nie było, loże więc masońskie były poniekąd przewodnikami opinji, rozchodzącej się za pośrednictwem żywego słowa. Były one zarazem stróżami moralności publicznej, gdyż przyjmowanie do grona wcale łatwem nie było, a każdy mularz miał obowiązek czuwać w swoim zakresie. Zrozumiał to doskonale mój ojciec i wyrobił sobie jak najlepszą opinję między stowarzyszonymi. Zdolny, wymowny, dobry prawnik i finansista, gorący patrjota, miał ogromną w Zgromadzeniu przewagę i w bardzo krótkim czasie osiągnął w masońskiej hierarchji wysoki stopień, tak, iż stał się poniekąd filarem instytucji, dziś niemal śmiesznej, lecz w owych czasach potężnej i wielce użytecznej. Loża Radomska tak się była wzmogła, iż postanowiła własny dom sobie postawić, a do wykonania tego projektu wydelegowała obywatela Podymowskiego i mojego ojca. Naprzeciw domu, gdzie mieszkaliśmy, był ogromny plac, do Podymowskiego należący; na nim tedy miały stanąć dwa obszerne jednopiętrowe gmachy: jeden na lożę, a drugi jako własność Podymowskiego. Dzisiaj jeden jest pocztą, a drugi, bliżej placu broni, był właśnie ową masońską lożą. Robota wykonaną została w 1 i pół roku,

a koszta nie dochodziły kosztorysu. Oba domy rozdzielało od siebie obszerne podwórze, a za nim duży ogród ze ślicznymi grabowymi szpalerami, sadzawką, oranżerją i cukiernią, gdyż ogród otworzono jako publiczny, w którym grywała muzyka wojskowa, ku wielkiej Radomian radości. Wkrótce i my także przeprowadziliśmy się do domu Podymowskiego, gdzie zajęliśmy całe pierwsze piętro, że zaś jeszcze były dwa dolne pomieszkania, znaleźliśmy się z sąsiadami w zetknięciu. I tak jednym z nich był pan doktor Szczucki, uczony fizyk [1]) wojewódzki, ale jako lekarz niezdara, co go też zmusiło do opuszczenia posady w Radomiu i postarania się o jedną z katedr powstającego Uniwersytetu w Warszawie, bo wyobrażano sobie, że chociaż marzyciel i niedowarzony filozof, byle tylko dobry do wykładu łacinnik, to już obowiązkom profesora podoła. Drugim naszym sąsiadem był pan du Lerand, Francuz, legitymista spolszczony, emigrant z czasów rewolucji francuskiej, a obecnie naczelnik biura w Komisji Wojewódzkiej..... Wspominam o tych naszych sąsiadach, gdyż w późniejszych mojego losu kolejach nieraz spotykałem się z nimi.

Ojciec mój, jeżdżąc kilka razy do roku do Warszawy do ministra w interesach komisji, lub też jako pośrednik między masońskiemi lożami, często zabierał nas ze sobą. Podróż po najhaniebniejszych drogach była okropna, a przedewszystkiem przeprawa po bagnach pod Jedlińskiem i po Boglewickiej grobli, włosy nam ze strachu nieraz podnosiła do góry. Szukałem przed kilku laty tych moczarów pod Radomiem i wzwyż pomienionych miejscach, i ani śladu ich nie znalazłem. Zniknął z niemi staw na Koniówce pod Radomiem, gdzie nam nieraz konie tonęły. Pamiętam, że raz załamał się most na jakiejś łasze pod Białobrzegami, i ledwośmy nie potonęli. Jakżeż się to dziś wszystko na korzyść zmieniło!.....

[1]) Fizykami nazywano wszystkich lekarzy rządowych.

Przy zmianie naszego pomieszkania w Radomiu miałem już 6 lat skończonych, zaczęto więc myśleć o mojej nauce. Panna Bogucka nauczyła mnie liter i zgłoskowania, ale z czytaniem była nader ciężka sprawa. Nie przyzwyczajono mnie do uważania. (Metoda Freblowska nie istniała wtedy). Zbieranie jednej zgłoski po drugiej, aby stąd zbudować wyraz, niewymownie mnie niecierpliwiło. Odczytawszy więc pierwszą, zgadywałem resztę, a stąd najdziwaczniejsze rodziły się dziwolągi. Rzecz szczególna, że mi ta wada aż dotąd została, i że przez całe życie nie umiałem czytać głośno, zwłaszcza publicznie, a jeżeli to było koniecznem, to musiałem się przygotować, ażeby się nie poprawiać i nie bąkać. Wszystkie moje przemówienia publiczne i moje prelekcje szły zawsze z pamięci. Styl mój w mówieniu wykształcił się jako tako, ale w pisaniu grzeszy zawsze formą i musi być poprawiany. Gdybym był zmuszony czytywać głośno, to wada moja byłaby się zapewne zatarła, ale bez tego wdrożyłem się w nią i tak zostało.

Dochodziłem już siódmego roku, przyjęto więc do mnie nauczyciela. Był nim pan Grabowski, uczeń klasy VI-tej, człowiek już około lat 20 mający, dozorca i jeden z korepetytorów pensjonatu profesora Lazariniego. Lazarini, Włoch spolszczony, został nauczycielem w szkole wojewódzkiej Radomskiej, ucząc w niższych klasach. Otworzył on pensjonat, w którym się mieściła na stancji młodzież najzamożniejszego obywatelstwa w Sandomierskiem, i stamtąd uczęszczała do szkoły. Że zaś zakład jego zajmował obszerne zabudowanie i wielki ogród obok naszego mieszkania, miałem do niego przystęp, i zaprzyjaźniłem się wkrótce z chłopcami mojego wieku. Lazarini znał się dobrze z ojcem, i sądził, że wypadało już ze mną zacząć męskie wychowanie. Otóż to teraz dopiero stawałem się powoli chłopakiem, z wielką ojca i jego przyjaciół radością.....

Na początku roku szkolnego w r. 1819-tym ojciec mój przedstawił mnie księdzu Kamienowskiemu, ówczesnemu

rektorowi szkoły wojewódzkiej Radomskiej. Był to człowiek dobrej tuszy, średniego wzrostu, bardzo poważnej powierzchowności, z ujmującym wyrazem twarzy. Przyjął nas po przyjacielsku, wyegzaminował mnie, i sam mnie nazajutrz do pierwszej klasy wprowadził na lekcję Lazariniego, który mnie wziął zaraz w swoją opiekę. Byłem bardzo schludnie ubrany, patrzano więc na mnie, jak na paniczyka; lecz pierwsze lody niechęci złamały się wkrótce, gdy zobaczono, że nosa nie zadzierałem. A gdy mnie potem jakiś koleżka potężnie w kark uderzył, a ja mu oddałem sowicie, zaraz zyskałem na poważaniu. Wówczas w klasie pierwszej, obok dzieci, siadywali nieraz wyrostki pod wąsem; mieliśmy np. jakiegoś syna ekonomskiego z pod Skaryszewa, który już liczył lat 19, a drugiego jakiegoś Rzewuskiego, 16-letniego wyrostka. Z tym bardzo się poprzyjaźniłem, a gdy mnie znowu raz w kark uderzono, rzucił się on na mego napastnika i tak go silnie odtrącił ode mnie, że upadł i nos sobie rozkrwawił. Na to wszedł właśnie profesor i skazał na kozę mojego obrońcę, ale rektor, który był blizko, wytoczył na miejscu śledztwo i prosił profesora o ułaskawienie z uwagi, iż postępek mego przyjaciela, jakkolwiek kary godny, miał jednak szlachetny zamiar. Wszystko mi w klasie szło dobrze, ale w domu ojciec zapadał stopniowo coraz więcej..... Zmienił się nie do poznania, niesłychanie spoważniał, zerwał prawie zupełnie z kolegami stosunki..... Choroba zbliżyła go bardzo do matki, chodził jeszcze do biura, ale na dwa miesiące przed śmiercią już nie mógł. Prosił wtedy usilnie pana Badeniego [1]), prezesa Komisji Wojewódzkiej, o wyznaczenie urzędowego zastępcy, któremuby zdał kasę..... Ojciec nie wstawał już z łóżka, wzywano rozmaitych doktorów. Masoni dawali mu dowody

[1]) Pan Badeni był to sobie obdłużony aż powyżej uszów utracjusz, który potem w Warszawie wybudował na Krasińskim placu ów długi i piękny dom po lewej stronie aż po ogród się rozciągający, o którym Warszawiacy zwykli byli mawiać: prawda, że piękny — ale za długi.

swojego współczucia, całe miasto dopytywało się o jego zdrowie. Tymczasem stawał się posępnym, zamyślonym, mało mówiącym; domyślałem się, że musiał mieć wielkie jakieś zmartwienie. Przywołał mnie raz do siebie, a gdy mnie matka przyprowadziła, kazał mi uklęknąć przy łóżku, położył rękę na mojej głowie, wzniósł oczy do góry i, błogosławiąc mnie, wyrzekł: „bądź człowiekiem poczciwym, dobrym Polakiem, ale Polakiem rozumnym, umiej pracować i myśleć, a reszta sama się znajdzie".

Nie wiedziałem dobrze, co to miało znaczyć, ale dzisiaj doskonale rozumiem. Ojciec, wymawiając z naciskiem te słowa, rozpłakał się rzewnie, a mnie tak one wzruszyły, że przez dwa dni, nie mogąc się utulić, płakałem, leżąc na sofie. W parę dni ojcu zrobiło się lepiej, jak zwykle suchotnikom w ostatnich chwilach. Mnie posłano do klasy, lecz w południe (dnia 5 lutego 1820 r.), gdy do domu wracałem z pensji Lazariniego, wysłany naprzeciw służący zawiadomił go, że ojciec już nie żył. Poczciwy człowiek wziął mnie za rękę i sam mnie odprowadził do domu, gdzie wszystko, co żyło, chociaż katastrofę przewidywano, nie mniej przerażonem było. Nie chciano mnie puścić do ojca i dopiero nazajutrz po raz ostatni widziałem go w trumnie. W dniu następnym, późnym wieczorem, przy pochodniach, wedle ówczesnego zwyczaju, zwłoki przeniesiono do Bernardynów, a nazajutrz na cmentarz w towarzystwie ogromnego tłumu.....

Powiedziałem powyżej, że matka miała dwuch braci młodszych; obaj, ukończywszy szkoły pijarskie, zaczynali sobie szukać chleba. Starszy Seweryn umieścił się w Komisji Wojny, a młodszy czując w sobie artystyczną żyłkę, przedsięwziął zostać malarzem. Blank, Brodowski, Kokular, ówczesni profesorowie Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu, wielce go zachęcali. Wkrótce też został ich ulubieńcem, któremu świetną rokowano przyszłość. Nieszczęściem na pogrzebie Bacciarellego u Ś-go Krzyża, biegnąc niebacznie wśród przepełnionego kościoła przez chodnik, zostawiony pusto i

mało oświetlony, pan Antoni wpadł do otwartego grobu, mającego przyjąć zwłoki zmarłego artysty. Popłoch w kościele powstał niesłychany. Szczęściem nic mu się złego nie stało, ale w dni kilka zaraz ciężka objawiła się choroba; okazało się artretyczne zapalenie stawów, które po raz pierwszy, jako choroba dziedziczna po ojcu występowało, i trapiło go odtąd perjodycznie co roku. Leczył go Czekierski i Brandt, ojciec dzisiejszego sławnego malarza i postawili go rychło na nogach.....

Wkrótce, po dziesięcioletnim pobycie w Radomiu, przenieśliśmy się na mieszkanie do Warszawy, w nadziei, że się tam jakieś lepsze odkryją widoki.....

Spakowano ruchomości na fury; podążyliśmy za niemi i wysiedliśmy wreszcie w Marywilu u siostry przyrodniej matczynej, która, wyszła była za Góreckiego. Miała ona już dla nas gotowe pomieszkanie

ROZDZIAŁ II.

Warszawa.

Zanim dalej pójdę, powiedzieć muszę co to był Marywil.....

Moja matka wynajęła w Marywilu dwa pokoje i kuchnię od strony ulicy Wierzbowej, i tam urządziła się bardzo wygodnie.

Marywil — był to gmach ogromny, dwupiętrowy, w czworokąt zabudowany, zajmujący całą przestrzeń między ulicami Senatorską, Nowosenatorską, Trębacką i Wierzbową, do tego stopnia, że pomiędzy ratuszem dzisiejszym, który nazywano wtedy jeszcze pałacem Jabłonowskich, a owem ogromnem zabudowaniem istniała tylko wązka ulica. Brama wchodowa Marywilowska wychodziła właśnie na tę ulicę i dawała przystęp do ogromnego podwórza, którego środek zajmowała kaplica Panien Kanoniczek, a za nią ich ogród. Trzy inne boki prostokąta były opatrzone od strony podwórza obszerną kolumnadą, a od niej otwierały się szeregi sklepów. Wiadomo, że gmach ten powstał z fundacji Maryi Kaźmiery na rzecz Kanoniczek. Do kaplicy dotykały krużganki klasztorne, a ponad sklepami na obu piętrach mieściły się pomieszkania do wynajęcia. Marywil stanowił jakby osobną w Warszawie dzielnicę, miał naśladować Palais Royal w Paryżu, a oprócz pomieszczenia Kanoniczek wyraźnie był na dochód obrachowany. Kiedyśmy do War-

szawy przybyli, Marywil przeszedł już był na własność miasta, zaczęto go już rozwalać, począwszy od środkowej kaplicy, w celu wybudowania na jego miejscu teatru, a naprzeciwko na Senatorskiej ulicy zaczęto budować nową kaplicę i klasztor dla Kanoniczek. Pomieszkania na obu piętrach były wszystkie jadnakie, wchodziło się do nich przez schody, otwierające się pod kolumnadą, potem na każdem piętrze była obszerna sień wspólna, a od niej naprawo i lewo pomieszkanie po dwa obszerne pokoje i kuchnie. Za każde takie pomieszkanie płaciło się po trzydzieści dukatów rocznie, licząc dukat po 18 złotych. W Marywilu wszyscy lokatorowie się znali, stanowiąc jakby społeczeństwo osobne. Przybycie nasze z Radomia nie uszło uwagi, a matka resztkami radomskich zasobów urządziła się starannie. A że miała wiele gustu, że umiała wykwintny w domu utrzymać porządek, to chociaż żyliśmy skromnie a nie wystawnie, zyskaliśmy opinję zamożnych. Już to przyznać muszę, że wszystkie kobiety mojego rodu odznaczały się zawsze porządkiem, estetycznem poczuciem, i zawsze było w ich domach czysto, pięknie, wesoło, a nawet ozdobnie, chociaż nie bogato. Nie brakowało nigdy na owym wykwincie, świetle i czystości, radujących serce, chociaż nieraz bywało bardzo chudo w kieszeni.

Urządziwszy się w domu, trzeba było pomyśleć o szkole. Otóż szkół średnich kompletnych (dzisiejszych gimnazjów) mieliśmy wówczas w Warszawie dwie: Szkołę wojewódzką księży Pijarów i Liceum Warszawskie, ów zakład troskliwie urządzony przez rząd pruski w celu germanizowania, który następnie swojej dążności zupełnie się pozbył i bardzo świetne oddawał usługi. Szkoły Pijarskie mieściły się w gmachu dzisiejszej cerkwi przy ulicy Długiej, Liceum zaś w dawnych Kadeckich koszarach, a dzisiejszym Uniwersytecie, w korpusie na dole. Obie te szkoły niczem się nie różniły od siebie, chyba wysokością opłaty, gdyż u Pijarów płacono 12 złotych półrocznie, i to jeżeli się nie składało świadectwa

ubóstwa, a w Liceum 74 złotych, a więc tam kształciła się tylko zamożniejsza młodzież. Najzamożniejsza, zwłaszcza warszawska, mieściła się w Konwikcie pijarskim na Żaliborzu (gdzie dziś Cytadela); nosiła właściwe mundury (fraki granatowe z białymi wyłogami); za każdego pensjonarza płacono 100 dukatów, rachując w to utrzymanie. Oprócz szkół powyższych było jeszcze kilka cztero- i dwu-klasowych, utrzymywanych przez zakonników Dominikanów, Paulinów i Trynitarzy na Solcu, oprócz szkółek prywatnych. We wszystkich zaś było ze 4000 uczącej się młodzieży płci męskiej, co na ówczesną siedmdziesiąttysięczną ludność stanowiło cyfrę dosyć pokaźną. Szkoły Pijarskie były tak przepełnione, że niektóre klasy musiały być podzielone na dwa, a nawet na trzy oddziały, każdy po sześćdziesiąt chłopców.

Zapatrując się na obecne niemal coroczne szkolne reformy, często radykalne, w naszych warszawskich gimnazjach, i na harmider, jaki podnosi się od czasu do czasu w Europie co do wyznaniowego szkolnictwa, wydziwić się nie można doskonałości systematu wychowania średniego, zaprowadzonego w owym czasie u nas przez Stanisława Potockiego. Wykłady nauk filologicznych, ścisłych i przyrodniczych doskonale były ustosunkowane, a przytem zwrócona była jak najściślejsza baczność na wychowanie człowieka i obywatela. Klas było sześć z wykładem rocznym. Do klasy pierwszej trzeba było już umieć czytać, pisać po polsku, po łacinie, po niemiecku i po francusku, cztery działania arytmetyczne, katechizm i trochę geografji. Przez cały szereg klas sześciu uczono języka polskiego, łacińskiego, francuskiego i niemieckiego, matematyki, fizyki, religji, początków chemji, rysunków, kaligrafji, geografji, praktycznego miernictwa i zasad nauk przyrodniczych. Te ostatnie w dwuch pierwszych klasach wykładały się obrazowo, bez wszelkiego systematycznego powiązania. Obrazowy wykład miał jedynie na celu obeznanie z pojedyńczymi tworami, i tak, była tam mowa np. o małpie, o lwie, o słoniu, o orle, o

węzu dusicielu, o róży, o grzybie, o soli, o piasku i t. d., a potem dopiero, począwszy od klasy trzeciej, dawało się chłopcu pojęcie o anatomji i fizjologji tych tworów, i o ich usystematyzowaniu. Fizyka zaczynała się w klasie trzeciej od własności ciał, a chemję wykładano dopiero w szóstej klasie. Przy arytmetyce wprawiano nas w pamięciowe rachowanie, a wyższe klasy chodziły z profesorami na rozmiary i na botaniczne wycieczki. W pierwsze dni maja każda klasa wychodziła z jednym ze swoich profesorów na majówkę, do której często przyłączali się rodzice. Wszystko szło należycie, tylko, o ile zapamiętać mogę, element ściśle naukowy leżał trochę odłogiem; o ile bowiem Pijarzy byli doskonałymi wychowawcami, o tyle znów pedagogami naukowymi nie byli. Znać tam było jeszcze jezuickie tradycje i gramatykę Alwara. Zadawanie „stąd dotąd“ bez należytego wyjaśnienia rzeczy, było w pełnym biegu. Uczono łaciny, a nawet usilnie napędzano ją do głowy, ale, jak się zdaje, bez wyraźnie wytkniętego planu. Czy tam miało chodzić o nauczenie się samego języka, czy też o rozwinięcie logicznego i estetycznego kierunku myślenia za pomocą gramatyki i literatury, mało się nad tem zastanawiano. W każdym jednak razie bez porównania zdolniejszych mieliśmy pedagogów od dzisiejszych naszych krzewicieli oświaty, którym niechaj Bóg nie pamięta ich w nauczaniu głupoty. Widać, że ten umysł polski musi mieć hart niepospolity, skoro go nie spaczyło dotąd jeszcze..... szkolnictwo.

W szkołach uczono tylko zasad katolickiego wyznania, a różnowiercom pozwalano wychodzić z lekcji religji. Szkoła była wyznaniową, ale nie przypominam sobie żadnego faktu, któryby trącił ultramontanizmem. Byłem już w klasie trzeciej, gdy się między nami pojawił Żyd Rozen, syn znanego później bankiera. Żyd w szkołach był wówczas wielką rzadkością, nie dziwota więc, że mu zaczęto po trochu dokuczać. Otóż raz, gdy rozgniewany przechadzał się sam jeden podczas międzygodzinowego

odpoczynku, spotkał prefekta Andraszka, a ten, wypytawszy go o powód zmartwienia, wziął go za rękę i dopiero wtedy go do klasy wprowadził, gdy już wszyscy siedzieli na miejscach. Spodziewaliśmy się ogromnej burzy, a jednak zupełnie inaczej się stało, gdyż prefekt umiał tak trafnie przemówić do naszego serca i rozumu i tak nas przed nami samymi zawstydzić, że odtąd z Rozenem przyszło nie tylko do zupełnej zgody, lecz i do przyjaźni.

Oprócz religji wykładano nam naukę moralną, (na którą uczęszczać musieli wszystkich wyznań uczniowie), poczynając w klasie pierwszej od objaśnienia dzieciom przykazań, przechodząc stopniowo aż do krótkiego wykładu etyki w klasie ostatniej. W tejże klasie poświęcano także jedną godzinę tygodniowo na objaśnienie konstytucji Królestwa, nadanej przez Aleksandra I-go. Byłem raz na takiej lekcji w Radomiu, czekając na mego korepetytora, który miał mnie odprowadzić do domu; jakkolwiek miałem dopiero lat dziewięć, wykład zajął mnie niezmiernie i zwrócił już wtedy mój młodociany umysł na rzeczy publiczne, które mnie przez całe życie potem żywo interesowały. Wykłady te ustały już po 1820 roku.

Średnie wykształcenie gimnazjalne miało wyłącznie ogólno ludzkie zadanie na celu, bez żadnych specjalnych domieszek; zostawiało wszelkie wykształcenie utylitarne, fachowe zupełnie za swoim obrębem. Zdaje się też, że od gimnazjum więcej wymagać nie należy, jeżeli zaś łączyło nauki filologiczne i realne w ogólnym celu młodzieńczego rozwoju, to łączyło je w nader trafny sposób bez przeciążenia umysłu mnóstwem szczegółów, które go zabijają, jak to dzisiaj się dzieje. Szkolnictwo ówczesne, choć o 60 lat młodsze od dzisiejszego naszego, miało nieskończoną wyższość nad wszelkiemi jednostronnemi usiłowaniami i kapryśnemi mrzonkami, jakiemi bawią się u nas władze edukacyjne od roku 1830. Nauczyciele ówcześni szli za swem powołaniem; nie byli oni wprawdzie

pedagogami z rzemiosła, ale zawsze ludźmi wysokiej zacności, kochającymi młodzież i umiejącymi na nią wpływać słowem i czynem. Mieli swe słabostki, śmiano się z nich nieraz, ale ich szanowano, a chociaż kary cielesne istniały, to jednak nie zacierały bynajmniej w dzieciach uczucia godności osobistej.

Przypominam sobie następujący przypadek: księdzu profesorowi w szkołach Pijarskich, a było to w trzeciej już klasie, wielką jakąś zrobiliśmy przykrość. Otóż, zamiast karać, poczciwy ksiądz zaczął przed nami samymi skarżyć się na naszą niewdzięczność. „Przecież za to, że was uczę, nikt mi nic nie daje, oprócz łyżki strawy i nędznego klasztornego ubrania, jakże więc możecie zatruwać mi życie?“ Przemówienie to było tak serdeczne i rzewne, żeśmy się popłakali, jak bobry, i, wysypawszy się z ławek, zaczęliśmy księdza przepraszać i po rękach całować. I gdzież tu szukać dzisiaj takiego serdecznego pomiędzy nauczycielem i uczniem stosunku? Nauczyciel dla ucznia jest dzisiaj płatnym karjerowiczem, którego celem jest dochrapać się wyższej posady; wobec własnego przekonania jest on wprost tylko robotnikiem, zarabiającym w nauczycielskiej fabryce na życie. O wyższych dążnościach nie może być mowy, a kto o nich wspomni, to na nie się patrzy niemal, jak na jakie przedpotopowe stworzenie.

Lecz znowu spostrzegam, że za daleko się oddaliłem od mego przedmiotu. Tak zawsze bywa, gdy się pisze bez planu, — ale jakże tu plan jakiś przyjąć w autobiografji, gdzie najróżnorodniejsze wspomnienia, cisnąc się pod pióro, każdą przewodnią nitkę co chwila usuwają na stronę.

Kiedyśmy stanęli w Warszawie (1820 r.), było to w lat kilka zaledwie po strasznych krajowych przewrotach, gdy kraj pod rzeczywiście opiekuńczym materjalnym zarządem zaczynał dopiero przychodzić do siebie. Miasto jednak przedstawiało jeszcze obraz zniszczenia, którego sobie nikt nie wyobrazi, kto dziś patrzy na nie. Obok po-

gruchotanych i pobrukanych w części pałaców, w środku miasta stały nędzne drewniane domki, pleśnią pokryte, a nawet słomą; w nocy tu i owdzie na słupach olejne lampki służyły na to chyba tylko, ażeby tem bardziej rażącą sprawiać przez kontrast ciemność. Wszędzie błotniste kałuże, niegodziwe bruki z polowego niedbale zbudowane kamienia, walące się lub powyszarpywane parkany, a wpośród tego wznoszące się już większe i ozdobniejsze nowe budowle. Plac Grzybowski i Plac Bankowy nędznemi były obstawione chatami, a na Królewskiej ulicy było siedlisko brudnego żydostwa. Dziwnie to odbijało się wszystko od krzyczącego zbytku dygnitarzy i magnatów, gdyż stanęliśmy wówczas w Warszawie podczas Sejmu, na który zjechał cesarz Aleksander. Przypominam sobie do dziś dnia jeszcze pyszną poczwórną karetę, z liberją, kapiącą od złota, jak w kałuży po wyrwanym bruku uwięzła przy zbiegu ulicy Bielańskiej i Długiej, i jak ją wyciągali z błota ugalonowani lokaje w długich białych pończochach. Trafiliśmy właśnie na bale i na festyny, Warszawianie bowiem byli rozentuzjazmowani widokiem młodego monarchy, który też rzeczywiście całem swem postępowaniem chwytał ich za serca, pomimo rodzącej się w salach sejmowych opozycji, której zaczęła już opadać maska z oczów i okazywać cały blichtr liberalny konstytucji naszej. Wspomnę o tem niebawem, a teraz niechaj mi nadmienić się godzi, że nie wszystkimi narodami można rządzić jednako, gdyż u jednych wyraźnie rozum, a u drugich serce przeważa. Są narody męskie, ale są i żeńskie, jak mi to nieraz powtarzał pewien głęboko myślący statysta. Pierwszych dosyć jest przekonywać, dla drugich trzeba mieć serce i patrzeć w serce, jak mówi poeta, a nawet ich niekiedy czarować. Do tych ostatnich my, Polacy, należymy, a właśnie cesarz Aleksander był jedynym z rosyjskich u nas panujących monarchów, który znał się na tem, a co więcej powiem, że nawet jego braciszek Konstanty miał o tem pewne wyobrażenie. Umiał on być po swojemu popular-

nym, a nawet serdecznym, i nieraz tym sposobem poprawiał ciężkie swoje wybryki.

W maju 1823 roku umarł książę Adam Czartoryski, generał Ziem Podolskich; zwłoki jego sprowadzono do Warszawy, ażeby je obok rodziców w katakumbach kościoła Ś-go Krzyża pochować. Dzień pogrzebowy był wilgotny, mglisty i zimny. Senat i wszystkie wojskowe i cywilne władze wyszły na spotkanie konduktu do Mokotowskich rogatek. Po obu stronach ulic stały szpalery wojskowe, oddawano bowiem honory wojskowe zmarłemu, jako Feldmarszałkowi austrjackiemu. Za trumną szedł książę Konstanty, mieszając się z gronem generałów, niosących trumnę. Był kwaśny i rozdrażniony, oczami i swoim chrapliwym głosem rzucał pioruny. Lud patrzał obojętnie na niego, jak gdyby się pytał: po co on tu przyszedł?

Około tego czasu przebrano nas w mundury, a były to te same surduciki o jednym rzędzie metalowych guzików i stojącym kołnierzu, obramowanym jedwabną białą obwódką, które się utrzymały aż do obecnej chwili. Tylko na dni galowe przepisano nam takież same fraczki i stosowane kapelusze, że zaś w takiem ubraniu dzieci wyglądały potwornie, zarzucono je, a kapelusze rogate zastąpiono okrągłymi, czemu też władze się nie sprzeciwiały. Byłem jednym z pierwszych w Warszawie, którego przybrano w taki surducik. Było zwyczajem, że co niedziela po mszy z muzyką u Pijarów, elegancka publiczność gromadziła się w Krasińskich ogrodzie; gdyśmy tam poszli, wszyscy na mnie z ciekawością patrzeli.

Rosłem szybko i w r. 1824 byłem już dużym chłopcem, lecz wychowanie kobiece zrobiło ze mnie dobrze ułożoną panienkę, tak, iż szkolni moi koledzy Wiktosią mnie przezywali, a jednak ani ich dokuczanie, ani też harce, które z moimi rówieśnikami codziennie wyprawialiśmy na obszernym marywilskim dziedzińcu, żadnego nie zdawały się na mnie wywierać wpływu. Moja matka,

której zdrowie w tym czasie chwiać się zaczęło, była nieodstępną moją towarzyszką i przyjaciółką, i jej tylko żyłem myślą. W szkole szło mi bardzo tępo, łacina mnie zabijała, uśmiechała się zaś matematyka, historja i nauki przyrodnicze; ale cóż kiedy w szkole zaczęto je podrzędnie traktować, a literatura szkolna w owym czasie żadnych prawie z ich obszaru nie przedstawiała źródeł, odpowiednich do mojego pojęcia. Zacząłem już wtedy dużo czytywać; Krasicki, Niemcewicz i Karpiński byli dobrymi mymi znajomymi. Górecki mnie i swego syna Władka, nieco ode mnie starszego, często bardzo do teatru prowadził. Otwierał wtedy pierwszą nienajętą lożę, wpychał nas do niej, dawał każdemu po jabłku, a potem po nas przychodził. Moja matka zapoznała się też z kilkoma bardzo dobrze uważanemi rodzinami w Marywilu, a mianowicie z Miecznikowskimi i Kiślańskimi; ich naczelnicy byli ławnikami miasta i prowadzili domy otwarte, chociaż nie zbytkowne. Kiślański był naczelnikiem sekcji w Magistracie, która trudniła się mostem łyżwowym na Wiśle, wymagającym niesłychanego dozoru. Trzeba go było dwa razy do roku usuwać i przywracać: na zimę i na Ś-ty Jan, chroniąc od zamarznięcia i od zerwania, co jednak często się zdarzało. Ciągle więc pracowano około tego nieszczęśliwego mostu, zwłaszcza iż się bano niezmiernie księcia Konstantego, nie żartującego wcale w razie przerwania komunikacji. Posada Kiślańskiego uchodziła za bardzo zyskowną, oszczędził on kawał grosza, za który sobie postawił na Grzybowie dom pokaźny. Dzisiejszy znany inżynier Kiślański jest jego wnukiem.

W rodzinie Miecznikowskich było kilka córek i synów bardzo starannie wychowanych, w moim mniej więcej wieku. Poprzyjaźniliśmy się serdecznie i razem uczyliśmy się tańczyć, że zaś jedna z córek — Zosia okazywała wielki wdzięk i zręczność, powzięto myśl kształcenia jej w tańcu wyżej i jako nauczycielkę przyjęto pannę Ressé, słynną baletniczkę warszawską. Takie chereograficzne kształcenie się, chociaż nader kosztowne, było

wówczas w modzie i miało za cel popisywania się solowymi tańcami na balach, lub wystawnych wieczorach. Otóż widywałem potem jaką furorę robiła panna Zofja ze swoim fandango, bolero i z szalem w towarzystwach warszawskich. Przypomniałem jej to w 30 lat później, kiedy, wyszedłszy zamąż za budowniczego Kropiwnickiego, była poważną matką rodziny.

Monotonność w pożyciu marywilskiego kółka przerywały dwa razy do roku na wiosnę i na jesień w Warszawie jarmarki, ustanowione w zamiarze podniesienia przemysłu i handlu. Odbywały się one w marywilskim dziedzińcu, a w celu ich ożywienia uwolniono nawet od cła wszystkie na jarmarki sprowadzane towary. Wtedy to, jakby za dotknięciem czarodziejskiej ręki, ożywiał się gmach cały, roił się ludźmi z zachodu i wschodu; sklepy pod filarami, cały rok zresztą pozamykane, napełniały się towarami i przy silnem mianowicie oświetleniu sztucznem wabiły do siebie tysiące osób. Dla nas dzieci było to rzeczywiste żniwo; interesowały nas bardzo najrozmaitsze kunsztowne zabawki, oraz pierniki w ogromnych ilościach. Przywożono je z Torunia i Norymbergi; sprzedawały je Niemki wyborowej piękności. Bywała też także jakaś równie pokaźna Francuzka, która znów piekła na poczekaniu wafle (andruty), rozchwytywane z niesłychanym pośpiechem, gdyż, spotkawszy na ulicy jeden drugiego, zapraszał na jarmark, na pierniki lub wafle, ażeby je popić potem szklanką ponczu u Loursa, który wtedy miał swoją cukiernię na ulicy Miodowej, a w Marywilu na czas jarmarku zakładał filję.

Najserdeczniejszymi naszymi przyjaciółmi i domownikami był mój wuj Seweryn i porucznik Bogucki, brat owej panny Boguckiej, a później Grudzińskiej, która w Radomiu mnie wychowywała. Wój Seweryn był to ładny, dobry i miły chłopiec, ale umysłowo nie odznaczał się niczem. Znał dobrze język francuski i pisał prześlicznie. Dlatego też specjalnością jego w Komisji wojny było przepisywanie wszystkich papierów, do wielkiego księcia

idących, albowiem wszelka korespondencja jego z naszemi władzami, oraz naszych władz z Petersburgiem odbywała się w języku francuskim. Owo piękne pisanie, zamiast wyjść panu Sewerynowi na pożytek, obracało się zawsze na szkodę, tamując mu awans, gdyż nie chciano się pozbywać wytrawnego kaligrafisty. W życiu towarzyskiem był nader poszukiwanym, jako bardzo grzeczny i bardzo usłużny. Kochał się też ciągle, pannom temperował paczki piór i owijał je czerwonemi wstążeczkami, niosąc je w darze, kopjował książki do nabożeństwa, nuty i piosneczki, wyrzynał z papieru artystycznie bilety wizytowe, rysował desenie do haftu, bo było zwyczajem tym sposobem służyć płci pięknej. Wszędzie też był od niej dobrze widziany, a że grał także na gitarze i trochę śpiewał i tańczył doskonale, uważano go za wzór przyzwoitego młodego człowieka. Biedny pan Antoni zapadał co roku na kilka miesięcy na swój utrapiony artretyzm, który mu powykręcał nogi tak, że musiał na kulach chodzić, a u rąk pozostały mu tylko nietknięte te palce, które mu do malowania służyły. Szczególny ten jednak człowiek ciągle był wesoły, rozmowny i przyjemny. Własną pracą wykształcił się znamienicie, roboty jego malarskie miały swą wartość. Portrety bardzo były nawet poszukiwane. Był bardzo miłym towarzyszem, umiał rozmawiać i bawić, gwizdał prześlicznie z akompanjamentem fortepjanu, co w owym czasie bardzo było rozpowszechnionem. Był to talent, który obecnie jedyny tylko jeszcze Kostrzewski uprawia. Był zaprzyjaźniony z Blankiem, któremu cześć zawsze oddawał, jako swemu profesorowi, oraz z rodziną Chopinów, i cuda nam opowiadał o młodziutkim wirtuozie, wchodzącym wtedy właśnie na scenę. Ojciec Chopin, ożeniony z Polką, pozostał u nas z czasów francuskich i zżył się ze społeczeństwem naszem. Był bardzo szanowanym profesorem języka francuskiego w Liceum w Warszawie. Młody Chopin wątły, słabowity chodził do Liceum, ale szkół dla braku zdrowia nie skończył, tylko swemu ulubionemu for-

tepjanowi z zapałem się oddał. Było to bardzo skromne i dobre dziecko, i wiem z pierwszej ręki, że następująca anegdotka, którą o nim opowiadano, była autentyczną. Gdy raz miał grać u Potockich wśród licznego zebrania, matka dała mu koronkową krezkę, z której był dumny. Gdy po odegraniu jakiegoś efektownego utworu, przytomni go oklaskami przyjęli, zdziwiony matce potem powiedział: „a widzisz, mamo, jak się to moja podobała krezka!“

Nieszczęśliwy mój wuj Antoni miał serce czułe i pokochał się w jednej bardzo pięknej, ale biednej pannie; ale cóż, kiedy jego rówieśnik i przyjaciel Piwarski odsadził go i z nią się ożenił. To jednak nie oziębiło przyjacielskich między nimi stosunków, o których mi oboje Piwarscy w trzydzieści pięć lat potem z wielkiem współczuciem opowiadali.

Bogucki, o którym wspomniałem, był synem obywatela Pragi, zrujnowanego podczas jej zniszczenia przez Suworowa. Skończywszy zaledwie kilka klas, wszedł do wojska i tak umiał sobie przez swe zalety całą kompanję pozyskać, iż go na feldwebla wybrano. A było to nie bagatelą, gdyż wojsko polskie nie miało intendentury, tylko każdy pułkownik otrzymywał pieniądze na utrzymanie pułku i sam musiał dbać o wszelkie potrzeby swych podkomendnych. W każdej kompanji było kilku podfeldwebłów, którzy byli gospodarzami. Zdarzyła się jednak inna jeszcze okoliczność, która na młodego żołnierza zwróciła uwagę. Pułkownik, nie wiem już w jakim garnizonie, gdzie pułk przez obywatelstwo był bardzo dobrze przyjęty, zaprosił je na bal w celu podziękowania. Chodziło o przystrojenie sali zielenią; polecono więc Boguckiemu, ażeby, wziąwszy kilku żołnierzy, poszedł do lasu i urąbał zielonych gałęzi. Wybierając się na tę wyprawę, wziął ze sobą karabin, nabity drobnym śrutem na ptaki, a powróciwszy z lasu, zapomniał o naboju i nabity karabin przy ścianie postawił. Wtem nadeszło kilku kolegów i zaczęto w niego wmawiać, że źle bronią robi. No, to weź-

cie mnie na egzamin — odrzeka, i na to porywa karabin, staje do frontu, drugi przeciwko niemu komenderuje, a jak przyszło na cel i pal, karabin wystrzela i komenderujący pada na ziemię. Bogucki, jakby piorunem rażony, namyśla się w tej chwili, a widząc, że ranionemu nie może dać na miejscu żadnego ratunku, porywa go na ręce i unosi do szpitala, a gdy się pokazało, że kilka ziarn śrutu niebezpiecznie utkwiło, nie odstępuje go ani na chwilę, pielęgnuje i wysila się na przywrócenie mu zdrowia. Przypadek ten, jak i całe postępowanie winowajcy, zwróciło na niego między starszyzną uwagę i zjednało mu przychylność, a gdy wkrótce potem awansował na oficera i w pułku otworzyła się posada kasjera, którą obsadzano z wyboru, głosy jednomyślnie padły na niego. Jako kasjer był wolny od frontowej służby, mając więc czasu dosyć, zaczął pracować nad sobą, nauczył się niemieckiego języka i zapracowywał się w wojennej literaturze, chociaż wiedział dobrze, że mu to do dalszej promocji na przeszkodzie stanie, bo książę Konstanty nie lubił uczonych, a nawet ich swoją prześladował niechęcią.

Skreślonych tych kilka sylwetek da poznać w jakiem żyliśmy otoczeniu, a było ono wielce pożyteczne, ażeby odwrócić liczne nagabania, na jakie matka moja, kobieta młoda, przystojna i żyjąca sama jedna z dorastającem dzieckiem była narażona. Na nieszczęście, położenie jej stawało się coraz więcej niepokojącem, zasoby bowiem pieniężne coraz się bardziej wyczerpywały, a gdy jeszcze nadeszła wiadomość, że sędzia Sieradzki, który nam płacił 500 złotych za ugodę o Sadków [1]), umarł nagle w Trenczynie, i gdy i to źródło dochodu, choć bardzo

[1]) Wioseczkę Sadków pod Radomiem dzierżawił ojciec Szokalskiego od Cystersów. Po jego śmierci matka Szokalskiego ustąpiła dzierżawę Sieradzkiemu, który zobowiązał się za to płacić jej po 500 złp. rocznie. Jest o tem mowa w ustępie Pamiętników, który w druku został opuszczony. (Przypisek wydawcy).

skąpe, naraz się, wobec ustnej umowy, wstrzymało, trzeba było biednej matce mojej dawno już obmyślonego zamiaru się chwycić i starać się o miejsce guwernantki w jakim zamożnym domu. Jej wykształcenie aż nadto wystarczało na to, a moje wychowanie miało być powierzone wujom. Że zaś kilka miesięcy można było żyć jeszcze swobodnie, matka moja zamierzała poświęcić je na odświeżenie sobie w pamięci swych wiadomości i na nauczenie się, jak ma uczyć, gdyż rozróżniała bardzo skrupulatnie wiedzę od nauczania. W tym celu umówiła się naprzód z panem Ostrowskim, pianistą koncertowym w Warszawie, o kilka tygodniowo lekcji, a potem z panem Retelskim, swym wujem, zapalonym melomanem, który złożył sobie całą orkiestrę z amatorów przyjaciół i grywał co niedzielę na sumie u Franciszkanów na Nowem Mieście, a w wigilję Nowego Roku, występował tamże z poważnym kwartetem kościelnym. Retelski był rozrywany w Warszawie jako metr muzyki dla początkujących, bo też posiadał wszystkie przymioty doskonałego pedagoga i umiał obchodzić się z dziećmi. I mnie zaczął on też uczyć na fortepjanie, ale bywałem zawsze tak roztargniony, iż po wielu próbach dał za wygraną. Matka moja nie mogła sobie dobrać lepszego mentora do pedagogiki muzycznej. Do języka niemieckiego zaprosiła sobie profesora Schwartza, o którym później jeszcze nadmienię, a do francuskiego pana Pencet, istnego francuskiego cudaka, jakich się już dziś nie widuje. Pencet był emigrantem, ale czy republikańskim, czy napoleońskim,— nie wiem. Był to człowiek wysoki, tęgi, barczysty, łysy, przeszło 50 lat mający. Nosił się wedle mody z dyrektorjatu, o której już prawie zapomniano w Warszawie. Chodził w krótkim granatowym fraczku ze złotymi guzami, wydłużonemi z tyłu połami, na który w zimie brał spencer szarym barankiem obszyty. Brodę chował w ogromną muślinową białą chustkę na szyi, a na nogach nosił, przy krótkich spodeńkach, na sprzączki zapinane kamasze lub długie białe w lecie pończochy. Na to

wszystko płaszcz kolisty, długi, wiśniowego koloru i zawsze parasol czerwony pod pachą. Mieszkał on w małym pokoiku na drugiem piętrze nad nami, był niesłychanie skąpy, żył bułkami i mlekiem, a kiedy mu się pod fraczkiem zdarła podszewka, zastąpił ją bawełnicą, zdjętą ze starego parasola. Utrzymywał się z lekcji i był wielkim wielbicielem mej matki, która mu od czasu do czasu posyłała na górę filiżankę kawy. Z tem wszystkiem był to jakiś zagadkowy człowiek o pańskich manierach, którego nieraz spotykaliśmy na schodach, jak obsypany orderami, przybrany wykwintniej, na wizyty gdzieś chodził. Podejrzewano go to o jakieś polityczne konszachty, to o blizkie stosunki z Nowosilcowem; inni mniemali, że należał do tajnego biura księcia i redagował raporta, które we francuskim języku odchodziły do Petersburga.

Mecenas Grabowski i major Zabłocki, ów legjonista i protektor mej matki na Tyńcu, pochwalili bardzo jej nauczycielskie zamiary i starali się dla niej o miejsce przy jakiej wysoko położonej i zamożnej rodzinie, obiecujące jej sute wynagrodzenie. Tymczasem dom nasz zamienił się w szkołę. Nad resztą przedmiotów, które matka moja miała uczyć, nad literaturą, geografją, historją pracowała usilnie sama, a ja znów pracowałem z moim korepetytorem, uczniem uniwersytetu, Borowskim, który, jak się pokaże, nie chcący wprawdzie, ale nader ważny wpływ wywarł na nasze losy. Wspomnieć o nim muszę, jakkolwiek za wiele już na jednem miejscu nagromadziłem wizerunków naszych domowników. Borowski, później bardzo wzięty adwokat w Lublinie, swem rodzinnem mieście, był synem sądowego woźnego i praczki, czego się wcale nie wstydził. Po śmierci ojca matka posyłała go do szkół, gdzie go zawsze stawiano za wzór pod każdym względem dla innych; a gdy po zdaniu egzaminu dojrzałości rektor, wręczając mu patent, przemówił do niego z wielką pochwałą i świetną mu rokował przyszłość rozczulony tą przemową rzucił się, wobec licznie zebranej wykwintnej publiczności, do nóg swej biednie

ubranej matce, dziękując jej za to, że jej ciężkiej pracy wszystko zawdzięcza. Scena ta miała być tak wzruszająca, że cała publiczność powstała i głośnym okrzykiem uznała czyn dobrego syna. Odtąd stał się on bohaterem. Pijarzy przyjęli go za collaboratora, a lekcjom prywatnym w mieście podołać nie mógł; tak, że zebrawszy sobie trochę grosza, przybył do Warszawy i zapisał się do uniwersytetu na wydział prawny. Był to bardzo zacny i roztropny chłopiec, ale najpaskudniej oszpecony przez ospę. Opowiadał nam nieraz, że, gdy na nią zapadł, leczył go młody lekarz wojskowy Kowszewicz, że go przez cały czas choroby swoim utrzymywał kosztem, gdyż matka nie tylko, że pracować nie mogła, ale co więcej wszyscy od nich, jak od zapowietrzonych, uciekali. Odtąd doktor Kowszewicz wrył się w jego pamięć, jako dobroczyńca, tembardziej, że się bliżej z nim poznał i umiał ocenić jego dobre, choć nie rozgłośne przymioty. Borowski trzymał mnie krótko; kuł mi w głowę łacinę, o ile mógł tylko. ale z tej mąki nie było chleba, gdyż wszystkie moje upodobania i całe uzdolnienie moje w inną ciągnęły mnie stronę.

Było wówczas w szkołach zwyczajem, że każda klasa z osobna raz, albo nawet kilka razy do roku z właściwym profesorem wychodziła w pole: to na majówkę, to na rozmiar albo na ekskursję. Tam, dokąd iść miano, wysyłano naprzód, ażeby się w jakiej oberży o obiad umówić; potem każdy z prowiantem udawał się do klasy i razem ruszano dalej. O godzinie dziewiątej zasiadano w gromadki i traktowano się wspólnie. Majówki poświęcane były wyłącznie zabawie. Na rozmiarach zaczynały się potem praktyczne demonstracje miernictwa: w trzeciej już klasie, jak mierzyć odległość, jak oznaczać krzywizny i kąty, jak dokonywać rozmiarów w niedostępnych miejscach, jak wymierzać wysokość i tak dalej; w klasie czwartej były już stolikowe, w piątej niwelacyjne roboty. W tych celach byliśmy raz w Marymoncie, drugi raz na Saskiej Kępie, a naostatek wybraliśmy się na

całe dwa dni do Jabłonny i zdjęliśmy jej plan pobieżny. Każdy z nas potem musiał odrobić swój planik; zmniejszenie skali było za zasługę poczytywane, a najlepsze plany były potem przy akcie uroczystym okazywane publicznie razem z rysunkami i okazami kaligraficznymi. Pod wieczór, w każdej wycieczce, przybywali rodzice i przynosili podwieczorek albo kolację, przyczem profesor bywał zawsze ugoszczony i głośno mu dziękowano.

Na wycieczki botaniczne chodził z nami szanowny i dotąd jeszcze żyjący profesor Waga. Przyszedłszy na miejsce, rozpierzchaliśmy się po polu i przynosili mu rośliny i owady. On je określał i każdy sobie z nich układał swój zielnik. To samo działo się z owadami, troskliwie potem przechowywanymi na szpilkach. Zielnik i pudełko z owadami były chlubą każdego z nas; wysilaliśmy się na nie, zamieniali okazy, szachrowali o lepsze, a kto miał jaki nadzwyczajny okaz, był uważany. Pamiętam, że za jelonka dałem jakiemuś koledze trzy pomarańcze, a te wówczas nie były tak pospolite w Warszawie jak dzisiaj. Przy końcu każdego szkolnego roku obchodzono wystawnie Akt uroczysty, któremu zwykle przewodniczył minister oświecenia Grabowski. Uroczystość ta odbywała się w wielkiej sali bibljotecznej Pijarskiej, umieszczonej na końcu głównego korytarza i mogącej pomieścić około 500 osób. Po odczytaniu sprawozdania przemawiał rektor i minister, potem w imieniu tych, którzy po zdaniu maturitatis szkoły opuszczali, przemawiał z podziękowaniem jeden z kolegów, nieraz występował z wierszowaną pracą, a naostatek rozdawano nagrody, pochwały i promocje, w przytomności zawsze bardzo licznie nagromadzonej publiczności, biorącej bardzo żywy udział w tego rodzaju uroczystościach.

Otóż właśnie po takim obchodzie przybiegł do nas rozpromieniony Borowski i zawiadomił, że doktor wojskowy Józef Kowszewicz, jego dobrodziej i przyjaciel, został zaawansowany na sztabs-lekarza czwartego pułku piechoty linjowej, pułku ulubionego przez księcia Konstan-

tego i konsystującego ciągle w Warszawie; że, przybywszy do Warszawy, objął zarząd szpitala wojskowego w obozie; że, gdy mu mówił o nas, doktor zapragnął nas poznać i prosił o pozwolenie zaprezentowania się mej matce. Rzecz naturalna, że został zaproszony. Był to człowiek już czterdziestoletni, więcej trochę jak średniego wzrostu, silnie zbudowany, poważny i nieco ociężały w swych ruchach. Łagodny i myślący wyraz jego twarzy przybierał nieraz u niego piętno zadumy, a fizjognomista byłby się pewnie domyślił, że to był człowiek więcej w sobie, jak zewnątrz siebie żyjący, ale między nami nie było takiego analityka, któryby się był znał na tem. Wogólności pan Józef robił przychylność i ufność wzbudzające wrażenie. Zrazu bywał u nas rzadko, potem częściej. Z Boguckim i moimi wujami wkrótce się zaprzyjaźnił. Stał się nakoniec prawie codziennym u nas gościem i zapraszał nas na podwieczorki do obozu do siebie.

Obóz pod Powązkami i Parysowem był w letnich miesiącach uprzywilejowaną miejscowością dla Warszawian. Co wieczór na capstrzyk gromadziło się tam liczne towarzystwo. Każda dywizja stanowiła osobną linję. Przed jej frontem rozciągał się pas na trzy rzędy steczek, troskliwie piaskiem wysypanych i pooddzielanych od siebie darniowemi rabatami. Pas ten był przynajmniej wiorstę długi, a gdy na owych steczkach stanęły trzy poza sobą w okamgnieniu wojska szeregi, tworzyło to front wspaniały, imponujący długością i szykiem. Za tym szeregiem znajdowały się piramidy drewniane do umieszczania w nich broni, trąb, bębnów, ładownic i pałaszy, które, tym sposobem zmuszone do systematycznego ugrupowania, wyglądały prześlicznie. Za tem w dali rozciągały się grupy płóciennych namiotów, dalej domki niższych oficerów, a za nimi większe już domy dowódców pułków i generałów. Na tyłach były kuchnie, składy, stajnie, pralnie i lazarety, a w oddali restauracja prywatna dla oficerów i warszawskich gości. Wszystko to

było wśród najpiękniej utrzymanego kwiatowego parku, w którym dochowano się już drzew wcale pokaźnych, zwłaszcza topoli i akacji. Wojsko, konsystujące w Królestwie, zarówno polskie jak i rosyjskie, ściągało ze wszystkich garnizonów na letnie miesiące do obozu. Tam odbywało rewje i ćwiczenia zbiorowe, na które gromadziła się masami publiczność warszawska, ażeby się manewrom i ruchomym bitwom przypatrzeć. Uroczystym przeglądem obchodzono rocznicę przywrócenia Królestwa w roku 1815. Było wtedy nabożeństwo polowe w ogromnym namiocie, celebrowane przez arcybiskupa, wobec całej armji, ustawionej w wyciągniętych frontach, potem ogólny przed księciem Konstantym przemarsz, a wieczorem wspaniały zawsze palono fajerwerk.

Po zwinięciu obozu d-r Kowszewicz przeniósł się na kwaterę do Warszawy, pełnił swą służbę w Ujazdowskim szpitalu wojskowym, a wieczory zwykle spędzał razem z Borowskim, który z wakacji z Lublina powrócił i do nas na herbatę przychodził. Stanowiliśmy wówczas bardzo przyjemne kółko, grano w szachy, bawiono się rozmową, albo muzyką. Kowszewicz grał wcale nieźle na skrzypcach i wyprawiał zawsze z moją matką duety, a wuj Antoni gwizdał. Wuj Seweryn, z akompanjamentem swojej gitary, wyśpiewywał najnowsze piosenki, z teatralnego zazwyczaj repertuaru, a Bogucki bardzo dowcipnie błaznował.

Wpośród takich schadzek dowiedziałem się od matki jednego pięknego poranku, że d-r Kowszewicz o jej oświadczył się rękę, że go przyjęła i że wkrótce mieć będę ojczyma. Niewymownie mnie to ucieszyło, raz, że lubiłem bardzo pana Kowszewicza, a powtóre że już mi nie groziły owe nader dla mnie smutne mej matki pedagogiczne zamiary. Kowszewicz pochodził z Hrubieszowskiego, był synem właściciela małej wioseczki, który ją, umierając, zostawił najstarszemu synowi z obowiązkiem wychowania najmłodszego brata Stefana, utrzymania średniego Józefa podczas studjów medycznych w Krakowie

i spłacenia naostatek obydwuch. A było to za czasów, kiedy Kraków i Hrubieszowskie należały do austrjackiego zaboru. Ukończywszy szkoły w Szczebrzeszynie, pan Józef udał się do Krakowa, lecz w trzecim roku jego studjów brat nie mógł już łożyć na jego utrzymanie z po-



D-r Józef Kowszewicz.
(Według portretu współczesnego; w posiadaniu p. Kazimierza Szokalskiego).

wodu zupełnego wyczerpania dochodów w owych ciężkich wojennych czasach, a mianowicie wskutek rabunku austrjackiego w chwili opuszczenia zaboru, przechodzącego w ręce Księstwa Warszawskiego. Biedny pan Józef

musiał powracać do domu, a znalazłszy zgliszcze, opustoszałe pola i brata, mieszkającego w piwnicy, zakasał poły i pomagał do nowego zagospodarowania, co podczas przemarszów wojskowych w 1812 i 1813 r. bagatelką nie było. Tym sposobem rozpoczęty medyk stracił aż pięć lat czasu; zabrawszy jednak książki ze sobą, uczył się jak mógł, i zaczął się bawić w medyczne mrzonki, jak to wówczas było zwyczajem, zamiast obznajamiać się z nabytem już doświadczeniem w nauce. I nie dziwota, bo ludziom, którzy wówczas żyli, zdawało się, że wszystko wyspekulować można i że z danej zasady wysnuwa się wszystko, jak z kłębka, byle tylko zasada była słuszną. Stąd też budowano systemata jedne po drugich i spostrzegano dopiero, że są fałszywe, gdy nie odpowiadały rzeczywistości. Wówczas medycyna, a zwłaszcza biologja, były rodzonemi córkami Heglowskiej filozofji. Byle tylko kto, wspierając się na przyjętej zasadzie, uznał, że logicznie tak a nie inaczej być musi, to już był przekonany, że w rzeczywistości tak jest. A więc znajdźmy tylko zasadę, myślano sobie, to odtworzymy świat, zamiast go badać; a jeżeli się pokaże, że on nie zgadza się z wynikiem naszego spekulowania, to inna lepsza zasada się znajdzie. Filozof zamykał oczy, zamiast je roztwierać, i dumał, a przez pryzmat swego wyrachowania patrzał potem przed siebie i innych usiłował przekonać, że w grubym są błędzie, jeżeli widzą inaczej. Otóż odosobnienie i znękanie moralne pana Józefa było właśnie wodą na młyn do takiego zapatrywania się na rzeczy, i w owym czasie zaczął już sobie wyrabiać własny swój systemacik filozoficzno-kosmiczno-biologiczno-lekarski, którego się później uporczywie trzymał. Gruntem tego systemu było prawo do życia, które przyznawał kosmicznej materji, wskutek którego sama już przez się wyłoniła ze siebie cały porządek stworzenia. Wszystko to było dobrze, ale było właśnie pytaniem, które, usiłując rozwiązać, pan Józef snuł sobie nieskończone mrzonki. Trudno go potępiać, bo taki był duch czasu; szedł za jego pod-

muchem i błąkał się w drodze, tonąc coraz głębiej w tej swojej apriorycznej spekulacji, która nim wreszcie po wielu latach owładnęła zupełnie. Wyraźnie Kowszewicz zarwał coś podczas swego pobytu w Krakowie z monistycznej filozofji Spinozy, i to coś przeżuwał wpośród swego odosobnienia na wsi. Niktby nie uwierzył, kto się tego nie dotykał bliżej, jaką szkodę dedukcyjne mędrkowanie tego rodzaju zrządziło w owym czasie naukom przyrodniczym i jak się zdrożnie na medycynie uwydatniło. Szczęściem, że niemieckie ówczesne filozofowanie słabym się tylko u nas odbijało echem, pochłaniały nas bowiem polityczne mrzonki, przeciwko którym broniły się tylko nieliczne jaśniej widzące umysły, nie śmiejące się odezwać, boby je za dziwaków, może nawet za wrogów uznano. Kowszewicz był bardzo dobrym Polakiem, ale nie dzielił z nami poczynającego się już wówczas rozgorączkowania. Wyraźnie rachował się więcej z okolicznościami, niżeli naukowymi faktami, przewidywał przyszłość, jak lekarz, trzymający palce na pulsie, a że mało mówił, wywnętrzać się nie lubił, uważano go za obojętnego i flegmatycznego dziwaka, i stąd też poszło, że, pomimo wysokich swych zalet i całej swojej zacności, niewielu liczył przyjaciół. W kilka lat potem, jak tylko można było zebrać należytą kwotę, pan Józef wrócił do Krakowa, dokończył rozpoczęte kursa, udał się potem zaraz, nie tracąc czasu do Warszawy, i tu w rozwijającym się wówczas uniwersytecie, złożywszy egzamin, otrzymał dyplom i wstąpił jako lekarz do służby wojskowej wraz ze swoim kolegą Brawackim, o którym następnie wspomnieć mi przyjdzie.

Jak tylko zwinięto obóz, pan Józef przeniósł się na kwaterę do Warszawy, objął w Ujazdowie swą służbę i wystarał się o wygodne pomieszkanie na Krakowskiem Przedmieściu naprzeciwko Bernardynów. Kupił dla mojej matki bardzo ładny fortepjan, i wraz z nią zajął się całem urządzeniem domu, tak, że w listopadzie 1825 roku miałem już ojczyma. Że zaś pan Świeżawski, zamożny

obywatel z Lubelskiego, dowiedział się o osiedleniu się w Warszawie Kowszewicza, którego wielce szanował, umieścił więc u nas, pod jego nadzorem, syna swojego, którego na uniwersytet posyłał, tak, że obadwaj on i Borowski, pomieszczeni w osobnym pokoju, zwiększyli liczbę naszych domowników. Młody Świeżawski był ładnym i bardzo dobrze wychowanym młodzieńcem i nie zawiódł pokładanych na nim nadziei, był bowiem później wzorowym i wpływowym w Lubelskiem obywatelem.

A teraz muszę zwrócić uwagę na nader ważną inowację, która właśnie zjawiła się w szkołach, chociaż była tylko cząsteczką ogólnego rządowego systemu, rozpanaszającego się w naszem społeczeństwie coraz bardziej. Ale w tym celu wypada mi przekroczyć, i to o wiele, nasze szkolne stosunki.

Zapatrując się bez uprzedzenia na konstytucję, jaką nas obdarzył, przywracając Królestwo, Aleksander I-szy, przyznać musimy, że była ona bez porównania więcej owocem teoretycznego liberalizmu, aniżeli środkiem, mającym zaspokoić rzeczywiste potrzeby narodu. Była ona niezaprzeczenie o wiele liberalniejszą, aniżeli tego wymagała konieczna potrzeba, i zamiast nam dać rząd silny, opiekuńczy, uczciwy i postępowy, otworzyła obszerne wrota do nieporozumień ze strony narodu i do lekkomyślnej opozycji, a ze strony rządu — do podstępnej szacherki. W charakterze cesarza Aleksandra istniały dwa przeciwne sobie kierunki: samowładny i liberalny, nie mogące ze sobą przyjść do porozumienia. Urodzony jako samodzierżca prawie połowy świata, z wolą nieograniczoną robienia wszystkiego, co mu się podoba, stanął na stanowisku pół-boga na ziemi, i trudno jest, ażeby tradycyjnie nie spoglądał z góry na wszystko, co go otaczało, ażeby nie czuł się panem i poddanych swoich nie uważał za niewolnicze narzędzie swej samowoli. Wychowanie pod wpływem filozofa i literata genewskiego Laharpa i wpływy obu Czartoryskich Adama i Konstantego, przyjaciół jego młodości, postawiły go w opozycji z babką i ojcem,

i zrobiły zeń liberała, hołdującego ideom rewolucji francuskiej. Umocniły go w tym kierunku liberalne wieczorki, jakie dla swego najbliższego otoczenia wyprawiał, jako następca tronu, a potem jako już panujący cesarz, złamany tragiczną śmiercią swego ojca, której jak się zdaje, nie mógł odwrócić. Czytaj pamiętniki księcia Adama Czartoryskiego, a dowiesz się o tem, jak w tym poufnem gronie zaszczepiał się liberalizm na absolutystycznej płonce, a zrozumiesz, jaką to koleją rozwinął się ów dualizm umysłowy, który potem na polskiej niwie swoje wydał owoce. Lecz zaraz po ogłoszeniu konstytucji spostrzegł się młody monarcha, że związał nią swoją absolutną władzę i sam na siebie nałożył pęta. Zrodziło się zatem już zaraz usiłowanie ograniczenia jej wpływu przez zamianowanie na namiestnika w Królestwie Zajączka, kalekę z urwanemi obu nogami(?), generała podrzędnej wartości, człowieka słabego charakteru, który tylko posłusznym być umiał. Otóż to taki mąż stanu miał być stróżem i wykonawcą konstytucyjnych zastrzeżeń, w otoczeniu ministrów rzeczywistej wartości, ale którymi kierować nie umiał. Pomimo tego, z przywróceniem wewnętrznego porządku, który rozwijał się widocznie, zaczęła się budzić niechęć rosyjskiej arystokracji, do żywego dotkniętej, że ich rodzony władca samodzielnie dał zwyciężonym napastnikom Polakom tyle wolności, kiedy jej odmawiał zwycięzcom. Rozwinęła się w ich sferach niechęć i nienawiść, pragnąca jak najrychlejszej zmiany, mającej ukrócić zuchwalstwo polskiej intrygi. Łagodząc tę niechęć, cesarz zaraz z początku oddał komendę nad wojskiem swemu bratu Konstantemu, wysłał, wbrew konstytucji, dwie dywizje rosyjskiego wojska do Warszawy na konsystencję stałą i przyznał Konstantemu stanowisko swego alter ego, mającego reprezentować w Królestwie nieograniczoną monarszą władzę. Obok konstytucyjnego mieliśmy zatem rząd absolutny, i to jeszcze w osobie człowieka, jak najmniej do rządzenia zdolnego. Był to dziwny rzeczywiście człowiek. Urodzony autokrata, jak panujący brat jego; ale

o ile tamten był łagodnym, ujmującym i wyrozumiałym, o tyle ten był dzikim, popędliwym, niemal drapieżnym, nie uznającym nad sobą żadnego hamulca. Żołnierz, oddany organizacji swego polskiego korpusu, zrazu nie zajmował się resztą; skromny w życiu prywatnem, gardzący przepychem, bywał nieraz serdecznym i sprawiedliwym, lubił nawet Polaków, czuł się nie swój zdala od Warszawy do tego stopnia, że nawet mawiano, iż „był w Petersburgu Polakiem, a Moskalem w Warszawie". Słowem, dawał się obłaskawiać zwolna, ale to nas właśnie zgubiło, gdyż, widząc to w Petersburgu, postanowiono dodać mu mentora, i wybrano na to Nowosilcowa, wroga Polaków, którego Mickiewicz napiętnował w swych „Dziadach". W charakterze rezydenta rosyjskiego dworu miał on zadanie pilnować porządku i bezpośrednio z panującym się znosić. Wiemy, co to pilnowanie porządku w rządowej rosyjskiej nomenklaturze oznacza. Zorganizował on sobie cały legion szpiegów, kazał sobie znaczne sumy na ich utrzymanie wyznaczyć, i powoli a stopniowo osnuł kraj cały systematem szpiegostwa. Miał wiele płatnych stale ajentów i wielu płatnych od sztuki. Nie było ani jednego wpływowego w kraju człowieka, któryby nie miał swego anioła stróża. Makrot, jeden z naczelników policji tajnej, był golibrodą wielkiego księcia i zdawał mu raporta co rano, a szpiegując znowu samego księcia, raportował Nowosilcowowi. Otwarty z natury Polak, dobroduszny gaduła, lazł mimo wiedzy w tę otwartą pułapkę, dopóki jej nie rozeznał, nie struchlał, dowiedziawszy się, do czego dąży. Strach go wtedy ogarniał, nie wierzył nikomu, bo skutkiem szpiegostwa był strasznie prześladowany. Posądzano go nie tylko o czyny, ale i o zamiary, aresztowano i więziono. Postawiono u Franciszkanów na Zakroczymskiej ulicy, u Karmelitów na Lesznie i u Marcinkanek polityczne więzienia, i ustanowiono sądy śledcze tajemne. Adjutant wielkiego księcia Kuruta, wiceprezydent miasta Lubowidzki i polski generał Rożniecki, ten sam, przed

którym załoga Lwowa kapitulowała i który się pod Lipskiem odznaczył, a potem wyrzekł się swojej przeszłości, stanęli na czele tej organizacji. Podejrzewano wszystkich o tajne sprzysiężenia. Byle niebacznie wyrzeczone słówko stawało się dowodem, a wtedy więziono i torturowano podejrzanego, gnając do więzienia, póki gdzieś naostatek nie zniknął, zapewne na Syberję wysłany. Czasami znikali najniespodziewaniej ludzie z własnych pomieszkań i nie powracali już wcale, a ich znajomi nawet mówić o nich nie śmieli, bojąc się, ażeby ich o wspólnictwo nie posądzono.

Nowosilcow należał do staro-rosyjskiej rodziny, był wychowany na dworze Katarzyny, należał wraz z Czartoryskimi do owego liberalnego grona, które otaczało młodego Aleksandra. Udawał przyjaciela księcia Adama i lizał mu się, gdy książę był ministrem spraw zagranicznych Cesarstwa, a potem naraz wysunął pazury. Z charakterami..... tego rodzaju zamaskowanymi, chytrymi, nie znaliśmy się wówczas; dziś przestały one już być dla nas nowiną. Nowosilcow był zresztą człowiekiem bardzo pracowitym, żyjącym skromnie, w pewnem odosobnieniu. Był łotrem z amatorstwa, nie dla tego, że niszczył wszystko....., ale że do tego używał środków niezgodnych z prawem, moralnością, honorem i sumieniem, że działał podstępnie i skrycie, jako łotr wyrafinowany. A więc mieliśmy w kraju obok rządu konstytucyjnego i autokratycznego, jeszcze rząd trzeci, podziemny, w duchu nienawidzącej nas rosyjskiej arystokracji, której Nowosilcow był ostatecznym wyrazem.

System ten podglądania i pokątnego wpływu, konsekwentnie przeprowadzony, zastosowano i do naukowych zakładów, wsuwając pomiędzy profesora i ucznia policjanta i donosiciela. Wymyślono nigdy dotąd niepraktykowane oddzielenie nauczania od wychowania. Profesor miał być odtąd tylko nauczycielem, a cały wychowawczy element miał być udziałem inspektora, który tym sposobem stawał się towarzyszem rektora.

W każdej sześcioklasowej szkole był zamianowany osobny inspektor z trzema pomocnikami, po jednemu na każde dwie klasy, a cała ta organizacja w Królestwie jednoczyła się w ręku kuratora generalnego, pana Zubelewicza, naczelnika cenzury. Na szkoły Pijarskie, odznaczające się patrjotyzmem, a zatem najwięcej podejrzane, zwracano baczną uwagę, i wpakowano nam aż czterech inspektorów naczelników i trzech pomocników, którzy nas mieli z oka nie spuszczać. Na nieszczęście byli to drabi mało nawet okrzesani, znający się na wychowaniu, jak na musztardzie sroka. Siadywali podczas lekcji w ławkach, baczyli na każde ucznia poruszenie i na profesora, ażeby tylko wedle nich coś zdrożnego pochwycić, a cały związek moralny, dotąd między profesorami a uczniami istniejący, odrazu został zniszczony. Gdy raz szedłem do domu spotkał mnie pan podinspektor i zaczepił, mówiąc:

— Co to za młoda kobieta, z którą ty się często włóczysz po mieście?

— Przepraszam, odpowiedziałem śmiało, ja się nie włóczę, tylko idę spokojnie, gdzie mi wypada, a ta młoda kobieta, to moja matka.

— Łżesz, to być nie może.

— A to przyjdź pan do nas, a sam się przekonasz.

Odszedł rozgniewany i rzeczywiście niebawem stawił się u nas, ale mój ojczym przyjął go tak zimno, że mu ochota odeszła nas indagować. Ponieważ po tem, co zaszło, spodziewać się można było pewnej ze strony pana podinspektora niechęci, okoliczność ta, między innemi, doprowadziła do tego, że mnie odebrano ze szkół Pijarskich, niesłychanie już przepełnionych, i oddano do Warszawskiego Liceum. Znalazłem tam stosunki o wiele od pijarskich różne. Wszyscy profesorowie byli cywilni, z wyjątkiem księdza prefekta, bardzo zacnego człowieka, który był kapelanem i nauczycielem religji zarazem. Nauczyciele byli bez porównania sprawniejsi i pedagogicznie więcej wyrobieni, klasy były małe i zaledwie 20

do 40 uczniów mieszczące, tak, że dozór był daleko lepszy, a stąd też poszło, że, chociaż opłata była od niedawna zrównaną, bo płaciło się także 12 tylko złotych półrocznie, dobór młodzieży był lepszy, należała ona w znacznej części do klasy wyższej i bardzo dobrze była wychowana. Bo też do Liceum wcale nie było łatwo się dostać, tak, że zachowało ono pewną odznaczającą się barwę. Wszedłem już do klasy czwartej. Dziekoński wykładał nam język polski, Szweinic i profesor uniwersytetu Maciejowski łacinę i grekę, Chopin i Zieliński język francuski, Marchand dla ochotnika język rosyjski, Jasiński matematykę, Piotrowski fizykę, Kokular rysunki, a niemiecki język Schwartz, ten sam, co to dawał lekcje mej matce, rzadki rzeczywiście człowiek, który tak umiał uczniów swych zainteresować, iż się uczyli pilnie tego, jak go nazywano baraniego języka, chociaż we mnie on żadnego entuzjazmu do niego nie wzbudził. Gdy było potrzeba którego z profesorów zastąpić, czynił to zazwyczaj sam rektor Linde, znany autor polskiego słownika. Mógł on mieć natenczas lat 50 z górą, chudy, zgarbiony, niezgrabny, z ogromnemi u nóg stopami, ogólnie znanemi w Warszawie. Brał wtedy kilka wierszy z jakiegobądź łacińskiego poety i objaśniał je gramatycznie, a czasem opowiadał nam co po łacinie i kazał powtarzać. Pomimo swojej wielkiej względem języka naszego zasługi, nie czuł jego zwrotów i mówiąc, oprócz uderzająco niemieckiej wymowy, popełniał nieraz tak rażące błędy, iż czasem nie łatwo było powstrzymać się od śmiechu.

Ze zmianą szkoły wstąpił jakiś nowy duch we mnie, tak, iż przy końcu roku otrzymałem promocję z pochwałą, co wszystkich znających mnie, jako nieuka, nie mało zdziwiło. I rzeczywiście byłem nieukiem, nie dlatego, żeby mi na zdolnościach niedostawało, tylko że nie kształcono we mnie pamięci, a mianowicie uwagi. Nie umiałem uwagi mojej na wodzy wolą utrzymać, błąkała się też samopas po tysiącznych obrazach i myślach w

chwili, gdy ją wypadało na miejscu uwięzić, a co sobie pomimo tego z wielkim wysiłkiem zdobyłem, nie umiałem znów zatrzymać w pamięci. Nie umiano mnie uczyć, albo raczej uczono mnie szablonowo, kiedy umysł mój wymagał specjalnego do swego rozwinięcia sposobu. Do-



Samuel Bogumił Linde.

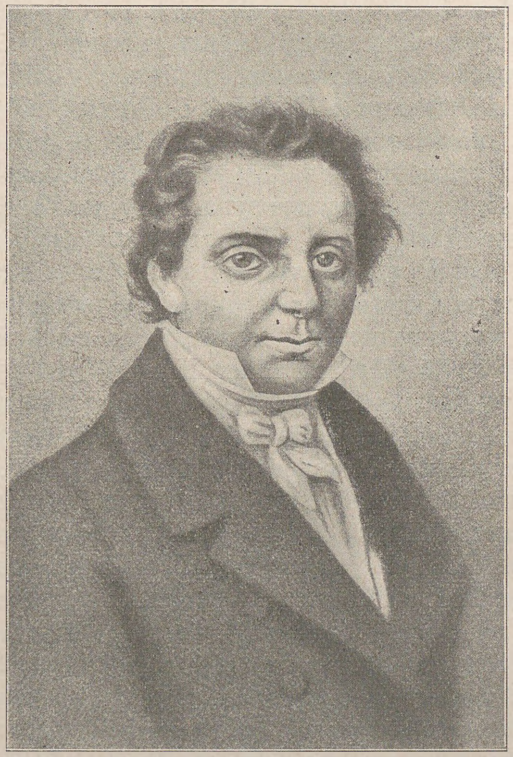
piero wykład geometrji pana Jasińskiego na właściwą naprowadził mnie drogę i nauczył mnie uczyć się i myśleć. Kiedy nam jakieś twierdzenie dowieść zalecał, to nie wolno nam było robić, jak nam się podobało, ale potrzeba było iść skrupulatnie tą samą ścieżką w rozumowaniu, jaką on wskazywał, zadając nam lekcję; a wszyst-

ko tam tak dokładnie było obmyślane, że jeden dowód z drugiego logicznie się wywijał. Nie cierpiał on żadnego zboczenia, zdawał się być pedantem nie do zniesienia, a tymczasem wdrażał nas stopniowo do logicznego wiązania ze sobą myśli, tak, że zamiast wyrwasów, łączących się domyślnikami, wszystko musiało płynąć jednym logicznym potokiem. Oburzał mnie na razie absolutyzm mego profesora, ale, przyzwyczaiwszy się do jego metody, uczułem w sobie pewne zadowolenie w samodzielnem myśleniu i gniewać mnie zaczynało, gdym jakiego nie dojrzał ogniwa w powiązaniu mej myśli. Każda nauka stawała się dopiero wtedy dla mnie interesującą, a nie tylko taka, w której wyobraźnia moja przenosiła mnie z kwiatka na kwiatek. Atoli do owej przebrzydłej łaciny byłem tak zniechęcony, że jeszcze długiego czasu było potrzeba, zanim się z nią pobratać zdołałem.

Jeżeli szkoła jest mistrzynią życia, to i przyjaźnie między studentami mają swe wielkie znaczenie. Otóż i ja miałem przyjaciela. Był nim Edmund Puchalski. Poznałem go jeszcze u Pijarów, a stosunki nasze przeciągnęły się aż do powstania 1830 roku. Nie miał już ojca, a matka jego z domu Wierzchlejska, siostrzenica arcybiskupa Poznańskiego, właścicielka ziemska w Kaliskiem, osiadła w Warszawie w celu kształcenia syna. Po szkole chodziłem często do niego na róg ulicy Mostowej i Freta, ażeby się razem uczyć; ale nam nie szło, bo jego matka w wieku mej matki, bardzo miła kobieta, ciągle nas odrywała od pracy, szukając towarzystwa, na którem jej zbywało. Gdyśmy do roboty siadali, przynoszono kawę, a potem rozpoczynała się gawędka godzinami całemi trwająca. Polityka była często na stole. Pani Puchalska otrzymywała zagraniczne gazety i rozbierała nam krytycznie fakta, czegośmy z ówczesnego naszego dziennikarstwa, skrępowanego cenzurą, dowiedzieć się nie mogli. A były to bardzo ciekawe czasy rozbudzającej się przeciw despotyzmowi reakcji. Dyplomacji się zdawało, że, zwalczywszy Napoleona, zabiła i pojęcia Rewolucji Francus-

kiej; ale bardzo się omyliła, bo ta mara z martwych powstała i groźnie zajrzała jej w oczy. Ludy nie zapomniały o przyrzeczeniach monarchów, gdy chodziło o zgnębienie Francji, i zaczęły się dopominać o swoje. Bohaterskie powstanie greckie, jakby iskra elektryczna ocuciło uśpioną energję, a każda nowina, z Grecji przychodząca, interesowała tak mocno, jakby o własny chodziło interes. Powstanie w Hiszpanji, wysłanie armji francuskiej przeciw ludowi, dopominającemu się konstytucyjnych wolności, na pomoc bezmózgiemu królowi, okrucieństwa generała Miny, bitwa pod Trocadero, włoski karbonaryzm, walczący z Austrją i Watykanem, przygnębienie ludów niemieckich, buta Prusaków, wszechmoc Metternicha, a wreszcie u nas gospodarka Nowosilcowa, wiele szpiegostwa i zaślepienie naszej opozycji szlacheckiej pod wodzą kaliskich krzykałów, były to niewyczerpane do poważnej rozmowy motywa. Pani Puchalska nie była wcale osobą nerwową, egzaltowaną, zasłaniającą sobie oczy na prawdę. Widziała rzeczy jaśniej od wielu innych. Była wesoła, dowcipna, zwiedziła niemal całą Europę ze swym nieboszczykiem mężem, widziała dużo i to nie bez korzyści. Wiedziała, co mówić i umiała mówić. Siadała przy nizkim obok pieca stoliczku, na małym stołeczku, nas sadzała obok siebie na innych i zaczynało się opowiadanie rozmaitych przygód, jak z Tysiąca Nocy. Znała dokładnie historję całej wielkopolskiej szlachty. W opowiadaniach swoich sięgała w odległe czasy. Czytała wiele, mianowicie dzieł niemieckich, i lubiła o nich nam mówić. A była to właśnie epoka Walter Scotta u nas, zaciekawiającego całe społeczeństwo nasze, i to w chwili, gdy go dopiero co zaczynano tłómaczyć i nader ślamazarnie wydawać. Z jej opowiadań poznaliśmy najgłówniejsze jego powieści, a gdy nam do rozmów brakowało treści, mówiliśmy o naszej bieżącej literaturze, o nowinach z „Kurjera“ i „Gazety Warszawskiej“. Nikt u niej nie bywał, nie lubiła także wychodzić, jak gdyby stroniła od ludzi. Jedynym gościem,

i to dosyć częstym, był profesor Dziekoński i uczeń jego, jakiś młodziutki książę Lubomirski z Galicji, którego mu na wychowanie oddano. Był to miły chłopiec, daleki bardzo od wszelkich książęcych fumów. Teatr był także



Aloizy Gonzaga Żółkowski,

Znakomity komik Teatru warszawskiego, ur. 1777 r., zm. 1822 r.

częstym naszych rozmów przedmiotem, bo ciągle jeszcze uczęszczałem do niego, a był on wówczas bardzo godnym uwagi; grywano Woltera, Racina, Kornela, Ducange'a, Szekspira, Goethego i Szyllera, pod artystycz-

nym przewodnictwem Osińskiego. Mieliśmy też wówczas potężne dramatyczne talenty: Ledóchowską, Żuczkowską, Werowskiego, Piaseckiego, Dmuszewskiego, Kudlicza i Żółkowskiego. Ostatni był niesłychanie popularną w Warszawie osobistością. Ruchliwy, wszędobylski, swoim dowcipem, anegdotami, żartami ożywiał bardzo towarzystwo, które jednakoż nie musiało być bardzo wymagające, sądząc po dwóch pismach humorystycznych, jakie wydawał: „Momus“ i „Pasztet nadziany nie truflami, ale facecjami“. Na scenie był to sobie komik bardzo zwyczajny, bez żadnej wyższej zdolności, nie umywający się wcale do swego syna, który nas dzisiaj swoim artyzmem czaruje. Był to człowiek towarzyski, który jako żartowniś występował w teatrze. Dzisiejszy syn jego jest artystą wysokiego talentu, tetryk, stroniący od ludzi, jak wszyscy poniekąd komicy jemu podobni. Gmach teatralny był jeszcze na Placu Krasińskim i rozbierano jeszcze w dalszym ciągu Marywil, ażeby nowy teatr na jego miejsce postawić. Bo też Warszawa porządkowała się nader szybko i ani podobną już była do tej, jaką się przedstawiała w roku 1820. Grywano wówczas dość często w Łazienkach na wyspie. Wybierano na to operetki np. „Porwanie Aspazji“ z akompanjamentem strojnych okrętów i łodzi, z baletniczem uzupełnieniem, w którem rej wodzili francuscy tancerze: Thiery, Maurice i panna Ressé. Nasz własny balet bardzo był słabo rozwinięty, i rzeczywiście datuje dopiero od czasów popowstańczych. Żółkowski ojciec umarł w 1822 roku. Wyprowadzono go ze Ś-to Jerskiej ulicy. Cała Warszawa wyległa na jego pogrzeb. Byłem i ja tam także i dzieliłem ogólną żałość.

Widząc nas zawsze razem, nasz podinspektor śledził nas uporczywie, a spotkawszy raz idących na ulicy, zapytał Edmunda:

— Dlaczego wy się zawsze razem włóczycie?

— A dlaczego mamy chodzić osobno? — odpowiedział mu mój czupurny kolega.

— Nie wiedząc, co odrzec na to zapytanie, nasz strażnik spojrzał z podełba na chłopca i rzekł:

— Strzeżcie się, smarkacze, bo jak was złapię, to rosyjski miesiąc popamiętacie!

— A to niechaj pan łapie, jeżeli się to panu podoba.

— Mamo, czego chce od nas to zwierzę? — zapytał Edmund swej matki, gdyśmy powrócili do domu. Ruszyła ramionami z drwiącym uśmiechem. Nie uważajcie na to, on za to jest płatny, żeby złe tropił, a jeśli go niema, ażeby je sam wywoływał; są bowiem ludzie, którym wiele na tem zależy.

Oto jest próbka wychowania, jaki wprowadzał u nas system szpiegowski. Nowosilcow z oka nie spuszczał celu. Nasz drab kręcił się koło nas ciągle, kto wie, czy mu nie chodziło o jaką łapówkę, ale to pewno, że byłby nas do jakiejś doprowadził awantury, gdybym przez przeniesienie się do Liceum z oczów mu nie zniknął.

W szkołach licealnych nadzór inspektorski znacznie się słabiej rozgospodarował, najprzód dlatego, że nasi profesorowie cywilni z większym nierównie wobec drabów Zubelewicza występowali tonem, a powtóre, że rektor Linde był u władzy persona grata, na dwuch łapkach skaczący przed ministrem oświecenia Stanisławem Grabowskim, który znów wysokich u Nowosilcowa używał względów.

Wspomniawszy o ministrze Stanisławie Grabowskim, nie od rzeczy nadmienić, jakim on to sposobem doszedł do swojego wysokiego urzędu. Był on następcą Stanisława Potockiego, owego znakomitego organizatora naszego wychowania publicznego, o którym powyżej wspomniałem, i miejsce swoje zawdzięczał intrydze. Jakiś zły duch podszeptał Potockiemu napisanie „Podróży do Ciemnogrodu“, niby to satyry na ówczesne stosunki, książki bez wątku i bez dowcipu. Trudno jest pojąć, jakim sposobem wyjść mogła z głowy znakomitego człowieka i obywatela. Czytałem ją kilka razy, pragnąc rozwiązać tę zagadkę, a nawet raz przemogłem na sobie, że

doczytałem do końca. Ale chybiłem mojego celu; nie pojmuję, jakim sposobem taka ramota, bo inaczej nazwać jej nie mogłem, tak wielkie w społeczeństwie naszem zrobiła wrażenie; ale że zrobiła, to pewno, chociaż nie przez treść, ale przez swoje skutki. Otóż w jednem jej miejscu



Stanisław Kostka Potocki.

Minister wyznań i oświecenia publicznego w Królestwie Polskiem.

podróżnik opisuje swój pobyt w klasztorze Bonzów, okadzających pachnidłami swe bóstwa. Ówczesna domyślność zaopinjowała, że się to odnosi do klasztoru Paulinów na Jasnej Górze. Stąd ogromne zgorszenie, a to ówczesne dewotki i pobożnisie wzięli ogromnie do serca za

poduszczeniem Nowosilcowa, który Potockiego nie cierpiał, kładąc go na jednej linji z księciem Adamem Czartoryskim, na którego się skarżył, że przez swą działalność, jako kurator na Litwie i na Wołyniu, ich zrusyfikowanie opóźnił o 100 lat przynajmniej. W początkach Królestwa Kongresowego bigoterja kwitła całym swym blaskiem, bo od ateizmu encyklopedystów przeszliśmy do niej bezpośrednio na mocy prawa kontrastu. Zresztą Francja burbońska, która naraz zrobiła się pokutnicą, zaczęła żałować za grzechy, bić się w piersi, pościć na zabój i stawiać kaplice wotywne w celu zmycia królobójczej zbrodni, tak silnie podziałała na całe wyższe towarzystwo, iż wyraźna u nas obraza dla Matki Boskiej Częstochowskiej, i to jeszcze dokonana przez ministra wyznań, niemal na tym samym stanęła stopniu, jak owo królobójstwo w Paryżu. Dewotki więc dworskie, stare i młode, pod reżyserją Nowosilcowa, tak wzięły naszego Monarchę w obroty, że wreszcie podpisał dymisję Potockiego i naznaczył na jego miejsce Stanisława Grabowskiego, bigota. Odtąd zaczęliśmy się w szkołach niemal biczować, śmiejąc się w garści z przesady, która nas ani nabożniejszymi, ani moralniejszymi nie robiła wcale. Wkrótce też pan minister znalazł sposobność swoją pobożność na jasny dzień wystawić, w roku bowiem 1825 przypadał stuletni jubileusz rzymski, którego uroczysty obchód Papież całemu chrześcijańskiemu światu nakazał, z solennem odpuszczeniem grzechów każdemu, kto się w trzech parafjach pomodli. Otóż minister urządził do trzech parafji procesje szkolne w Warszawie, które trzy razy w trzech po sobie następujących tygodniach odbywać się miały. Zbierano się u Wizytek, stamtąd procesją ruszano do Świętego Krzyża, potem do Ś-go Jana, a naostatek do Panny Maryi. Naprzód szło duchowieństwo z biskupem na czele, potem minister w galowym mundurze, otoczony urzędnikami swego ministerjum, potem uczniowie uniwersytetu z pedelami w galowych ubiorach (granatowe czamary z białemi potrzebami i wyso-

kiemi laskami w ręku) i profesorami w togach, potem Liceum Warszawskie, dalej szkoła księży Pijarów, a nakoniec czteroklasowa szkoła Dominikanów. Wszystko to, śpiewając nabożne kantyczki, szło z namaszczeniem, krokiem miarowym, trójkami, łańcuchem wyciągniętym przez ulice zwykle dosyć puste. Wchodziło się potem do kościołów i, za przewodnictwem księdza z ambony, odmawiało przepisane modlitwy. Za taką manifestację Grabowski otrzymał jakiś wysoki order papieski. Arystokracja z czołobitnością uznawała zasługi, potężnie wówczas protegowane duchowieństwo wyrażało protekcjonalnie swe dzięki, średnie klasy, resztki masonów i młodzież śmiała się z klerykała, a Nowosilcow zacierał ręce. I owszem, myślał on sobie, niechaj raz uwierzą, że obowiązek względem Kościoła jest wyższym od obowiązku dla kraju, a z liberalizmem będzie łatwa sprawa. Tak dotąd myślą przywódcy klerykalizmu wszystkich wyznań bez wyjątku, tylko się narodom jakoś ten dogmat w głowach pomieścić nie daje.

Przed kilku laty wuj mój Seweryn prowadzał mnie na posiedzenia sejmowe, ażebym zobaczył, co się tam dzieje, chociaż miałem wtedy niespełna lat 12. Otóż w roku 1825, kiedy już polityczne położenie kraju i Europy zaczęło mnie interesować wskutek gawęd z panią Puchalską, sejm, który się był właśnie otworzył, mocno mnie zajmował, zwłaszcza, że, mieszkając w blizkości Zamku, widziałem mnóstwo przed nim stojących wygalowanych karet i ruch dygnitarzy. Nic o tem nie wiedziałem, że posiedzenia sejmowe przestały być publicznemi, w skutku dopiero co ogłoszonego królewskiego postanowienia. Gdym raz powracał ze szkoły z książkami pod pachą, zakradłem się aż pod same podwoje Izby poselskiej. Gdy je zastałem zamknięte i woźny ofuknął mnie niegrzecznie, i gdy ze zwieszonym nosem przez obszerny przedsionek do schodów wracałem, spotkałem się z jakimś poważnym senatorem w mundurowym kontuszu, który drogę mi zastąpił, pytając:

— Czego tu chcesz, chłopcze?

— Chciałem się przysłuchać, Jaśnie Wielmożny Panie, odpowiedziałem mu zawstydzony nieco.

— A cóż cię to interesuje, młodziku?

— A przecież ja jestem Polakiem, odrzekłem mu śmiało.

Położył mi rękę na głowie, spojrzał na mnie bystro, zatrzymał się trochę, a potem wyrzekł:



Stanisław hr. Grabowski,
Minister wyznań i oświecenia publicznego.

— Disce puer latine, faciam te Mości panie. A kto to powiedział?

— Stefan Batory, J. W. Panie.

— A ty łaciny się uczysz?

— Uczę się, ale nie powiem, że chętnie.

— No i dlaczego?

— Bo ludzie mówią, że dziś nie cała mądrość w łacinie się mieści.

Roześmiał się na to, potargał mnie za ucho i ustąpił mi z drogi. Dowiedziałem się zaraz, że to był Wojewoda Bieliński.

Sale sejmowe zajmowały całe pierwsze piętro w Zamku po obu stronach zegarowej wieży. Do schodów prowadziły dwoje drzwi: jedne z bramy głównej, a drugie wprost wybite na plac przed Zygmuntem. Wchodziło się na obszerny przedsionek na piętrze, a stąd podwoje na prawo prowadziły do sali poselskiej, a na lewo do Senatu. W sali poselskiej były obszerne naokoło galerje dla publiczności, w sali zaś senatorskiej tron w głębi, gdyż sala ta była zarazem tronową. Mównicy ani w jednej, ani w drugiej sali nie było, i każdy, powstawszy ze swego miejsca, przemawiał. Przy ścianie wejściowej na lekkiem wyniesieniu było miejsce prezydującego przy stole, czerwonym aksamitem ze złotemi frendzlami pokrytem, gdzie również mieścili się dwaj sekretarze. Z owych czasów pamiętam, gdy jeszcze publiczność na posiedzenia była przypuszczaną, że na owym stole pod ręką prezydującego Marszałka w Izbie poselskiej leżała gruba hebanowa laska, ozdobnie w srebro okuta, z orłem białym u szczytu (laska marszałkowska), którą prezydujący w stół stukał, ile razy mu należało przywracać porządek, gdyż dzwonek nie był w użyciu. Laska ta mocno mnie interesowała. Noszono ją przed Marszałkiem we wszystkich solennych pochodach, np. gdy Izba w niektórych, regulaminem przewidzianych, razach łączyła się z Senatem.

Sejm 1825 roku wypadł bardzo zadawalająco dla wszystkich. Aleksander był rozpromieniony, obsypywał tytułami, dekoracjami, tabakierami, pierścieniami i grzecznościami, a płeć piękną klejnotami, według ówczesnego dworskiego zwyczaju, który przez oszczędność prawie zupełnie wyszedł już z mody. Cesarz przyjął także bal wspaniały, wielki, który wyprawił Senat i miasto, a w teatrze bal, jakiego Warszawa ani przed-

tem, ani potem chyba nie widziała. Krupiński skomponował umyślnie na niego swój wspaniały polonez ze śpiewem: „Witaj królu polskiej ziemi!“, który, gdy usłyszał Cesarz, łzy mu pokapały z oczów. Widziałem w teatrze dniem pierwej udekorowaną salę. Scena z parterem była zrównana. Pierwsza zamieniona w przepyszny ogród wschodniego stylu, a loże stanowiły całość z dekoracją, w głębi tworzącą jakby gmach jakiś wspaniały. Tysiące świec woskowych oświecało przepysznie salę. Trzeciego dnia po balu Cesarz opuścił na zawsze Warszawę. Był to dzień piękny; słońce wschodziło wspaniale od strony Pragi. Wstałem bardzo rano, ażeby się przygotować do szkoły, i zdziwiłem się mocno, gdy usłyszałem dzwon, wywołujący wartę w odwachu na Krakowskiem Przedmieściu, naprzeciwko naszego mieszkania, i zaraz potem uderzenie w bęben i zadęcie w piszczałkę, jak przy oddaniu najwyższego honoru. Ulicą pędził Cesarz w półotwartym powozie, sam jeden z adjutantem przy boku, obydwa w podróżnych płaszczach; kocz był zaprzężony w trójkę, na koźle woźnica i lokaj, i nikogo więcej. Ulica była pusta zupełnie, powóz popędził w uliczkę, istniejącą wówczas przed Towarzystwem Dobroczynności, skręcił na Bednarską i zniknął, dążąc ku mostowi, a wkrótce potem ściągnięto z wieży zamkowej chorągiew, powiewającą zawsze na niej, podczas bytności w Warszawie Cesarza.

W grudniu 1825 roku rozeszła się głucha wiadomość, że Aleksander nagle umarł. Przez długi czas nic o tem nie wiedziano pewnego, a, jak się pokazało potem, przyczyną tego było, że Cesarz, bawiący wówczas w Taganrogu nad morzem Azowskiem, wysłał był do Cesarzowej matki zawiadomienie, że niebawem do Petersburga powraca, a tymczasem tej samej nocy życie zakończył. Ale co ciekawszego jeszcze, że i feldjeger, wiozący depeszę, także wśród drogi życie zakończył, a co najciekawszego przytem, że, gdy nazajutrz adjutant cesarski wysłał o zaszłej śmierci monarchy zawiadomienie przez

posłańca do księcia Konstantego w Warszawie, to i ten posłaniec także umarł w podróży. Wszystko to dawało wiele do myślenia i opóźniło bardzo urzędowe zawiadomienie. Nadmienić wypada, że Cesarz, zanim się w Taganrogu z cesarzową Elżbietą połączył, przebywał czas pewien w Krymie, że zwiedził konno całe jego wschodnie wybrzeża, oraz ujścia Donu, ową klasyczną siedzibę malarji; że, przybywszy na miejsce, zapadł, o ile się z opisu jego choroby wydaje, na zimnicę apoplektyczną, która go w trzecim swoim napadzie zabiła. Co się zaś śmierci obu feldjegrów dotyczy, to i ci, w skutku pobytu nad Donem, mogli wyjechać niezdrowi, a szalona jazda na perekładnych przez kilka dni i nocy i najzdrowszego nieraz o śmierć przyprawiała. Znałem dwuch feldjegrów. Ci mi opowiadali o strasznych mękach, jakie musieli wytrzymywać w każdej z Warszawy do Petersburga podróży. Rzeczywiście na to potrzeba było żelaznego zdrowia.

Aleksandra I-go żałowano bardzo, gdyż bądź co bądź wieleśmy mu zawdzięczali dobrego, a nadto jego osobiste przymioty jednały mu serca. Do żalu przyłączyła się niespokojność, co dalej będzie, gdyż prawnym spadkobiercą tronu był książę Konstanty, a jego panowania nie tylko u nas, ale i w Rosji obawiano się bardzo. Wprawdzie wielki książę, żeniąc się z panną Grudzińską, zrzekł się był tronu, ale to było tylko zrzeczenie się prywatne w liście do Aleksandra, nie zatwierdzone bynajmniej formami państwa. Stąd poszło, że księcia Konstantego traktowano ciągle jako prawowitego następcę i po zejściu Aleksandra zasyłano go depeszami z tytułem cesarza, dopóki nie postawił żandarmów w Jabłonnie, nie zabronił puszczać do siebie kurjerów i nie oświadczył urzędownie życzenia, żeby go zostawiono w spokoju, przekazując swe prawa raz jeszcze na Mikołaja, swego młodszego brata.

Śmierć Aleksandra nie zmieniła u nas niczego. Pozostał ten sam, jak dotąd, stosunek pomiędzy konstytucyj-

nym i absolutnym rządem, tylko zaostrzył się bardzo, dając ostatniemu większą swobodę działania.

W kwietniu 1826 roku urządzono wspaniały obchód żałobny na cześć zmarłego monarchy. W jednej z sal zamkowych, czarnym kirem wybitej, ustawiono wspaniały katafalk, a na nim trumnę, okrytą całunem szkarłatnym, posianym białymi orłami. Przed katafalkiem leżały na wezgłowiach insygnia królewskie, ordery polskie i rosyjskie, oraz popiersie Cesarza. W dniu naznaczonym urzędnicy dworscy znieśli trumnę i popiersie na główny dziedziniec zamkowy i umieścili je na wspaniałych marach, wykonanych wedle rysunku profesora Blanka. Mary te nieść mieli senatorowie, generałowie i deputowani. Ale że to był ciężar nie lada, opierali się tylko na noszach, a pod marami, poza draperją, sięgającą do ziemi, skrytych było 30 ludzi, którzy cały przyrząd na ramionach nieśli. Korowód otwierał prezydent miasta, otoczony władzami miejskiemi, za nim szli szeregami wychowańcy zakładów dobroczynnych, potem uczniowie szkół publicznych z profesorami, uczniowie uniwersytetu na czele z rektorem i profesorami w togach, a wszystko to ugrupowane starannie pod kierunkiem strojnie przybranych mistrzów ceremonji. Przed marami niesiono insygnia królewskie i ordery, za nimi niesiono namiestnika; potem szedł wielki książę Konstanty, świetnym otoczony sztabem, a dalej ministerja i wszystkie dykasterje Królestwa grupami ze swymi mistrzami ceremonji. Ogromnie długi korowód przeszedł przez Krakowskie Przedmieście, przez Plac Saski, przez ulice Wierzbową, Bielańską, Długą i Miodową do katedralnego kościoła, gdzie został przyjęty przez Prymasa, na czele biskupów i duchowieństwa. Na ulicach, przez które przechodził, wystawiono po obu stronach w trzy rzędy szpalery wojskowe. Muzyki wojskowe grały marsze żałobne, co minutę strzelano z działa, a szeregi oddawały honory wojskowe. Domy i okna przystrojone były żałobnie, w oknach publiczność w kirach. Przed każdym kościołem za-

trzymywano się na chwilę, a wtedy podskarbi wyjmował ze złotej skrzyni, którą niosło 4 szambelanów, dwa worki i w asystencji wnosił je do kościoła, gdzie przyjmowało je miejscowe duchowieństwo. Jeden worek zawierał jałmużnę dla ubogich, a drugi ofiarę dla kościoła na utrzymanie alumnów. W kościele katedralnym wobec uroczyście rozlokowanych władz cywilnych i wojskowych Królestwa, Prymas odprawił mszę pontyfikalną, orkiestra wykonała requiem, skomponowane przez kapelmistrza Kozłowskiego, które w Petersburgu grano na obchodzie żałobnym po zgonie Stanisława Augusta. Biskup Woronicz wygłosił wymowne kazanie, a w końcu przeczytano wyjątek z testamentu zmarłego Cesarza, w którym uprasza swoich poddanych o modły za spokój jego duszy. Tu przyklękli wszyscy, a Prymas przed ołtarzem głośno odmówił modlitwę za umarłych, którą powtórzyli przytomni, przyczem zabrzmiały salwy artylerji i pułków, rozstawionych po mieście. Wszystko odbyło się nader poważnie. Akademicy tylko stanowili dysonans, stawili się bowiem w nader szczupłej liczbie. Zdaje się, że wysilili się na to, ażeby się ubrać jak najnikczemniej w same zbrukane i uderzająco wyszarzane mundury. Miała to być jakaś manifestacja, która jednak przez rozsądne publiczności sfery przychylnie przyjętą nie była. Wielki książę pienił się na ten widok ze złości i kazał wystosować uniwersytetowi energiczną naganę.

W kilka miesięcy później mieliśmy znów inny pogrzebowy obchód. Umarł książę Zajączek, namiestnik królewski. Pogrzeb urzędowy był wspaniały, ale publiczność nie brała w nim udziału i zachowała się nawet z pewnem lekceważeniem. Czemże był Zajączek? — Dobrym żołnierzem, towarzyszem Kościuszki, Napoleona w Egipcie, generałem w służbie francuskiej, pozbawionym obu nóg pod Berezyną. W r. 1818-tym wyniesiono go do książęcej godności, dano mu ogromną w okolicy Kalisza donację i powierzono mu najwyższy urząd namiestnika Królestwa z pominięciem właściwszych; a wszystko to zawdzięczał

słabości swego charakteru i brakowi politycznej samodzielności. Ów brak samodzielności politycznej u Zajączka pozwalał Cesarzowi przez zamianowanie go namiestnikiem, pochlebiać z jednej strony Polakom przez uszanowanie wojaka, z drugiej utworzyć parawan konstytucyjny dla sprawek księcia Konstantego i Nowosilcowa. Zapatrując się na to niezwykłe wyniesienie, Żół-



Józef Zajączek.
Namiestnik Królestwa Polskiego.

kowski w swoim „Momusie“ wyrysował zająca, biegnącego do lasu, i podpisał: „dobrze idzie kulasowi“; ale też za to z rozkazu w. księcia w kozie odsiedział. Był to człowiek zero, jakich sporo się znajduje między wojakami, przywykłymi do subordynacji i jęczącymi najczęściej pod pantoflem żony. Takim był np. Rożniecki, Dwernic-

ki, Hauke i t. d. I dlaczegóż nie miał być nim Zajączek? Był to nawet człowiek wykształcony, napisał kilka książek, ale człowiek bez zdania i bez energji tam wszędzie, gdzie nie wypadało działać z karabinem w ręku. W Warszawie bardzo go mało znać było; nie pokazywał się nigdzie, gdyż z powodu kalectwa dwuch lokai na fotelu przenosiło go z miejsca na miejsce. Ale też za to panią namiestnikową, urodzoną Francuzkę, znać było wszędzie, gdyż ani przed nią, ani po niej Polska nie widziała pewnie większej strojnickiej. Kobieta ta, już stara wówczas, kiedy ją widywałem, żyła tylko dla gałganków i mody; a że potrzeba było pokazywać stroje, szastała się po wieczorach, balach, po ulicach i po Saskim Ogrodzie, jak młoda panienka. Tymczasem po kilkadziesiąt tysięcy złotych wychodziło na rachunki paryskich modystek; bieliznę posyłano nawet do prania do Paryża; fryzjer, sprowadzony stamtąd umyślnie, pobierał 10,000 złp., a pani namiestnikowa, kokietując swoim ubiorem, stawała się w Warszawie coraz śmieszniejszą i wstrętniejszą [1]).

Pierwsza połowa 1826 roku odznaczała się w Warszawie obrzędami pogrzebowymi. Byłem na wszystkich i podziwiałem osobliwy każdego z nich charakter.

W początku zaraz owego roku umarł Staszic, przejmując całe społeczeństwo nasze głębokim żalem, bo był też to mąż wielkiej zasługi: przyrodnik, filozof, poeta, mąż stanu, jasno patrzący na rzeczy, a przytem człowiek rzadkiej zacności. Był ministrem stanu, a jednak najpopularniejszym w Warszawie człowiekiem. Skromny i po-

---

[1]) Wiele miało rozgłosu następujące zdarzenie. Namiestnikowa, pragnąc zaokrąglić swą kibić, poleciła przez kupca Szlenkera sprowadzić 10 par misternie zrobionych, okrągłych i pulchnych koszyczków, które się miały zakładać pod gorset na piersiach. Otóż ktoś jej figla wypłatał, dopisując zero na jej własnoręcznym obstalunku, a gdy 100 par nadeszło, suma do zapłacenia była niezwykła. Namiestnikowa nie chciała zapłacić, dopóki jej nie zagrożono skandalicznym procesem. Cała Warszawa miała o czem mówić przez parę tygodni.

tulny, przed nikim jednak nie pochylał czoła, a godność osobista, tryskająca z tej szczupłej, pochylonej i skromnie odzianej figurki, wszystkim, którzy ją znali, nakazywała poszanowanie. Był bardzo bogatym, a żył jak anachoreta w dwuch małych pokoikach przy Towarzystwie Przyjaciół Nauk, ponieważ dla tego Towarzystwa gmach wspaniały postawił. Po Albertrandym został prezesem tego Towarzystwa. Uchodził za oryginała i za skąpego w oczach niedowarzonych dlatego, że wyzyskiwać się nie dawał, choć sypał pieniędzmi, gdzie interes publiczny lub chrześcijańska pomoc tego wymagała. Kochał młodzież, wspierał ją i pomagał, ale tak, że prawa jego ręka nie wiedziała o tem, co dawała lewa. Żył wyłącznie dla kraju, ale się w politykę nie bawił. Cała jego olbrzymia działalność zwracała się do moralnego i materjalnego postępu społeczeństwa naszego. Pracę organiczną i utrzymanie narodowego ducha uważał słusznie za zasadę naszego narodowego odrodzenia. Było prawie jeszcze ciemno, gdy członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk na swoich barkach zanieśli skromną trumnę swego prezydującego na plac przed Kopernikiem, wśród licznie zgromadzonej publiczności, złożonej z osób wszelkiego stanu i wieku. Zauważono brak Senatu i władz rządowych. Akademicy, zgromadzeni przed Uniwersytetem, odebrali potem zwłoki. Celebrujący biskup odprowadził je aż do kościoła Franciszkanów na Zakroczymskiej ulicy, gdyż Staszic życzył sobie, ażeby go pochowano na Bielanach, przy kościele Kamedułów. Pomimo silnego mrozu, wichru i śniegu po kolana, akademicy i publiczność warszawska, tłumny stanowiąca pochód, niosła go aż na miejsce wiecznego spoczynku. Zebrało się na Bielanach około 15,000 osób, a może trzy razy tyle odprowadziło zwłoki aż do rogatek. W kościele przemówił profesor Skarbek, a nad grobem rektor Instytutu głuchoniemych, którego nieboszczyk był założycielem. Naostatek wśród łez, szczerze wylanych, pogrzebano go pod ścianą szczytową kościoła, gdzie dotąd spoczywa. W kilka dni potem po-

sypały się ody żałobne, z których jedną wcale udatną napisał nasz szkolny kolega, później znany poeta Gaszyński, z napisem: „Infandum regina jubes renovare dolorem“, za którą w kozie odsiedział z decyzji ministra Grabowskiego. Ponieważ w życiu tak, jak w dramatach Szekspira, poważne i komiczne miesza się w jeden zu-



Stanisław Staszic.

pełny obraz, a więc i na pogrzebie Staszica przytrafiło się zdarzenie, które nam potem śmiać się dozwalało. Uwijał się wówczas łotr wielki, szpieg, podlec, ajent policji tajnej Szymanowski, który, ufny wyższej protekcji, bezczelnie wszędzie się wkręcał. Otóż i on przyszedł na pogrzeb i wmieszał się między młodzież w pochodzie do

Bielan. Wtedy, jakby dla rozgrzania się przy końcu bardzo wydłużonego orszaku, zaczęto śniegiem na siebie rzucać, chociaż jemu najwięcej dostawały się kule, a gdy, niby niechcący przyparty do brzegu wyniosłej drogi, runął do rowu, zasypano go śniegiem; a co mu się kijów przytem dostało, to Bogu tylko wiadomo. Wylazł naostatek, jak z budy, a gdy się otrząsał i skarżył, powiedziano mu, że się nie zna na żartach, i pytano naiwnie, czy mu teraz ciepło. Wkrótce potem w nagrodę za jego gorliwość książę dał mu order Ś-go Stanisława III klasy, z ogromnem oburzeniem całego miasta. Akademicy postarali się o dużego psa, umyślnie ze wsi przywiezionego i, przymocowawszy mu do karku tekturowy order, napisali pod nim, że kiedy go Szymanowski otrzymał, to i on, A z o r, może go nosić. Policja goniła psa po mieście z wielką uciechą patrzących się na to, nareszcie złapano go i głodzono w nadziei, że do domu powróci i że się tym sposobem na ślad winowajcy natrafi. Pies, jako zamiejski, omylił wszelkie nadzieje.

W tym czasie u nas w domu nic nie zaszło nowego. Pożycie matki mojej z ojczymem było wzorowe, chociaż ojczym stawał się ociężałym i widocznie tetryczał. Mnie bardzo lubił i w długie ze mną wdawał się gawędy. Poznał się z panią Puchalską, będąc do niej kilkakrotnie jako lekarz wzywany, i bardzo ją chwalił. Pomimo tego wszelako niepodobna mi było do niej mojej matki zbliżyć. Dom nasz dosyć był ożywiony; u Świeżawskiego bywało kilku bardzo przyzwoitych kolegów; moja matka poznała się z panią Zanelli, której dwie córki uchodziły w Warszawie za pierwszorzędne piękności, co też niekiedy do tańcujących wieczorków dawało powód. Zaglądał też nieraz i ów doktór Brawacki, towarzysz uniwersytecki Kowszewicza, a obecnie także lekarz wojskowy, o którym wspomnieć tu muszę, gdyż na nieszczęście znalazł się kilkakrotnie potem na drodze mojego życia. Dosyć wysokiego wzrostu, chodził nieco zgarbiony i odznaczał się wstrętnem zaniedbaniem. Brudas, opierzony, niewy-

czesany i zaplamiony, w wypłowiałym bez guzików mundurze, niegolony i nieumyty, w powykrzywianych butach, raził, a nawet niepokoił swą ruchliwością i swemi brudnemi łapami, z krogulicznymi pazurami w żałobie; łapał cię za guzik albo za kołnierz, targał nim niemiłosiernie, uporczywie się w ciebie wpatrując. Gadatywus, paplał i wykrzykiwał, ciągle jakby w jakimś konwulsyjnym ruchu, który cię dziwił i niepokoił, chociaż przytem uważał na wszystko, był przebiegłym i sprytnym tak, że odgadnąć nie mogłeś, czy to temperament czy komedja, czy masz półwarjata czy franta przed sobą? Względność osobista, obyczaj towarzyski były to rzeczy obce dla tej wstrętnej osobistości, a jednak pomimo tego wszystkiego, choćby się zdawało, że ją chyba gdzieś na śmietnik należało wyrzucić, wybaczano jej wszystko, a co więcej, potrafiła sobie wyrobić pewne stanowisko w Warszawie i przyszła nawet do znacznej lekarskiej praktyki. Brawacki umiał się narzucać. Impertynent, traktował wszystkich z góry, zuchwale rzucał prawdę w oczy, wykpiwał brutalnie wszystko i wszystkich, i wszystko mu uchodziło; bano go się bowiem, ale i łaszono mu się zarazem, mówiąc: — „Prawda, że warjat, ale to genjalny człowiek!“ Niejeden, ruszając pogardliwie ramionami ze wstrętem, powiedział: „Ma foi, les extrémités se touchent“, i był z nim w porządku. Ten człowiek umiał ludźmi pomiatać, czarować ich wstrętem i wyzyskiwać ich sprytnie. Tego nie każdy dokaże. Do chorych jeździł osobliwą furmanką: na koła od rosyjskiej dorożki włożył wasążek od krytej bryczki, — zaprzągł do tego trzy zdechlaki i na kozioł posadził chłopca w sukmanie. Śmiano się z niego, wytykano palcami, a on wyszczerzał zęby. Matka moja nie mogła znosić tego szaleńca i żądała nawet od męża, żeby ją od jego wizyt uwolnił, ale dobroduszny ojczym nie umiał zdobyć się na to, dopóki nie przebrała się nareszcie miarka. Raz wpadł do nas Brawacki podczas obiadu i bez ceremonji usiadł przy stole, wszczynając rozmowę o szlachcie polskiej, na którą psy wieszał. Ojczym mój sta-

nął w obronie, a Świeżawski i Borowski mu dogadywali, i tak wzięli w obroty zaperzonego zapaleńca, że ten, zapominając o wszelkich względach, złapał garść marchwi z półmiska i cisnął ją ojczymowi w oczy. Wszyscy struchleli, a gdy się zababrany obcierał, moja matka podniosła się ze zgrozą i z miną obrażonej godności zaczęła szaleńca gromić. Stał przez chwilę, jak student, przed nią, z utkwionym w nią wzrokiem i otwartemi ustami, a potem wzdrygnął się i rzekł:

— Winszuję ci, panie Józefie, żeś wlazł pod pantofel, nie mam ja tu co robić.

— A i owszem, bardzoby nam było przyjemnie, gdybyś pan raczył o nas zapomnieć.

Tak się skończyła jego znajomość z moimi rodzicami, ale nie ze mną, jak się to pokaże.

Wkrótce potem zaszła w szczupłej naszej rodzinie niespodzianka, która zakłóciła cały nasz tryb życia. Ojczym mój otrzymał rozkaz przeniesienia się natychmiast do Modlina i objęcia tamtejszego fortecznego szpitala. Nie było do namysłu czasu. Nazajutrz więc zaraz, wziąwszy mnie z sobą, do Modlina pojechał, a matka zaczęła się przygotowywać do opuszczenia Warszawy.

Modlin od strony Wisły nie był podobny do tego, jakim się dziś przedstawia. Na prostopadłym wysokim glinianym brzegu wiślanym, pooranym strumieniami dorzecza i łudząco podobnym zdaleka do skały, wznosił się potężny wał ziemny, ze strzelnicami, z których wyglądały armaty. Przez Narew od Nowego Dworu prowadził most ciężki, drewniany, u góry wiązany, rzeczywiste arcydzieło ciesielskiej sztuki, z ogromnych belek, na które chyba cały las spotrzebowano. Wjechawszy na górę przez krętą drogę, stawało się na placu około dwuch włók rozległym, otoczonym wysokim ubastjonowanym okopem, na którym w nieładzie kilkanaście stało drewnianych domków, tak, że załoga musiała się chyba w kazamatach mieścić, których wszelako nie widziałem ani tym razem, ani podczas mojego później w Modlinie pobytu.

Oprócz kilku kompanji fortecznej artylerji rosyjskiej, innej załogi w fortecy nie było. Przysyłano tam tylko po kilka szwadronów kawalerji rosyjskiej, w Warszawie konsystującej, dla wyżywienia łatwiejszego koni z powodu łąk okolicznych, a te szwadrony co miesiąc się zmieniały. W fortecy były ogromne zasoby prochu i innych potrzeb artyleryjskich, oraz duży szpital dla okolicznych garnizonów, a zarazem jako rezerwa dla warszawskiego wojskowego szpitala. Ojczym mój zluzował w Modlinie doktora Rosetti, który wściekał się ze złości na wiadomość, że go aż do Hrubieszowa przeniesiono. Był to spolszczony pół Włoch i pół Francuz, dowcipniś, gadatywus, jak to mówią kuty na cztery nogi, który był potem lekarzem przybocznym i ulubieńcem Paskiewicza, i z którym liczne później miewałem stosunki. Dano nam w Modlinie bardzo przyzwoite mieszkanie. Powróciłem sam do Warszawy, a wkrótce potem rozstałem się z moją matką. Pomieszczono mnie przy wuju Rogozińskim, malarzu, który z domu prawie nie wychodził; sądził on, że już byłem w tym wieku, że powinienem się uczyć sam żyć na świecie; w niczem więc mnie nie krępował, tak, iż naraz zostałem swobodnym panem samego siebie. Miałem wtedy już lat szesnaście, byłem uczniem szóstej klasy, i, oprócz pani Puchalskiej, miałem już znajomości na własną rękę, w których mnie dobrze widziano. Skorzystałem też niebawem z tego usamowolnienia w bieżącym roku, zaraz po wakacjach, spędzonych nader przyjemnie w Modlinie.

Komendantem fortecy był generał Gugenmus, bardzo dobry Polak, pomimo swego nazwiska, pochodzący z familji saskiej, osiadłej w Polsce jeszcze za Augusta II-go. Był to olbrzym, i miał słynąć ze swej waleczności, ale nie ze swej głowy. Dosłużył się pięścią stopnia generała. Ożenił się z kobietą bardzo piękną, o której przeszłości różne chodziły słuchy, chociaż obecnie żaden na niej nie ciężył zarzut. Męża wodziła za nos niemiłosiernie, ale, gdy mu z tem dobrze było, to cóż komu było do tego? Otóż u gościnnego komendanta zbierało się całe wyższe

towarzystwo forteczne, w którem rej wodzili oficerowie owych zmieniających się szwadronów, wszyscy Wołyniacy, albo Litwini, synowie obywatelscy, weseli i dobrze wychowani chłopcy. Kilku z nich było żonatych. Gdy ich rodziny zjawiały się z odwiedzinami z Warszawy, komendantowa ożywiała się naraz, a wtedy urządzano wycieczki do lasów, przejażdżki po Wiśle i Narwie, konne wyścigi lub tańcujące wieczorki. Ponieważ z drugiej strony Wisły na Kaźmierzu (?) była stacja policji nadwodna, to jest barka z armatą i czterema żołnierzami pod dowództwem porucznika Głębockiego, bardzo przyjemnego człowieka, więc i on brał zawsze udział w tych wszystkich zabawach i dostarczał nam zawsze całego materjału przewozowego do wodnych wycieczek. Moi rodzice żywy brali udział w tem wesołem życiu, a ja się bardzo z Głębockim poprzyjaźniłem. Często przysyłał po mnie czółno; jeździłem do niego na dzień cały. Na stacji musiały się wszystkie statki i tratwy, płynące po Wiśle, meldować i swe legitymować papiery. Ponieważ ruch na obu rzekach był niewielki, a czynności mógł dokonywać sierżant, więc porucznik miał dosyć czasu, i albo ze mną jeździł na ryby, albo na polowanie, albo też grał w szachy. Żałowałem bardzo, gdy mi nakoniec wypadło do Warszawy powracać.

Uniwersytet Warszawski, jako jedyny wyższy zakład naukowy, przepełniony był wówczas niesłychanie, mianowicie na wydziale prawnym. Kraj był prawnikami obsiany do tego stopnia, iż między sądowymi woźnymi znajdowali się magistrowie prawa. Otóż, ażeby przystęp do uniwersytetu utrudnić, przepisano kurs dwuletni dla szóstej klasy i wprowadzono potwierdzanie egzaminów maturitatis przez osobną komisję egzaminacyjną w Komisji Oświecenia. Powróciłem więc do Warszawy, ażeby właśnie odbyć ów kurs drugi w najwyższej klasie, albo raczej, ażeby nic zgoła nie robić, gdyż kurs ten był prostem powtórzeniem pierwszego, i nawet pierwszo i drugoletni uczniowie nie byli oddzieleni od siebie. Znalazłem

tam jednakże niespodziankę, która mnie w najwyższym stopniu zajęła. Znalazł się pomiędzy nami Zygmunt Krasiński, późniejszy nasz wielki poeta, którego, jak się zdaje, wpisano do Liceum w celu uzyskania szkolnego dyplomu. Zygmunt był równy nam wiekiem, lecz widać było po nim arystokratyczne wychowanie i wyższe wykształcenie. Imponował nam poniekąd swojem wzięciem i swemi wiadomościami, ale umiał zarazem z nami się zbratać i naszą zyskać przychylność. A mieliśmy wówczas w naszym gronie kilku kolegów, którzy odznaczyli się później w naszej literaturze: był Gaszyński, Leon Łubieński, Magnuszewski i kilku innych. Ci literaccy wybrańcy ugrupowali się zaraz obok Zygmunta, i utworzyło się literackie kółko, w którem reszta klasy niemy brała udział. Zostawaliśmy w klasie po godzinach wieczornych i różne podnoszono kwestje, np. co to jest piękne? a co ładne? jak starożytni wyobrażali sobie piekło? i t. p. i szczegółowo je roztrząsano.

Takie schadzki pod przewodnictwem Zygmunta, przedłużając się nieraz dość długo, ściągnęły na siebie podejrzenia naszego inspektora, wietrzącego jakąś konspirację. Kazał więc zawczasu zamykać klasy, lecz wtedy całe zgromadzenie przenosiło się na kloce, na podwórzu leżące, i dyskusje toczyły się dalej. Ktoby się był spodziewał, że wywrą one ogromny wpływ na cały mój umysłowy zakrój? A jednak tak się rzeczywiście stało; a że w świecie moralnym skutki nie odnoszą się do wyłącznych przyczyn, przyłączyła się tu jeszcze i inna, której pominąć nie mogę. Oto Borowski, opuszczając nas w chwili odjazdu do Modlina rodziców, uściskał mnie serdecznie i tym razem nierównie poważniej, jak zwykle, odezwał się do mnie mniej więcej w tych słowach: „Wiesz o tem, Wiktorze, że cię bardzo kocham, ale, rozstając się z tobą, raz jeszcze muszę cię ostrzedz, że złą idziesz drogą. Wiesz nibyto wiele, ale to tylko, co ci łatwo przyszło, i co pochwyciłeś przypadkiem pomiędzy ludźmi. Tymczasem ty nic a nic gruntownie nie umiesz,

nie wyłączając nawet tabliczki mnożenia. Egzaminu maturitatis nie zdasz, bo zawsze tylko od biedy przechodziłeś z klasy do klasy. Zawiedziesz oczekiwania rodziców, którzy rachują na ciebie. Wejdź w siebie i staraj się nad sobą zastanowić poważnie, weź się energicznie do pracy, bo ci rok tylko do egzaminu zostaje. W gruncie jesteś bardzo dobrym chłopcem, ale niema w tobie mocnej woli, brak hartu, stałego postanowienia i wytrwałego dążenia do celu. Takim być nie może ten, kto się ma przedzierać przez ciernie życia, a na ciebie czekają obowiązki względem matki i ojczyma, dla których nie uśmiecha się wcale wiele przyjemności wśród życia. Majątku nie masz, twój szanowny ojczym przy swojem usposobieniu pewnie go także nie zrobi, cała więc przyszłość rodzinna na tobie polega. Jeśli więc w sobie nie wyrobisz woli, nie rozwiniesz w charakterze dzielności, nie nauczysz się systematycznie pracować, to zginiesz, kochanku, pomimo całej twojej towarzyskiej ogłady, niezaprzeczonej dobroci serca i wszystkich zewnętrznych przymiotów, które, jak uważałem, obiecują ci pewne powodzenie u ludzi. Zanotuj to sobie w pamięci, co ci powiedział twój nauczyciel, ale i najszczerszy przyjaciel".

Ta prosta przemowa, serdecznym wypowiedziana głosem, w solennej chwili rozstania się, głęboko mnie wzruszyła, pomimo swej bezwzględności. Byłem jak odurzony, ujrzałem się jakby w zwierciadle, ale w świetle zupełnie od tego odmiennem, w którem się dotąd sam sobie przypatrywałem. Namyślałem się długo nad tem, co mi powiedziano, ale miłość własna przemogła, i stanęło na tem, że chyba Borowski w troskliwości swej o mnie przesadził, i że tak źle jeszcze ze mną nie było. Ale jak w dni kilka potem z kolegami znalazłem się na klocach i jak ujrzałem poważnie stojącego Zygmunta, opromienionego jakby aureolą genjuszu, czytającego nam z zapałem jakąś scenę z Antygony Sofoklesa, którą sam przetłómaczył wierszem; jak porównałem ogrom wiedzy jego i całego umysłowego nastroju z moim, to tak zmalałem w

Biblioteka Nauczycielska Szkoły Podchorążych

swojem przekonaniu o sobie, że sam siebie zaledwie mogłem dopatrzeć. Odtąd chodziłem jak struty, zazdrość mnie nie opanowała, ale upokorzenie. Jakto? on Sofoklesa tłómaczy, kiedy ja zaledwie wiem o tem, że Sofokles żył kiedyś na świecie! On sam swą pracą i uzdolnieniem doszedł do tego, że go jak żaki słuchamy i podziwiamy, a ja lat siedm nad łaciną ślęczę i mizernego Korneliusza Neposa nie mogę dobrze zrozumieć?! Jakto on się tak łaciną i greką rozkoszuje, jak ja, gdy Górnickiego lub Niemcewicza czytam; a ja tkwię nad ablativus absolutus positivus, nad zmianą konstrukcji czynnej na bierną, nad radykałami, nad konstrukcją imiesłowową, nad prozodją i poetyką i nad im podobnemi mądrościami gramatycznemi, które kością w gardle mi sterczą! Nie! tak być dalej nie może, i nie mam wcale ochoty z wielkiej gramatycznej mądrości ogłupieć. Zapatrując się na Zygmunta, nie wiedziałem wcale na kogo patrzę, a sierdząc się na gramatykę, nie miałem żadnego o tem pojęcia, co w niej rzeczywiście siedzi, ale do żywego byłem pedantyzmem filologicznym znudzony i łaknąłem szerokiego świata Bożego. Nie umiałem sam sobie dać rady, a nie miałem nikogo, ktoby myślom, jakie mnie opanowały, przyzwoity nadał kierunek. Zniechęciłem się niesłychanie do szkoły. I co ja tam jeszcze przez ten rok mam robić? — pytałem się sam siebie. Będę powtarzał to, czegom się w zeszłym roku nauczył, i na cóż mi się to zda wreszcie? Aż strach było pomyśleć! Rozpaczliwe te myśli tak mnie opanowały, że straciłem sen i apetyt, i nieraz w głębokiem zamyśleniu, patrząc przed siebie, godzinami siedziałem. Przypominam sobie, że raz, gdym tak siedział w ogrodzie Saskim w chwili, gdy był prawie pusty, zbliżyła się do mnie jakaś staruszka, prowadząc małą dziewczynkę za rękę, i stanąwszy przede mną, zapytała, czym przypadkiem nie chory. Zerwałem się z ławki, jak przebudzony, i podziękowałem jej za troskliwość. Żebym to ja miał po temu fundusze, chociażby setną część tych, jakie ma Zygmunt, to jabym sobie dał radę, myślałem

sobie dalej; przyjąłbym nauczycieli i pokazałbym wtedy, czego to nauczyć się można. Ale czyż to wszyscy ich mieli? a najznakomitsi, czyż nie uczyli się sami? I któż to lekcje dawał Franklinowi, kiedy był chłopcem drukarskim? albo też Spinozie kto filozofję wykładał? albo Wattowi mechanikę? Najznakomitsi ludzie byli samoukami, a dlaczegobyś i ty, panie Wiktorze, nie mógł się sam czegoś nauczyć? Myśl ta zdziwiła mnie naprzód, ale wkrótce tak mnie opanowała, iż spróbować postanowiłem. Odnalazłem więc mego Korneliusza Neposa i wziąłem się do pracy według bardzo prostej a powszechnie znanej metody. Przetłómaczyłem jeden rozdział na polski, a potem, odłożywszy książkę, przełożyłem na odwrót moje tłómaczenie na język łaciński. Porównanie tego przekładu z oryginałem okazało mi zboczenia i błędy. Trzy razy raz po raz zrobiłem to samo na tym samym rozdziale, pracując bez przerwy ośm całych godzin, ale ostatnie moje tłómaczenie wcale mi nieźle wypadło, co mnie też bardzo zadowoliło. Nazajutrz wziąłem się znów do tej samej pracy, i ze zdziwieniem zauważyłem, że mnie bawiła. Odtąd przestałem chodzić do klasy, i cały oddałem się mojemu zadaniu. Otóż znalazła się wola oraz stałe dążenie do celu. Cieszyłem się bardzo, że się mój poczciwy Borowski w swoim o mnie sądzie pomylił. Wszystkich mi nieznanych wyrazów, które musiałem odszukiwać w słowniku, uczyłem się na pamięć, a po czterech tygodniach takowej pracy z moim Korneliuszem byłem już w porządku; rozumiałem go dobrze, gdziem tylko książkę otworzył. Rozstaliśmy się ze sobą, a ja się z Juljuszem Cezarem zaprzyjaźniłem. Otworzywszy książkę na chybi trafi, wpadłem na siódmą księgę de bello gallico, i ta mnie odrazu mocno zainteresowała. Bohaterska obrona Vincingentorixa przeciw rzymskiej napaści miała wiele podobieństwa do mej własnej ojczyzny. Ani mi się śniło wtedy, gdym czytał o świetnej obronie Alicji, że ona kiedyś się w losy moje wpląta. Pracując w ten sposób, stałem się rzadkim gościem u pani Puchalskiej, ba-

łem się bowiem spotkać z profesorem Dziekońskim, któryby mnie był o powód mojego zniknięcia ze szkoły zapytał. Ale nieszczęście chciało, żem się z nim najniespodziewaniej zeszedł na kawie. Musiałem wyznać mu wszystko i zauważyłem, że mu się to wcale nie podobało; ale że mnie dość lubił i chwalił polskie moje wypracowania, popatrzył mi w oczy i rzekł, że, nie będąc już dzieckiem, powinienem wiedzieć, co robić; a potem, zastanowiwszy się trochę, biorąc ciastko w rękę, dodał, że nie wszystkie ciastka pieką się jednako i nie wszyscy ludzie chodzą jednakiemi drogami. Ucz się, jak chcesz i możesz, byleś się czegoś nauczył na pożytek dla siebie, dla ludzi i kraju; i wytargał mnie za ucho, co mnie mocno zobowiązało. Z Cezarem szło mi nieco trudniej, ale szło jednakże i przekonałem się, że tą drogą dojdę nareszcie do zrozumienia łacińskich autorów, co też rzeczywiście się stało, gdyż następnie Liwiusza, a potem Owidiusza czytałem bez trudu, lecz do kompozycji łacińskich metoda moja nie prowadziła mnie wcale, a o nią bardzo chodziło, w owych bowiem czasach łacina ważną jeszcze w świecie naukowym i urzędowym odgrywała rolę, nie tak, jak dzisiaj, gdzie jeszcze jakby ostatnią dziurką, i to z łaski pedagogów, zaledwie oddycha. Ale tu koniecznie potrzeba mi było nauczyciela, którego wypadało zapłacić, a ja, oprócz utrzymania u wuja i małej na sprawunki od rodziców pensyjki, nic zresztą nie miałem. Znalazł się jednak sposób, przedsięwziąłem bowiem dawać korepetycje i zarobione pieniądze obracać na własne kształcenie. Nie długo szukałem. Przez mego wuja Seweryna poznałem się z panem Chmielewskim, obywatelem z Płockiego, który przywiózł do Warszawy do Pijarów dwuch wcale dobrze wychowanych chłopczyków i umieścił ich u państwa Pawińskich, niedaleko mieszkających ode mnie na ulicy Długiej. Chmielewscy mieli wsi kilka pod Sierpcem; on był mały, krępy, otyły i czupurny; ona zaś ogromna kobieta o twarzyczce i ułożeniu skromniutkiem, istna Grätchen, ale o nadmiernie zwiększonych

rozmiarach. Patrząc na nią, przypominałem sobie podróże Guliwera, kiedy, dostawszy się do kraju olbrzymów, oddany był jako zabawka w ręce piętnastoletniej olbrzymki. Była to jednak bardzo dobra kobieta, dobra matka i żona, którą musiało się szanować, poznawszy ją lepiej, a nim się bawić, zapatrując się na jego marsowe maniery. Ubezpieczywszy się w ten sposób, porozumiałem się z panem Tokarskim, trzecioletnim uczniem wydziału filologicznego, i odtąd chodziłem do niego trzy razy tygodniowo. Poprawiał on mi moje ćwiczenia i objaśniał mi ciemne zwroty, z którymi nie mogłem sobie sam dać rady. Przy usilnej pracy po kilku miesiącach znacznej nabyłem wprawy. Moje nad łaciną trudy nie przeszkadzały mi wcale zajmować się historją, matematyką i fizyką, których cały kurs gimnazjalny powtórzyłem sobie. Ucząc się sam, nieraz po kilkanaście godzin codziennie, doznawałem często znudzenia i zniechęcenia; rzeźwiłem się jednak, jak mogłem, mając ciągle złożenie egzaminu na celu, a więcej jeszcze poświęcenie się medycynie, do której czułem w sobie nieprzeparty popęd, a która, na nieszczęście, łaciny bardzo potrzebowała, gdyż przeważnie w tym języku była wykładana.

Kowszewicz był rozkochany w swoim medycznym zawodzie, nie tyle w praktycznem jego zastosowaniu, ile w teoretycznym jego kierunku. Medycyna, mawiał mi nieraz, jest niezaprzeczenie najwznioślejszą nauką, stawia cię w pośrodku przyrody i człowieczeństwa i odsłania przed tobą ich tajemnice. Jesteś tam wobec wszechświata i Boga, uznajesz wszechmoc twojego umysłu, ale i jego ograniczoność zarazem. Przed tobą nikną pomiędzy ludźmi wszystkie sztuczne różnice stanu, i wszyscy ludzie są równi, bo wszyscy jednako moralnie i fizycznie są uorganizowani, i wszyscy ulegają jednakim warunkom bytu. Medyk myślący nie może być ateuszem, ale nie wierzy wedle ogólnej wyznaniowej formułki; musi być demokratą wobec niwelującej natury swojej nauki. Żadna też inna nauka tak wysoko nie sięga i wyższego nie daje zadowo-

lenia, bo żadna wyraźniej nie stawia ci owego najwyższego filozoficznego zadania, ażebyś świat poznał i siebie samego. A żadna też, dodawała moja szanowna matka, jeżeli była przytomną naszym rozmowom, nie kładzie ci w ręce więcej sposobów do spełnienia twych obowiązków chrześcijanina. I owszem, ja nic przeciwko temu nie mam, żebyś był lekarzem, ale obrachuj się ze sobą, bo jest to nader trudne do spełnienia zadanie.

Na zasadzie tych wzmianek wypoetyzowałem sobie wzniosłość stanowiska lekarza, nie bacząc zupełnie na jego materjalną stronę. I nie dziwota, bo w społeczeństwie, które mnie otaczało, materjalizm był pod klątwą, jak gdyby manna pożywcza padała z nieba. W późniejszych latach życia mego oczekiwało mnie ogromne rozczarowanie. Taki tkwi jednak upór w przekonaniu młodości, że nic dotąd nie zdołało wyziębić moich ideałów i przekonać mnie, wedle dzisiejszych pojęć, że medycyna jest handlem, który się na gotówkę realizuje, że jest nauką, zastosowaną do zachowania i przywracania zdrowia, tak jak buchalterja jest nauką, zastosowaną do kupieckich obrotów, i że nadawanie jej wyższego humanitarnego znaczenia jest egzaltacją, mrzonką i zbytkiem wobec naszych pozytywnych życia warunków.

Ucząc się sam usilnie, znalazłem wprawdzie samodzielność w sobie, ale nabrałem także zarozumienia, które mi brzydką wypłatało sztukę. Powiedziałem powyżej, że podwójnego od nas wymagano egzaminu maturitatis: w szkołach i w Komisji egzaminacyjnej, której prezesem był pan Lewocki. Ponieważ zdarzały się wyjątkowe przypadki, że pozwalano pominąć egzamin szkolny i poprzestano na egzaminie w Komisji, umyśliłem sobie obejść moje Liceum i wszystko odrazu skończyć. We właściwym czasie napisałem do Komisji prośbę o przypuszczenie do zdawania egzaminu wprost w niej, i dołączyłem świadectwo lekarskie na dowód, że muszę za granicę do wód się udać. Otóż właśnie w tej chwili, gdym własnoręcznie Lewockiemu w jego gabinecie prośbę tę oddawał,

wszedł pan dyrektor Komisji Oświecenia Grabowski i, zobaczywszy mnie, zapytał, o co mi chodzi. Gdym mu opowiedział rzecz moją, obracając się do Lewockiego, rzekł:

— Pozwolić mu, niech składa.

— Ależ panie dyrektorze...

— No i cóż to komu zaszkodzi, odpowiedział krótko; odwrócił się i poszedł.

Lewocki ramionami ruszył i kazał mi przyjść nazajutrz, aby rozpocząć piśmienne zadanie.

Chodziłem odtąd przez kilka dni co rano i odpisywałem w osobnym pokoju na zadane mi tematy, i już byłem przy końcu, gdy się rektor Linde o wszystkiem dowiedział i ogromnego narobił hałasu w Komisji egzaminacyjnej, twierdząc, że wychodzi ona poza przepisy i że nadużywa swej władzy. Następstwem tego było, że mnie Lewocki przywołał do siebie i wręcz mi oświadczył, że przekonał się z dotychczasowych prac moich, iż egzaminu nie zdam; radzi mi więc, żebym się do rektora Lindego udał z prośbą o przypuszczenie mnie do egzaminu w Liceum, bo wtedy na mocy patentu szkolnego będzie mnie mógł w Komisji mniej ostro egzaminować. Odszedłem z nosem spuszczonym na kwintę, przewidując straszną u Lindego burzę. I nie minęła mnie też bynajmniej. Wyburczał mnie ogromnie i w końcu oświadczył, że mnie do egzaminu przypuści, ale jako zupełnie obcego z prywatnej edukacji, i żądał, ażebym nawet w mundurze szkolnym się nie pokazywał. Stanęło nas do egzaminu dwudziestu. Ośmieszony przez kolegów, byłem do żywego dotknięty. Grożono nam niesłychanym rygorem, a tu jeszcze jakiś żartowniś, ażeby nas straszyć, puszczał fałszywe wieści. I tak odrazu gruchnęło, że przy egzaminie z historji uważać będą ogromnie na daty chronologiczne. Uczyliśmy się ich zatem na złamanie karku, a spotkawszy się nawet przypadkiem na ulicy, jeden zaraz pytał drugiego, a w którym roku Hiszpanie zdobyli Grenadę? lub w którym roku przypada bitwa pod Połta-

wą? i t. p. Przed samym egzaminem rozeszła się znów wiadomość z najpewniejszego źródła, że każą nam tłómaczyć piątą satyrę Juwenalisa. I skądże znów Juwenalisa, myśleliśmy sobie, kiedyśmy go się nawet nigdy w klasach nie dotykali; wszakże to najtrudniejszy podobno z łacińskich autorów? A i dlaczegóżby nie, odpowiadano na to, jeżeli nas szykanować mają? Wszakże Nowosilcow się wścieka, że za wiele wchodzi do uniwersytetu. I rzeczywiście egzaminowano nas surowo: wprawdzie ani o chronologii, ani o Juwenalisie mowy nie było, ale przez dwa dni po dziesięć godzin żyłowano nas na wszystkie strony, a poczciwych naszych i uprzejmych nauczycieli przejął jakby szał jakiś rygorystyczny. Ja ucierpiałem najwięcej, bo rektor Linde ciągle przytomny, przy każdym przedmiocie obracał się do profesorów, mówiąc: my naszych znamy, ale zwróć pan głównie na obcego uwagę. Szło mi jednak nieźle, a mianowicie matematyka i fizyka poszły wybornie, i to mnie uratowało, gdyż z greckiego i niemieckiego otrzymałem najnędzniejszy stopień. Gdyby mi był kto wtedy powiedział, że ja kiedyś będę pisywał książki po niemiecku, to byłbym mu się roześmiał w oczy.

Było to już po piątej wieczorem, około Ś-go Jana, w dzień niesłychanie gorący, gdy nam kazano z sali ustąpić, ażeby się nad naszymi losami naradzić. Usiedliśmy więc znów znękani i zasępieni na naszych klocach, gdy naraz powstał Gaszyński, wyciągnął jakąś książeczkę z kieszeni i rzekł: Oto słuchajcie, otrzymałem dopiero co prosto z Petersburga nadeszły poemat Mickiewicza „Konrad Wallenrod“. Jeśli chcecie, to go wam przeczytam. I czytać zaczął. Od pierwszych wierszy zapomnieliśmy odrazu o naszym egzaminie i o świecie całym, tonąc uwagą w uroczym wielkiego poety utworze. Profesorowie nasi, patrząc przez okna, pojąć nie mogli, co znaczy to nasze skupienie się w gromadkę i ów w środku czytający z zapałem. Tymczasem skończono narady i przysyłano dwa razy po nas woźnego, ale gdy nikt się

z nas nie ruszył, Linde zniecierpliwiony wybiegł sam z krzykiem: a co wy tam robicie? Przetarliśmy oczy, jakby ze snu zbudzeni. Czytamy nowo wyszłe Mickiewicza dzieło. — Aha! „Cicho wszędzie, głucho wszędzie. Co to będzie, co to będzie?“ — i roześmiał się głośno.

Zdaliśmy szczęśliwie wszyscy, mnie tylko, jako obcego, położono na samym końcu listy, a nadto przyznano mi gorsze stopnie, jak na nie zasłużyłem według zdania moich kolegów. Szedłem do domu znękany, było mi tak, jak człowiekowi, który, ciężar zrzuciwszy z pleców, zamiast się cieszyć swobodą, przeciąga się zmęczony. Dobrze ci tak, myślałem sobie, szukałeś guzów, otóż je masz; teraz stoisz u mety wprawdzie, ale ci wcale nie raźno.

Na wiadomość, żem zdał egzamin, wuj Antoni uściskał mnie serdecznie, posłał po butelkę wina i razem z wujem Sewerynem spełniono toast za moje zdrowie, i to mnie dopiero orzeźwiło trochę.

W kilka dni później, kiedym się spotkał z Dziekońskim u pani Puchalskiej, rzekł do mnie:

— No i cóż, panie Wiktorze, jakoś się nieźle wygryzłeś, ale co ty Lindemu zrobiłeś, że był tak na ciebie zagniewany i wyraźnie przeciw tobie intrygował?

— Musiałem mu przeto opowiedzieć wszystko, co zaszło, a wtedy pokiwał głową i rzekł: Pamiętaj to sobie, że człowiek honorowy krętemi drogami nigdy nie chodzi, i niechaj to, co zaszło, za naukę ci posłuży. Lecz natychmiast, zmieniając przedmiot rozmowy, powiedział: Czytałem waszego Wallenroda; a wiesz, mój kochany, że to bardzo ładne.

— A mnie się zdawało, że to się nie będzie panu profesorowi podobać...

— A to dlaczego?

— Bo mówią, że pan jesteś klasykiem.

— A cóż to ma do tego? — odpowiedział mi z uśmiechem: mnie się wszystko podoba, co piękne, bez względu na to, w jakiej pokazuje się formie.

Ponieważ wrzała wówczas ogromna wojna między klasykami naszymi i romantykami, której ja nie rozumiałem wcale, korzystając więc z okoliczności, prosiłem, ażeby mnie objaśnił. Staliśmy we framudze okna pod klatką z kanarkami; szanowny więc profesor, który niesłychanie objaśniać lubił, wskazując mi na nią palcem, odezwał się mniej więcej w te słowa. Widzisz, ten kanarek śpiewa, jak mu Pan Bóg przykazał, i wywodzi trele po prostu według natchnienia swego ptasiego serduszka. Ale są kanarki, które śpiewają, jak ich nauczono, śpiewają według reguł, jakie im pozytywka wskazuje. Otóż pierwsi są romantykami, a drudzy klasykami. Niechajże sobie obaj śpiewają, jak im wygodniej, byle tylko dobrze śpiewali, bo na tem grunt, a nie na ich metodzie. Zostaw ją pedantom, niechaj sobie o nią nadłamują karki, a my patrzmy na treść rzeczy, a nie na jej formę. Byłem mu nadzwyczaj wdzięczny za to objaśnienie, i spory naszych literatów odrazu mnie odtąd zajmować zaczęły.

Wszystkie moje do Modlina wycieczki odbywały się piechotą, obyczajem niemieckich studentów, których wakacyjne podróże ówczesne niesłychanie mi się podobały. W piękny dzień lipcowy raniutko wyszedłem z lekkiem sercem z Warszawy. Pierwsza osoba, którą w Modlinie spotkałem, był Guzowski, ale z wielkiem zdziwieniem mojem, siedział w budce mostowej i opłatę mostową odbierał.

— A pan co tu robisz? — zapytałem go, witając.

— Oto kopytkowe odbieram.

— Skądże to panu przyszło?

— Ożeniłem się z córką kolonisty z Kazunia (?); wydzierżawiliśmy mostowe; żona pracuje w domu, a ja myto odbieram, oczekując na lepszą posadę. Przyznam się, że mi to zatrudnienie Guzowskiego wcale nie przypadło do gustu, w przekonaniu, że go kompromituje.

Uciecha w domu z powodu ukończenia mego egzaminu była niemała, zwłaszcza, że bardzo wątpiono w pomyślny rezultat moich usiłowań. Kiedy matce mojej o

Guzowskim wspomniałem, odpowiedziała, że żadnej poczciwej pracy wstydzić się nie trzeba, i że ja sam jeszcze nie wiem, co mi w przyszłości robić wypadnie.

Tymczasem w Modlinie wszystko się zmieniło, nastali inni ludzie, z którymi żyć było niełatwo, zacząłem się więc nudzić szkaradnie. Szczęściem, że sobie wynalazłem zajęcie. Poznawszy się z burmistrzem w Nowym Dworze, zobaczyłem u niego w kancelarji stos książek, i dowiedziałem się, że to były poszyty Izydy polskiej, miesięcznika poświęconego rolnictwu i przemysłowi. Nie słyszałem nigdy o takiem pismie, a tymczasem wychodziło ono już od lat kilku pod protekcją rządu, gdyż nakazano prenumeratę wszystkim gminom w Królestwie. Na nieszczęście skutek był taki, że książki przychodziły jak najregularniej pocztą, ale je na stosy układano w kancelarjach gminnych, a nikt do nich nie zajrzał. Pożyczyłem sobie kilka zeszytów, i z wielkiem mojem zdziwieniem znalazłem tam bardzo ciekawe rzeczy, które mi odkryły sfery, w jakich myśl moja dotąd nie błąkała się nigdy; bo cóż mnie mogło rolnictwo i przemysł obchodzić? Izys była redagowana bardzo starannie i jak najzupełniej do naszych czasów i potrzeb zastosowana. Zainteresowała mnie też niesłychanie. Nie mogłem pojąć, jakim sposobem ludzie, którzy mnie otaczali, na tyle ciekawych rzeczy mogli być obojętni. Błąkałem się dotąd w dziedzinie myśli i uczucia, teraz zaś naraz otwarły mi się oczy i stanąłem w dziedzinie czynu, gdzie owa myśl w materję się wciela. Człowiek stworzyciel, cóż to za powołanie wielkie! Środkiem do jego realizowania jest wiedza. Było rzeczywiście czem się zachwycać, i aż mi wstyd było za tych biedaków, którym się zdaje, że poezja w tem leży tylko, co się wyśpiewa, wygra, wymaluje, wyrzeźbi albo wytańczy. Winienem to Izydzie, żem się odtąd zaczął jej dopatrywać w życiu na każdym kroku i w każdym ludzkim utworze. A ile mi rozkoszy przyniosła w dalszem mojem życiu ta złota nitka, wpleciona w parcianą rzeczywistości tkaninę, to tylko Bogu wiadomo. Im-

ponowały mi także owe potężne siły przyrody, jakie umysł ludzki ogarnął, ażeby zużyć do swoich przemysłowych wytworów; a były to właśnie czasy, w których siła pary zaczęła swą potęgę roztaczać. Machin parowych nie mieliśmy w kraju naszym i dopiero nas o nich zaczęły dochodzić posłuchy. Pierwszą widziałem w Dąbrowie w dwa lata później, a drugą w zakładach bankowych w Warszawie na Solcu. Jakżeż mnie one dziwiły! Odtąd przemysł stał się poniekąd moim ideałem, i powtarzałem sobie, że, gdybym nie miał być lekarzem, tobym inżynierem został. Gdy to mój ojczym usłyszał, rzekł: nie odbiegasz daleko, bo też lekarz jest rzeczywiście inżynierem, tylko dla ludzkiej machiny, najbardziej skomplikowanej ze wszystkich, a zatem największego wymagającej zasobu wiedzy.

Ponieważ nauka i jej zastosowanie zaczęły się w owym czasie wdzierać we wszystkie życia naszego domowego szczegóły, rozstaliśmy się więc z mnóstwem przyrządów, weszłych w użycie od wieków, np. z przedpotopowem krzesiwkiem, i zaczęli używać siarniczek, które nam fabrykował jakiś młody chemik, goniący za chlebem na Danielewiczowskiej ulicy. Były to poprostu małe i nizkie flaszeczki z asbestem, napojonym kwasem siarkowym, w które się maczało pałeczki z łebkami z chloranu potażu. Na nieszczęście, psuły się one tak często, że, rozstawszy się raz z krzesiwkiem, trzeba się było na nowy jaki wynalazek oglądać. Zaczęto więc, przynajmniej do pokojowego użytku, fabrykować gazopyriony, narzędzia dość proste, w których strumień wodoru, a raczej wodorodu, jak go nazywano wówczas, dmuchając w gąbkę platynową, rozżarzał ją do czerwoności, a potem sam się od niej zapalał. Otóż wziąłem się do obu tych fabrykacji, w skutku mojego się w technice rozmiłowania, i uszczęśliwiałem moimi produktami wszystkich naszych znajomych; ale mi to kością w gardle wkrótce stanęło, gdyż psuły się także łatwo, a ja musiałem przez grzeczność ciągle naprawiać. Szczęściem,

że wynaleziono niebawem fosforowe siarniczki, i to mnie zwolniło. Dobrze o tem wiedzieć, że ulica Danielewiczowska jest kolebką zapałek w Warszawie, i że wszystkie nasze kucharki winny jej wdzięczność, nie potrzebując już teraz palców sobie o krzesiwko rozbijać. Jeżeli sobie przypomnę szczegóły ówczesnego naszego domowego życia, nasze szczupłe pomieszkania, przeludnione domownikami, nasze olbrzymie z sieni opalane piece, nasze kominy kuchenne z wiecznie buzującym się ogniem, nasze świece łojowe, lub mizerne lampy argackie, nasze szczypce, pióra gęsie, niezbędne scyzoryki, a zwłaszcza zabłocone nogi, ile razy z ulicy do domu się przyszło, to zdaje mi się obecnie, że to kiedyś przed wiekami się działo. Tempora mutantur! prawda, że i my mutamur cum illis, — ja sądzę, że na lepsze, i to nie tylko pod materjalnym względem, chociaż nie wszyscy są tego zdania.

W ciągu moich wakacji ojczym mój otrzymał rozkaz powrotu do Warszawy, gdzie mu wyznaczono czynność biurową regestracji i statystyki chorych ze wszystkich szpitali wojskowych. Wróciliśmy znów razem i najęliśmy pomieszkanie na Nowym Świecie, a matka moja przy pomocy służących miała się zająć przesłaniem mebli. Natychmiast uzupełniłem mój egzamin w Komisji. Gdy nadszedł czas potwierdzenia egzaminu, Lewocki był bardzo na mnie łaskaw, egzaminował mię tylko z matematyki i zadał mi tylko dwa podchwytujące pytania: Jak obrachować objętość beczki i jak zważyć dobrze ciężar za pomocą fałszywej wagi? Nazajutrz zaraz zapisałem się do uniwersytetu na wydział lekarski i kazałem sobie wyszyć na kołnierzu mojego munduru podwójną obwódkę, jako uniwersytecką oznakę, którą się przez dni kilka po mieście pyszniłem, dopóki mi nie spowszechniała.

ROZDZIAŁ III.

Uniwersytet.

Rzecz dziwna rzeczywiście, że pamięć o Uniwersytecie Aleksandryjskim, który istniał u nas do 1830 roku, jakaś obojętność pokrywa. Historja jego we mgle pogrążona nie znalazła nawet dotąd swego biografa, i zacni jego profesorowie idą w zapomnienie. A jednak instytucja ta położyła ogromne zasługi, wykształciła bowiem kilka tysięcy ludzi, których inteligencją żył kraj w najsmutniejszych swych czasach, aż do roku 1860. Jedną z przyczyn tego zapomnienia jest niezaprzeczenie ta okoliczność, że mierzono go na skalę uniwersytetów niemieckich i nabyto przekonania o jego niższości, a tymczasem mniemanie to było z gruntu fałszywe, gdyż zadania naszego uniwersytetu były o wiele różne od niemieckich, i że właśnie za wielką zasługę organizatorom naszego uniwersytetu poczytać należy, że się trzymali raczej francuskiego, niżeli niemieckiego wzoru. Każdy niemiecki uniwersytet ma dwa zadania: nauczanie i rozwijanie nauki. Pierwsze mu nakazuje kształcić młodzież, i tu występuje jako szkoła, — drugie zaś kształcić i rozwijać naukę, gdzie znów jako akademja na jaw wychodzi. Ten drugi kierunek, to usiłowanie rozszerzenia i pogłębiania wiedzy, jest tak charakterystyczny dla uniwersytetów niemieckich, iż kto wie, czy nie był pierwotnym, tak, iż szkoła później się dopiero znalazła przy stowarzyszeniach

uczonych. Cokolwiekbądź nie można tego uważać za szczęśliwą kreację, bo przy takiem zespoleniu jeden z kierunków musi zawsze cierpieć. Stąd też pochodzi, że mniejsze uniwersytety są przeważnie szkołami, a większe przeważnie akademjami, gdzie profesor wykłada tylko pro forma, zwalając cały pedagogiczny ciężar na barki swych asystentów, albo prywatnych docentów. Otóż u nas chodziło o to i do dziś dnia chodzi jeszcze o to wyłącznie, ażeby uczyć, i ażeby poziom naszej naukowej wiedzy, ile możności, jak najprędzej podnieść do poziomu ogólno-europejskiego. U nas profesor badacz, postęp nauki mający głównie na sercu, pracowałby dla świata, ale nie dla kraju. Uważajmy go zatem jeszcze obecnie jako ideał przyszłości i żądajmy tylko od niego pedagogiki, a na tem polu największe nawet jego uzdolnienie obszerne dla siebie znaleźć może pole. Umieć coś samemu, postawić sobie naukowy postulat i dążyć do jego rozwiązania a nauczyć, to są dwie rzeczy, które nawet rzadko ze sobą się łączą. Oto przykład, który odnosi się wprawdzie do późniejszego czasu, ale jest nie mniej ciekawy. W Paryżu, w dziesięć lat później, uczęszczałem w „Collège de France“ na prelekcje sławnego fizyka Ampère. Objaśniał on nam zjawiska termo-elektryczne, które sam odkrył i zbadał. Ale wykład był ciemny i zagmatwany. Korzystając więc ze zwyczaju, ja i kilku innych zbliżyliśmy się do katedry po lekcji, prosząc o objaśnienie. Uczony skłonił się bardzo grzecznie do naszej prośby, ale, w miarę jak rozwijał wykład, stawał się coraz ciemniejszym, a naostatek sam zniecierpliwiony, uderzywszy w katedrę ręką, rzekł: wykładam wam część fizyki, której jestem ojcem, naturalnie więc ja muszę rozumieć, ale, jeżeli chcecie, ażeby wam dobrze wytłómaczyć, to udajcie się do Biot'a, on to zrobi nierównie lepiej ode mnie. O ile Ampère był wielkim badaczem, o tyle Biot był wielkim profesorem. Umieliśmy to odróżnić.

W ścisłem znaczeniu Uniwersytet Warszawski Aleksandryjski nie był uniwersytetem, ale był szkołą głów-

ną, wedle późniejszej nazwy Wielopolskiego. Nie posiadał on ani jednej naukowej znakomitości, ale posiadał wielu doskonałych nauczycieli, znających swe posłannictwo i starających się jak najsumienniej uczynić mu zadosyć. Tacy, jak Brodziński, Frączkiewicz, Skarbek, albo nawet Osiński, nie powinni iść w zapomnienie, kraj im bowiem zbyt wiele zawdzięcza.

Pierwszy mój krok w owej Szkole Głównej nie zrobił na mnie przyjemnego wrażenia. Zapisawszy się u rektora, trzeba się było dziekanowi przedstawić. Był nim wtedy Roliński, człowiek poniekąd odrażający. Słusznego wzrostu, chudy, zgarbiony, chodził boczkiem w ten sposób, jak gdyby się tajemniczo do ciebie przysuwał; mówił grubo, półgębkiem, ponuro, jakby z pod ziemi, — słowem, robił wrażenie cmentarnego grabarza na każdym nowo przybywającym, a z góry uprzedzonym o tem, że anatomję wykłada. Spojrzał się na mnie jakimś rozdąsanym wzrokiem i zapytał, czym się dobrze namyślił, zapisując się na wydział lekarski, „bo to nie żarty i wiele pracować potrzeba, a jeżeli panu pstro w głowie, bo coś jeszcze bardzo młodo wyglądasz, to idź sobie z Bogiem i zapisz się na prawo“. Skłoniłem się pięknie i odszedłem, jak zmyty.

Wydział lekarski odosobniony był wówczas od reszty uniwersyteckich zabudowań i mieścił się na Kanonji, w gmachu dawnej Szkoły Lekarskiej, założonej przez Króla Saskiego w czasie Księstwa Warszawskiego, którą potem do powstającego uniwersytetu wcielono. Było tam bardzo szczupło i niewygodnie, gdyż na wiele przedmiotów, które się słuchało wspólnie z innymi wydziałami, trzeba było chodzić do kadeckich koszar, chociaż furtka, która istniała wówczas przy kościele Wizytek, bardzo nam przejście ułatwiała. Liczba też medyków, stosunkowo do innych wydziałów, była bardzo mała. I tak na pierwszy kurs zapisało się wraz ze mną czternastu. Cały zakład wyglądał miniaturowo, mianowicie w porównaniu z zabudowaniami przy innych uniwersytetach na po-

mieszczenie rozlicznych klinik i pracowni. I nie dziwota, bo też za moich czasów wszystko kończyło się na słowie, a dziś wszystko musi być demonstracją stwierdzone. Wtedy młody Eskulapa zwolennik uczył się na wiarę, a dziś musi się wszystkiego sam dotykać i zaprawiać się do samoistnej obserwacji i samoistnego badania.

Robiono raz zarzuty pewnemu znajomemu mi biskupowi, że się mieszał do polityki. Na co on odpowiedział, że radby bardzo nie mieszać się do niej, gdyby ona nie mieszała się do grzechu. Otóż i ja mogłem to samo powiedzieć; radbym bowiem nie mieszać się do przygód mojego życia i spraw publicznych mojego kraju, gdyby one do mnie się nie były mieszały. Że zaś losy pokierowały inaczej, mam więc pokrótce zwrócić uwagę na to, co u nas w owym czasie się działo.

Rewolucja francuska otworzyła oczy ludów na prawa człowieka. Francuskie armje Napoleona rozniosły je krwawymi szlakami po świecie. Samowładny despotyzm, najdotkliwszy, ostygł w sercu, z którego się już nigdy nie podniósł; a gdy po upadku Napoleona, pomimo wszelkich tryumfów, trzeba było dworom kapitulować, porobiono w celu zaspokojenia strwożonych ludów obietnice i ustępstwa, które następnie powoli zapomniano i cofano w nadziei, że wszystko pójdzie w niepamięć i że zmartwychwstanie zdławiony porządek polityczny zeszłego stulecia. Przerachowano się jednak ogromnie, bo w miarę, jak się wysilała reakcja na nowe spętanie wolności, duch publiczny europejski coraz jej silniej pożądał, a nie mogąc objawiać się publicznie, skupił swe działanie w towarzystwach tajnych. Masonerja rozpowszechniła się w całem ówczesnem społeczeństwie europejskiem. Działania wojenne jeszcze tem silniej ją zjednoczyły. Była ona rzeczywiście najpotężniejszym działaczem przeciw podnoszącej się hydrze reakcji. Gdy ją rozwiązano i wyklęto, duch jej skrył się pod ziemię, i tam potężnie nurtował. Potworzyły się towarzystwa tajemne a mianowicie Tugendbund w Niemczech, karbonaryzm we Wło-

szech, i wkrótce niesłychanie, pomimo całej swej tajemniczości, rozkwitły. Wszystkie bez wyjątku spiskowały przeciwko monarchom, przypisując ich egoizmowi wszelkie socjalne nieszczęścia. Mniemano, (o sacra simplicitas!), że jak usunie się królów i ich samolubne dynastje, to ludy oswobodzone padną już w swoje objęcia, i Królestwo Boże zakwitnie na ziemi. Rosja miała swoje spiskujące stowarzyszenia, i my mieliśmy także nasze, ale te różniły się rdzennie swym celem od wszelkich innych. Nam nie chodziło bynajmniej o zgładzenie monarchji. I owszem, pragnęliśmy usilnie mieć naszego własnego i wyłącznego króla. Chodziło nam o odbudowanie niezależnej ojczyzny. Upadek królów mógł być dla nas bardzo na rękę, ale bynajmniej nie rozstrzygał rzeczy, i dlatego też wszystkie zagraniczne spiski nie budziły w nas współczucia. Za to wkrótce po rozwiązaniu lóż masońskich zawiązało się Towarzystwo patrjotyczne polskie, które wzięło sobie za cel podtrzymywać i rozwijać ducha narodowego, i wszelkich dokładało usiłowań do odbudowania Polski. Nie miało ono żadnego wybitnego zresztą programu, i rzeczywiście za sprzysiężenie poczytywanem być nie mogło. Wykraczało tem tylko, że istniało pomimo zakazu księcia namiestnika, potępiającego wszelkie stowarzyszenia nieupoważnione. I dlatego też, kiedy w lat kilka później wykryte zostało, przywódcy jego Łukasiński, Dobrogojski i Dobrzycki pociągnięci zostali do odpowiedzialności jedynie tylko za przewinienia porządkowe i przez sąd zwyczajny skazani na karę, od której ich ułaskawiono. Przy końcu jednak panowania cesarza Aleksandra rzeczy wzięły nierównie ważniejszy obrót. Towarzystwo bowiem tajne rosyjskie pod przewodnictwem Pestla, Murawiewa, Bestużewa i innych, działające w kierunku ogólno-europejskiego sprzysiężenia, postanowiwszy obalić monarchję i oddać władzę w ręce oligarchji bojarskiej, zamierzyło po śmierci Aleksandra skorzystać z następstwa tronu i do skutku przywieźć swoje zamiary. Postarano się przeto porozumieć z To-

warzystwem patrjotycznem polskiem, wówczas pod sterem Sołtyka, Krzyżanowskiego i księdza Dąbka będącem. Lecz Towarzystwo nasze odrzuciło wszelkie współdziałania, i co najwięcej, skłaniało się w danym razie do zatrzymania w Warszawie księcia Konstantego, który, jako prawowity następca tronu, przez szybkie zjawienie się u steru rządu, mógł udaremnić wszelkie sprzysiężonych rosyjskich starania. Zapatrując się z punktu widzenia tego sprzysiężenia na śmierć cesarza Aleksandra, mniemaćby bardzo można, że naturalną nie była. Ale, gdy cesarz Mikołaj przez energiczne wzięcie się do rzeczy stłumił w samym początku wojskowe w Petersburgu powstanie, a sprzysiężeni ujawnili potem swoje z Towarzystwem polskiem porozumienie, zaaresztowano siedmiu przywódców tegoż Towarzystwa w Warszawie, między którymi znajdował się także nasz czcigodny major Zabłocki. Oskarżono ich o zdradę stanu. W celu sformułowania aktu oskarżenia ustanowiono osobną komisję pod prezydencją ordynata Zamoyskiego. Sądzić ich miał potem wedle brzmienia konstytucji Senat. Oskarżeni pod najściślejszym trzymani byli aresztem, że zaś ich badania trwały rok przeszło, powrócę zatem obecnie do moich spraw osobistych, ażeby potem o sądzie sejmowym na właściwem miejscu i o losach Zabłockiego napomknąć.

Prelekcje uniwersyteckie niesłychanie mnie zajmowały, oddałem się też im z całym zapałem. Dziekan Roliński był to bicz boży. Drobiazgowy pedant, obmierzle systematyczny, wymagający, rzucał nam swoje wykłady suche, jak wióry; i nie dziwota, bo też w tej cmentarnej organizacji nie było ani atomu poezji. A cóż znowu— zapyta się może niejeden, kto to czytać będzie: anatomja i poezja! piękne mi zespolenie! Ale ten tylko tak pomyśli, kto o anatomji niema wyobrażenia, albo też się na nią à la Roliński zapatruje. Szczęściem było dla mnie, że mi mój ojczym wszystkie te suche uzupełniał braki domieszką fizjologji tak samo jak się geografję domieszką historji ożywia. Najnudniejszym ze wszystkich był wy-

kład zoologji Jarockiego, bo ten człowiek w zwierzętach oprócz pazurków, zębów, racic, dziobów i tego wszystkiego, co do usystematyzowania gromad, rzędów, rodzai i gatunków służyło, nic innego nie widział. W jego głowie istniały tylko systematyczne kratki i do ich wypełnienia zoologiczny materjał. Co to jest zwierzę, jak się zachowuje, jak żyje, jak funkcjonuje, jak w szeregach istot organicznych różnego stopnia dosięga godności, o to się nie troszczył wcale. Szczegóły, drobiazgi, zewnętrzne cechy, a w głębi nic. Ten człowiek wyziębiał w nas cały do nauki zapał, a że mu to ze mną się nie udało, to tylko z tego powodu, iż przed niedawnym czasem wyszło było w tłómaczeniu profesora Wagi nader zajmujące dzieło Virey'a o życiu i instynkcie zwierząt, które ciągle czytałem. Botanikę wykładał nam Szubert, ówczesny dyrektor Ogrodu Botanicznego, przystępnie i bardzo interesująco. W anatomji i fizjologji roślin stawał na stanowisku Mirbela, Decandolle'a, Duchamela, bo samą tylko szczegółową budowę roślin i zachowanie się nasienia badał, i bardzo dobrą na owe czasy napisał o tem rozprawę. Najlepszym wykładem ze wszystkich był wykład chemji Kitajewskiego, przy którym Bełza był asystentem. Uczęszczali też z wielką przyjemnością na niego. Kitajewski był to człowiek jeszcze młody, nauce oddany, pięknie i jasno się wysłowiający. Ponieważ była to epoka, w której rozpowszechniano już na zachodzie fabrykację cukru z buraków, zaczynała i nas ona interesować. Kitajewski więc wykładał kurs publiczny, bezpłatny, dla obszernej publiczności o cukrownictwie, sądząc, że tem bardzo ją zainteresuje. Omylił się bardzo, bo fabrykację cukru u nas powszechnie miano za dziwactwo. Na prelekcje owe prywatne, objaśniane pięknymi okazami fabrykacji, uczęszczało zaledwie kilkanaście osób, w liczbie których może najpilniejszymi były ja i mój ojczym Kowszewicz, który do tego stopnia zapalił się do cukru buraczanego, że sam go nawet chciał robić, tylko przeciw-

ko temu stanęła moja matka, jako gospodyni domu, a potem brak cukrowych buraków. Odtąd fabrykacja cukru miała w nas obu apostołów najgorliwszych, ale cóż, kiedy nas słuchać nie chciano, albo wprost wyśmiewano, mówiąc: „Niechaj tam sobie Niemcy i Francuzi swój cukier robią, a my mamy naszą pszenicę". Był to pierwszy przykład w mem życiu upartego konserwatyzmu wobec wdzierającego się gwałtem postępu.

Z egzaminami poszło mi doskonale, ale mnie też one zmęczyły niezmiernie. Wynędzniałem, straciłem apetyt, trapiło mnie rozdrażnienie i bezsenność. Postanowiono posłać mnie na wakacje do Buska, nie po to, żebym się kąpał, lecz na odpoczynek, korzystając z tej okoliczności, że pani mecenasowa Grabowska, żona mego opiekuna, jechała tam na kurację z dziećmi i zabierała mnie z chęcią z sobą, mając mieszkać nie w samym Busku, lecz w jakiejś wiosce, z nim graniczącej, a należącej do młodej dziedziczki, której mecenas był także opiekunem. Wyprawiono mię zatem, dając mi pozwolenie robienia sobie w okolicę wycieczek i 80 zł. na drogę, to jest sumę, jakiej dotąd nigdy jeszcze nie posiadałem. Wlekliśmy się ogromnym czterokonnym koczem na Radom. Gdyśmy się na ostatni nocleg przed Kielcami instalowali, zjawiło się naraz w karczmie dwuch młodych podróżników, niby wędrownych rzemieślników, w których poznałem dwuch akademików, moich dawnych z Liceum kolegów: Przyłuskiego i Ordona, obu prawników. Szli sobie piechotą do Krakowa i dalej w Karpaty, z niemałem mojem zdziwieniem, bo mi się zdawało, że mnie tylko samego opanowała gorączka piechotnej podczas wakacji podróży. Przedstawiłem ich pani Grabowskiej, a ponieważ nazajutrz mieli zboczyć z drogi dla odwiedzenia znajomych, umówiliśmy się zatem, że, pozostawszy w Miedzianej Górze, czekać będę na nich w austerji, i że aż do Jędrzejowa razem potem pójdziemy. W Miedzianej Górze nie zastałem moich kolegów; nadeszli dopiero nazajutrz niesłychanie zmęczeni. Ja zaś tymczasem przedstawiłem się

dyrektorowi tamtejszych górniczych zakładów, prosząc go o pozwolenie zwiedzenia kopalni. Był to Niemiec, bardzo źle mówiący po polsku, ale człowiek gładki. Przywołał więc jednego z młodych sztygarów i kazał wszędzie mię oprowadzić, gdziebym chciał tylko. Miedziana Góra była wtedy centrem górniczym na całą okolicę, a w niej samej kopano rudy miedziane i ołowiane, oraz galmany, zawierające nieco srebra i złota. Ostatnie oddzielano starannie i bito z niego nawet dukaty, które na nieszczęście więcej kosztowały, niż były warte, i dlatego też jako osobliwość tylko służyły. Ubrano mnie w kitel górniczy, dano lampkę w rękę i puściliśmy się do najbliższego szachtu. Tu znaleźliśmy kilku górników, widać już powiadomionych o naszem przybyciu. Zapalono lampki. Mój przewodnik skoczył raźnie na prostopadle przybitą drabinę na ścianie studni i mnie kazał iść za sobą. Przepaść przede mną i owa prostopadła drabinka nie miały nic w sobie zachęcającego. Trudno było jednak się cofnąć, zacząłem się więc spuszczać na dół, a przytomni wykrzyknęli: „Glück auf!“—na co głos mojego przewodnika, jakby z jakiejś głębi jaskiniowej, „Glück auf!“ — odpowiedział. Wszystko to działało mi na nerwy i owo złażenie na dół wiekiem mi się wydawało, chociaż było tam tylko 90 sążni. A daleko tam jeszcze?—pytałem się co chwila. O, jeszcze,—odpowiadał mi mój przewodnik.—A bodajcie!.. Zdawało mi się, że lada moment na dół się stoczę. Nareszcie stanęliśmy i zeszli do błotnistego i wązkiego korytarza, czując ciągle, jak nam woda kapała na głowy. Szliśmy tak długo po krętych drogach, aż nareszcie doszliśmy do robotników, rąbiących skałę pojedyńczo lub po dwuch w chodniku. Przewodnik objaśniał mi całą robotę, a jam się też już otrząsnął zwolna z owego przykrego wrażenia, chociaż na samą myśl, że mam 90 sążni skały nad sobą, która zgnieść mnie może każdej chwili, włosy zdawały mi się podnosić na głowie. Dalej inną poszliśmy drogą, nieskończenie długą, i wyszliśmy nakoniec na pewien rodzaj salki z obszernym zbiornikiem

wody. Gdy mi kazano podnieść oczy do góry, zobaczyłem jakby małe dziennem światłem oświetlone okienko. Była to fabryka śrutu. Nad szachtą wystawiono wysoką drewnianą wieżę, a gdy z jej wierzchu lano na przetak ołów roztopiony, to jego krople, spadając, tężały w drodze i wpadały nareszcie w wodę, stąd je wybierano i otaczano między młyńskimi kamieniami. Wstępowanie do góry po drabinie odbyło się już łatwiej. Ośmielony zacząłem sobie pogwizdywać wesoło, gdy naraz przewodnik mój obraca się do mnie i z przerażeniem woła:

— Na miłość boską, nie gwizdaj pan tutaj!

— A to dlaczego?

— Bo ogromnej możesz sobie z robotnikami nawarzyć biedy; oni są przekonani, że w każdej kopalni przemieszkuje duch opiekuńczy („Berg-geist“) pod postacią małego starca z ogromną siwą brodą i w czerwonem ubraniu, który się tylko w ważnych okolicznościach ludziom pokazuje. On budzi w nich natchnienie, gdzie ruda się znajduje, on ostrzega przed niebezpieczeństwem, chroni od nieszczęścia, opiekuje się ludźmi, ale też i srodze prześladuje tych, którzy bluźnią lub z lekceważeniem gwiżdżą. Pańskie gwizdanie zgorszyłoby i oburzyło wszystkich. Zamilkłem, jak trusia, i później dowiedziałem się dopiero, że ów „Berg-geist“ jest ogólną niemal we wszystkich krajach górniczą legendą.

Nowi towarzysze mojej podróży tak się długo z wypoczynkiem, a potem z obiadem, dłubali, że dopiero pod wieczór wyszliśmy, zamierzając w nocy dotrzeć do Kielc. Niebo było pochmurne, deszcz zaczął kropić i zmienił się wkrótce w ulewę, tak, iż ujrzeliśmy przydrożną karczmę, jako zbawienie; postanowiliśmy w niej zanocować. Tymczasem zastaliśmy w niej huczne chłopskie wesele i wszystkie kąty zajęte. Chłopi spoglądali na nas przybyszów z ukosa, w rozpaczy więc napisałem bardzo grzeczny liścik do dworu, prosząc o pomieszczenie na nocleg chociażby w stodole. Na nieszczęście, otrzymaliśmy odmowną odpowiedź. Nie pozostało nam nic inne-

go, jak w deszcz po błocie do miasta się chleptać. Zaszliśmy dobrze już po północy i ledwośmy się dostukali do jakiegoś zajezdnego domu, gdyż, widząc nas pieszo przybywających, wprost nam odmówiono przyjęcia, dopóki się nie przekonano, że mamy czem zapłacić. Przyniesiono nam do pustego pokoju kilka pęków słomy, na której zasnęliśmy z rozkoszą. Nazajutrz, ogarnąwszy się porządnie, zwiedziliśmy katedrę, pałac biskupi i całe obeszli miasto, które się nam bardzo podobało. Potem udałem się sam do pani adwokatowej Ginalskiej, przyjaciółki pani Grabowskiej, która mnie, w przejeździe dzień przedtem przez Kielce, jej poleciła. W skutku tego zaproszeni zostaliśmy wszyscy trzej na obiad, na którym kolega Przyłuski wśród grona panien błyszczał swoim dowcipem, opowiadając im w najkomiczniejszy sposób nasze zeszłej nocy przygody. Adwokat Ginalski miał wielkie w okolicy wzięcie, był bardzo poważnym człowiekiem i nie mógł się wydziwić oryginalności naszej pieszej podróży, zwłaszcza gdy się dowiedział, że sam jeden zamierzam z kijem w ręku obejść całe województwo. Usiłował mnie odwieść od mego przedsięwzięcia, wystawiając liczne przygody, nawet niebezpieczeństwo. Po obiedzie całe towarzystwo wyszło na spacer na prześliczną górę Karczówkę, wznoszącą się tuż za miastem. Wierzchołek tej góry wieńczy klasztor dawniej Kamedułów. W nim ma się znajdować, jako osobliwość, posąg naturalnej wielkości Matki Boskiej, wykuty z jednej ogromnej, znalezionej na miejscu, bryły, srebrodajnego błyszczku ołowianego. Znawcy podziwiają tę bryłę, jako dowód bogactwa mineralnego kraju w ubiegłych wiekach, bogactwa, które nieszczęściem dziś się już wyczerpało, tak, iż siarczek srebrodajny znajduje się tylko w kształcie okruchów gniazdami wśród rud galmanu. Na nieszczęście kościół był zamknięty, więc tej osobliwości widzieć nie mogłem, ale mnie za nią wynagrodził prześliczny z Karczówki widok na rozległą okolicę, pod nogami usłaną. Było to rzeczywiście coś nadzwyczajnego dla oka, przy-

zwyczajonego bujać po płaszczyznach Mazowieckich, które nigdy przedtem góry nie widziało. Nazajutrz poszliśmy zwiedzić w Białogoniu przekształconą fabrykę do konstrukcji machin, ale i tu doznaliśmy zawodu, gdyż nie szła z powodu jakiegoś uszkodzenia w mechanizmie wodnym. Stamtąd udaliśmy się do Kadzielni, o milę odległej posiadłości Pusza, ówczesnego dyrektora górnictwa, gdzie była kopalnia ołowiu, ale już wyczerpana i tylko resztkami życia dysząca. Uczony Niemiec, znany ze swych prac geologicznych, przyjął nas bardzo łaskawie, pokazywał nam swoje osobliwości, objaśniał swoje geologiczne karty, i zdawało się, że był nadzwyczaj zadowolony, że kogoś naucza; potem, dobrze już o zmierzchu, kazał nas jednemu ze swych oficjalistów po kopalniach oprowadzić. Były dosyć rozległe, ale w nich zaledwie było kilka słabych roboczych partji, a zresztą nic osobliwego. W kilka lat potem opowiadano mi, że Pusz tak był rozkochany w swoich kopalniach, iż kazał się w nich w trumnie z ołowiu pochować, ale przerachował się biedak co do swego wiecznego spoczynku, gdyż złodzieje wykradli trumnę ze wspaniale wykutego grobowca, a kości porozpraszali po ziemi. Relata refero, ale nie ręczę za prawdę. Poczciwy sztygar, który nas oprowadzał, zaprosił nas potem na jajecznicę i długą gawędkę przy doskonałem wówczas kieleckiem piwie, a gdyśmy go opuszczali po północy, odprowadził nas do austerji, gdzieśmy nasze zostawili cielaki, to jest tornistry, gdyż one wówczas tak się u nas zwały.

Nazajutrz był dzień prześliczny. Puściliśmy się ku Chęcinom. Co za niebo wspaniałe! co za czyste i wonne powietrze! co za bujna i urocza roślinność! Woda jak kryształ czysta, wartko w strumykach płynąca, zdawała się kipieć niezwykłem życiem. Jakżeż to tam wszystko było inaczej, niż na naszem Mazowszu. Sił nam zdawało się co chwila przybywać, lecieliśmy jakby na skrzydłach ku wspaniałym basztom Chęcińskiego zamku i aniśmy spostrzegli, jakeśmy stanęli na miejscu

Moi dwaj towarzysze zaczęli o obiedzie myśleć, a ja wdrapałem się do zwalisk starego zamku, skąd się odkrywał widok wspaniały, a na południe przez mgłę przecierały się śniegiem pokryte Karpaty. Obszedłem zwaliska dookoła, zajrzałem do każdego zakątka, ale nie mogłem zdać sobie sprawy ani z planu budowy, ani z jej wewnętrznego rozłożenia; i nie dziwota, bo ani na myśl mi nie przyszło, że mury dziś nago sterczące, jako resztki starożytnych zamków, są to tylko szkielety, o które się opierały labirynty drewnianych budowli, i że owe góry, na których stoją i na które nieraz tak trudno nam się wdrapywać przychodzi, łączyły się ze swojem otoczeniem spadzistymi mostami, które w razie niebezpieczeństwa z łatwością można było spalić lub rzucić w przepaść. Zastanawiała mnie bardzo studnia w pośrodku głównego czworobocznego dziedzińca. Nie mogłem do niej dostąpić z powodu lejkowato staczającego się do niej gruntu, krótką a ślizką pokrytego trawą, ale, wymierzając jej głębokość przez spadek wrzuconego do niej kamienia, dochodziłem do 80 stóp, a musiała być głębszą, sądząc po wyniosłości góry, oraz staczanego do niej gruzu. Cóż to za ogromna musiała być praca wykucia tej studni w marmurowej skale i to w epoce, w której do robót górniczych jeszcze nie używano prochu! Powróciwszy strudzony, zastałem moich towarzyszy, pożerających ćwiartkę cielęciny, wraz z jakimś jegomością wspaniałej tuszy, którego mi przedstawiono jako rzeźnika z Jędrzejowa, dokąd dążyliśmy właśnie. Powracał on z targu kieleckiego do domu, a poznał się z moimi towarzyszami, biorąc ich za rzemieślników wędrownych. Przyłuski swoim niezrównanym humorem podbił go zupełnie, a rezultatem owego podboju była właśnie ćwiartka cielęciny, niesprzedana na targu. Było między nami bardzo wesoło i gwarno, tak, iż mi zaledwie trochę czasu zostało na dowiedzenie się czegoś o chęcińskich wyrobach marmuru. Rzecz była nie wesoła, gdyż owe czasy, kiedy to kolumnę Zygmunta wyko-

wano w Chęcinach, jak najzupełniej były zapomniane, i kilku tylko żydków robiło jeszcze z różnokolorowych marmurowych odłamków łatwo przenośne bagatele, które im się zaledwie opłacały. Chciałem zwiedzić ciekawe łomy, ale były zadaleko od miasta. Wyszliśmy pod wieczór. Ponieważ bryczka rzeźnika była niewielka i była ciągniona przez dwa słabe konięta, położyliśmy więc na nią tylko nasze cielaki, a sami szliśmy obok piechotą i rzeźnik z nami, chichocząc z całego serca i zapewniając nas ciągle, że się jeszcze nigdy tak doskonale nie bawił. Stanęliśmy dobrze po północy, przy jasnym blasku księżyca. Zaprowadzono nas na nocleg do stodoły na siano, gdzie też wkrótce usnęliśmy kamieniem. Nazajutrz już było po dziesiątej, gdy nas rozbudził śmiech dziewcząt, spoglądających na nas przez szpary, a wkrótce potem zjawiła się pani majstrowa, wzywając nas do izby, gdyż piwo grzane i kiełbasa z kapustą czekały już na nas. Powitanie nasze było serdeczne, a poczciwy rzeźnik ani słyszeć nie chciał, ażebyśmy odchodzili natychmiast. Zatrzymał nas na obiad i zaprosił kilku jędrzejowskich mieszczan, ażeby ich poznać z panami akademikami. Szczęściem, że się to dość wcześnie skończyło... Pożegnaliśmy się jak najserdeczniej z uprzejmym naszym gospodarzem, oraz ze sobą, gdyż moi koledzy szli do Krakowa, a ja na Pińczów do Buska. Szedłem raźno; wesoło mi było na sercu po kilku wina kieliszkach, chociaż okolica była nudna. Namyślałem się nad tem, com widział w ciągu kilku ostatnich dni. Przyznać muszę, że mnie kopalnie jak najzupełniej zawiodły. Naczytawszy się do syta o cudach w Wieliczce i o owych węglowych angielskich kopalniach, gdzie to robotnik pod dnem oceanu pracuje i słyszy huk bałwanów, roztrącających się o skały, widok ciasnych, nizkich i mokrych chodników, które zwiedziłem i które mię rozczarowały, nie mógł mnie zachwycić. Ów robotnik skulony i na brzuchu leżący, ciężko pracujący w ciemności przy blasku zaledwie tlejącej się lampki, w obszarpanem

i brudnem odzieniu, ciężka jego dola, jaką dźwiga przez życie, wszystko to nader smutne na mnie zrobiło wrażenie. Uderzyła mię tylko sama ludność, na tę ciężką skazująca się pracę; nosiła bowiem w mych oczach jakieś wyłączne piętno, jakiś uderzający spokój i powagę, jakby jakąś rezygnację, która ją godziła z jej losem. Ci ludzie osamotnieni pod ziemią, żyją widocznie więcej sami w sobie i wyrabiają się inaczej jak my, patrzący od wschodu do zachodu prosto słońcu w oczy. Zdawało mi się, żem zauważył w nich jakieś refleksyjne skupienie, spokojność ruchów i pewność siebie samego, słowem, znalazłem w nich coś szczególnego, co mi żałować nakazywało, żem się z nimi bliżej nie poznał. Wszakże poczciwy sztygar w Kadzielni i nasz jędrzejowski rzeźnik ugościli nas wesoło, ale jakże to było inaczej u każdego z nich!

Z mego zamyślenia rozbudziło mię zdaleka: hej! stój-no trochę kolego! Obejrzawszy się, spostrzegłem wędrownego robotnika, rozumie się, jak ja, z cielakiem na plecach, pragnącego się ze mną zrównać. „A też lecisz, jak szalony, mój chłopcze, miałeś chyba zająca za dziadka“, — rzekł do mnie. Był to człowiek, około 25 lat mający, rozumnego i przyjemnego oblicza, krępy i przysadzisty, który mnie bez namysłu wprost zaraz zapytał, kto jestem i w jakiem pracuję rzemiośle. Wzięty znienacka, wybąkałem mu, że jestem ślusarzem. A to doskonale—odrzekł,—bo i ja jestem ślusarzem. I zaraz zaczął mi rozpowiadać, że terminował w Kielcach, że się wyzwolił i że teraz idzie do ciotki, która stąd o pół milki mieszka, a potem zaczął zaraz o ślusarce mówić. Mocno mnie to zakłopotało; odrzekłem mu, że jestem z Warszawy, że idę do krewnych do Buska i że dopiero od pół roku jestem w terminie. „A to u was w Warszawie musi być doskonale, skoro chłopcy ubrani jak paniczyki i tak rozbiegać się mogą“. Potem znów o rzemiośle była mowa, ale patrzał na mnie jakoś z ukosa i stanął wreszcie, uśmiechnął się szyderczo i rzekł: „Ale wiesz ty, mój chłopcze, że ty łżesz okropnie, bo chłopcy ślusarscy nie mają rąk tak delikatnych, nie

mówią tak pięknie i coś przecie o rzemiośle wiedzą, a ty nic nie wiesz zupełnie, a nawet mi narzędzi nazwać nie umiesz". Byłem przyparty do muru, lecz wpadłem rozpaczliwie na koncept i odpowiedziałem mu spokojnie: „Bo też ja nie terminuję u majstra, ale u Ewansa w fabryce machin, rysuję tylko i piszę, a na rok przyszły do warsztatu mnie oddadzą". To zmieniło jak najzupełniej całą moją sprawę, ale mój towarzysz zaczął mię znowu wypytywać o samą fabrykę. Szczęściem, że byłem w domu, gdyż ją nieraz zwiedzałem i wiedziałem dokładnie, co i jak w niej robią. Rozstaliśmy się po przyjacielsku na skręcie drogi. Odetchnąłem swobodnie, bo to nie tak łatwo jest kłamać, jak się wydaje, zwłaszcza, jeśli o to chodzi, żeby rozumnego człowieka otumanić, a mój nowy znajomy nie zawiódł wcale wrażenia, jakie pierwsze moje na niego spojrzenie na mnie zrobiło.

Już było zupełnie ciemno, kiedy stanąłem w Pińczowie. Przeszedłem kilka uliczek ciasnych, brudnych, o walących się chałupach, wijących się cuchnącem żydostwem. Pytałem, ale daremnie, o jaki chrześcijański dom zajezdny, nie przypuszczając, żeby go nie było w mieście, gdzie przecież była czteroklasowa szkoła; ale dowiedzieć się nie mogłem. I ja tu mam spać gdzieś w kącie pomiędzy tem plugastwem? rzekłem sam do siebie. Nigdy! I, przeszedłszy przez miasto o blasku wschodzącego księżyca, w dalszą puściłem się drogę. Lecz źle się wybrałem, bo okolica była prawie pusta. Z jednej strony nagie kamieniste wzgórza, a z drugiej nizina. Nigdzie wsi ani nawet pojedyńczego domostwa. Zaczynało to mnie niepokoić, zwłaszcza, że i zmęczenie po nieco forsownym marszu zaczynało mi trochę dolegać. Myślałem już o zanocowaniu gdzieś w polu, ale i na to nie było odpowiedniego miejsca. Nigdzie porządnego drzewa, nigdzie dobrej murawy, a wszędzie jakaś mgła, ziębiąca aż do szpiku kości. Wreszcie o jakie sto kroków od drogi, na skraju lasu spostrzegłem domostwo pod rozłożystą lipą, a w niem światełko w maleńkiem okienku. Zbliżyłem się do

niego i zapukałem w okno. Pies zaczął szczekać, a potem grubym złamanym głosem odezwał się gospodarz: Kto tam? Odpowiedziałem, że wędrowny prosi o nocleg. A co za jeden? — Krawiec. — A to doskonale, i kazał mi wejść do izby. Przedstawiła mi się ona, jak każda chłopska, — ale łóżko było paradniejsze i nad niem przybory myśliwskie, przy nim zaś zaległ śliczny wyżeł, zapędzony przez gospodarza do kąta. Wnosiłem z tego, że mój gospodarz musiał być gajowym. Nie mam cię gdzie podziać, ale kładź się tu pod piecem na ławie i śpij spokojnie, — rzekł do mnie wcale nieprzychylnym jakimś pomrukliwym głosem. Przyznam się, że na sercu było mi wcale nie raźno. Okolica, jej przerażająca cichość, późna pora nocna i jednostajne księżyca oświetlenie już samo przez się jakoś tchórzowato mnie nastroiły, a teraz przyszło mi na myśl, że mam spać w odludnej pustce, z obcym mi i wstrętnym człowiekiem, który może mnie zabić, ograbić i zakopać, a świat nawet nie dowie się o tem. Właśnie przeżuwałem te myśli, kiedy mój mruk gospodarz rzekł do mnie: Kiedyś ty krawiec, to dobrze; dam ci się przespać na ławie, ale mi za to jutro rano poprzyszywasz do kapoty nowe guziki. Nigdy słowa pociechy wymowniejszemi nie były, bo mniejsza o guziki, ale kiedy chcesz, pomyślałem sobie, żebym ci je przyszywał, toć mnie przecież nie zadusisz w nocy. Zasnąć jednak nie mogłem, budziłem się co chwila, a jak tylko zadniało, wziąłem się do owych nieszczęsnych guzików. Nudziły mnie one i gniewały niezmiernie, ale niepodobna było się cofnąć. Gdym skończył, gajowy podziękował mi pięknie, żałując, że mi niczego na śniadanie dać nie może, gdyż jego dziewka poszła dopiero po zapasy do miasta, a w domu nawet chleba nie było. Dowiedziałem się później, że mój gospodarz był zawołanym skąpcem i sknerą. Udałem się w dalszą drogę niesłychanie zmęczony, senny i głodny. Szczęściem, że może w pół godziny Opatrzność zesłała mi jednokonną furką jadącego żyda, wiozącego na targ masło i sery, oraz babę z garnkami. Ustąpił

mi jeden mały serek i kawał razowego chleba, a baba zaofiarowała mi garnuszek malin. Wyszukałem też sobie niebawem bardzo ładne miejsce na brzegu strumyka, zjadłem moje zasoby, podłożyłem potem cielaka pod głowę i parę godzin przespałem. Obudziwszy się, byłem zupełnie już innym człowiekiem, i w godzinę później byłem już przy pani Grabowskiej, u owej bogatej dziedziczki, u której z dziećmi gościła. Przyjęto mnie z wyraźnem zakłopotaniem. Dowiedziałem się od niej, że mecenas przybył tu także, a że u niego w łaskach nie byłem, dorozumiałem się łatwo, że z mojej przyczyny między małżeństwem musiały zajść jakie nieprzyjemności. Mój opiekun przyjął mnie cierpko i wyburczał, że się po świecie samopas włóczę, ale mi nie zabronił dalszych wycieczek, odwołując się na pozwolenie mej matki. I o to mi też chodziło. Zaraz nazajutrz postanowiłem zwiedzić Wiślicę i kopalnie siarki w Czarkowie. Ponieważ burmistrz w Wiślicy był jakimś dalekim krewnym pani Grabowskiej, dano mi więc list polecający do niego, a mój szanowny opiekun, pomimo wczorajszej bury, oddał mi w opiekę syna swojego Edwarda, 13-letniego wyrostka, ażebym go dalekim krewnym przedstawił. Po drodze uderzyła mnie gipsowa formacja okolicy i niezwykłe zsychanie się gruntu, na którego czarnym tle po drogach, po przejściu wozów, białe błyszczące pozostają ślady.

W Wiślicy byliśmy jak najlepiej przyjęci. Pan burmistrz Baczyński, człowiek gładki i pokaźny, był właścicielem bardzo intratnego folwarku pod miastem i kilku młynów; używał jak najlepszego w okolicy wzięcia. Oprócz żony rodzina jego składała się z dwuch dorosłych synów i dwuch córek, z których najstarsza panna Eufemja bardzo mi się podobała. Nie przewidywałem wtedy, że się stanie dla mnie w przyszłości przyczyną wielu przykrości. Zwiedziliśmy przedewszystkiem Kaźmierzowski zamek, a raczej miejsce nad Nidą, na którem stał niegdyś, gdyż tam, oprócz kwadratowego okopu, gdzie w środku

stały zapewne zabudowania drewniane, niczego nie widzieliśmy więcej. Kościół Wiślicki odznaczał się starożytną strukturą, którą znawcy cenią wysoko. Wewnątrz był brudny, odrapany i zawierał zaledwie kilka małoznaczących jagiellońskich pamiątek, ale za to wiązanie belkowe z drzewa modrzewiowego pod dachem było przepyszne i z pewną dumą mi je pokazywano. Ciężkie belki, na które pewnie cały las spotrzebowano, plątały się z sobą w kształcie koronki. Zdawało się, że jagiellońskim cieślom więcej chodziło o artyzm, jak o rzeczywistą potrzebę, gdyż na nią czwarta część użytego drzewa byłaby dostateczną. Prawda, że dach, czubato wydłużony do góry, musiał silnie opierać się wiatrom, ale za to ciężar wiązania ogromnie obarczał mury. Dla budowniczego kościół ten musiał stanowić ciekawe studjum. Nazajutrz z jednym z synów gospodarza poszedłem do Czarkowskiej kopalni. Była tam siarka rodzima, zmieszana z wapieniem. Tłuczono bryły na proszek, nabijano niem mufle, i produkt otrzymywano przez sublimację, narzekając, że nie była bardzo obfitą. Szczęściem, że cała produkcja skontraktowaną była do prochowni wojskowej, wówczas istniejącej w Ojcowie, chociaż cena siarki była trochę wyższa od siarki sycylijskiej, na Gdańsk sprowadzanej wodą.

Nazajutrz odesłano nas na czas, gdyż mieliśmy wszyscy udać się na bal do Buska. Busk przedstawiał się jako nędzna mieścina, z którą wystawność nagromadzonych kąpielowych gości uderzającą stanowiła sprzeczność. Łazienki i kurhaus sklecono na prędce. Sala balowa, długa a wązka, powstała przez zniesienie ścian pośrednich między pokojami, szeregiem ustawionymi w długim parterowym budynku. Tańczono na zabój przy żydowskiej brodatej muzyce. Młodzież motylkowała przy damach, starsi panowie grubo tłukli się w karty. Pan mecenas, a mój szanowny opiekun, należał do ich liczby i codzień wyjeżdżał do Buska na karty, ale zdaje się, że mu nie sprzyjała fortuna, a stąd zabójczy humor, jakim nas

wszystkich obdarzał. Postanowiłem też jak najprędzej z pod jego usunąć się wpływu i, korzystając z tego, że pani Grabowska jechała po sprawunki do Pińczowa, odjechałem z nią, w dalszą puszczając się wędrówkę. Obok niezbędnej bielizny upakowałem w moim cielaku bardzo porządne cywilne ubranie, Święckiego opis starożytnej Polski, specjalną kartę Województwa Krakowskiego Kolberga, kompas i lornetkę, i tak wyekwipowany stanąłem na noc w bardzo porządnym, chrześcijańskim domu zajezdnym w Pińczowie, od którego mnie Żydy odstraszyły za pierwszą moją bytnością w mieście, mówiąc, że żadnego tam niema. Gospodyni i jej dorosłe córki, widząc, że przyjechałem ładnym koczykiem, bardzo na mnie raczyły być łaskawe i z podziwienia wyjść nie mogły, dowiedziawszy się o mojem szaleństwie podróżowania piechotą. Moja awantura z przyszywaniem gajowemu guzików serdecznie wszystkich ubawiła. Niedaleko od austerji wznosiło się wzgórze, a na nim ruiny zamku, prawie z ziemią zrównane. Ponieważ wieść niosła, że w nich ukryte są skarby, ówczesny właściciel Pińczowa Szczaniecki, późniejszy mój dobry znajomy w Paryżu, wziął się do ich poszukiwania; masę wydał pieniędzy i nic nie znalazł. Zniszczył tylko zwaliska i śmiesznością się okrył. Z Pińczowa do Działoszyc przeszedłem prędko, w dzień nieco chłodny, ale bardzo przyjemny. Posiliwszy się nieco, poszedłem dalej, dążąc do Miechowa, ale jakim tam dostałem się sposobem, o tem już nic a nic nie zostało w mojej pamięci. Przypominam sobie tylko, że, zboczywszy z drogi, położyłem się pod starą gruszą, otoczoną krzakami, że rozłożyłem przed sobą mapę, że ją nastawiłem do północy i że potem czytałem książkę. Musiałem się więc orjentować w okolicy i czytać coś ze Święckiego o Miechowie, jak to zwykle robiłem w ciągu mojej podróży, zbliżając się do jakiegoś miejsca. Co dalej zaszło— nie wiem. Przypominam sobie dopiero, jak już byłem w mieszkaniu doktora Przybylskiego w rynku i oddałem mu list polecający, który mi dano w Busku do niego.

Ukończył on był Uniwersytet Warszawski przed kilku dopiero laty i ożenił się z Warszawianką rok dopiero temu. Przyjęto też mnie jak najserdeczniej, jako magazyn warszawskich nowin i plotek. Zdaje się, żeby nam i trzech dni nie wystarczyło na omówienie tego wszystkiego, zwłaszcza, żeśmy mieli kilku wspólnych znajomych, a pisma perjodyczne ówczesne były tak w wiadomości powszechne ubogie, iż za szczęście sobie uważano, gdy złapano kogoś z większego świata i jak cytrynę go wyciśnięto. Na wieczór przybył ksiądz proboszcz, którego właśnie miałem zamiar nazajutrz odwiedzić, ażeby się czegoś o klasztorze rycerskiego zakonu Miechowitów dowiedzieć, mającego tam istnieć za jagiellońskich czasów; ale ksiądz proboszcz nic a nic o nim nie wiedział, a kościół, który zwiedziłem, nie zachował żadnego śladu starożytności. Rzecz ciekawa, że o owych Miechowitach nic prawie nie wiemy, pomimo, że nieraz o nich się wspomina. W nocy deszcz upadł i ziemia tak bardzo rozmiękła, że droga piechotą była niemożliwa. Mówiono mi, że to tak po każdym zdarza się ulewniejszym deszczu. Musiałem zostać w Miechowie aż do wieczora, a że państwo Przybylscy byli na imieniny proszeni do obywatelstwa, mieszkającego o połowę drogi do Wolbromia, do którego właśnie dążyłem, więc zabrali mnie z sobą i solenizantowi mnie przedstawili. Zjazd był dość liczny, hulano po krakowsku, a ja musiałem tańczyć, opowiadać i panie bawić; wywiązałem się z tego gładko. Byłem z siebie zadowolony, gdy mnie coś ugryzło i zacząłem rozprawiać o cukrze z buraków, przepowiadając, że nie upłynie lat kilka, jak zaczną go i u nas robić. Roześmiano się na to, a ja też nie upierałem się przy mojem. Nie sądźmy jednak, ażeby ówczesny szlachcic był zupełnie obojętnym na krajowy przemysł. I owszem, cenił on go bardzo wysoko, o ile mu on bezpośrednie przynosił zyski. I tak dwie gałęzie przemysłu odznaczały się szczególnie rozwojem: sukiennictwo i produkcja cynku. Szlachcic pojął, że fabrykacja sukna przynosi mu więcej, niż proste hodowle

owiec, rzucono się zatem do niej, pozakładano tkackie warsztaty, a sukna grube sprzedawały się bardzo zyskownie do Rosji i aż do Chin się rozchodziły, pomimo granicy celnej między Cesarstwem i Królestwem. Cudzoziemcy, rozporządzający zagranicznymi kapitałami, jako to Wernerzy w Ozorkowie, Rebhanowie w Kaliszu, zaczęli od razu na większą produkować skalę, a Łódź, nędzna wioszczyna, zamieniła się na fabryczne miasto, rosnące co dnia wyraźniej. To nam napędziło do Królestwa Niemców i zwiększyło niesłychanie ową niemiecką ludność, która nam po panowaniu pruskiem została, oraz oddawna jako kolonizacja niemiecka w Polsce istniała, w skutku owej zasady Drang nach Osten, w krew i w życie Niemców wpojonej, a o której my Polacy nie mieliśmy jeszcze wówczas żadnego wyobrażenia. Gdy się robotnik nasz sukienniczy wyrobi, to Niemiec ustąpi, mówili wtedy mędrkowie, a tymczasem coraz przybywało go więcej, a nasz miał się dopiero urodzić, bo rolnik niechętnie do warsztatu zasiada. Ponieważ pojęcie narodowości nie było przenikło jeszcze tak głęboko w życie narodów, jak dzisiaj, istniejąc tylko zaledwie w stanie mglistego uczucia, wielu więc cudzoziemców się polonizowało, i mamy z nich dzisiaj doskonałych współobywateli. Ale od czasu, gdy Niemcy, idąc za chlebem, zaczęli się cisnąć do nas tłumami, zaczęła się germanizacja. Przynieśli ze sobą swe ojczyste bogi, a pieśń burszowska „ubi bene, ibi patria“ po całych jeszcze Niemczech głośnym powtarzała się echem. Nikt skutków nie przewidywał, i dziś dopiero zaczynają one jak oliwa wychodzić na wierzch. Przemysł tkacki rozwijał się dzielnie, zwłaszcza na pograniczu pruskiem. Zmarniał on wprawdzie wskutek następnych wypadków, ale Niemcy zostali.

Przemysł cynkowy nad galicyjską granicą w innych się zupełnie znajdował warunkach, gdyż wówczas produkcja cynku w Europie była dosyć słaba i polski produkt bardzo był poszukiwany. Bank stanął tutaj na czele produkcji, a za nim podążył przemysł prywatny. Mnó-

stwo obywateli w Olkuskiem zaczęło kopać galmany, cynk wytapiać i sprzedawać go do Anglji. Bank założył agenturę w Londynie w celu ułatwienia zbytu. Grube zyski płynęły stąd do kraju. W zgromadzeniu, w którem uczestniczyłem, znajdowało się kilku okolicznych właścicieli cynkowni, rozmowa więc o tym przedmiocie toczyła się bardzo ożywiona i pouczająca. „Wszystko to bardzo pięknie, odezwał się jakiś wąsala, ale niema to, jak pszeniczka i żytko, chociaż nie zawadzi i rzepak". „Wielka prawda, kochany sąsiedzie, odpowiedziano mu na to, lecz na waszych gruntach Miechowskich; gdybym cię przeniósł na nasze Olkuskie piaski, to musiałbyś, równie jak i my, wkopywać się jak kret pod ziemię i straciłbyś nie jedną rzecz z twej szlacheckiej fantazji".

Tańce i pohulanka trwały do rana, a słońce miało się już ku zachodowi, zanim się przespaliśmy trochę i wstali do obiadu, na który zatrzymano kilku sąsiadów. Jeden z nich do Wolbromia mnie odwiózł. Miasteczko było żydowskie i równie brudne jak inne, a że dowiedziałem się na noclegu w karczmie, iż z torfowiska pod miastem wydobyto kilkanaście dębów odwiecznych, które w nich zczerniały, kazałem się nazajutrz zaprowadzić do nich. Były to rzeczywiście potężne kłody, czarne zupełnie jak heban, tylko że po odpiłowaniu odziemków widać było na przecięciu, że ta czarność była jakaś szarawa, jaśniejsza przy rdzeniu jak przy powierzchni. Gdym te pnie oglądał, zbliżyło się do nas dwuch panów, jeden chudy z długą szyją, wysoki, mający coś ptasiego w swej fizjonomji, a drugi nizkiego wzrostu, barczysty, niedźwiedziowaty, z głową ukrytą między ramionami, ogromną i łysą. „A dlaczego to tak w torfie zczerniały?"—zapytał drugi swego towarzysza, zbliżającego się do kłody, przy której stałem. „Bo zaczęły się zwęglać jak przy formacji kamiennego węgla" — odrzekł. Potem starał mu się objaśnić, jak się to dzieje, nic sobie nie robiąc z mej przytomności. Słuchałem spokojnie, a naostatek odważyłem się napomknąć, czyby tego zaczernienia dęba nie można sobie prós-

ciej objaśnić? „A to jakim sposobem?“—wyrzekł pedagog, jakby z urazą i zadziwieniem. „Oto tak, odrzekłem. W dębie jest wiele garbnika, a w wodach torfowych nie brak żelaza, w tkance drzewnej tworzy się więc atrament i zaczernia drzewo, więcej na powierzchni jak ku rdzeniowi. Jeżeli — dodałem — tutejsza woda torfowa jest żelazistą, to zagadka byłaby rozwiązana, a o tem nie trudnoby się było przekonać“. „A owszem, masz rację, odpowiedział mi żywo; ale kto ty jesteś?“ Przedstawiłem mu się formalnie, a to nie tylko że nas zbliżyło, ale zyskało mi zaproszenie na sute śniadanie. Był to miejscowy aptekarz, jak się o tem dowiedziałem zaraz. Towarzysz jego, pan Borek (utkwiło mi to nazwisko w pamięci), studjował przez lat 10 na Uniwersytecie Wrocławskim na różnych fakultetach, sam nie wiedząc, czemu się ma ostatecznie poświęcić. Burszował przez większą część swojego czasu, lub włóczył się, more germanico, z kijem i tłomokiem na plecach po różnych kątach środkowych Niemiec; a gdy nareszcie spadła na niego sukcesja pod postacią pokaźnego folwarku pod Wolbromiem, wypuścił go w dzierżawę, a sam osiadł w małej chałupie ze starą ciotką i bawił się w literaturę, czytając wszystko, co mu w ręce wpadło, bez ładu i wytkniętego kierunku, odgrażając się ciągle, że świat niedługo uszczęśliwi jakiemś ważnem dziełem. Pragnąc dowiedzieć się czegoś o rozwijającem się u nas górnictwie, starałem się rozmowę przy stole skierować na ten temat. Zajął głos wtedy pan Borek. „Widzisz, Mości Dobr., górnictwo jest naszym polskim, rodzimym przemysłem. Kopaliśmy dawniej sól w Wieliczce, a srebro w Olkuszu, a gdy nam sól zabrali Niemcy, a srebro zatracili Szwedzi, zostało nam żelazo i węgiel, które idą dziś górą w ekonomicznym każdego społeczeństwa kierunku, a co do nich jesteśmy niesłychanie bogaci, byle nam znowu Niemcy i tego nie zabrali przez niedołęstwo nasze. Wasz minister Lubecki w Warszawie zna się na tem dobrze, ale cóż z tego, kiedy wam nie chodzi o zagospodarowanie się w kraju, nie o ro-

zum i bogactwo, owe zasady wszelkiego bytu, ale o Polskę od Dniepru do Dźwiny. Jakaś was tarantula ugryzła, i zdaje wam się, że szabelką można w nicość obrócić wszystko, co się stało, i stare graty przywrócić, a nikt z was nie pyta, czyby też ta wasza Polska przedrozbiorowa dziś w Europe choć przez jedną dobę ostać się mogła? Nie sróż się tak bardzo na mnie, mój panie akademiku, żem ci twoją dawną Polskę starym gratem nazwał, bo wszystko staje się gratami, co nie postępuje i co na nic się nie zda. A jakiż to z owej Polski od bitwy pod Wiedniem był w Europie pożytek? Czyście się choćby na jotę przyczynili do jej społecznego rozwoju? a sami w sobie czyście się wzmacniali i rośli? Chłop zafukany był po prostu ostrzygą, mieszczaninem był Żyd albo Niemiec. Oprócz kilkuset nędznych łasztów pszenicy kraj nic nie produkował, ale tracił miljony na zbytki, a szlachcic pielęgnował swą osobistą wolność, rósł w osobisty egoizm i handlował sumieniem i obywatelstwem, bo tron poszedł na handel. Któryż to z możniejszych nie był na żołdzie ościennego dworu? Ten zaś, jeżeli płacił, to pewnie nie dla pięknych oczów, lecz za zdradę. Szlachta mówiła zawsze, że handel szlachectwo zaciera, a czyż nie była sama handlarzem? Rzeczpospolita była ciągle na ustach, ale dla jej dobra żadnej ofiary nie robiono. Sobkostwo, lekkomyślność i sknerstwo! Odwróćno oczy od błyskotliwej powierzchni owej historji, jakiej w szkołach was uczą, chociaż i ta nawet u nas dosyć brudno wygląda, i zajrzyj głębiej w serce i głowę owego przedrozbiorowego szlachcica, którego za męczennika uważasz. I cóż tam znajdziesz, jeśli nie zgniliznę? Na takiej zasadzie żadna się nie utrzyma społeczność, żadne się nie ostoi państwo. Polska upadła, bo upaść musiała. Przez trzy wieki na to pracowała szlachta, dopóki przed nią nie stanęła mara, jako owoc jej własnej ręki. Tak, mój panie akademiku, wasza stara Polska umarła i nic jej już dziś nie wskrzesi. Weź sobie to do serca i nie spoglądaj na mnie, jak gdybyś mi do oczów chciał skoczyć. Ty patrzysz jeszcze na

to wszystko przez pryzmat uczucia, ale jak cię życie rozumu nauczy, to z pewnością znienawidzisz całą szlachecką czeredę".

Pan aptekarz kręcił się na stołku, jak gdyby mu bardzo niewygodnie było, a pani apteczkarzowa rzekła: „A przecież to i Borkowie są szlachtą". „Prawda, Mości Dobrodziejko, dlatego też ja w chałupie pod słomą żyję i biczowałbym się codziennie, gdyby było jeszcze w modzie, ażeby szlacheckiego djabła z siebie wypłoszyć. Tak, rzeczywiście, co się stało, już nie wróci, i dobrze, że się nie wróci".

Wszystko to było wypowiedziane z mentorskim nastrojem i piętnem nieomylności. Byłem oburzony w najwyższym stopniu i gotowy do wybuchu. Powstrzymało mnie tylko poczucie przyzwoitości, nakazujące wdanie się w dysputę z moim niedźwiedziem, który tak nielitościwie druzgotał moje przekonanie. Wszystko, co mówił, było świętokractwem w mych oczach, ale na jego zbicie nie wystarczały komunały ani deklamacje, mające wartość między młodzieżą w Warszawie; trzeba było znać wewnętrzne życie Polski przedrozbiorowej, a o tem mało kto między nami wiedział. Przodkowie nasi byli w przekonaniu naszem cnotliwymi bohaterami, pokrzywdzonymi przez chciwych krwiożerczych sąsiadów, ale o dowody nikt nie pytał. Nic więc dziwnego, żem i ja oniemiał wobec człowieka wyraźnie mi wstrętnego, ale wysokiej wiedzy, który mi imponował swoją w mowie pewnością. „A więc według pana wszystko już skończone?"—rzekłem mu ochrypłym ze wzruszenia głosem". Za pozwoleniem, paniczu, ja tego nie powiedziałem wcale, właśnie, że się nie skończyło, ale, że dopiero zaczynać się zdaje. Kiedy Kościuszko na polach Maciejowickich wyrzekł: „Finis Poloniae", miał wielką słuszność, gdyż jej polityczne ciało pogrzebane zostało. Lecz duch jej nieśmiertelny żyje i objawia się w języku i narodowości, a dopóki on żyje, to odrodzenie cielesne jest niezawodne. I tak się też stało. Na rumowisku porozbiorowem zaczęła nowa kiełkować

Polska. Legjony były jej pierwszą zielenią. Wojny napoleońskie rozwinęły jej ducha, w czasie Księstwa Warszawskiego wzmagać się zaczęła w bujniejsze kształty, i obecnie pełniejszem już życiem uderza. Ale to wszystko nie dosyć dla niecierpliwych warszawskich dzieciuchów. Oni żyją przeszłością, której nie znają, i lekceważą obecną chwilę. Chcieliby, ażeby wszystko z szabelki bez pracy wykrzesać, nie widzą tego, że wszystko, zanim dojrzeje pod tchnieniem żelaznej pracy, powoli i spokojnie rozwijać się musi. W życiu narodowem są przykre przejścia, jak w życiu każdej jednostki, ale gdzież rozum, gdzież miłość ojczyzny, jeżeli niema zapanować nad niemi? Ale wy go w Warszawie nie znacie, u was tylko jest serce, tylko fantazja, tylko wyobraźnia, popędliwość, ale mózgu, charakteru, rozwagi i wytrwałości mało. Że głupstwo jakieś zrobicie, za to wam ręczę, ale mnie to wcale nie dziwi, bo też i położenie nader jest trudne; ażeby mu sprostać, to na to nie politycznych żaków potrzeba, ale ludzi, którzy dawno zdali swój egzamin maturitatis". Wysłuchałem cierpliwie już teraz całego tego kazania, które przerwało przybycie dwuch panów, ale ci, spostrzegłszy Borka, popatrzyli po sobie, zakręcili się i wyszli. Ja też, śpiesząc w swą dalszą drogę, podziękowałem za doznaną gościnność i wprost uciekłem.

Nikt mi dotąd w tak impertynencki sposób naszej nie szkalował przeszłości. Byłem oburzony aż do szpiku kości. Szedłem zamyślony drogą, która mojej na siebie nie zwracała uwagi, jakby wpółsenny i rozmarzony, a gdy się ocknąłem, mój niedźwiedź zarozumiały, który się ze swoją popisywał mądrością, przestał mnie zajmować, a za to myśl odrodzenia na zasadzie języka i narodowości w całem zajaśniała mi blasku. A więc narody marnieją i odradzają się znowu, dopóki tkwi w nich myśl święta, którą wyrobiły w sobie. Powstają, rozwijają się według praw natury, mają swe dziecinne lata, swą młodość i dojrzałość, starzeją się i wreszcie rozsypują się w gruzy, ale odradzają się, dopóki ich dusza w nich żyje. Bo i cóż rze-

czywiście z naszej starej zostało Polski? Ot chyba gruzy, które z ciekawością zwiedzam, a jednak odradza się dzielnie, jakby w celu jakichś nieznanych przeznaczeń. W spadku po starej matce pozostały nam tylko język i myśl narodowa. Z nich, jakby z cudownego ziarna, odtwarza się nowa roślina. Prawem dziedzictwa będzie ona do matki podobna, ale jak wyrośnie i jakie przybierze kształty, to Bóg raczy wiedzieć. W każdym razie będzie ona musiała być dla ludzkości z pożytkiem, bo jeżeli nie, to jej nic od zatraty nie zbawi. A Grecja dzisiejsza? — pomyślałem sobie, czyż nie zmartwychwstaje? Wszakże i z niej nic nie pozostało oprócz języka i narodowości, a czyż w oczach naszych to jej nieśmiertelne tchnienie, szukając sobie państwowej formy bytu, nie zdumiewa nas swoją energją? Wszystko to, co mi wówczas przechodziło przez głowę, otwierało przede mną nieznane mi dotąd horyzonty myśli, na których chaotycznie wyskakiwały nowe zupełnie pojęcia, i ani spostrzegłem, że szedłem drogą, po obu stronach obstawioną bardzo pokaźnymi domkami, wpośród ogrodów, stanowiących wieś niezwykłej długości. Byłem w Smoleniu, nie wiedząc nawet, jakem tam zaszedł. Naraz stanął przede mną prześliczny krajobraz: ogromny cudownych łąk przestwór, w głębi nad stawem wdzięcznie uśmiechające się miasteczko, a na stromej skale, ponad łąkami stojącej, zwaliska Smoleńskiego zamku, uwieńczone prześliczną okrągłą wieżą, otoczoną nieprzejrzanym oceanem leśnej zieleni. Zwalisko nie było obszerne, ale niezwykle powabne. Na środku podwórza znajdowała się studnia, ale nie tak głęboka, jak w Chęcinach, a na wysokości pierwszego piętra obszerne wejście do wieży, do której można było łatwo się dostać po zwaliskach murów. W wieży stała drabina, służąca do rozmiarów tryangulacyjnych, które wówczas właśnie przedsiębrał sztab główny wojskowy. Wszedłem na nią bez trudu, chociaż brzydko pode mną trzeszczała. Wzrok mój ogarnął kilkumilowy lesisty przestwór, z rozsianemi wśród niego wioskami. Zaszedłem potem na łąkę i, usa-

dowiwszy się pod kępą brzóz, naszkicowałem sobie zwaliska, które mnie swym wdziękiem nęciły. Miasteczko przyległe z Pilicą bardzo wówczas przedstawiało się schludnie ze swemi białemi domostwami, bezładnie rozsianemi nad stawem, z którego rzeka Pilica wypływa. Bardzo mi się podobał ładny kościołek wśród gaju lip starych, których cień gęsty budził w sercu wrażenie jakiejś tajemniczej świętości. Był tam jeszcze pałacyk w stylu francuskim zeszłego stulecia za żelazną kratą, lecz odrapany i opuszczony, stojący pustkami. Nie zatrzymując się dłużej w miasteczku, puściłem się do oddalonego o małą milkę Ogrodzieńca, dokąd mnie z wierzchołka Smoleńskiej wieży dojrzane obszerne zwaliska starego zamku Bonerów wabiły. Zaszedłem o gęstym już zmroku i byłem ogromnie znużony. Dano mi w austerji na nocleg pokój obszerny, wpośrodku którego stał jakiś archeologiczny bilard, a pod ścianami usypano kupy pszenicy. Spodziewałem się towarzystwa szczurów i położyłem przy sobie kij na tapczanie, na którym rozesłano słomę, ale nie zjawił się żaden, a ja zasnąłem smacznie, marząc o moim niedźwiedziu z Wolbromia, który mi w dalszym ciągu wykładał swe przekonania. Nazajutrz do dnia udałem się do zwalisk. Stały na piasczystej wydmie przy skraju obszernej łąki, i nie nosiły na sobie obronnego piętna, jak inne ruiny, które dotychczas zwiedziłem, ale raczej charakter wiejskiej rezydencji. Przez bramę, wpół rozwaloną, ale widać ozdobną, wchodziło się na honorowy dziedziniec, który był widocznie za ciasny, aby weń zajeżdżać; otoczony był z trzech stron aż do drugiego piętra sterczącemi ścianami; naprzeciw zaś bramy było wejście do głównego korpusu. Dalej, pomimo zapadnięcia się piętr górnych, można było jeszcze rozpoznać ślady dawnego rozkładu. Odznaczała się głównie sala zapewne balowa i przylegające do niej pokoje. Uderzały mnie głównie dwie komnaty, wykute w skale, o którą opierał się zamek. Z podwórza zaś prowadziło wejście do zachowanych dotychczas podziemi, do których jednak bez świa-

tła wchodzić nie mogłem. Naszkicowawszy sobie również zwaliska, o których przeszłości pouczył mnie Święcki, poszedłem do mej austerji, gdzie, posiliwszy się nieco, w niemałym znalazłem się ambarasie. Wydawszy wszystkie moje pieniądze, miałem tylko czerwone papierowe dziesięcio-złotówki, które dopiero niedawno nasz Bank w kurs puścił, gdyż dotąd posługiwano się tylko brzęczącą monetą. Otóż gospodyni, która papierowych pieniędzy nigdy nie widziała, wprost mi się w nos rozśmiała, gdym jej nimi płacił. Nie wiem, jakby się to było skończyło, gdyby nie nadjechał jakiś handlarz nierogacizny, który, będąc niedawno w Warszawie, znał już te pieniądze, i dla samej osobliwości z chęcią mi kilka papierków wymienił. Mówiono, że do Dąbrowy miałem kawał drogi potężny, że zaś dzień był skwarny, polecono mi drogę przez lasy, która nawet miała być krótszą. Zanim jednak do niej dotarłem, trzeba mi było przechodzić przez wydmę piasczystą i w suchym piasku brnąć po kolana. Wtem błysnęło coś rażącym ogniem na ziemi, i o kilka kroków znalazłem odłam krzemienia wielkości spodka od filiżanki, w środku zagłębiony, a w tem zagłębieniu grupę prześlicznych kwarcowych kryształów. Wielką mi ten znalazek sprawił przyjemność i zabrałem go ze sobą do mojego cielaka.

Stary bór, do którego wreszcie się dostałem, był rzeczywiście wspaniałym. Droga wązka jednokolejowa wiła się wśród kolumnady potężnych sosen, rzadko rozstawionych po czystej krótkiej leśnej murawie, podpierających pod niebem swe zielone sklepienia, za gęste, ażeby przez nie mogło przedrzeć się słońce. Zmrok i cisza otaczały mnie swą uroczystą powagą, a w miejscach, gdzie sosny zbliżały się do siebie lub gdzie pod niemi krzewiła się młodzież, było prawie strasznie. Naraz droga zaczęła się wspinać pod górę, drzewa malały, i wyszedłem nareszcie na łysą wyżynę, panującą nad lasem, z której cudowny odkrywał się widok. Gdzie oko sięgało, rozścielał się zielony, falisty z wierzchołków sosen utkany kobierzec

ze swoimi nieskończonymi odcieniami, a słońce, rzucając na niego mozaikę cienistą, uderzające nadawało mu życie, bo każda chmurka, migająca przed jego tarczą, całą postać zmieniała rzeczy. Cóż to za przepych przyrody! I ludzie jeżdżą w dalekie strony, ażeby się mu przypatrzyć, a toż w kraju mają u siebie cuda, których zupełnie nie znają. Nasycić się tym widokiem nie mogłem, gdy naraz lekko zaczęło się chmurzyć i wiatr się zerwał, a za nim bór cały zaszumiał, jakby organy w kościele; szum to się wznosił, to znów opadał, lecz w całej swojej piękności dał mi się dopiero słyszeć, jak, zeszedłszy z wyżyny, stanąłem pod sklepieniem mojej lesistej świątyni. Usiadłem na murawie i przestałem myśleć, upajając się jej widokiem. Ściemniło się więcej, deszczyk podobno upadł, ale mnie moje zasłaniały sosny, i dopiero roztrzeźwił mnie na dobre Żyd, nadjeżdżający z workami do młyna. Odgadłem zdziwienie na jego twarzy, że mnie tu zdybał, lecz nie zatrzymał się wcale i tylko mnie powiadomił, że nie miałem do stracenia czasu, jeżeli chciałem dojść do Dąbrowy, bo kawał mnie jeszcze od niej oddzielał.

Już było późno, gdy zmęczony i zgłodniały zobaczyłem pierwsze górników domki, a były to bardzo ładne białe chatki, otoczone sadami, które Bank kazał pobudować i odstępował robotnikom kopalni na spłatę amortyzacyjną, pragnąc tym sposobem robotnika ustalić. Księżyc świecił jasno i przy jego wspaniałym blasku ujrzałem pierwsze zakładów dymy, które mnie raczyć zaczęły swą niezwykłą wonią. Kluski z mlekiem i pieczone w mundurach kartofle, które mi na kolację podano, smakowały mi wyśmienicie, a na miękko świeżem sianem zasłanem łóżku spałem jak nigdy.

Komisarzem (naczelnikiem) obszernego obwodu Olkuskiego, w którym się mieściła Dąbrowa, był wówczas powyżej już wspomniany pan du Leuran, mojego ojca przyjaciel, z którego rodziną mieszkaliśmy w jednym domu w Radomiu, i z której dziećmi bawiłem się w piasku.

Otóż najstarsza z tego gronka panienka—Polcia, o jakie trzy lata ode mnie starsza, wyszła zamąż za zawiadowcę zakładów Dąbrowskich, pana Bańkowskiego (Bońkowskiego?), któremu się właśnie meldować musiałem w celu otrzymania pozwolenia na zwiedzenie zakładów. Poznano mnie natychmiast i z wielką przyjęto radością, ani słyszeć nie chcąc o tem, ażebym dni kilka nie miał w Dąbrowie zabawić. Pan Bańkowski był to człowiek około lat 35 mający, bardzo przyjemny a nader łatwy w obejściu. Ukończywszy Akademję górniczą w Frejburgu w Saksonji, jako stypendysta bankowy, objął był niedawno dzisiejszą swoją posadę. Żona zaś jego, małego wzrostu, żywa, brunetka była istnym obrazem Francuzki. Po sutem śniadaniu pan zawiadowca polecił jednemu ze sztygarów, ażeby mi szczegółowo pokazał zakłady.

Kopalnie węgla przedstawiły mi się o wiele piękniej od poprzednio zwiedzanych. Wchodziło się wprost ze stóp pagórka bramą, gdzie zbiegały się równie pochyło z węglem na wózkach, które zaraz przeładowywano na wązkie kolejki żelazne. Chodniki były szerokie, przewiewne i nadzwyczaj utrzymane schludnie, gdyż objaśniono mi zaraz, że dłuższe pozostawienie na stosach węglowego mułu nader jest niebezpieczne, gdyż stosy takie rozgrzewają się samodzielnie i zapalają, a stąd niebezpieczne dla kopalni pożary. Kilka takich już się przytrafiło w Dąbrowie, ale spostrzeżone zawczasu dały się jeszcze ugasić, z wyjątkiem tylko kopalni o milę odległej w Niemcach, którą trzeba było poświęcić, zalawszy ją wodą. Wyzyskiwano tylko górne dotąd pokłady węglowe, ale, ponieważ dobierano się już do głębszych, skąd wodę trzeba było usuwać, postawiono więc pompę parową o sile 16 koni, co mi dało sposobność po raz pierwszy machinie się parowej przypatrzyć, dotąd znanej mi tylko z rysunku. Była to, dziś należąca do archeologji, machina Fultona, którą, zużytą już zupełnie, dotąd jako pamiątkę zachowano na składzie. Węgiel kamienny mało miał jeszcze wówczas zastosowania, używano go jedynie na miejsco-

we posługi, a mianowicie do hut cynkowych, w których dzielnie się sprawiał. Upowszechnił się on dopiero przez zaprowadzenie kolei żelaznych, które jego transport ułatwiły i nad drzewem opałowem dały mu przewagę. Obszary węglowe Dąbrowskie łącznie ze Śląskimi i Galicyjskimi, są największymi w Europie, a pokłady w niektórych miejscach do 10 sążni dochodzą. Nasz węgiel pali się płomieniem; śląski, więcej bitumiczny, tli się więcej, daje się lepiej koksować i jest odpowiedniejszy do wielu technicznych zastosowań. Z ciemnicy podziemnej przeszliśmy następnie do hut jaskrawych cynkowych, gdzie potłuczony i wypłukany galman prażył się w ogromnych glinianych cylindrach, dając ujście stopionemu cynkowi, świecącemu niebieskawym płomieniem. Wszystko to było bardzo jeszcze młode i obiecywało dopiero na później znakomity rozwój, gdyż Dąbrowska kopalnia dopiero przed kilkunastu laty została otwartą przez rząd pruski, który sobie całą zachodnią połowę Olkuskiego aż po granicę Pilicy był zabrał. Kopalnię też nazywano Reden od nazwiska ówczesnego pruskiego głównego górniczego zwierzchnika w Berlinie. Za Księstwa Warszawskiego stanowiła ona część donacji, przez Napoleona nadanej Marszałkowi Lannes, i dopiero niedawno przeszła na własność rządu Królestwa i pod dyrekcję bankową.

Nazajutrz uprzejmy mój gospodarz oświadczył mi, że mi niespodziankę gotuje i zaprowadzi mnie na rabunek kopalni. Gdym się go spytał, co to ma znaczyć, odpowiedział mi, że na miejscu się dowiem. I rzeczywiście, gdyśmy po obiedzie do kopalni schodzili, opowiedział mi, że budowa kopalni prowadzi się filarową robotą, to jest wybiera się naprzód węgiel pasami równoległymi do siebie, tworząc tym sposobem równoległe chodniki, i potem prowadzi się do nich inne znów chodniki, prostopadle, dzieląc tym sposobem cały zajęty obszar na równe co do wielkości kwadraty. Każdy kwadrat jest wtedy filarem, podpierającym sklepienie; otóż wybierają go powoli, stemplując sklepienie belkami, ale gdy cały wybiorą,

stemple usuwają i całe się sklepienie zapada. Niebezpieczna ta robota wymaga wielkiej zręczności, ale z niebezpieczeństwem tak otrzaskać się można, że staje się ono dla nas igraszką. Górnik też raduje się z góry, gdy czas rabunku się zbliża, gotują się bowiem dla niego niespodzianki, przerywające mu przyjemnie jego monotonne życie. „Ależ to można być zgniecionym na miazgę“, zauważyłem. „A można, odpowiedział mi z najzimniejszą krwią mój przewodnik, ale od czegoż przytomność umysłu i rozumu“. Wcale mnie to nie uspokoiło, ale nie chciałem pokazać po sobie, że mnie ciarki przechodzą. Zaszliśmy na miejsce z zapalonemi lampkami; oczekiwano tylko na zawiadowcę, i wszystko już było przygotowane. Zaczęto wyjmować stemple, wybijając pod nimi kliny. Wszystko odbywało się z niesłychanym spokojem, i już trzy czwarte podpór było usuniętych, gdy dało się słyszeć lekkie nad głową trzeszczenie. Bańkowski wziął mnie ze sobą i kazał mi się cofnąć w głąb bocznego chodnika, a sam stanął między robotnikami. Trzask się stopniowo wzmagał, podobny do łamania się lodów na zamarzłej rzece. Naraz głos się przeraźliwy odezwał: „uciekać!“ i w tej chwili piekielny odezwał się łomot i ziemia pode mną zadrżała. W chodniku powstał wiatr gwałtowny, lampka mi zgasła, a sam ledwie mogłem utrzymać się na nogach. Byłem pewien, że moja ostatnia nadeszła godzina, gdy kilka lampek pokazało się w dali. Pan Bańkowski z wesołą do mnie zbliżył się twarzą, mówiąc: „A co, panie Wiktorze, jak ci się to podoba?“ „Namyślę się nad tem, jak skończą, zobaczę“, odrzekłem wystraszonym głosem, któremu zawtórował śmiech wszystkich przytomnych. „No, chłopcy! zawołał zawiadowca, obracając się do robotników, jesteście zuchy, a drzewo, coście wyrabowali, do was należy. Każę wam za nie zapłacić, jeśli nam go sprzedacie“. Zaczęliśmy się cofać, a głośny wykrzyk: Szczęść Boże! rozległ się nam na pożegnanie. Przy wyjściu spostrzegłem niszę, a w niej gipsowy pasążek. Pan Bańkowski objaśnił mi, że to patronka górnicza, Ś-ta Barbara, i

mijając uchylił czapkę. Rabowanie kopalni jest koniecznem dla uniknięcia pożarów. Ponieważ ta część, która się w oczach naszych zapadła, leżała płytko, poszliśmy więc zobaczyć rumowisko, które musiało powstać na powierzchni ziemi. Okazały nam się potrzaskane skały, wśród zapadłej i krzakami pokrytej ziemi na rozległości kilkudziesięciu sążni kwadratowych, świeżo zapadłe, w dalszym ciągu zapadnięć dawnych, dziwnie poszarpanych i już wtedy roślinnością pokrytych. Przyszedłszy o dobrym zmroku do domu, zastaliśmy dość liczne zgromadzenie urzędników i młodszych inżynierów górniczych, niektórych z żonami. Naturalnie, że mowa była o dopiero co dokonanym rabunku, przyczem się nie obyła bez żartów z mojego przestrachu.

Nazajutrz pojechaliśmy do Niekłani, ażeby zwiedzić niedawno tam przez inżyniera Krygera wybudowane huty żelazne. Tego pana Krygera widywałem często w późniejszem życiu, a był to człowiek szczególny w swoim rodzaju: zdolny, rzutki, pracowity, przemysłowiec aż do szpiku kości, ale nie dla siebie, lecz dla idei, która nim owładnęła. Było to drugie Steinkelera wydanie, a takich ludzi dzisiaj już niema. Kryger zaczął pierwszy u nas wyrabiać maszynowe gwoździe i otworzył sobie podwoje bogactwa; ale, jak począł wszystkich potem namawiać, ażeby go naśladowali, wywołał przeciwko sobie konkurencję i zbankrutował. Kiedy Steinkeler był już wybudował kolej Warszawsko-Wiedeńską, Kryger powziął myśl złączenia jej z Sandomierzem i przez lat 2 na swój koszt robił poszukiwania, ale mu odmówiono koncesji, a w 40 lat dopiero potem kto inny z jego skorzystał pracy. Zacny ten obywatel, równie jak jego prototyp Steinkeler, umarł w biedzie, zostawiwszy po sobie jedynie długi.

W drodze do Niekłani zapytałem pana Bańkowskiego, czy zna Borka z Wolbromia. „A któżby nie znał tego oryginała w naszej okolicy, odpowiedział mi z przekąsem. Jest to człowiek niepospolity, ale zwichnięty i dziś już do niczego nie zdolny. Był przez lat 10 na uniwersy-

tecie we Wrocławiu, uczył się wszystkiego, a z niczego nie mógł zdać egzaminu, i gdyby nie zapis folwarku przez stryja, żyłby dziś w nędzy. Najpiękniejsze swe lata przebumlował w studenckich knajpach, wychował w nich kilka generacji burszów i zupełnie zdziczał, a nadto zdemokratyzował się teoretycznie, gdyż w gruncie jest najnieznośniejszym absolutystą. Sadzi się na rogate zdania i na impertynencje, i dlatego wszyscy z nim zerwali. Boją się go, jak ognia, zwłaszcza że nie cierpi obcego zdania i do pojedynku jest skłonny, a wystrzela asy w kartach i przytem rąbie się wybornie". Opowiedziałem panu B., co mnie się z nim przytrafiło. Odpowiedział mi, że go to bynajmniej nie dziwi i dodał, że on sam osobiście wcale jego towarzystwa nie łaknie, ale z chęcią się nieraz z nim potyka, gdyż, oskrobawszy brud z tego, co mówi, znajdzie się tam w głębi myśl zdrową.

Niema nic efektowniejszego dla człowieka, którego to zajmuje, jak wielki zakład do produkcji żelaza. W Niekłani widziałem go po raz pierwszy; wielkie na mnie zrobił wrażenie. Jest on o jakie 1000 kroków zaledwie od granicy pruskiej umieszczony, i zdaje się z wyrachowania, gdyż wówczas cała jego produkcja do Prus się zbywała. Te ogromne hutnicze piece, żarzące się płynnym metalem, obsługiwane przez nagich prawie olbrzymów z żelaznymi drągami, te potężne miechy, wdmuchujące, jakby z płuc Eola powietrze, ogromne owe prądy wody i wartko obracające się koła wodne, nadające wszystkiemu ruch i życie, to wszystko w najwyższym stopniu mnie zainteresowało, a cóż dopiero owa nakoniec tryskająca metalowa lawa, tysiącami błyszcząca iskier i rozlewająca się po różnych formach, wyrobionych i wytłoczonych w piasku, ażeby się zmienić w różnokształtne wyroby! A owe znów olbrzymie młoty, we fryszerkach, podnoszące się i opadające z niesłychaną miękkością, a jednak uderzające potężnie, lub owe w pudlingarniach walce, wyciskające sok ognisty ze ściśniętych sztab żelaznych. Cóż to za zajmujący widok i jak ogromne do namysłu pole!

SZKOŁY PODCHORĄŻYCH

Z Niekłani pojechaliśmy do Niemców, nie tylko żeby zobaczyć zalaną kopalnię, o której wyżej wspomniałem, lecz także aby zwiedzić kopalnię galmanu w pewnej oddali otwartą, której produkt zasilał hutę cynkową. Nie wchodziliśmy jednak w podziemie, nie spodziewając się znaleźć niczego nowego. Górnik tylko jakiś oddał panu B. bryłę węglową, na której były odciski przedpotopowej paproci, a ten, zabierając ją do swego zbioru, powiedział mi, że odciski i petryfikaty w warstwach węglowych w Dąbrowie zdarzają się rzadko i że jego zbiór bardzo powoli się powiększa.

Chcąc skorzystać z okazji, która się nazajutrz rano do Sławkowa zdarzała, pożegnałem się najserdeczniej z moimi amfitryonami, obdarzony na jutrzejsze śniadanie parą pieczonych kurcząt i pół butelką wina. Około jedenastej godziny byliśmy już pod miastem. Skwar był ogromny. Byłem bardzo zmęczony. Widząc prześliczny bukowy gaik przy trakcie, wysiadłem z bryczki, podziękowałem za podwiezienie i poszedłem ku niemu. Na pagórku, podnoszącym się zwolna od drogi, rozścielał się zielony kobierzec, na którym rzadko ustawiły się drzewa, a słońce, przechodzące przez liście, rozrzucało złote kręgi po ziemi. Przedewszystkiem wziąłem się do mojego śniadania, a potem, odszedłszy dalej, wybrałem sobie cieniste miejsce, podłożyłem sobie mój cielak pod głowę i rozciągnąłem się na ślicznej murawie. Pamiętam to doskonale, gdyż tu zaszła ze mną przygoda, którąby można pomieścić w dalszym ciągu bajek tysiąca nocy. Leżałem spokojnie z przymkniętemi oczyma i przypatrywałem się wiewiórkom, skaczącym po drzewach, aż naraz zdrzemnąłem się nieco, lecz niebawem otworzyłem oczy, bo mi w nie słońce świecić zaczęło, a wtedy wzrok mój upadł na złotą śliczną muszkę, siedzącą obok mnie na liściu, a o jaki łokieć wdali ujrzałem ogromną zieloną żabę z oczami wlepionemi w muchę i gotową na nią do skoku. Ująłem leżący przy mnie kij ostrożnie i jednym zamachem żabę zabiłem. Potem usunąłem się trochę ze słońca i znowu drzemać zacząłem. Ale to, co dopiero na jawie się sta-

ło, przedstawiło mi się jako senne marzenie. Mucha siedziała na miejscu wśród jaskrawego promienia słońca, lecz jakoś cudownie przekształcać się zaczęła, i okazała się przed moim zdumionym wzrokiem jako młodziutka dziewczynka w białej koszulce, z pod której wyglądały cieliste rączki i nóżki, a ciało wpół przezroczyste pozwalało mi widzieć przez siebie dalsze drzew gałęzie. Pływała jakby mgła w powietrzu, w słonecznym promieniu. Włoski blond miała rozpuszczone, oczy figlarne, niebieskie i wianek z czerwonego polnego maku na główce. Patrzała się na mnie ciekawie i ja się też na nią patrzałem; naostatek podniosła paluszek do buzi, przesłała mi nim pocałowanie i rzekła wyraźnie: „Ja ci tego nie zapomnę przez całe twe życie“. Obudziłem się naraz, ale wszystko już znikło, i tylko żaba z rozciągniętemi nogami leżała na trawie. Przetarłem oczy i dziwne mnie jakieś ogarnęło wzruszenie, ale obraz mojej dziewczynki tak mi tkwił w pamięci, iż ciągle przed oczyma mi stawał. Wstałem i poszedłem dalej. Ale cóż się ze mną stało? — myślałem sobie po drodze, gdy naraz przyszła mi do głowy izba w Sadkowie, oświetlona palącym się na kominie ogniem, z gronem przy kądzieli prządek, opowiadających sobie bajki ludowe, z których jedna o zaklętej księżniczce przyszła mi na pamięć. A więc ta złota mucha to—zaklęta księżniczka, a ta ropucha — to zły czarownik, który ją prześladuje; ja, gdy go zabiłem, uwolniłem ją od jego czarów, a ona mi swoją zapowiadała protekcję. A to i owszem, pomyślałem sobie, niechajże mnie proteguje, i zaśmiałem się wesoło. Rzecz jednak szczególna, że całe to fantastyczne zdarzenie tak mi ćwiekiem w wyobraźni uwięzło, że mi się najniespodzianiej od czasu do czasu nasuwa na pamięć i staje do dziś dnia przed oczyma mojemi. Gdybym był zabobonnym i ściśle wiązał pomyślne okoliczności, które mi się przypadkiem przy każdem takiem przypomnieniu zdarzały, to nakoniec mógłbym w siebie wmówić, że się mną opiekuje jakiś wpływ nadprzyrodzony.

Oprócz huty cynkowej istniała wówczas w Sławko-

wie walcownia cynkowej blachy, której zaczęto używać do pokrywania dachów, dotychczas wyłącznie krytych gontami albo dachówką. Na nieszczęście walcownia nie szła z powodu jakiegoś uszkodzenia w wodnym motorze; musiałem się więc zadowolić samem obejrzeniem machin. Przed wieczorem stanąłem w Olkuszu; a że już było zapóźno, ażeby się w domu pana komisarza przedstawić, przenocowałem w karczmie na sianie. Nie pomnę już jakim sposobem poznałem się nazajutrz rano z jakimś podżyłym sztygarem. Był to człowiek poważny, ciekawy wiedzy i zastanawiający się skrzętnie nad tem, co widział. Rozgadaliśmy się obszernie o starodawnych kopalniach Olkuskich, które znał dokładnie, o ich zalewaniu się wodą, o zamiarach rządu w celu ich osuszania, o rzece Babie, w piaskach od czasu do czasu ginącej, aż naostatek, z powodu, że niedawno w jakimś kącie podziemnym znaleziono starożytne ogromne dłuto, przyszliśmy na temat, w jaki to sposób ojcowie nasi wyzyskiwali owe sławne ołowie srebrodajne, którymi Olkusz tak słynął. „A jeżeli to pana zajmuje, to mogę panu pokazać, bo jest tu niedaleko stąd stara bardzo, ale dostępna kopalnia“. Nadzwyczaj byłem uradowany uprzejmością mego poczciwego sztygara. Przebraliśmy się natychmiast w górnicze kitle, wzięli lampki w rękę i do owej podążyli kopalni. Wyszedłszy z miasta, szliśmy pustem polem, zaległem, jak okiem dojrzeć, dziwnem jakiemś rumowiskiem w kształcie nieforemnych dziwacznych pagórków, chwastem porosłych. Gdym się zapytał, co to takiego? — powiedział mi mój towarzysz, że to popioły i żużle z dawnych polskich czasów, powyrzucane z pieców po wytopieniu metalu. Zdziwiło mnie ogromnie ich nagromadzenie, a więcej jeszcze, że profesor Kitajewski z Warszawy, który tu był przeszłego lata, zapewniał, że mają zawierać znaczny jeszcze procent ołowiu i srebra, i że za lat kilkadziesiąt, jak się chemja górnicza nauczy taniej wytapiać metale, to z tych pozostałości jeszcze się wyciągnie miljony. Widać, że w Warszawie dobrze wiedzą o tem,

dodał mój towarzysz, gdyż nam nakazano pilnować, ażeby nikt tych gruzów nie tykał. Stanęliśmy wreszcie u wejścia starego spróchniałymi już balami wycembrowanego szachtu, na którego ścianie trzymała się jeszcze mocno przytwierdzona prostopadła drabina, i zeszliśmy na dół o jakie dziesięć sążni. Nie widziałem nigdzie wejścia do chodnika, ale tylko na jakie trzy stopy wysoką mysią przy ziemi dziurę, w którą nam wypadało się wsunąć. Sztygar pozapalał lampki, wyjął kłębek szpagatu z kieszeni, przywiązał jego koniec do drabiny, ujął kłębek w rękę i, położywszy się na brzuchu, zręcznie wsunął się do dziury, polecając mi, żebym szedł za nim. Nie było mi to bardzo przyjemnie, ale nie czas już było się cofać. Czołgaliśmy się tym sposobem jeden za drugim w ciasnym korytarzu może przez jakie 15 kroków i dostaliśmy się nareszcie do jamy, w której można już było stanąć swobodnie. Była ona wykuta w twardej opoce, jakby jakiś mały pokoik. Siedliśmy na ziemi i mój przewodnik zawiadomił mnie wtedy, że nasi przodkowie, nie znając galmanów, nie tykali ich wcale, ale, zdybawszy wśród nich żyłę srebrodajną błyszczu ołowianego, szli za nią kręto, jak ich prowadziła, leżąc na brzuchu, ryli się w ziemię, jak krety, zupełnie tak samo, jak dzisiejsi wojskowi pionierzy, gdy zakładają pod fortece miny. Jak znaleźli gniazdo, to go wybierali do szczętu i szli znowu dalej za żyłą do drugiego gniazda, wytwarzając tym sposobem szereg izb mniejszych lub większych, połączonych ze sobą jakby kretowymi traktami. Obejrzawszy się naokoło, zobaczyłem, że w jej ścianach było kilka otworów, a były to wejścia do różnych chodników. A teraz chodźmy dalej, powiedział mój stary, i wsunął się w jeden z takich otworów, kłębka nie puszczając z ręki. Nowy nasz chodnik skręcał się w prawo i w lewo i doprowadził nas znowu do nowej, ale mniejszej izdebki. Teraz zrozumiałem pożytek owego kłębka, gdyż w tym dziur labiryncie nie podobnaby było bez niego się znaleźć. Siedliśmy znów do odpoczynku, ale straszno mi się zrobiło. „Jakto? i ty jesteś

o dziesięć sążni pod ziemią, w podziemnem kretowisku, z jakimś człowiekiem, któregoś po raz pierwszy przed godziną widział. Adyć on cię może zabić, obedrzeć i uciec, a świat ani się dowie, gdzie się podziałeś, a zresztą, czyż ziemia nie może się zapaść i zgnieść nas na miazgę, albo też zasypać chodnik, w którym się prześlizgnęliśmy, i żywcem nas pogrzebać?“ Czułem, że pot zimny występował mi na czoło. „A co, czy jeszcze pójdziemy dalej?“—zapytał mnie mój stary. „O, nie, odrzekłem, mam już tego dosyć“. Mój przewodnik tak szczerym i poczciwym przemówił głosem, że mnie uspokoił odrazu. Za przewodnictwem naszego sznurka stanęliśmy niebawem na dnie naszego starego szachtu, a gdy, podnosząc głowę do góry, światło dzienne zoczyłem, uczułem błogość nie do opisania. Stanąwszy w mieście, chciałem poczciwemu memu przewodnikowi wynagrodzić za jego trudy, ale on roześmiał się na to i zaprosił mnie na przekąskę do siebie. W ogólności dziwny to naród ów lud górniczy, nie wiem, czy to tak dotąd zostało, ale w mojej wędrówce znajdowałem u nich taki wewnętrzny spokój, taki brak sobkostwa i taką dziecięcą niemal niedbałość o jutro, że mnie ona dziwnie uderzała. Czyżby to życie w samotności, pod ziemią, pełne niebezpieczeństw i pozbawione wszelkiego weselszego bytu, miało w ten sposób ryczałtowo poniekąd wyrabiać ludzkie charaktery? Rzecz naturalna, że to tylko o niższych warstwach górniczej hierarchji jest mowa, lecz znałem ją zbyt krótko i zbyt powierzchownie, żebym mógł o niej uzasadnić moje zdanie.

Państwo du Leuran przyjęli mnie z otwartemi rękami, a dzieci obskoczyły mnie gromadą. Ale piękne dzieci! skoro dwie panny wyszły już były za mąż, a syn najstarszy aplikował przy ojcu i już się dosłużył etatu. Dziwili się niezmiernie mojej fantastycznej podróży, a stary komisarz był zachwycony, że mnie w jego obwodzie nikt nie skrzywdził, nie okradł i że wszędzie był największy porządek, chociaż straży wiejskiej nie było, a kilku ob-

wodowych żandarmów było prawie wyłącznie użytych do egzekucji podatków. Po obiedzie pojechaliśmy zwiedzić zwaliska Rabsztyna, o jakie pół mili odległego od miasta. Dziwna to bardzo ruina. Na pochyłości pagórka, bez żadnego śladu fos albo okopów, wznoszą się cztery potężne ściany w czworobok ustawione bez żadnego na zewnątrz otworu, oprócz wchodowej bramy. Sięgają one do wysokości trzeciego piętra, a na jednem ze czterech kątów stoi potężna czworokątna baszta. Wpośród takiego obwarowania musiały naturalnie stać frontem do środka podwórza budowle. Cała budowla musi pochodzić najpóźniej z XIII-go wieku; nosi na sobie cechy niesłychanej prostoty. Cztery pozostałe ściany są potężnej grubości, a o ich taranami rozbiciu chyba nie mogło być mowy.

Przy kolacji chciałem się czego o kopalniach dawnych dowiedzieć, ale pokazało się wkrótce, że sam o nich nierównie więcej od miejscowych wiedziałem. Słysząc mnie o nich rozprawiającego, niejeden musiał się dziwić mojej erudycji, nie wiedząc o tem, że miałem Święckiego w zanadrzu. Nazajutrz zaprowadzono mnie do kościoła i pokazano mi krzyże, kielichy, monstrancje i inne kościelne przybory z miejscowego srebra, z wielką czcią przechowywane. Reszta dnia zeszła na wycieczkę nad ową sławną rzeczułkę Babę, która to ma co lat siedm wysychać i znów na następne siedmiolecie napełniać się wodą, a której zawdzięczamy zalanie kopalni.

Któż nie słyszał o ogromnych Olkuskich wydmach? Rozpoczynają się zaraz o kilka staj za miastem i ciągną milami ku zachodnio-południowej stronie. Grunt, którego stanowią powierzchnię, składa się z grubo-ziarnistego piasku i kurzawki, łatwo przesiąkliwej, że zaś kotlina Olkuska nieco jest zagłębiona i bardzo ma liczne dopływy, wiosną więc każdego roku piaski pokrywają się wodą, tworzącą rzekę, która, powoli płynąc w zachodnio-południowym kierunku, w piasku naostatek się zatraca. Rzeka ta w latach suchych do szczętu wysycha, w mokrych zaś trwa ciągle, nieraz bardzo znacznie przybiera,

a czasem przez lat kilka z rzędu się utrzymuje lub na lat kilka przepada. Utworzono stąd bajkę o owych siedmioletnich perjodycznych objawach. Otóż to przesiąkanie tych wód do kopalni jest owym nieprzyjacielem, z którym górnictwo prowadzi nieustanną walkę. Kopano studnie, wyciągano wodę za pomocą kieratów, do których stada utrzymywano koni, aż naostatek burzliwe i wojenne czasy zmusiły do zaniechania wszystkiego, i kopalnie zupełnie zalane zostały, zwłaszcza, że niektóre przybory Baby były tak wielkie, że wierzchem szybów woda wlewała się do głębi. W chwili właśnie mojej podróży podniesiono na nowo zadanie osuszenia kopalni bądź to za pomocą ogromnych pomp parowych, bądź przez wykopanie głębiej sięgającej sztolni. Ostatni projekt osiągnął przewagę. Sztolnia, wykopana pod przewodnictwem inżyniera Hempla, obniżyła o kilka sążni poziom wody w kopalni i otworzyła przystęp do żelaznych pokładów galmanu; a obecnie dokonywające się w owej sztolni poprawki coraz większą otwierają nadzieję, że Babą opanowaną i kopalnie w zupełności osuszone zostaną.

Nazajutrz przy rozstaniu się otrzymałem od komisarza dwa listy: Jeden do administratora dóbr Pieskowej Skały, ażeby mi pomógł zwiedzić Ojców i okolice, — a drugi do burmistrza miasteczka Skały, przez które moja prowadziła droga, ażeby mnie podwodą aż do granicy obwodu odesłał. Obarczonego ukłonami do wszystkich dawnych radomskich znajomych, odesłano mnie po obiedzie do Pieskowej Skały. Droga po kamieniach i piasku była haniebną. Dziękowałem Bogu, że jej nie odbywałem piechotą. Było już ciemno, gdyśmy stanęli na miejscu przed dużym domem w wąwozie u stóp starego zamku. Zastałem pana administratora i całą jego rodzinę właśnie przy kolacji, a gdym list polecający pokazał, przyjęto mnie jak najuprzejmiej i zaraz posadzono u stołu. Rodzina składała się z pani, dwuch dorastających panienek i starszego ich brata, który pomagał ojcu w jego zajęciach.

Mieliśmy czas do zapoznania się bliżej, bo przez cały dzień następny deszcz padał, jak z cebra, i o wycieczkach ani nawet można było pomyśleć. Przepędziliśmy czas bardzo przyjemnie, zwłaszcza, że jedna z panien, która umiała śpiewać przy akompanjamencie fortepjanu, wysypała przed nami cały kram krakowskich piosneczek. Nie brakowało też na tańcach, chociaż nas wszystkich było tylko dwie pary. Rano dnia następnego poszliśmy wszyscy na zamek. Nie przypominam już sobie, do kogo on wówczas należał, ale była to raczej dawna rezydencja magnacka, aniżeli miejsce obronne. Długa jednopiętrowa budowla na urwisku skały, przylegająca do obszernego ogrodu wśród przepysznej dzikiej okolicy. Obecny właściciel zachował i podopełniał umeblowanie z pierwszej połowy zeszłego wieku i urządził całość w ten sposób, że, zwiedzając pałac, zdawać się mogło, że lada chwila wyjdzie do ciebie szlachcic przy karabeli w karmazynowym kontuszu i pani kasztelanowa w robronie. Najbardziej zainteresowały mnie powozy w wozowniach. Były one opatrzone w wysokie resory, między przednimi i tylnymi przeprowadzono rzemienie, a na nich dopiero spoczywało kareciane pudło, które naturalnie przy poruszaniu się powozu musiało się to naprzód, to w tył kiwać, skąd też zapewne i nazwa kolebka. Po obiedzie poszliśmy wszyscy do kościoła Ś-tej Salomei. Droga pięła się wysoko po skale piaskowo-wapiennej wśród prześlicznego jodłowego lasu, a sam kościołek przypięty do skały, jakby jaskółcze gniazdo, wyglądał uroczo. Podobało mi się bardzo, że dla wiadomości pątników kazano wypisać żywot Ś-tej pustelnicy na pergaminie i zawieszono go za ramą w świątyni. Przeczytawszy go, zaraz cała pustelnia ożyła w mojej wyobraźni. Powracając, przysiedliśmy na skraju skały, przy sączącej się krynicy, podsycanej zapasem wczorajszym deszczów, i zabraliśmy się do koszyczkowych zasobów, a pan Hilary wyciągnął butelkę z jednej kieszeni, kieliszek z drugiej, i rozpoczął atak toastem za moje zdrowie. Było nam bar-

dzo wesoło, a gdyśmy spoważnieli potem, wszczęła się dysputa o początku nazwy Pieskowa Skała. Ja odniosłem ją bardzo naturalnie do skały z wapiennego piaskowca, na której zamek zbudowano. Pan Hilary wątpił, czy odlegli przodkowie nasi znali się dosyć na mineralogji i powiedział mi, że według dawnej legendy nazwa od psa, ale nie od piasku, pochodzi. „A to jakim sposobem?“ zapytałem zdziwiony. „Oto tak być miało, odpowiedział mi mój młody towarzysz. Jakiś wojewoda, mieszkający w zamku, miał psa, którego bardzo kochał. Zostawił go raz samego w komnacie przy otwartem oknie, a gdy sam wyszedł przed zamek, napadnięty został przez niedźwiedzia, który się urwał z łańcucha. Widząc to pies w komnacie, zeskoczył z piętra, chwycił niedźwiedzia za gardło i trzymał, dopóki nie nadbiegła pomoc, ale skok i wysilenie tak go wycieńczyły, że padł u nóg swojego pana nieżywy.“

Po długiej i wesołej dyspucie nad tem, która z dwuch wersji jest prawdopodobniejszą, poddaliśmy kwestję pod głosowanie, ale mnie przegłosowano z kretesem, bo panny zadecydowały, że psie pochodzenie nazwy jest poetyczniejsze. Nazajutrz pojechaliśmy w pięcioro, bo i pani chciała być z nami, wozem drabiniastym w półkoszkach, przystrojoną w zielone gałęzie dziarską czwórką, którą Krakowiak potężnem trzaskaniem z bicza podsycał, a echa leśne swoim wtórowały nam echem. Pojechaliśmy na cały dzień w odwiedziny do dzierżawcy Ojcowa, z którego rodziną familja administratora blizko była skoligaconą. Widać, że ją uprzedzono o naszem przybyciu, oczekiwano nas bowiem z kawą. Przedstawiono mnie uprzejmie. Uderzyły mnie twarze otwarte, wesołe i szczere, i odrazu byliśmy już sobie dobrze znajomi, a było nas siedmioro młodzieży, bo rodzina dzierżawcy składała się, oprócz samej pani, z dwuch dorosłych synów i córki. Zaraz więc po kawie wybraliśmy się razem, w towarzystwie ogromnego psa białego, na zwiedzenie doliny Prądnika. Zatrzymał nas widok pstrągów, które, połyskując

się wśród słońca, lotem błyskawicy suwały się w kryształowym potoku. Potem podążyliśmy do Łokietkowej groty.

Dzień był prześliczny i dolina Prądnika w całym swym okazała się nam blasku. Owe skały urwiste i poszarpane, owe cudowne lasy, ich wierzchołki wieńczące, ów śliczny kobierzec rozścielający się na dnie doliny i owa kryształowa wstęga strumienia, odbijająca od siebie błękitne niebo, tworzyły krajobraz, jakiego się nie zapomina, gdy go się podziwiało raz jeden. Przy grocie czekał na nas przewodnik z łuczywem. Zostawiliśmy całe towarzystwo u wejścia i we dwuch tylko z panem Hilarym weszliśmy nie bez trudu do głębi. Otoczył nas zaraz tłum nietoperzy, zbudzonych blaskiem pochodni. Obeszliśmy podziemie, ale przyznam się, że, sądząc z opisu, wyrobiłem sobie o niem daleko wspanialsze wyobrażenie. Gdybym był mógł wówczas przyszłość przewidzieć, to po powrocie moim na światło dzienne byłbym młodym towarzyszącym mi gospodarzom opowiedział, jakie to skarby rolnicze leżą tam w nietoperzowym nawozie (guano), który Niemcy nam z przed nosa z owych grot Olkuskich wywieźli, a młodym pannom byłbym opowiedział obszernie, jakie to przedhistoryczne skarby odkopała w nich później Akademja Krakowska, i byłbym je bez zaprzeczenia opisem życia naszych dzikich zainteresował praojców, których pierwotne pałace właśnie zwiedzaliśmy. Byłyby może na trud nie uważały, jakie im zrządziło darcie się na skałę, z której nam się prześliczny widok odsłonił na Kraków i na Karpaty, w głębi śniegiem pokryte, na Kraków — ów cel pożądany, do którego dojść tak żywo pragnąłem, a którego musiałem się wyrzec obecnie.

Chciałem zwiedzić także fabrykę prochu w Ojcowie, ale, gdy mi powiedziano, że mnie tam nie puszczą, prosiłem, żeby mnie do ruin zamku zaprowadzono. Wkrótce też ujrzeliśmy okrągłą wieżę i kupę pod nią rozwalonych murów, na tle lasem pokrytego wąwozu, na wzgórku.

Ruina była małą w porównaniu z temi, które już widziałem, ale się przedstawiała uroczo. Była niezaprzeczenie starszą od zamku Pieskowej Skały. Przeniosłem się myśla w epokę, w której powstała. Dzikie jej położenie w odległym od wszelkiej komunikacji zakątku nie dawało się pogodzić z owem wesołem i hulaszczem życiem naszych naddziadów. Uroiłem sobie, że ten zameczek obronny musiał być siedliskiem owej nierzadkiej u nas za czasów piastowskich szlachty, co to, idąc torem niemieckich baronów, żyła rabunkiem, a potem dopiero stał się zameczkiem myśliwskim, kto wie czy nie panów z Pieskowej Skały.

Wyobraźnia moja dostarczyła mi zaraz obrazów i zaimprowizowałem pannom bajeczkę o dzikim rabusiu z Ojcowa, który, pokochawszy pannę z Pieskowej Skały, napadł na nią na polowaniu i uwiózł do swej ojcowskiej siedziby, wskutek czego nastąpiło oblężenie Ojcowa i zdobycie. Bardzo to moje słuchaczki zajęło. Gdy mię pytano, skąd ja tę legendę wywlokłem, spędziłem na Długosza, którego jeszcze teraz za kłamstwo przepraszam.

Na ścianach w zamku, równie jak we wszystkich innych zwaliskach, które zwiedziłem, znalazło się mnóstwo wypisanych sentencji, wierszy, a nawet luźnych podpisów osób zwiedzających. I oto dwa czterowiersze, które mi w pamięci zostały:

Zamku, ty byłeś świadkiem narodowej chwały,
Pamiętasz, jakeśmy wielcy, gdyśmy wolni byli,
Dziś twe strzaskane mury i zapadłe wały
Tak smutną mają postać, jak naród w tej chwili.

Pod spodem tej trochę śledzienniczej sentencji podpisał jakiś optymista co następuje:

Lecz niezłomna jest w nas dusza,
Nie zewszystkiem los nas dobił,
Zje ten pewno paralusza,
Kto nam taką psotę zrobił.

Czytałem w życiu mnóstwo wzniosłych poezji, a jednak żadna mi tak nie uwięzła w głowie, jak te bzdurne,

na gołych ścianach wyskrobane, napisy. Nosiłem je, mimo chęci i woli, w pamięci przez lat 60 po świecie, i nie pojmuję dlaczego się tak mocno w nią wżłobiły.

Po obiedzie, już późnym wieczorem, wróciliśmy do Pieskowej Skały, przejechawszy pod ową sławną u nas pałką Herkulesa, znaną każdemu z opowiadania. Skała ta, odsunięta od głównej ściany skalistej wąwozu, wznosząca się do wysokości czteropiętrowego domu, ma formę głowy cukru. Osadzona jest na ziemi swym cieńszym końcem, a pochyla się nad drogą tak, iż przejeżdżając pod nią, schylano mimowolnie głowę z obawy, ażeby nie zgniotła, spadając na ciebie.

Nazajutrz odesłano mnie do miasteczka Skały, ale, że trafiliśmy na dzień jarmarczny, gdy w pośród ogólnego rwetesu o podwodzie ani można było pomyśleć, uprzejmy burmistrz ofiarował mi całodzienną gościnność u siebie i dopiero mnie nazajutrz dalej odesłał. Chodząc po targowisku, podziwiałem dziarskość i wesołość tamtejszego ludu i prześliczne jego krakowskie ubiory. Ubawiły mnie serdecznie niektóre epizody jarmarczne i bardzo zajęły tańce w karczmach, do których zajrzałem w towarzystwie sekretarza burmistrza.

Pomiędzy Skałą a Proszowicami leży obszerny majątek Niedźwiedź, który wówczas należał do hrabiego Wodzickiego, prezydenta Rzeczypospolitej Krakowskiej. Był on wielkim miłośnikiem ogrodownictwa i pozakładał w Niedźwiedziu ogrody, sławne na całą Polskę. Przejeżdżając tamtędy, zatrzymałem się i poszedłem je zwiedzić. Uderzyły mnie naprzód prześliczne stare aleje lipowe, a potem pałacyk, piękna rezydencja magnacka, oraz śliczne cieplarnie, w oddali stojące. Ogrodnikiem był Czech, człowiek bardzo wykształcony, który mnie sam oprowadził po całym zakładzie. W cieplarniach spotkałem się po raz pierwszy z florą zwrotnikową i podziwiałem prześliczne, kwitnące storczyki. Tu także po raz pierwszy zobaczyłem rośliny z czułkiem, poruszające się za dotknięciem (Mimosa pudica), i muchołówkę (Dionea muscicapa),

ani przewidując wtedy, że w 60 lat później zbadanie przyczyny ich ruchów będzie mnie przez lat kilka trudniło.

Ogród miał zadanie aklimatyzacyjne i zarazem miał kształcić ogrodników praktycznych, których brak dawał się bardzo uczuwać. Ponieważ zaś ogrodnictwo bardzo jest rozwinięte między wieśniakami okolic Krakowa, Wodzicki utrzymywał swym kosztem przy swoich ogrodach kilku stypendystów z pod Wawelskiej stolicy. Podziwiałem rozległe szkółki drzew owocowych i drzew leśnych, cennych a poszukiwanych w przemyśle. Tu dowiedziałem się po raz pierwszy dopiero o hodowli lasów i o jej ważności dla kraju. Uderzyła mnie szkółka modrzewiów, bo drzewo to, dawniej w budownictwie tak rozpowszechnione, zaczęło się już wtedy zatracać.

Podwoda odwiozła mnie aż do Skalbmierza, a dalej piechotą puściłem się w drogę, nie śpiesząc się bardzo, gdyż do Wiślicy, gdziem się nazajutrz miał stawić, było już niedaleko; że zaś głód dokuczać mi zaczynał, wstąpiłem do jakiejś porządnej karczmy przy drodze i kazałem sobie upiec kartofli i jajecznicy usmażyć, gdyż, oprócz mleczywa, te potrawy podczas całej mojej podróży moje pożywienie składały. Gdym na nie czekał, dał się słyszeć trzask bata i przed karczmę zajechała bardzo ładna czwórka, a z koczyka wyskoczył młody człowiek bardzo ujmującej postaci.

„Jak się macie, gosposiu, zawołał wesoło, wchodząc do izby; a dzieci, czy zdrowe? a mąż, czy w domu?“ A gdy młoda kobieta odpowiadała na te pytania, kłaniając się do nóg panu hrabiemu, on tymczasem zrzucił lekki płaszczyk podróżny, skinął na służącego, a ten mu niebawem przyniósł puzdro podróżne. Otworzył je, gaworząc ciągle z gospodynią wesoło, łyknął kielich gdańszczanki, przekąsił sobie bułeczką, potem wyjął z kieszeni piękne pudełeczko, a z niego króciutką, mocno już opaloną, glinianą fajeczkę, nałożył ją i zapalił. Zdziwiło mnie to bardzo, gdyż u nas wszyscy palili wtedy ze stambułek na

długich cybuchach i z potężnymi bursztynami w munsztuku.

Tymczasem służący, nakrywszy stół serwetą, postawił na nim posilne śniadanie i pół butelki wina. Jedliśmy zatem jednocześnie, on swego bażanta, a ja na drugim końcu długiego karczemnego stołu — moje kartofle. Zauważyłem jednak, że mój pan hrabia z pewną ciekawością na mnie spogląda, a naostatek, bez żadnego odcienia pańskości, rzekł do mnie:

— Słuchajno, mój mości, ani na krawca, ani na szewca, ani nawet na ślusarza nie wyglądasz wcale, a jednak wędrujesz; cóż to ma znaczyć?

Odpowiedziałem mu na to z uśmiechem, że nie jestem ani szewcem, ani krawcem, ani nawet ślusarzem nie jestem wcale, tylko Warszawskiego Uniwersytetu uczniem, który, korzystając z wakacji, wziął sobie more germanico kij w rękę, tłumoczek na plecy, i chodzi sobie po najpiękniejszem województwie Królestwa, zwiedzając jego osobliwości.

— A radbym wiedzieć, jakie też tu pan masz osobliwości?

— Odpowiedziałem, że dla nas warszawskich mieszczuchów wszystko jest tu osobliwe i że są tu jeszcze oprócz tego większe uwagi godne osobliwości, np. Olkuskie kopalnie, Baba, starożytne gruzy, ogród w Niedźwiedziu, do którego nasz botaniczny w Warszawie nawet się nie umywał.

Wysłuchał mnie uważnie, potem głową pokiwał i rzekł:

— Jesteś, widzę, obserwatorem, mój panie akademiku.

— Staram się nim być, odrzekłem, bo mam być lekarzem.

— Szkoda, żem się i ja o to nie starał także, i stąd też nudno mi trochę na świecie. Ale, co tam słychać w Warszawie? bo wiedzieć musisz, że i ja potrosze jestem Warszawiakiem. Przed pięciu laty skończyłem wydział

prawny w Warszawie i osiadłem na wsi, na spadku po stryju.

Tu zaczął się wywiadywać obszernie o swych dawnych profesorach prawa, o księciu Konstantym, o Nowosilcowie, o wpływie poezji Mickiewicza na młodzież, o duchu panującym w stolicy i t. d., a gdy mu kamerdyner przygotował kawę, poczęstował mnie szklanką, z wielkiem zadziwieniem lokaja. Dowiedziałem się przytem, że nowy mój znajomy, po wyjściu z uniwersytetu, przesiedział przez dwa lata w Paryżu u ciotki, tam zamieszkałej, i że, przesycony im, uciekł wreszcie do kraju, do swoich koni i baranów. A gdym moje zdziwienie objawił, przytoczył mi znaną anegdotkę o Ludwiku XVI-tym, który skarżył się, że go ciągle pasą kuropatwami.

— Bo to widzisz pan, ten Paryż, to tylko z początku zabawny. W jego osobliwościach i cackach w kilka się miesięcy opatrzysz, jego wyższe towarzystwo, to jak w kontredansie porusza się według przyjętej formy, ludzie tam z nut żyją, takt wybija rutyna i moda, a w życiu znów ulicznem gwar i zamęt nie do wypowiedzenia, codzień coś nowego, co spycha wczorajsze, ciągle coś błyskotliwego się miga, a ty ani złapać, ani się nad niem zastanowić nie możesz, i rozwija się coś w twojej mózgownicy, jakaś kołowacizna, a nareszcie znudzenie. Paryż dobry jest, mówił jakby sam do siebie, dla filozofa, który wszystko zgłębia, albo dla świszczypały, który na wszystko patrzy po łebkach, — a że ja ani jednym, ani drugim nie jestem, więc uciekłem i pewnie tam prędko nie wrócę.

— Ale wiesz co, panie akademiku, jeśli nic lepszego nie masz do roboty, to jedź do mnie na dni parę. Mieszkam tu o 3 mile, a potem cię do Wiślicy odeślę.

Podziękowałem mu jak najuprzejmiej, ale zaprosin przyjąć nie mogłem.

— A kiedy tak, to siadaj ze mną, i o jakie cię pół mili odwiozę.

Mocno obowiązany tem szczerem i wcale nie hra-

biowskiem postępowaniem, wsiadłem do powozu z niemałem zdziwieniem ludzi, żem nie na koźle, ale obok pana hrabiego usiadł. Na rozstajnej drodze wysiadając podziękowałem jak najuprzejmiej za grzeczność i w dalszą ruszyłem drogę, myśląc o tem, co mi pan hrabia o Paryżu powiedział, wbrew temu wszystkiemu, co mi inni o nim mówili. Nudzić się w Paryżu zdawało mi się niepodobieństwem. Nie przewidywałem wtedy doświadczeń, które mnie samego czekały. Cokolwiekbądź mój pan hrabia zdawał mi się być o wiele innym od wielu człowiekiem, jego pojęcia dawały mi do myślenia wiele, a cały jego względny bez przymusu i dobrotliwy układ i wesołość, jakby przyćmiona pewną mgłą namysłu, wielce mnie pociągały ku niemu.

Szedłem po nizinie drogą, z obu stron szerokimi okopaną rowami, z których ziemię wyrzucano na nią, ażeby ją podwyższyć. Niebo zaczęło się chmurzyć i drobniuchny deszcz zaczął popadywać. Wtem zobaczyłem, że ode wsi biegnie jakiś chłop boso, w koszuli, przepasany krajką, w cudackim słomianym kapeluszu na głowie, i wymachuje rękami. Myślałem, że to pijany, ale niebawem rozeznałem warjata. Biegł prosto na mnie, jakby chciał mnie pochwycić. Widząc, że jest silniejszy ode mnie, zacząłem uciekać i, rozpędziwszy się dobrze, jednym susem rów przeskoczyłem. Mój warjat, goniąc mnie, chciał zrobić to samo, ale wpadł do rowu, suchego wprawdzie, ale dość głębokiego. Uciekałem dalej, widząc, że się na wierzch gramolił, a gdy wszedłem do wsi, zobaczywszy gromadkę ludzi na drodze, opowiedziałem im, co zaszło.

— A to nasz Wojtek błogosławiony, a dyć on nic złego nie zrobi!

Nie zrozumiałem, co to znaczyło błogosławiony, i dopiero powiedziano mi później, że warjatów lud krakowski tem mianem cechuje, mniemając, że Bóg ich w szczególnej ma swojej pieczy, i że dlatego i ludzie opiekować się nimi powinni.

Do Wiślicy miałem już stamtąd pół milki, stanąłem

więc zaraz z wieczora, ale, nie chcąc się państwu Baczyńskim naprzykrzać, przenocowałem w austerji, a nazajutrz wystrojony, jak należało, poszedłem złożyć moje powinszowanie pani burmistrzowej w dniu jej imienin. Panią Grabowską z dziećmi już tam zastałem, a niebawem zaczęli się zjeżdżać goście na obiad. Potem nastąpiły tany przy odgłosie żydowskiej muzyki, ustawionej w podwórzu przed otwartemi oknami, wobec małomiasteczkowych gapiów, przypatrujących się przez płoty tańczącym.

Nazajutrz powróciliśmy do Buska, a zaraz potem puściliśmy się ku Warszawie w dwuch powozach na Ostrowiec i Iłżę, gdyż tego interesa mojego opiekuna wymagały. Jadąc przez Iłżyckie lasy, gdzie powozy brnęły głęboko w piasku, mój opiekun wysiadł, a ja wkrótce za nim. Szliśmy pewien czas obok siebie. Mecenas zwracał się do mnie od czasu do czasu tylko z jakimś sarkazmem. Wkrótce jednak rozmowa zawiązała się poważniejsza, a nareszcie przekonaliśmy się oba, ja — że mój opiekun nie był takim szorstkim pyszałkiem, za jakiego go miałem, a on, że ja znów nie byłem chłystkiem i letkiewiczem, za jakiego on mnie uważał. Po dwugodzinnym marszu stosunki nasze wygładziły się ogromnie, a las Iłżycki stał się dla mnie w przyszłości kolebką dobrego z moim opiekunem porozumienia. Dowiedziałem się od niego, że mój pan hrabia z pod Skalbmierza był mu dobrze znany, że chociaż młody i za dziwaka uchodził, był wysoko ceniony, i że się teraz właśnie żenił z panną już nie pierwszej młodości, nie familjantką i nie bogatą, ale wysokiej zacności kobietą. Bardzo mi się to podobało, że mój mecenas na ostatnią okoliczność wyraźny nacisk położył.

Przejeżdżając przez Iłżę zaraz po zachodzie słońca, zauważyłem wspaniałe zwaliska zamku na stromej i wysokiej skale nad miastem sterczące, a że Iłża słynęła także wówczas swojem garncarstwem, postanowiłem przeto obudwu bliżej się przypatrzyć. Mieliśmy nocować u jakiegoś obywatela na trakcie, o małą milkę mieszkającego za miastem, którego interesami w Warszawie mecenas

się zajmował. Dopiero po konferencji nazajutrz około południa mieliśmy odjechać. Przedsięwziąłem przeto wstać rano, do Iłży powrócić, a potem na czas do odjazdu się stawić. Po kolacji usnąłem w ubraniu i o dnia brzasku wybrałem się w drogę.

Stanąłem w Iłży, gdy wszyscy jeszcze spali i jakiś tylko Żyd stary w ulicy się przechadzał. Zbliżywszy się do niego, zapytałem, którędy droga do zamku?

— Ny, a co pan chce w zamku robić? — zapytał mnie ciekawie.

— Chcę skarbów szukać — odrzekłem z przekąsem.

— Ny, to prosto nosa, odwrócił się obrażony i odszedł.

Wszystkie domy były zamknięte, a na dworze ani żywej duszy. I co tu było robić? Poszedłem przez strumyk po kładce, obszedłem kilka domów, aż naraz przyszła mi myśl szalona, ażeby się drzeć na skałę prosto do góry. Wybrałem więc miejsce, które mi się wydało najmniej spadzistem, i wstępować zacząłem. Z początku szło mi dość łatwo, ale dalej trzeba już było na czworakach się drapać, lecz, gdy i to stawało się coraz trudniejszem i kamienie pod nogami usuwać mi się zaczęły, strach mnie ogarnął, ażeby ze znacznej już wysokości na dół się nie stoczyć. Zebrałem więc całą moją energję, zmieniłem kierunek i po długim wysiłku dostałem się pod mur zwaliska. Ale na tem nie był koniec, gdyż spadek zaczynał się zaraz bezpośrednio pod nim, tak, iż, tylko opierając się plecami, prosto utrzymać się mogłem. Spojrzawszy na dół z wyżyny, kręcić mi się w głowie zaczęło. Przemogłem się jednak wobec niebezpieczeństwa. Idąc bokiem, o mur ciągle oparty, dostałem się wreszcie na miejsce, gdzie mogłem się już bez jego pomocy prosto utrzymać, a nakoniec wyszedłem na podwórze zamkowe. Nogi drżały pode mną, w głowie mi się mąciło i tak byłem przerażony, iż długo przyjść do siebie nie mogłem. Obszedłem zwaliska, które mnie już nie interesowały, zauważyłem tylko, że

były do Chęcińskich podobne i że bardzo rozległy z góry roztaczał się widok. Wszelka mnie do dalszego oglądania ruiny ochota odbiegła, z przyjemnością zauważyłem tylko, że z góry do miasteczka jak najwygodniejsza prowadziła droga i że zupełnie niepotrzebnie nabawiłem się trudu i strachu.

W mieście pracowano już w warsztatach garncarskich. Nie było tam fabryki, lecz tylko kilkunastu obok siebie osiadłych majstrów, z których każdy na własną wyrabiał rękę. Wyrabiano bardzo ładne rzeczy, do majolików zbliżone. Przypatrzyłem się szczegółowo robocie i kupiłem maleńki herbaciany garnitur z białej glinki fajansowej na zabawkę dla dzieci pani Grabowskiej. Wpakowałem go w garnek i zabrałem ze sobą, śpiesząc z powrotem. Było już około dziesiątej rano, gdym się na śniadanie stawił, ale obraz niebezpieczeństwa, na które się tak lekkomyślnie narażałem, ciągle mi stał przed oczami. Zaraz potem odjechaliśmy do Radomia, gdzie zabawiliśmy tylko dzień jeden u rodziców pani mecenasowej, a następnie w ciągu dwuch dób dojechaliśmy do Warszawy, wlekąc się jak smoła, gdyż wtedy budowano szosę na Grójec i w rozległości mil sześciu droga była świeżym posypana szutrem.

Warszawa wydała mi się ohydnie zacieśniona, brudna, zakurzona i zaduszna. Liście z drzew zaczęły już opadać; rynsztoki toczyły cuchnące kałuże. Serce mi się ścisnęło, bo jakaż to różnica od owych wesołych, zielenią pokrytych wzgórzy i otwartych widoków, które podziwiałem w czasie mojej wędrówki. Ludzie wydawali mi się jakoś nienaturalni, złamani, jakby ożywione bryły, przeciągające po wązkich i nierównych chodnikach. Serce mi się ściskało, gdy do domu zaszedłem, a do tego jeszcze matka moja powitała mnie dość kwaśno, gdyż ojczym mój z mego wałęsania się, jak go nazywał, wcale nie był zadowolony, w przekonaniu, że mnie na tysiączne narażało niebezpieczeństwa. Zdanie to wszyscy nasi podzielali znajomi. Wuj Antoni przyjął mię bardzo łaskawie,

wywiadywał się z wielką ciekawością o moje przygody i powiedział mi wreszcie: „Chłopcze, zdałeś egzamin na samodzielność, umiej się z nią teraz obchodzić; o, jakżebym ja chętnie po wertepach łaził!“ Smutnie popatrzył na mnie i westchnął. Pani Puchalska nie mogła się także ze mną o moich przygodach nagadać, widziałem jednak z jej miny, że swemu jedynakowi nie byłaby pozwoliła za żadne skarby tak się po kraju wałęsać.

Tymczasem Edmundek, zapisawszy się do uniwersytetu na prawo, zaczął z koleżkami burszować i przypatrywać się ciekawie pięknym oczkom kawiarek, o czem mama nie wiedziała nic wcale.

Doszedłszy w mojem opowiadaniu do jesieni 1829 roku, nie tylko, że zatrzymać się, ale co większa, o rok cały cofnąć się muszę, ażeby uwzględnić wypadki, które na mnie nie miały wprawdzie bezpośrednio wpływu, których jednakże następne skutki stanowczo na mój los wpłynęły.

Wspomniałem powyżej o zamachu rewolucyjnym w Petersburgu przy wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja, o stosunku sprzysiężonych rosyjskich do naszych towarzystw tajnych, o sądzie sejmowym, który miał sądzić kilkunastu poszlakowanych o zdradę stanu polskich przestępców, między którymi był zaplątany szanowny nasz przyjaciel, major Zabłocki. Wspomniałem, że wyznaczono osobny śledczy komitet pod prezydencją Zamoyskiego, ówczesnego prezesa Senatu, a gdy ten w dziesięć miesięcy ukończył swe dzieło, przedstawiono je Senatowi in gremio, mającemu wyrokować, jako sąd sejmowy pod przewodnictwem Bielińskiego, tego samego, który mnie przed kilku laty za uszy wytargał. Był to mąż prawy, niezależny, pełen odwagi cywilnej, rzeczywisty wzór cnót obywatelskich; kraj cały umiał go ocenić. Postawił on z początku zaraz zawiłą tę sprawę na drodze ściśle legalnej, pomimo wszelkich usiłowań wdarcia się do niej absolutyzmu księcia Konstantego i Nowosilcowa, działającego w myśl wyższych sfer w Rosji rządzących,

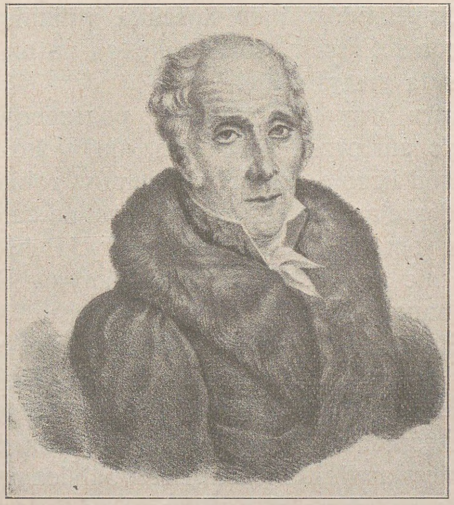
tak, iż od czasów przywrócenia Królestwa sprzeczność prawności konstytucyjnej i samowoli monarszej jaskrawiej na jaw nie wychodziły. Nie moją jest rzeczą kreślić koleje tego w dziejach odradzającej się Polski pamiętnego sądu, wspomnę tylko, że z góry zaraz usunięto zarzuty zdrady stanu, na której opierało się całe oskarżenie i uznano tylko dwie winy: udział w tajemnych stowarzyszeniach, przez rząd zakazanych, i niezawiadomienie rządu o knowaniach, mających na celu polityczny przewrót. Stosownie do tej zasady wypadły na oskarżonych wyroki w różnym stopniu osobistego ich przewinienia, a Zabłocki od wszelkiej został odsądzony winy. Taki wyrok nie podobał się cesarzowi w najwyższym stopniu. Senat otrzymał dosadny wygowor i nie pozwolono senatorom rozjeżdżać się z Warszawy, gdzie ich trzymano jakby w areszcie przez kilka miesięcy.

W tym czasie umarł Bieliński. Całe społeczeństwo grubą okryło się żałobą. Zaraz opowiem dzieje jego pogrzebu oraz jego następstw. Wspomnę tu tylko, że nadeszło wreszcie zatwierdzenie monarsze wyroku, ale oskarżonych, bez wyjątku, wywieziono z Warszawy. Nie wiedziano zrazu, co z nimi się stało, i dopiero później rozeszła się wieść, iż osadzeni zostali w kazamatach twierdzy Petersburskiej. Mój biedny Zabłocki, pomimo Najwyższego zatwierdzenia wyroku o swej niewinności, przesiedział tam półtora roku. Wyrok Senatu był jednomyślnym, jeden głos tylko był za zdradą stanu, a zatem za karą śmierci, a tym był głos generała Wincentego Krasińskiego, bohatera z pod Samosierry, najpopularniejszego z ulubieńców Warszawy, któremu oddano zaraz po śmierci Bielińskiego prezydjum Senatu, zostawiając mu honor wygłoszenia ostatniej monarszej decyzji.

Oburzenie publiczne nie miało granic, utrzymano je jednak w przyzwoitych karbach, tylko Krasiński spadł odrazu na najniższy stopień pogardy, z której nie podniósł się już więcej. Przeszedł później do służby rosyjskiej i zastępował Paskiewicza w razach jego nieobecności w

Warszawie. Widywałem go później, już po 25 latach, na czele zastępów kozackich.

Przez cały czas śledztwa i sądu Warszawa okryła się kirem, wszelkie zabawy ustały, ludzie chodzili jak powarzeni. W mieście zaś rozwinięto nadzwyczajne ostrożności policyjne i wojskowe. Wojsko było w obozie zamknięte i nie wolno było z niego bez osobistego pozwolenia księcia wychodzić, po mieście chodziły patrole, a



Piotr Szeliga Bieliński,
Prezes sądu sejmowego w r. 1828.

pałac Krasińskich, gdzie się sąd sejmowy odbywał, wojskiem był obstawiony.

Bieliński mieszkał przy ulicy Długiej, w domu za żelazną kratą, gdzie dziś teatrzyk ludowy. Cała Warszawa pośpieszyła oddać mu hołd pośmiertny, a w dzień pogrzebu nie tylko ulice były przepełnione ludem, lecz, pomimo ostrej pory zimowej, na początku marca 1829 roku, wszystkie okna były pootwierane i przepełnione widzami w żałobie. Po kilku wygłoszonych mowach przy zdjęciu

ciała, trumnę ponieśli na swych barkach senatorowie, a na ulicy odebrali ją akademicy, w komplecie zgromadzeni (około 600 młodzieży), i porządek przy pochodzie utrzymujący, gdyż policja, pomimo całego usiłowania ze swej strony, do tego dopuszczoną nie była. Zwłoki zaniesiono do kościoła Ś-go Krzyża, a gdy Senat, odebrawszy trumnę, wniósł ją do świątyni, policja drzwi zamknęła i uszykowała się przed niemi, wzbraniając akademikom wejścia. Wtedy rozpoczęła się bójka. Policjantów pozrzucano ze schodów i do kościoła wniknięto. Szymanowski, padając, złamał sobie rękę, za co mu potem naznaczono sutą gratyfikację.

Nazajutrz przy nabożeństwie pogrzebowem policji już nie było ani przed kościołem, ani w kościele, i porządek wśród licznie zebranych tłumów robili sami akademicy. Uderzającą potem było rzeczą, że całe to zajście żadnych za sobą nie pociągnęło skutków. Pominięto je, jak gdyby nic nie zaszło. Nie otrzymaliśmy w Uniwersytecie nawet napomnienia.

Przez dwa dni pogrzebowe nikt się na prelekcji nie stawił, tylko sam jeden Zygmunt Krasiński. Oburzyło to do żywego wszystkich, a gdy w najbliższą potem sobotę, zwykle uczęszczaną przez liczną postronną publiczność, Krasiński się stawił, Łubieński Leon publicznie zawezwał go do odpowiedzialności za lekceważenie ogólnego koleżeńskiego postanowienia. Wszczęła się publiczna kłótnia, a gdy się pan Zygmunt uniósł i hardo się stawiał, został znieważony i satysfakcji zażądał. Przytomne damy struchlały, w sali powstało zamieszanie wielkie, prelekcja została przerwaną, a gdy nazajutrz sprawa wytoczyła się przed sąd rektorski, z uwagi, że pojedynki były wzbronione, obaj przeciwnicy zostali relegowani. Ci, którzy znali Zygmunta bliżej, żałowali go bardzo, zwłaszcza, że tak postąpił za wyraźnym rozkazem ojca. Zdarzenie to wywarło na jego charakter wpływ jak najzgubniejszy, złamało jego obywatelski zawód i smutnie odbiło się nawet w jego poetyckich produkcjach. Zdziczał, oddalił

się od ludzi, zamknął się sam w sobie, nie kontent ze siebie i świata, aż póki nie zapadł na zdrowiu i smutnego w młodym swym wieku nie zakończył żywota.

Po rozegraniu owego smutnego z sądem sejmowym dramatu cesarz Mikołaj wyraźnie się upamiętał, pragnąc powoli zatrzeć jak najgorsze wrażenie, które samo przez się z czasem wcale się nie zacierało. Rozkazał swym kosztem odnowić i ozdobić kaplicę pogrzebową u Kapucynów, gdzie spoczywa serce Sobieskiego. A po wzięciu Warny, podczas toczącej się wówczas kampanji tureckiej, pomnąc na śmierć Władysława Warneńczyka, przysłał do Warszawy w darze dwie zdobyte na Turkach chorągwie i kazał je w katedrze Ś-go Jana zawiesić, obok chorągwi zdobytej pod Wiedniem przez Sobieskiego. Z powodu, że kilku oficerów polskich brało udział w toczącej się kampanji tureckiej, darował miastu Warszawie 12 armat na Turkach zdobytych, które jednak, z powodu opóźnienia i następnych wypadków, nie zostały przysłane. Wszystko to jednak nikło wobec kapryśnej podejrzliwości księcia Konstantego, oraz podstępnego szpiegostwa Nowosilcowa.

Na wiosnę gruchnęło najniespodziewańsze zawiadomienie, że cesarz Mikołaj postanowił koronować się jako król polski w Warszawie. Zdziwienie i radość były powszechne, i wszystkie poprzednie wrażenia chwilowo zapomniano. Przy końcu maja zostali wysłani na miasto heroldowie, mający postanowienie urzędowo ogłosić. Kilka orszaków wyjechało współcześnie z Saskiego Placu, a każdy składał się ze szwadronu gwardji strzelców konnych, herolda, kilku szambelanów, dwuch konno w galowych mundurach i sześciu masztalerzy, prowadzących sześć luźnych koni, przepysznie przybranych. Herold miał obcisłe białe do kostek spodnie, bluzę aksamitną czerwoną z herbami wyszywanymi złotem na piersiach i plecach i beret czerwony, złocisty na głowie. Orszak zatrzymywał się na placach i przy skrzyżowaniach ważniejszych ulic, herold odczytywał proklamację korona-

cyjną, a potem rozrzucał setki jej egzemplarzy pomiędzy lud zgromadzony. W kilka dni potem przybyły do Warszawy insygnia koronacyjne, aż do granicy eskortowane przez wojsko i urzędników dworskich Cesarstwa, a od niej znów aż do Warszawy przez odpowiedni orszak i dygnitarzy Królestwa. Dnia 17 maja odbył się uroczysty wjazd rodziny cesarskiej do naszego miasta, przepełnionego gośćmi krajowymi i zagranicznymi. Ponieważ zaś wjazd przez spadzistą ulicę Bednarską był prawie niemożebny, rzucono więc umyślnie most pontonowy przez Wisłę naprzeciw Żoliborza (dzisiejszej Cytadeli) i uporządkowano starannie ulice Zakroczymską, Freta, Senatorską, Miodową aż do Zamku. Cała rodzina zatrzymała się u namiotu, wspaniale urządzonego przy rogatce petersburskiej, gdzie prezydent miasta wręczył klucze Najjaśniejszemu. Cesarzowa zajęła miejsce w towarzystwie dam w ośmiokonnej złocistej karecie, przed którą jechał konno cesarz w otoczeniu braci, dwunastoletniego wówczas następcy tronu (później Aleksandra II-go) i świetnego orszaku dygnitarzy i ambasadorów. Książę Konstanty, otoczony senatorami i ministrami, oczekiwał u mostu na warszawskiej stronie, ale był zły, trafił mu się bowiem przypadek: spadł z konia, wystraszonego hukiem artylerji i musiał dosiąść innego.

Byłem w oknie z matką na Nowem Mieście i wszystko widziałem dokładnie. Orszak zatrzymał się przed kościołem Franciszkanów, gdzie go na czele duchowieństwa oczekiwał Arcybiskup. Cesarz zsiadł z konia, ucałował krucyfiks, podany następnie Najjaśniejszej pani, i orszak podążył dalej. Chorągiew królewską zaciągnięto na Zamku. Po obu stronach ulic wojsko utworzyło szpalery. Okna były wspaniale przybrane i radosnym powitaniom nie było końca, chociaż pewien ponury odcień przeglądał w pośród nich wyraźnie, dla każdego przynajmniej, kto znał cokolwiek lepiej zwyczajną fizjognomję miasta. W zamku królewskim zrobiono wielkie przygotowania. Przystrojono wspaniale salę senatorską, gdzie koronacja miała się

odbyć, i wystawiono od bramy zamku aż do podwoi katedry pomost, który czerwonym suknem obito, a zarazem dla publiczności długą estradę, tyłem obróconą do ulicy Piwnej. Wieczorem w dniu przed koronacją odbyły się we wszystkich kościołach wspaniałe nieszpory, a nazajutrz, przy biciu z armat i dzwonów, oraz przy ogromnym zbiegu publiczności, rozpoczęto akt koronacyjny solennem zaniesieniem insygnji do katedry, poświęceniem ich tamże i odniesieniem napowrót do sali koronacyjnej. Prymas zjechał staropolskim zwyczajem na Zamek, a cesarz zaraz potem, w otoczeniu rodziny i dworu, wszedł do sali tronowej, przyjęty wodą święconą, i zasiadł na tronie. Arcybiskup podawał mu kolejno płaszcz, koronę, berło i t. d., a wreszcie księgę, z której klęcząc odczytał modlitwę. Wspomniał w niej o zaprzysiężonej już poprzednio konstytucji i błagał Boga o pomoc w rządzeniu z pomyślnością krajem. Potem pontyfikalnie przeszedł do katedry po pomoście, przyjął błogosławieństwo kapłańskie, a gdy powrócił, pozwolono ludowi rozebrać na własność pomost, estradę i sukno, z czem się tak uwinięto, iż w godzinę potem już ani śladu nie zostało. Tylko przy nieostrożnej rozbiórce estrada runęła, ale cudem rzeczywiście nie raniła nikogo. Po tem wszystkiem posypały się bale dworskie, prywatne i festyny ludowe, na placu Ujazdowskim parady wojskowe oraz illuminacje.

Najciekawszem było wielkie ugoszczenie dla ludu na placu Ujazdowskim. Pobudowano tam stoły i ławki dla kilku tysięcy osób, a na nich porozkładano różne jedzenia: chleb, ser, masło, a na miskach najrozmaitsze mięsiwo, we wszystkich rozlicznych formach. Fontanny z piwa i miodu biły w pośrodku, a gdy godzina naznaczona nadeszła i mnóstwo było nagromadzonego pospólstwa, ukazał się cesarz z żoną i synem, wmieszał się między lud, mówił z wieloma, a gdy się oddalił przypuszczono szturm do jadła i do napitku. Co się tam działo, trudno opisać, a trudniej jeszcze przewidzieć, coby się było stało, albowiem w chwili największego ferworu lunął deszcz,

jak z cebra, a wtedy każdy złapał, co się złapać dało, i dalej w nogi. Deszcz trwał króciutko i słońce znowu w całym blasku zajaśniało. Przypatrywałem się z okna na Nowym Świecie tym półpijanym i do nitki przemokłym tłumom. Każdy niósł coś zdobytego: ten miskę, ten dzbanek, ów bochen chleba, inny znów cały szkaplerz serdelków, opędzając się od przechodniów, którzy je po jednemu kradli, a ten niósł znów w tryumfie pod pachą głowę wołową, albo baranią ze złotymi rogami. Jeżeli się nie mylę, to Piwarski uwiecznił ten pochód litografją bardzo udatną.

Przez cały czas pobytu dworu w Warszawie cesarz Mikołaj był wesoły, swobodny, i zdawało się, że mu dobrze pomiędzy nami. Spotkałem go dwa razy idącego ze swym tylko adjutantem. Jeździł sam konno od Łazienek do Zamku. Oddalał od siebie policję, mówił po polsku i oświadczał się wcale niedwuznacznie ze swoją ku nam sympatją, a, przedstawiając swego syna, upewnił, że będzie dobrym Polakiem.

Książę Konstanty był, przeciwnie, rozdrażniony i podejrzliwy. Trzymał w pogotowiu wojsko, gotowe do stłumienia wszelkiego wybuchu. I tak np. podczas ludowego festynu skrył kilka bataljonów w salach szpitala Ujazdowskiego i trzymał kirasjerów w Łazienkowskim lasku, bo też rzeczywiście były pewne fakta nie bardzo uspakajające. I tak pewna garstka młodych zapaleńców powzięła była zamiar przy pochodzie dworu do kościoła katedralnego podczas koronacji, rzucić się na familję cesarską i wymordować ją, a wywoławszy ogólny zamęt w Cesarstwie, wywołać potem powstanie. Dowiedziałem się potem od samego Niemcewicza, że przychodzono do niego radzić się w tym celu, i że udało mu się nareszcie ten szalony, a zarazem nikczemny zamach odwrócić.

Nowosilcow musiał coś wiedzieć o tem, ale przecenił doniosłość faktu i nie rachował się z usposobieniem ogółu, który wszelkie targnięcie się na osobę świeżo ukoronowanego króla byłby pewnie z niesłychanem przyjął

oburzeniem. I mnie też wtedy spotkało w dzień przed koronacją zdarzenie, w związku zapewne z powyższem będące, którego na razie sobie wytłómaczyć nie mogłem. Matka moja znała panią Smarzewską, wdowę po urzędniku, której syn, ukończywszy szkoły, wstąpił do Zgromadzenia Pijarów, i potem już, jako kleryk, uczęszczał do uniwersytetu, kształcąc się na profesora. Był to bardzo dorodny, zacny i zdolny, ale zagorzały młodzieniec. Poznaliśmy się bliżej. Ponieważ po kilkotygodniowem niewidzeniu się spotkałem go na Krakowskiem Przedmieściu, podszedłem ku niemu, witając go przyjaźnie. Spojrzał na mnie ponuro, a nawet groźnie, i kazał iść precz od siebie, gdyż nie życzył sobie, ażeby nas razem widziano. Sądziłem, że zwarjował, aż tu naraz dowiedziałem się, że w nocy został przyaresztowany w swej pijarskiej celi i zarazem przepadł bez wieści, jak się to wówczas dosyć często zdarzało.

Kurs drugi medyczny, na który zapisałem się zaraz po powrocie z mojej w Krakowskie wycieczki, był najłatwiejszy ze wszystkich, poświęcało się bowiem cztery godziny dziennie na ćwiczenia anatomiczne, a dwa tylko wykłady: farmakologji z farmacją, oraz wykład fizjologji wymagały nie wiele pracy. Obie katedry doskonale były obsadzone, a przygotowanie osiągnięte w pierwszym roku ułatwiało do tego stopnia naukę, że wiele bardzo swobodnego zostawało nam czasu.

Celiński, wykładający farmację, był profesorem, jakich znajdziesz mało.

Główną jednak osobistość na tym kursie stanowił profesor Mile, fizjologję wykładający, wychowaniec francuskiej szkoły, która wówczas rej w badaniach biologicznych wodziła. Czarował on nas swoim pięknym wykładem. Ujmującej powierzchowności, bystrem pojęciem i serdecznem obchodzeniem się ze swymi uczniami umiał sobie zyskiwać ich serca, a nabyta sława, tak dobrze za granicą, jak i u nas, przez sumienne naukowe prace, oraz skrzętny udział we wszystkiem, co u nas miało związek

z rozwojem naukowym, nadawały mu powagę, jakiej nie miał żaden z ówczesnych jego na wydziale lekarskim kolegów. A były też to i czasy nader dla fizjologji błogie, w których, otrząsając się coraz więcej z teoretycznych mrzonek, zaczęła się coraz silniej opierać na doświadczeniu i poszukiwaniu. Wprowadzono do nauki wiwisekcje na obszerną skalę, a Magendie, Flourens, Legallois i Milne-Edwards zdumiewali świat cały osiąganymi na tem polu rezultatami. Mile, opowiadając nam te dziwy według Richeranda, umiał tak je wzbogacić i własnemi spostrzeżeniami dopełnić, iż zupełnie nową otwierał nam drogę w poglądach naszych na całość lekarskiej nauki, która dotąd oparta tylko na luźnem doświadczeniu i na teoretycznem wnioskowaniu, na bardzo szczupłych opierała się podstawach. Mile był jedynym jasnowidzącym z naszych profesorów. Nie umieliśmy go dotąd ocenić, lecz czas jest niedaleki, w którym się okaże, że on pierwszy u nas rozświecił pochodnię nowoczesnego światła. Wpadł w zapomnienie, jak wielu innych dzielnych pracowników. Winny temu okoliczności, a może najwięcej jego własna skromność.

Fizjologja zachwycała mnie istotnie, ale, oprócz wykładów Milego, które trzeba było na prelekcjach notować, cały skarb wiedzy był dla mnie zresztą zamknięty, bo, oprócz polskiego i trochę łaciny, nie znałem żadnego obcego języka o tyle, ażebym mógł w nim czytać naukowe dzieła. Cała francuzczyzna moja wystarczała tylko do szpikowania polskiej rozmowy, jak to wówczas było jeszcze w modzie. Sama tylko „Teorja jestestw organicznych“ Śniadeckiego stała dla mnie otworem, ale przyznać muszę, że, przeczytawszy ją pilnie, niewiele z niej zrozumiałem zrazu, bo właśnie zamiast faktów, których mnie Mile nauczył, znalazłem tam same rozumowania. Dopiero później, rozejrzawszy się obszerniej w dziedzinie medycznych nauk, nauczyłem się rozumieć znakomite to dzieło, a jeszcze nierównie później nauczyłem się je oceniać. A i to był umysł rozległy, niepojęty i prześle-

piony, dla braku sceny, na którejby mógł w pełnym zabłysnąć blasku. Wszakże i o Żółkowskim małoby kto słyszał, gdyby musiał w Pacanowie grywać.

Lecz i drugi kurs medyczny w Warszawie miał swoje dolegliwości, a był nią przedewszystkiem narzucony nam przez naszego bigota ministra Grabowskiego wykład religji. Dwa razy na tydzień zgromadzano do auli uniwersyteckiej wszystkie fakultety, i po krótkiej modlitwie ksiądz kanonik Ustrzycki, o którym chodziło po Warszawie mnóstwo skandalicznych ploteczek, swoim kaczkowatym głosem wykładał nam dogmatykę kościelną. Pilnowano nas starannie w uczęszczaniu na te wykłady. Sala była obstawiona inspektorami i zapowiedziano nawet karę nieprzypuszczenia do egzaminów w razie opuszczenia lekcji. Nie było rady, trzeba było się poddać; to tylko szczęście, że podczas wykładów można było czytywać romanse.

Drugim cierniem były wykłady logiki i psychologji. Miewał je Lach Szyrma, człowiek bardzo sympatyczny, angielskiego pochodzenia, uczony, uprzejmy, będący wówczas w modzie z powodu, iż świeżo wydał był bardzo interesujący opis swej podróży po Szkocji. Opis ten niesłychanie był na czasie z powodu powieści Walter Scotta, za któremi wszyscy przepadali u nas, oblegając literalnie księgarnie za ukazaniem się każdego nowego tomiku polskiego przekładu. Lach Szyrma byłby nas niesłychanie pociągał swoim wykładem, ale cóż począć, kiedy mu kazano po łacinie wykładać. Językiem klasycznym władał dość niedołężnie, wymawiał z angielska, a z naszą łaciną było jeszcze gorzej, tak, żeśmy się rozumieli jak gęś z prosięciem. Szczęściem, że poczciwy Anglik przy egzaminach nie był wcale srogi. Zadawał pytania, sam odpowiadał na nie, a my, kiwając głowami: sic, sic, lub też ita est, dodawaliśmy. Nikomu nie odmawiał stopnia, a my, wychodząc z pod jego ręki, tyle zupełnie się dowiedzieliśmy o wykładanym przedmiocie, co i o dziełach Konfucyusza lub Alberta Wielkiego. Przy takim

układzie rzeczy, mając dużo czasu, rozprózniaczyłem się też niemało. Pokazało się potem, jak ciężkie nadeszły czasy, gdy mi trudno było fałdów przysiedzieć.

Towarzyszem mego próżniactwa był mój współuczeń z wydziału, Karol Greuvé, z którym się bardzo zbliżyłem. Przeszłości jego nie znam. Wiadomo mi tylko, że był zamożnym sierotą i mieszkał u ciotki pani Juwen, właścicielki domu i znanej w Warszawie cukierni przy ulicy Rymarskiej. Siostrami jej były dwie zamożne obywatelki z Płockiego. Był to bardzo ładny chłopiec, tylko głos stłumiony ujmował mu powabu. Prochuby nie wynalazł, ale był pilny i bardzo poczciwy. Ponieważ znał dobrze język francuski, chodziłem do niego i czytaliśmy razem fizjologję Richeranda, którą mu Mile polecił.

Pani Juwen miała aż cztery córki, w różnym wieku podlotki, które zawsze miały jakiś do Karola interes, ile razy zabieraliśmy się do pracy: to im chodziło o zatemperowanie pióra, to o pożyczenie ołówka, to o rozwiązanie jakiegoś pytania, z którem na pensji nie mogły dać sobie rady. Nie mogąc się ich pozbyć, zaczęliśmy się z niemi bawić; wtedy z dołu przynoszono kawę dla wszystkich, a nareszcie zaczęto nas z drugiego piętra zapraszać na pierwsze, i wtedy pani Juwen przedstawiony zostałem. Była to ogromna i potężnej tuszy kobieta, o łagodnem i dobrotliwem spojrzeniu. Przyjęła mnie bardzo uprzejmie, i odtąd stałem się u niej dosyć częstym gościem, zwłaszcza, że Greuvé wprowadził dwuch jeszcze bardzo przyzwoitych i wesołych kolegów. Pani Juwen zastąpiła mi panią Puchalską, gdyż ta, wygrawszy jakiś znaczny proces, urządziła się wspaniale, żyć zaczęła na wyższą skalę, a Edmund przebywał w gronie młodzieży, która mi wcale nie przypadała do gustu.

Zaraz po koronacji spadły na nasze naukowe sfery dwie monarsze łaski: Uniwersytet otrzymał tytuł Aleksandryjskiego, na pamiątkę swego założyciela, a Towarzystwo Przyjaciół Nauk subwencję rządową w ilości 10,000 złotych rocznie.

Pisząc to, przychodzi mi na pamięć dosyć ciekawe zajście, jakie mi się w owem Towarzystwie zdarzyło, na posiedzeniu, na którem przyjmowano do grona Lindego. W sali posiedzeń, przerobionej bardzo ozdobnie za staraniem Staszica z nawy kościoła, w natłoku przyparto mnie oraz Greuvégo do drzwiczek kryjówki pod estradą, na której siedziała publiczność. Naraz pękł zamek i nas obu wtłoczono do ciemnicy, stosami książek przepełnionej. O wydostaniu się na zewnątrz nie mogło być mowy, zaczęliśmy więc książki oglądać i spotkaliśmy się z kilkudziesięcioma egzemplarzami dzieła Staszica „Ród ludzki“, srogo zakazanego, podobno nawet przez cenzurę spalonego, mającego reputację nader rozgłośną, chociaż go nikt nie czytał. Potem ciekawie zaczęliśmy się przysłuchiwać mowom, które nas dolatywały, jakby do piwnicy. Przemawiał naprzód prezes Niemcewicz, i spłakał się przytem starowina, jak zwykle w swych czułych i patrjotycznych przemówieniach, które publiczność wysoko ceniła. Potem mówił Linde łamaną polszczyzną, dziękując Towarzystwu, że go do swego grona przyjęło na członka, co głośne chichoty w sali spowodowało. Potem mówił Mile o jakimś szczególe z fizjologji wzroku, nareszcie Koźmian miał odczytać jakiś urywek ze swego poematu o Ziemiorództwie, ale wyręczył go Osiński, którego głos i deklamacja niesłychanie wierszom dodały uroku.

Wyszliśmy nareszcie z naszego więzienia, ale publiczność, zobaczywszy książki, chciwie się na nie rzuciła i zaczęła je rozbierać, dopóki woźni ją nie przytrzymali. Tym sposobem rozeszło się między publicznością warszawską kilkadziesiąt egzemplarzy zakazanego, prześlicznie wydrukowanego i rycinami ozdobionego dzieła, którego odczytanie jednak zupełnie odczarowało, gdyż nie tylko nie znajdowało się tam nic takiego, coby warte było zakazu, ale nadto dowodziło, że szanowny statysta wziął się nie do swoich rzeczy. Poetą on nie był, a wierszowana rozprawa, ubarwiona nonsensami, wyskokami wyobraźni, ani nie nauczyła, ani nie uniosła nikogo. Gdy-

by nie moje plecy, Staszic byłby długi czas zapewne słynął jeszcze jako poeta. Nie moja w tem wina, że mnie jakby tarana użyto do rozbicia uroku. Ci jednak, którzy mieli cierpliwość przewertować trzy potężne tomy, zapatrując się chłodno na całość, zapewniali mnie, że dzieło to miało swą historyczno-filozoficzną wartość, dowodząc, że człowiek stworzony jest do szczęścia na ziemi, a rządy tylko ludzkie zrobiły go niewolnikiem przemocy.

Na wiosnę 1830 roku przypadł pierwszy sejm po koronacji i zarazem ostatni w Królestwie. Cesarz zjechał do Warszawy; obrady odbyły się bardzo poważnie, trwało bowiem jeszcze przyjazne usposobienie, obudzone aktem koronacyjnym. Z początku tylko zaszedł wypadek, który opinja publiczna przyjęła z zajęciem. Powiedziałem już powyżej, że udział publiczności na sesjach aktem dodatkowym do konstytucji został wzbroniony. Otóż pan Nowosilcow, sądząc, że mu wszystko wolno, kazał swoim urzędnikom zasiąść w Izbie poselskiej na estradzie i na własną rękę spisywać protokuły obrad. Izba oburzyła się na to w obecności Nowosilcowa, a jego urzędnicy musieli ustąpić.

Opozycja na sejmie występowała bardzo żywo, lecz bardzo przyzwoicie, nie przekraczając w niczem granic prawności. Cesarz był bardzo łaskawym, sam nawet książę Konstanty okazał się przystępnym i bardzo serdecznym, co mu się też nieraz zdarzało.

Wszystko załatało się więc jakoś, gdy niebawem jakby piorun z pogodnego nieba gruchnęła po mieście wiadomość, że w Paryżu wybuchła rewolucja, obaliła starszą linję Burbonów i wysłała ich na nowe wygnanie. A więc ów mozolnie zaprowadzony porządek rzeczy przez kongres Wiedeński zaczął się rozpadać i hydra liberalizmu zaczęła znów podnosić swe głowy. W sferach rządowych zdziwienie i przestrach były widoczne, publiczność zaś rozgorączkowana zaczęła marzyć o mających nastąpić wypadkach dla przywrócenia polskiej jedności. Całą sromotę podziału przypisywała ona wyłącz-

nie dworom i głębokie miała przekonanie, że z ich usunięciem narody przyjazne podadzą sobie dłonie. Przywrócenie Polski dokonać się miało wtedy przez samo uczucie sprawiedliwości. Na tem tle rozwijały się u nas wszystkie przekonania, zmodyfikowane mniej więcej osobistym poglądem; wszystko więc, co się tylko w tym przytrafiło kierunku, jako pomyślne było poczytywane. Tymczasem wiadomości z Paryża były nader skąpe. Gazety cenzurowane mglisto coś tylko napomykały, wszelkie zaś komunikacje, czy to piśmienne, czy to ustne, były jak najstaranniej przez Nowosilcowa strzeżone, i to nawet do tego stopnia, że każdy z zagranicy do Warszawy przybywający był pod strażą odstawiany do Belwederu i musiał się osobiście przedstawiać Księciu. Przez niego indagowany, otrzymywał dopiero pozwolenie obcowania z ludźmi, lub, w razie najmniejszego nieporozumienia, bywał sadzany do kozy.

W tydzień lub w dwa dowiedzieliśmy się dopiero, że tron nie został obalony we Francji, lecz, że na nim osadzono młodszą linję Burbonów, a mianowicie Ludwika Filipa, naczelnika Orleańskiej linji. Ucieszyło to nasze rządowe kreatury, naszym zaś poszło to trochę po nosie, chociaż zawsze się tem pocieszano, że lepszy jest król mieszczanin z woli narodu, aniżeli król z woli Bożej, reprezentant wszechwładzy na ziemi.

Ja tymczasem, wywiązując się chlubnie z egzaminów lekarskich drugiego kursu, odbywszy się, wedle zwyczaju, z panem Lachem Szyrmą, i puściwszy pomimo uszów wykład księdza Ustrzyckiego, wybierałem się na nowe wakacje, nie przypuszczając nawet, że to będą już ostatnie w kraju. Ponieważ zaś chciałem odebrać kilka książek, które pożyczyłem koledze Czerwińskiemu, będącemu guwernerem przy jedynym synku majora Niewadowskiego, intendenta więzienia politycznego u Karmelitów na Lesznie, udałem się więc do niego. Niewadowski był z Francuzką żonaty, synek jego ośmioletni nie umiał ani jednego słowa po polsku, a że Czerwiński znał dobrze ję-

zyk francuski, dano mu pierwszeństwo przed wieloma innymi.

Gdym przyszedł, zastałem okno szeroko otwarte. Wychodziło ono na ogród więzienny i niebawem zauważałem, że wpuszczono doń człowieka, za którym żandarm furtkę zatrzasnął. Kolega mój był wyraźnie nie kontent z moich odwiedzin i zmieszał się bardzo, gdy więzień w niezwykły sposób zaczął wymachiwać rękami, stanął jednak w głębi pokoju, kazał mi się z okna usunąć i szerokiemi rąk poruszeniami zaczął odpowiadać na jego gesta. Nie mogłem udać, że tego nie widzę, spuściłem jednak wzrok na podłogę i siedziałem spokojnie, a gdy go podniosłem, czas wyznaczony na przechadzkę uwięzionego już minął i już go w ogrodzie nie było. Wtedy mi rzekł Czerwiński: „Widziałeś, czego nie powinieneś był widzieć, ale ani słowa o tem nikomu, bo w przeciwnym razie będziemy cię uważali za szpiega i nie ręczę ci za to, czy przypadkiem nie dostaniesz nożem pod żebro. A teraz bądź zdrów, kochanie, ale już więcej do mnie nie przychodź!“ Uściskał mnie i prawie za drzwi wyrzucił. A czy Bóg skarał, myślałem sobie, powracając do domu, i oto gotowi mnie jeszcze wykierować na szpiega! Uspokoiłem się jednak trochę, ale obawa przejęła mnie z innej znów strony, gdym się w parę miesięcy dowiedział, że Czerwiński został przyaresztowany. Jak się zaczną dowiadywać, kto u niego bywał, pomyślałem znowu, to i mnie wplątają, a kto się raz dostał w ich ręce, to nie wychodził tak łatwo; obawiali się bowiem jak ognia, ażeby się nie rozgłaszało, co się w ich tajemniczych sądach i więzieniach odbywa. Szczęściem, że wybuch powstania Listopadowego całej tej sprawie koniec położył.

Nie wiedziałem o tem, że obok mojej bezpośredniej po ojcu rodziny, miałem jeszcze w Słupcy odleglejszych krewnych, aż oto naraz zjawił się u nas młodzieniec w mym wieku — Jurkiewicz, i przedstawił się, jako mój kuzyn. Był on farmaceutą. Odbywszy praktykę, opłaconą w swem rodzinnem mieście, przyjechał słuchać kursów

farmaceutycznych w naszym uniwersytecie. Chociaż nieco surowy i nieotarty w świecie, był to jednak bardzo dobry chłopak i stał się u nas niemal domowym. Ojciec jego miał pod Słupcą folwark, jak niegdyś mój dziadek, i na handlu zbożem z Prusami zbił dosyć okrągłą fortunkę. Gdy umarł, zostawił w spadku wioskę swej córce, która wyszła za Bielawskiego, urzędnika komory, a gotówkę synowi na zakup i uposażenie apteki. Zaproszono mnie na wakacje, co z przyjemnością przyjąłem, jako nadarzającą się sposobność poznania znów nowej części kraju.

Ponieważ zaczęły właśnie w tym czasie chodzić po Kaliskim trakcie dyliżanse wygodne i bardzo pokaźne, skorzystałem z tej sposobności, ale że wszystkie miejsca na cały tydzień już były zajęte, dostało mi się najgorsze obok konduktora na imperjale, odkryte i do oparcia zaledwie żelazną otoczone barjerką. Jechało się wtedy do Kalisza przez dzień i dwie noce, a od Koła zabierała do Słupcy podróżnych inna karetka, ku Berlinowi dążąca.

Przybyłem do Słupcy bardzo rano. Spali jeszcze wszyscy. Służąca zawiadomiła mnie tylko, że na mnie czekała kawa i bardzo wygodne łóżko. Dopiero około południa, obudziwszy się bardzo pokrzepiony, przedstawiłem się państwu Bielawskim. W nim znalazłem młodego jowialnego zucha; w niej — młodą kobietę, niełądną wprawdzie, ale bardzo miłą, która mi się podobała odrazu. Bliższe poznanie niewiele nam zabrało czasu, a bardzośmy sobie przypadli do serca. Odtąd przepędzałem dnie na gawędce z kuzynką Kundzią, z panem zaś Jędrzejem, nieco hulaką, polując na przepiórki i kuropatwy, których było mnóstwo, a także potrochu spędzając czas w winiarni, gdzie zapoznałem się z całem towarzystwem słupeckiem. Wciągnąć się do kieliszka nie dałem, wcale nie przez cnotę, ale z powodu, że, tak jak do dziś dnia, wypiwszy wina kilka kieliszków, taki mnie wstręt bierze do niego, iż pić dalej nie mogę. Wielkopolskie bibuły drwili sobie ze mnie, zakładali się pomiędzy sobą, że mnie upoją,

ale to wszystko było daremne. Ponieważ kilku Słupeckich amatorów muzyki urządziło sobie orkiestrę i grywało nawet w kościele, więc urządzano baliki i podwieczorki w lasach. Boże im odpuść za ich muzykę kościelną, ale oberki i mazurki grali wyśmienicie, a ponieważ ja podobno miałem być dobrym tancerzem i lubiłem tańczyć, zaprzyjaźniłem się wkrótce w całem miasteczku, pod protekcją mojej kuzynki, ze wszystkiemi paniami, ich mamami i ciociami, tak, że do wszystkich wciągnięto mnie domów. Nie miałem wcale kochliwego usposobienia, ale towarzystwo kobiece lubiłem; wychowanie zaś moje wpoiło we mnie to przekonanie, że każdej kobiecie bez różnicy stanu należy się grzeczność i poszanowanie; francuskie motylkowanie i werterowska sentymentalność wyszły już były wówczas z użycia. Postać kobiety przestała być bawidłem, a zaczęła się już opromieniać blaskiem macierzyństwa ludzkiego rodu. Wskutek tego i towarzyska względem kobiet grzeczność przyjęła wybitniejszą formę szacunku, a że matka moja najdoskonalej umiała to ocenić, miałem więc w niej doskonałą mistrzynię. Ze Słupcy zrobiłem dwie wycieczki: do Gniezna, jadąc tam po sprawunki z moją kuzynką,—i do mojej babki.

W Gnieźnie sprawunki zajęły nam wiele czasu. Pamiętam tylko, że, gdyśmy kupowali płótno za znaczniejszą kwotę, przyniesiono do sklepu tacę z konfiturami i zimną wodą, a Żyd kupiec zaprosił nas uprzejmie na nie. Powiedziano mi później, że to było zwyczajem przy wszystkich ważniejszych sprzedażach, co mnie nie pomału zdziwiło. Zwiedziłem następnie katedrę, lecz ta nie wywarła na mnie oczekiwanego wrażenia. Prawda, że jest ogromna, ale bez tego charakteru świętości, jakie nam objawiają stare świątynie. Brudna, zaniedbana i obszarpana wzbudzała smutek. Nie zapomnę tylko wrażenia, jakie we mnie obudziła pieśń Boga-Rodzica, odśpiewana przez chór kleryków przy grobie Ś-go Wojciecha. Śpiew ten, jak mi mówiono, odbywa się o tej samej godzinie codziennie od wieków, wedle starożytnej nuty, religijnie przechowanej w katedrze.

Pomimo pewnych nieporozumień rodzinnych, uważałem za mój obowiązek złożyć mej babce moje uszanowanie. Jechałem jednak do niej z obawą, że źle będę przyjęty. Mieszkała o dwie mile od Słupcy, przy córce Lubeckiej, w majątku, który dla zięcia kupiła, udając, że on go sobie sam kupił, żeniąc się z jej córką, chociaż wszyscy twierdzili inaczej. Zdziwienie, gdym się zameldował, było niemałe, lecz Lubeccy odrazu podali mi przyjacielską rękę. Babka przyjęła mnie z widocznem rozrzewnieniem i jakby z wyrzutem sumienia, nie przestała jednak panować nad sobą. Była to kobieta wysokiego wzrostu, z głową podniesioną do góry, wyraźnie przywykła do rozkazywania; Lubecki zaś był to zamaszysty szlachcic, a żona jego jakieś ciche, potulne stworzenie. Babka badała mnie uważnie, jak gdyby chciała zgłębić przyczynę moich odwiedzin, lecz widać, że ją moje postępowanie zadowoliło, gdyż rozjaśniła oblicze i coraz się przyjaźniejszą stawała. Wtem naraz uchyliły się drzwi z trzaskiem i wpadło do pokoju dziewczę niezwyczajnej urody, zatrzymało się nagle na środku pokoju, zmierzyło mnie okiem, a potem, przyskoczywszy do mnie, objęło mnie za szyję rączkami i pocałowało. Zgłupiałem olśniony jej urodą, a potem naiwnem jej postępowaniem. Była to najstarsza córka Lubeckich, a zatem moja cioteczna siostra Faustyna, 16 lat najwięcej mieć mogąca, panienka tak ładna, jakiej dotąd nie widziałem żadnej; a tak naturalna i swobodna w swych ruchach, iż w pośród naszych Warszawianek za jakieś wieśniacze uchodziłaby dziwo. A jednak wszystko w niej było poważne, harmonijne, swobodne i poszanowanie nakazujące. Dowiedziała się, że braciszek Wiktor z Warszawy przyjechał, uradowana wybiegła i rzuciła mi się na szyję; potem odskoczyła, zaczerwieniła się, zmieszała i za babkę się skryła. Ta zaś zmarszczyła czoło i ofuknęła ją z pół uśmiechem, mówiąc: Cóż to ty, kozo, wyrabiasz,— i wtedy dopiero mi ją przedstawiła, jako moją siostrę. Odtąd wszystko szło doskonale. Babka dowiadywała się

o mojem powodzeniu, a o mojej matce nie mówiła nic wcale. Ucieszyła się, dowiedziawszy się, że miałem być doktorem. Z moją siostrzyczką pokochaliśmy się bardzo, goniliśmy się po ogrodzie i trzęśli gruszki z drzewa. Pokazywała mi swoje ulubione kury i obłaskawione gołębie. Szczęście wielkie, żem musiał przed wieczorem odjechać, bobym się był w niej szalenie po studencku zakochał. Pożegnanie było serdeczne. Ukląkłem przed babką, prosząc o błogosławieństwo, którego mi nie odmówiła i, całując mnie w czoło, wcisnęła mi w rękę zwitek, w którym znalazłem potem sześć holenderskich dukatów. I to było wszystko, co w dziedzictwie otrzymałem po ojcu.

Gdym to opowiadał, powróciwszy do Słupcy, Bielawski był rozwścieczony na tego, jak się wyrażał o niej, Metternicha w spódnicy, gdyż nie cierpiał mej babki, mając jakieś dawne z nią obrachunki. Obiecywał mi jednak, że ona pewnie nie przepomni o mnie w swym testamencie. Grubo się jednak omylił.

W powrocie moim do Warszawy dojechałem dyliżansem aż do Koła wygodnie, ale tu znalazło się do Warszawy trzy razy tyle podróżnych, że ich w dalszym ciągu trudno było zabrać. Pakowano więc pasażerów i bagaże na drabiniaste wozy i odstawiano od stacji do stacji, że zaś na każdej trzeba było zmieniać wozy i wszystko przepakowywać, mitręga była ogromna. Wśród tego poznałem się z braćmi Januszkiewiczami z Litwy, którzy, przebywszy kilka miesięcy w towarzystwie Mickiewicza we Włoszech, powracali do domu. Byli to ci sami Januszkiewiczowie, którzy byli później księgarzami w Paryżu, znanymi naszego wieszcza druhami. Ponieważ zaś mieli się księciu Konstantemu przedstawić i mieli być ściśle rewidowani, a wieźli przy sobie kilka egzemplarzy Pamiętników Kilińskiego, prosili mnie, ażebym je przechował, a nazajutrz się zgłoszą po nie. I tak się też stało, ja zaś miałem sposobność przeczytać przez noc bardzo ciekawą, a srogo u nas zakazaną książkę.

Pierwszą na naszym wydziale rzeczą, o której się

dowiedziałem po przybyciu do Warszawy, był gorszący skandal, który nie wyszedł, chwała Bogu, na jaw, chociaż go sobie wszyscy powtarzali na ucho, a to z tej prostej przyczyny, że publiczność nasza ważniejsze miała na sercu i w głowie sprawy, aniżeli prywatne ploteczki.

Rzecz się tak miała. Dziekan Roliński, ów cmentarny grabarz z wykrzywioną gębą, o którym wspomniałem powyżej, miał syna trzynastoletniego ladaco. Otóż wybrał dla niego za guwernera Rostkowskiego, studenta z piątego medycznego kursu. Przyznać trzeba, że nie mógł wybrać gorzej, gdyż Rostkowski był to letkiewicz i szaławiła. Wychowaniec i guwerner porozumieli się ze sobą i na koszt dziekana zaczęli się bawić razem na dobre. Wszystko to było niczem jeszcze, ale gdy guwerner zaczął się zabierać do młodej gospodyni dziekana, wtedy dziekan wypędził go z domu i poprzysiągł zemstę, na którą nie czekał długo, bo, gdy Rostkowski miał do ostatecznego egzaminu przystąpić, dziekan zeznał wobec fakultetu, iż Rostkowski w jego obecności miał powiedzieć, że w razie potrzeby, gdyby mu dobrze zapłacono, nie wahałby się ani chwili życie chorego skrócić. Oskarżenie takie, z ust naczelnika fakultetu wychodzące i zapisane do protokułu posiedzenia, nie mogło ujść płazem. Postanowiono zatem wstrzymać egzamin aż do usprawiedliwienia się, a Rostkowski, nie mogąc, czy nie chcąc inaczej się bronić, wytoczył dziekanowi kryminalny proces o dyfamację. Sędzią śledczym w tej sprawie został Raciborski, dobrze znany w Warszawie, jako zdolny prawnik; że zaś pan sędzia miał syna, zapisanego w poczet młodzieży medycznego fakultetu, podmówiono tegoż, ażeby stanął do konkursu i ubiegał się w tym roku o medal złoty za rozprawę i preparat z anatomji. Zadanie było bardzo trudne, lecz Roliński i jego pomocnicy dopomagali ubiegającemu się o nagrodę Raciborskiemu, więc otrzymał ją w mej przytomności na dorocznem posiedzeniu publicznem Uniwersytetu w r. 1830. Był to ten sam Raciborski, który później odznaczył się, jako biegły lekarz w Paryżu

podczas emigracji. Winszowaliśmy mu medalu z szyderskim uśmiechem, a on nam dziękował zmieszany. W jaki sposób byłaby się skończyła skandaliczna Rolińskiego sprawa, przewidzieć trudno; szczęściem, że jej powstanie Listopadowe położyło koniec.

Zanim dalej pójdę, niechaj mi wolno będzie zrobić kilka uwag co do radykalnej zmiany, jaka się właśnie około roku 1830 dokonywała w świecie naukowym. Uczony dawniej, nie troszcząc się o swą narodowość, był wprost członkiem ogólnej rzeczypospolitej nauk, tak, jak dzisiaj każdy katolik duchowny jest członkiem kongregacji papieskiej, bez względu czy jest Niemcem, Anglikiem, Francuzem, albo Polakiem. Owa ogólna rzeczpospolita wiedzy ludzkiej miała swój ogólny język łaciński, którym się przez długie wieki kontentowała. Zrazu był to język czysty, rzymski, jak np. w pierwszych wiekach Cesarstwa; później skażony, jak przy jego upadku, a naostatek wykoślawiony, jak w wiekach średnich, ale był zawsze łacińskim. Dopiero przy końcu zeszłego wieku, gdy naukowa wiedza, głębiej nurtując umysły, niesłychanie się popularyzować zaczęła, każdy naród zaczął ją po swojemu pojmować, idąc za formą swego wrodzonego usposobienia. Wtedy to łacina przestała już odpowiadać potrzebie i zaczęła trzeszczeć rozsadzana siłą narodowości. Poprzestano już po łacinie myśleć, każdy układał swoje pojęcia w formie naturalnej swojej narodowości, ale, idąc za przyjętą rutyną, wciskał je jeszcze w łacińską mowę i tłómaczył sam siebie na język już oddawna umarły, dopóki nareszcie zmęczony jałowem usiłowaniem nie odrzucił wszelkiego przymusu i nie zaczął w naukowych sprawach swego własnego używać języka. Ale tu nastąpiła walka. Konserwatyści uważali za świętokradztwo wdzieranie się obcych języków, postępowcy zaś odrazu zerwali ze starą rutyną, — i na tem to właśnie stanął stanowisku Uniwersytet Warszawski. Przez cały krótki przeciąg swego istnienia był w połowie polskim, a w połowie łacińskim, chociaż łacina

wszystkim kością w gardle stała, z wyjątkiem starych profesorów pedantów, a więcej jeszcze ministerjalnych zwierzchników, którzy, sądząc, że do upadłego trzeba się bronić przed rewolucją, purissima latinitate mordowali nas biednych studentów.

Do takich zasuszonych okazów zeszłowiecznej mądrości zaliczał się wielce uczony nasz profesor Szczucki, głośny matador na naszym trzecim medycznym kursie, a mój jeszcze z czasów mojego dzieciństwa znajomy z Radomia, który, nie mogąc dać sobie rady z praktyką, jako fizyk wojewódzki, zapisał się na profesora. Był to człowiek ciężko uczony, czytał bardzo wiele, ale mało i dość płytko myślał, a że wykładał patologję ogólną, to jest naukę o ogólnych cechach, przyczynach i objawach choroby, głównie wówczas na pojęciach filozoficznych się opierającą, więc uroił sobie, że był filozofem, bujał po obłokach, spadał ciężko na ziemię, a wszystko pokrywał płaszczem eleganckiej i napuszystej łaciny. Jak nam nadokuczał ten pedant swemi wymaganiami, to tylko Bogu wiadomo, zwłaszcza, że chociaż nam oświadczył, że trzymać się będzie wykładu rozpowszechnionego wówczas dzieła Reimanna, zbijał je nieustannie, chcąc koniecznie na swojem postawić, tak, że obałamuceni do reszty nie wiedzieliśmy, czego się trzymać.

Inną znów dla nas plagą był młodziuchny profesor Andrzej Janikowski, który niedawno dopiero, opuściwszy ławy studenckie w Krakowie, z lekarza domowego Rzewuskich wyszedł na profesora. Wykładał on niesłychanie obszerną naukę o chorobach zewnętrznych, wymagającą od profesora wielkiego pedagogicznego uzdolnienia, którego też po młodziutkim profesorze zaledwie nieco starszym od nas trudno było nawet wymagać, poradził więc sobie w ten sposób, że wziął dzieło Chelinsa, tłómaczył co lekcja po parę kartek i odczytywał je z katedry, nie spojrzawszy na nas, nic nie objaśniwszy i nie zapytawszy się nawet, czyśmy go zrozumieli, a potem nas egzaminował z drobiazgową aku-

ratnością, jak żaków, trzymając się kajetu, jak kulawy płota, a to z obawy, ażeby gdzieś na bezdrożu nie zbłądzić. Jeżeli się doda do tego, żeśmy wówczas nie posiadali żadnych pomocniczych książek, a wszystko musieli za wykładem spisywać, a potem sami sobie z notatek naszych robić skrypta, tysiącznych dopuszczając się błędów, to każdy, znający się na tem, osądzi, z jakiemi ogromnemi trudnościami musieliśmy walczyć. Moja też wytrwałość przez trzy miesiące wyczerpała się zupełnie. Zwątpiłem o sobie, i nie wiem rzeczywiście, jakby to wszystko było się skończyło, gdyby powstanie Listopadowe nie było mnie wyrwało z kłopotu.

Tymczasem nasz polityczny horyzont zaczynał się coraz grubszemi pokrywać chmurami. Każdy już dziś widział, że mieliśmy dwa rządy krajowe: regularny, jawny, prawny, konstytucjami uregulowany, — i rząd tajny, pokątny, podejrzliwy, wtrącający się do wszystkiego, słowem, rząd księcia Konstantego i Nowosilcowa.....

Tymczasem powstanie paryskie i powtórne wypędzenie starszej linji Burbonów po całej Europie rozległo się echem i zelektryzowało wszystkie uciśnione ludy. Za Paryżem poszedł Brunświk, gdzie lud panującemu, na wzór Konstantego, wypowiedział posłuszeństwo; przez dni kilka ucierał się z wojskiem, a naostatek księcia wypędził i pałac jego spalił. Zaraz potem posypały się rozruchy w Moguncji, w Hanau, w Dreźnie, w Jenie i t. d., a naostatek wybuchnęło w Brukseli powstanie, mające za cel odłączenie Belgji od Hollandji. Wypędzono Hollendrów, a gdy zbrojną ręką opanowali miasto, wypędzono ich powtórnie i ustanowiono rząd narodowy, który uorganizował wojsko, stoczył kilka zwycięskich bitew i przywrócił niezależność ludności. Wszystko to było oliwą na nasz polski pożar, a gdy się dowiedziano u nas, że istniały porozumiewania się pomiędzy trzema dworami świętego przymierza, co do przywrócenia Burbonów w

imię zawarowań Wiedeńskiego Kongresu, i gdy wyszedł autentyczny rozkaz gotowości do wymarszu dla kilku korpusów rosyjskich i dla wojska polskiego, nikt już nie wątpił, iż chodziło o wojnę z Francją. Naraz opinja publiczna stanęła, jak nad brzegiem przepaści, gdyż przeciwko Francji niktby pewnie nie podniósł oręża.

Trafiło się, że na kilkanaście dni przed wybuchem powstania straszna burza wybuchnęła nad Pragą, rozwiała część otaczających ją piasków i wyłoniła z ziemi mnóstwo kości ludzkich z r. 1794. Zrobiło to niesłychane wrażenie w Warszawie. Lud się tłumnie zbierał i zanosił modły do nieba; a my uczniowie Uniwersytetu w liczbie około siedmiuset, zebrawszy się w Kadeckich koszarach, ściśniętą kolumną udaliśmy się przez Krakowskie Przedmieście na Pragę. Tam, ułożywszy z kości piramidę, zatknęliśmy krzyż na niej, zaprosiliśmy księdza z parafji do odmówienia nad nią modlitwy i klęcząc odśpiewaliśmy za nim psalm za umarłych. Potem powróciliśmy do Uniwersytetu, a lud, zatrzymując się po drodze, odkrywał głowy i witał nas z uszanowaniem. Wszystko to odbyło się w największym porządku; policja się w nic nie mieszała i nie pociągnięto nas do żadnej odpowiedzialności.

Tymczasem wściekłość rządu podziemnego stopniowo rosła, ale też i rosło publiczne roznamiętnienie. Szanowny też nasz rektor Uniwersytetu, kanonik Szwejkowski, idąc zapewne za wyższym rozkazem, zebrał nas wszystkich w wielkiej sali posiedzeń i, zwróciwszy uwagę naszą na ogólne rozdrażnienie, z jakiem się już wcale nie kryto, prosił nas i zaklinał, ażebyśmy się spokojnie zachowali i wszelkich unikali kroków, mogących na społeczeństwo nasze zgubne wywrzeć następstwa. Było to zapóźno, gdyż żadna już siła nie mogła powstrzymać wybuchu. Wysłuchano obojętnie mowy i tylko, gdy się mówca trochę zanadto zapędził i wyrzekł, że chyba tylko po jego trupie dojśćby można było do wywrócenia istniejącego rzeczy porządku, dał się słyszeć

lekki szmer, jako odpowiedź dla tych, którzy szanownego starca i znanego patrjotę do nas wysłali. Jak wielkie było wówczas rozgorączkowanie, budzone ciągle wieściami z Belgji,..... sam tego doświadczałem na sobie.

Na dwa dni przed wybuchem byłem z rodzicami na imieninach u znajomych, w gronie kilkunastu osób, gdzie grano w karty i bawiono się rozmową. Otóż był tam także z żoną prostą, ale bardzo ładną kobietą, feldjeger gabinetowy księcia Konstantego, mający rangę majora, Niemiec zruszczony Nelken, który się Iwtyszynkowem przez gorliwość przezwał. Otóż ów jegomość, którego bardzo mało znaliśmy, gdy mnie zobaczył, zaczął się naprzód wywiadywać o naszej akademickiej manifestacji na Pradze, a potem wprost wymyślać na smarkaczów, którzy śmią finfy puszczać rządowi. Krew we mnie zawrzała. A gdy nas nazwał warchołami, zakłócającymi publiczny porządek, odpowiedziałem, że to nie my na to miano zasługujemy..... Zrozumiał on to widać dokładnie, com chciał powiedzieć..... Zaperzony Niemiec rzucił się na mnie, jak gdyby mnie chciał porwać za gardło. Matka przyskoczyła do mnie i ujęła mnie za rękę, Kowszewicz stanął przede mną w obronie, wszyscy obecni struchleli, ja zaś, ukłoniwszy się, wyszedłem, a za mną moi rodzice. „Otóż nawarzyłeś sobie piwa“, rzekła moja matka ze łzami. „Ależ on nie mógł postąpić inaczej, odpowiedział z flegmą mój ojczym, nie wiedziałem tylko, że jest takim gorączką“... Szliśmy do domu zafrasowani mocno, a mnie Franciszkańskie więzienie i samotna przechadzka więźnia po klasztornym ogrodzie, którą widziałem, będąc u Czerwińskiego, na oczach stanęła. Szczęściem, że do tego nie przyszło, ale po zacietrzewionym Niemcu wszystkiego się można było spodziewać.

Dzień 29 listopada przebiegł jak najspokojniej. Nikt nie przewidywał burzy. Jakkolwiek większa część moich kolegów z innych wydziałów była sprzysiężona, nas medyków zostawiono na boku, raz dlatego, że z powodu odosobnienia naszego budynku byliśmy z innymi kolega-

mi mało związani, a powtóre, tak zapracowani, iż nam na wszystko obce brakowało czasu. Ja przynajmniej o wybuchu powstania żadnego nie miałem przeczucia, zaskoczyło też mnie ono jak najniespodziewaniej na lekcji tańca, która się odbywała u pani Juwen na Rymarskiej ulicy. Staliśmy w szyku kontredansowym, cztery panny Juwen i nas czterech akademików. Tancmajster Maurice dyrygował nami, wygrywając w czasie lekcji na kieszonkowych skrzypeczkach odwiecznie tęż samą melodję, gdy naraz na ulicy zawrzało. Tysiączne podniosły się głosy, turkot biegnącej czeredy, brzęki szabli wlokącej się po bruku, zatrzaskujące się sklepy i nawoływania.

Zbiegliśmy na dół i ujrzeliśmy kolumnę młodych wojskowych i akademików w biegu, a na nasze pytania, co to ma znaczyć, nikt nie miał czasu odpowiedzieć. Dwuch z naszych tancerzy porwało zaraz za płaszcze i zniknęło nam z oczów. Mnie zaś i Greuvégo puścić nie chciano, zaklinając, ażebyśmy nie zostawiali samych kobiet. Niebawem na placu przed arsenałem podniosła się okropna wrzawa, potem kilka luźnych strzałów i ogień rotowy, wreszcie wszystko się uspokoiło, ale wrzało jak w ulu. Widząc, że i moje panie przyszły do siebie, pożegnałem je z zamiarem pójścia pod arsenał. Ulica Przejazd ludźmi była zatarasowana; z tłumu wypadła kolumna, która porwała mnie ze sobą. Pobiegliśmy do Karmelitów na Lesznie, odbiliśmy bramę, rozbroili wartę, rozpędzili żandarmów i strażników, powyłamywaliśmy drzwi do więziennych celek i uwolnili uwięzionych biedaków. Co to była za radość! Nie było końca uściskom, powitaniom. Gdyśmy uwięzionych na ulicę wyprowadzili, podniosło się olbrzymie wiwat i w naszem kółku znalazło się kilkadziesiąt butelek wina, ażeby owo pozdrowienie nie przeszło na sucho. Widziałem ludzi starych, których już po kilka lat więziono, jak płakali z radości, jak padali na kolana przed kościołem, dziękując Bogu, że ich..... wybawiono.

.....Widząc, że wśród panującego zamętu ani się nie zdam na co, ani się niczego nie dowiem, poszedłem do domu, przewidując niespokojność moich rodziców. Zdziwiła mnie już na Placu Bankowym zupełna cisza i brak zupełny ludzi, tylko na chodniku pikieta akademicka, która, zatrzymawszy mnie na chwilę, z rozkoszą się ode mnie dowiedziała o odbiciu więzienia. Drugą niespodzianką dla mnie przed Bankiem było działo i przy nim oddział piechoty, spokojnie stojący za kozłami broni. I cóżby to miało znaczyć? myślałem sobie. Czyż to wojsko jest przeciwko nam, czy z nami? Ale nie było żywego ducha na pustej ulicy, któryby mi odpowiedział na to pytanie. Poszedłem przez całą Senatorską ulicę i Plac Teatralny aż do Koziej. Wszędzie było pusto i cisza grobowa, aż naraz tętent koni dał się słyszeć i zdala poznałem oddział pędzących za mną kozaków. Schowałem się przy wejściu na ulicę Kozią, w zaklęśnięcie bramy, kozacy przebiegli przede mną, gdy wtem huknęło działo i kula, warcząc, trafiła w dom pod Gwiazdą, o którego bok oparty stałem, i wstrząsnęła nim całym w posadach. Poszedłem potem pod kolumnę Zygmunta i tu znów spotkałem wedetę akademicką, która mnie przepuściła na Mariensztadt, gdzieśmy wówczas na dole w dużej kamienicy pod Łabędziem mieszkali. Bramę zabarykadowano i ledwiem się dostał do mieszkania, gdzie znalazłem zgromadzonych znajomych i nieznajomych lokatorów całego domu, którzy nie wiedzieli o niczem.

Opowiadanie moje wywołało ogromne zdziwienie. Bardzom był niecierpliwy doczekać się poranku, ażeby się czegoś więcej dowiedzieć.

Nazajutrz ubieraliśmy się zaledwie, gdy naraz jak bomba wpadła pani Iwtyszynkowa i odrazu padła mi do nóg. Odskoczyłem od niej zdziwiony i przestraszony. Ona tymczasem zerwała się na kolana, złożyła ręce, jak do modlitwy, i rozdzierającym zawołała głosem: „Ratuj nas, panie! weź nas pod swoją protekcję, bo w Warszawie będą nas teraz wyrzynać!“ Nie mogliśmy wszyscy

troje powstrzymać się od śmiechu. „Wy teraz akademicy jesteście górą, a więc na klęczkach proszę. Mój mąż się schował, ale mnie biedną zabiją, zabiją, zabiją!“ i szlochać zaczęła. „Ależ co też pani się zdaje, ani ci włos z głowy nie spadnie i powiedz swemu mężowi, niechaj wylezie ze swej kryjówki i czeka, co dalej się stanie, bo o krzywdzeniu Rosjan nikt a nikt u nas nie myśli. Powstanie nasze ma szlachetniejsze cele jak wieszanie Niemców..... Bądź więc pani spokojną, bo pana Nelkena nikt pewnie nie dotknie“. Wyszła pocieszona, że ją nie zabiją, ale z nosem spuszczonym na kwintę. Dowiedziałem się później, że tenże sam pan Nelken alias Iwtyszynkow, przeniesiony do Petersburga jako feldjeger gabinetowy, gdy raz w nocy powracał do domu, został zepchnięty z chodnika przez pijanego junkra, a że to był człowiek barczysty i silny, wziął więc młodzika za kołnierz, odprowadził go do pierwszego odwachu i kazał go przyaresztować; lecz jakież było jego przerażenie, gdy się dowiedział, że był to jeden z wielkich Książąt. Skandal był wielki i ażeby go stłumić, wytoczono proces..... Nelkenowi za to, że był pijany i że Księcia na ulicy zaatakował i do rynsztoka zepchnął. Naturalnie, że Niemiec został skazany i wypędzony ze służby.....

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY

w tomie pierwszym.

	Str.
Od wydawcy	5
Życiorys autora	11
Rozdział I. Moje pochodzenie. Lata dziecięce . . .	25
Rozdział II. Warszawa	54
Rozdział III. Uniwersytet	120

BIBLIOTEKA SZKOŁY PODCHORĄŻYCH

BIBLJOTEKA WILEŃSKA

KSIĘGARNIA STOWARZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

WIKTOR FELIKS SZOKALSKI

WSPOMNIENIA Z PRZESZŁOŚCI

Z rękopismu wydał i przedmową opatrzył
ADAM WRZOSEK

Tom II.

(1830 — 1837)

KSIĘGARNIA STOWARZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
WILNO 1921
M. ARCT: WARSZAWA, POZNAŃ, LUBLIN, ŁÓDŹ. LWÓW.

1930

BIBLIOTEKA
27/0/47

ROZDZIAŁ I.

Powstanie.

Dzień 30 listopada 1830 roku był pochmurny, mglisty i nadawał całemu miastu posępne wejrzenie. Ruch kołowy ustał i panowała cisza jak w święto, ludzie tylko pojedyńczo lub małemi kupkami błąkali się, jak cienie, zatrzymując się co chwila i wywiadując, co się to stało. Mnóstwo krążyło wieści. Dowiedziałem się jednak napewno, że powstanie rozpoczęło się bójką w Łazienkach pomiędzy szkołą podchorążych i gwardjami rosyjskiemi konnemi, że podchorążowie i akademicy zdobyli arsenał i broń ludowi rozdali, że pułk czwarty piechoty przeszedł od pierwszej chwili na stronę powstańców, za nim zaś inne piechotne pułki, że Rosjanie na wszystkich punktach ustąpili, że rzeczywiście nigdzie do zaciętej nie przyszło walki, że książę Konstanty uszedł z Belwederu przed oddziałem z ośmiu akademików złożonym, że zamordowano dwuch jego adjutantów Kurutę i Tenera, że takiemu samemu losowi uległo kilku polskich generałów, służalców i naczelników potajemnych sądów, przez lud znienawidzonych, że powieszono naczelnych szpiegów Makrota i Zaksa, i że nakoniec zabito przez omyłkę w powozie wielce szanownego jenerała Nowickiego, co bardzo wzięto do serca. Publiczność zdawała się być więcej zdziwiona, jak rozradowana, zadawano sobie bowiem pytania, co to z tego dalej wyniknie. Dopiero nad wie-

czorem rozradowały się oblicza, gdy się dowiedziano, że wojska rosyjskie opuściły Warszawę i stanęły za rogatkami Mokotowskiemi obozem, że książę Czartoryski stanął na czele prowizorycznego rządu, że ulubieniec narodu generał Chłopicki objął w Warszawie nad wojskami dowództwo.

My akademicy zebraliśmy się instynktowo w Kadeckich koszarach i odrazu postanowiliśmy zamienić się w bataljon wojskowy. Podzieliliśmy się na ośm kompanji pod dowództwem owych ośmiu Belwederczyków i zaraz z własnego natchnienia zaczęliśmy odprawiać patrole po mieście w celu utrzymania porządku, gdyż zaczęto atakować szynki i raczyć się wódką za pomyślność Ojczyzny.

Wieczorem stawiłem się u pani Juwen. Zastałem ją w niemałych opałach. Cukiernia była opróżniona ze wszelkiego towaru, rozdała bowiem wszystko, co miała, ale to nie wystarczyło, bo zaczęto prosić o więcej, zwłaszcza o poncz i likiery, a wreszcie się domagać; a nie był to motłoch, ale jacyś porządniej ubrani, lecz rozochoceni ludzie. Wskoczyłem tedy na stół i wypaliłem do nich moją pierwszą publiczną mówkę, która poskutkowała, gdyż opuszczono cukiernię, a zaraz za nami drzwi zatarasowano.

Przyznać należy, że pomimo tak niezwykłych stosunków, pomimo zupełnego braku dozoru, gdyż policja pochowała się po kątach, porządek w mieście nigdzie naruszonym nie został, nie było żadnego nadużycia, ani żadnego rabunku.

Nie moją jest rzeczą opisywać dobrze znane ówczesne wypadki, wspomnieć jednak po trochu muszę o tych, które się bezpośrednio z moimi losami łączyły.

Jak tylko się nazajutrz wiadomość rozeszła, iż miano formować gwardję narodową, postanowiliśmy zaraz wejść do niej „in gremio“, jako osobny oddział akademicki. Przyjęto z chęcią naszą gotowość, rozdano nam lekkie karabinki z bagnetami i po dziesięć ostrych ładun-

ków. Dowództwo ogólne przyjął na siebie profesor Lach Szyrma. Ponieważ byliśmy już uorganizowani, zaczęliśmy więc pełnić służbę. Rozłożyliśmy się na Lesznie biwakiem, pomiędzy Tłomackiem a kościołem Karmelitów, w ośmiu osobnych gromadach, czuwaliśmy przy buzujących się ogniach, wysyłali ciągle w różne strony miasta patrole i utrzymywaliśmy warty wewnętrzne przy jenerale Chłopickim, w Banku i we wszystkich gmachach i zakładach rządowych. Żyliśmy głównie chlebem, piwem i bigosem, który dla nas w kotłach mieszkańcy Leszna gotować i na ulicę z mnóstwem drewnianych łyżek roznosić kazali. Zresztą całe to nasze biwakowanie było niemal klubem nieustającym, gdyż mowy, śpiewki, odczytywanie mnóstwa proklamacji czas nam zabierało. Punktem centralnym zgromadzenia był kamień, dotąd istniejący na rogu Leszna i Karmelickiej ulicy, a mówca wszedłszy na niego, podtrzymywany przez dwuch kolegów, ażeby się nie stoczył, głos dopiero zabierał.

W kilka dni po wybuchu powstania pośpieszne przybycie pułku strzelców pieszych Szembeka z prowincji wielką sprawiło nam radość, naprzód dlatego, że Szembek bardzo był lubiany, potem, że pułk przez śpieszne swoje przybycie dawał nam dowody swego patrjotyzmu. Przyjęcie było rzeczywiście radosne. Przemówieniom i śpiewom nie było końca. Za to nazajutrz okazała się odwrotna strona medalu przy wejściu do Warszawy gwardji strzelców konnych Kurnatowskiego, którą nam książę Konstanty odsyłał. Wyszedłszy z Belwederu, ściągnął do siebie do Mokotowa pułki rosyjskie i kilka polskich oddziałów, a teraz, zdecydowawszy się na odwrót do Rosji, odsyłał je nam. Gwardja strzelców konnych, a zwłaszcza jej dowódcy uchodzili za zwolenników księcia. Otóż teraz, gdy weszli przez Wolskie rogatki i uszykowali się na placu przed Bankiem pod dowództwem Kurnatowskiego i Wincentego Krasińskiego, tego samego, co się tak ładnie w sądzie sejmowym popisał, ogólne nastąpiło szemranie, przyszło do ostrych wymówek, i kto

wie, coby się było z dowódcami stało, gdyby ich Chłopicki nie był wziął w swoją opiekę. Pułk przyjęto zimno i z okrzykami „przebaczamy“ odprawiono go do koszar, chociaż, jak się dowiedziano później, nie zasłużył on wcale na takie przyjęcie, gdyż domagał się od księcia odesłania go do braci, a nawet zagroził, że w danym razie, chociaż mu brak amunicji, przemocą sobie drogę otworzy. Obaj dowódcy podali się nazajutrz o uwolnienie i przeszli potem niebawem do służby rosyjskiej. W obu tych przyjęciach nasz legjon akademicki czynny miał udział.

Świetne powodzenie powstania wywołało w kraju zapał niewypowiedziany, i nie było ofiar, do jakichby się każdy nie poczuwał być zdolnym. Wszyscy, bez różnicy stanu i wieku, odetchnęli swobodniej, ale wszyscy też bez różnicy widzieli, że się odrazu ostatnią wyrzuciło kartę i że owo Szekspirowskie „być albo nie być“ jasno postawionem zostało. Rozgorączkowanie przytłumiło wszelki rozmysł w masach, ale ludzie rozważni i zimniej zastanawiający się nad sprawą, nie poprzestawali na tem, że jakoś to będzie. A chociaż nikt nawet nie myślał o tem, ażeby się cofać, — u ludzi jednak, stojących na czele rządu, zjawiła się myśl popróbować, czyby się to wszystko jeszcze nie dało przez zobopólne ustępstwo złagodzić, zwłaszcza, że i wielki książę w bardzo trudnem znalazł się położeniu, a jego zły duch Nowosilcow, oskrzydlony przez wypadki, głowę zupełnie stracił. Zdaje się, że rachował na to, że jego rząd podziemny wywoła w Warszawie jakieś zaburzenie, któreby posłużyło potem za pozór do zmiany całego porządku rzeczy, będącego solą w oku rosyjskiej arystokracji, ale biedak przerachował się bardzo. Mniemał, że to na bagateli się skończy i nie przewidział granic powstania. Skompromitował rząd w najwyższym stopniu, naraził go na wojnę, która zwichnęła jego ogólno-polityczne zamysły, a sam znalazł się w położeniu czarownika, który, wywoławszy djabła, nie wie potem, jak go zakląć i opanować.....

Pierwsze kroki zrobił Władysław Zamoyski, sio-

strzeniec księcia Czartoryskiego, a gdy wielki książę oświadczył swoje życzenie, ażeby Rząd tymczasowy przysłał do niego deputację i wyraził życzenia narodu, książe Czartoryski udał się do niego. Pomimo całej w przyjęciu grzeczności układy spełzły na niczem, albowiem na położony za pierwszy warunek połączenia z Królestwem dawniej przez Rosję zabranych prowincji, wielki książę oświadczył, że od początku wybuchu trzymał się tylko odpornie, że cofa się do Rosji wobec jednomyślnej postawy narodu, iż rachuje na to, że w odwrocie swoim wojska jego nie będą doznawać przeszkody, i że nakoniec wszystkie osoby i własność prywatną i publiczną powierza honorowi Polaków. Wszyscy, którzy przez te dni kilka zbliżali się do księcia, zapewniali mnie potem, że był nader uprzejmy, ludzki, wyrozumiały, sprawiedliwy i dla Polaków przychylny. Jakaż to szkoda, że to tak późno się stało!

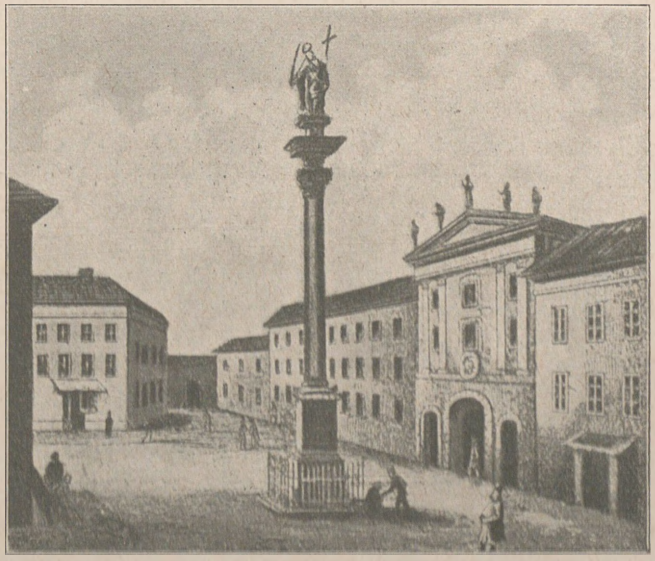
Przez ten czas w naszych znów sferach pewne pozachodziły zmiany. Pojawiło się stronnictwo, nie chcące nic o umowach wiedzieć. — Na jego czele stanął Mochnacki oraz Lelewel, i zaraz utworzyło się grono, które się Towarzystwem patrjotycznem nazwało. Towarzystwo to zbierało się codziennie w redutowych salach, otwartych dla publiczności. Chociaż bardzo nieśmiało i niewyraźnie, lecz zaczął się formować rząd w rządzie. Pomimo że wszelkie układy ustały i pomimo niesłychanej gorliwości Rządu tymczasowego, pozostała pewna nieufność, która nawet objawiła się w mojej przytomności jaskrawo w następującej okoliczności. Chłopicki, który już wtedy objął ogólną nad wszelką siłą zbrojną komendę, mieszkał w lewej oficynie pałacu Namiestnikowskiego i schodził kilka razy dziennie na podwórze, ażeby lustrować formujące się oddziały gwardji narodowej. Otóż, będąc na posyłkach, zaszedłem z nim razem i z całą świtą; a w tem wysunął się naprzód jakiś akademik, bardzo urodziwy młodzieniec, i odezwał się do generała, że wypuszczenie cesarzewicza było błędem, że trzeba

go ścigać, wziąć do niewoli i trzymać, jako zakładnika. Chłopicki zmierzył go okiem i zdawało się, że o jakie trzy stopy urósł. „Milczeć! krzyknął piorunującym głosem. A jakiem to prawem, mój panie, przychodzisz mnie interpelować?! Dziś właśnie przyjąłem ofiarowaną mnie dyktatorską władzę, a jeżeli mam prawo rozkazywać bez granic, to twoim obowiązkiem jest słuchać i być posłusznym bez granic. Proszę się oddalić i ani słowa więcej!“ Śmiałek odszedł, jak zmyty, a myśmy spostrzegli, że mamy wodza, który posłuszeństwo wymódz potrafi. Wypadek ten miał rozgłos, a koledzy z naszej legji bardzo za złe go wzięli. Zredagowano więc natychmiast adres z przeproszeniem za nietaktowne postąpienie kolegi, pokryto go licznymi podpisami, i w kilka dni po zajściu generałowi wręczono.

Tego samego dnia dyktatura urzędowo ogłoszoną została. Rząd tymczasowy in pleno zebrał się w Zamku, w Senatorskiej sali. Około 10-ej godziny wieczorem wszedł Chłopicki. Spojrzawszy, że stoi kilku akademików z bronią, zatrzymał się na chwilę i gromkim zawołał głosem: „precz z bagnetami! one tu nie należą!“. Potem przystąpił do stołu, stojącego na środku, przy którym siedzieli członkowie rządu, i wyrzekł: „ponieważ okoliczności, w których się znajdujemy, prędkich wymagają decyzji, przyjmuję więc władzę nieograniczoną i biorę na siebie wszelką odpowiedzialność aż do chwili zgromadzenia się sejmu, ażeby, uderzywszy czołem przed wolą narodu, złożyć ją w jego ręce i powrócić do skromnych obowiązków żołnierza“.

Ogłoszenie dyktatury było niesłychanie na czasie, bo skoro tylko rewolucyjne rozgorączkowanie nieco ucichło, zaczęły się obrady nad losami ojczyzny i nad sposobami przywrócenia politycznego jej bytu. Odrazu przeto powstało kilka kółek i pism perjodycznych, codzień puszczano w kurs po kilkanaście pamfletów, piosnek i poezji, a wreszcie utworzyło się kilka klubów, w których przemówienia, projekty, przygany dla rządu, rady,

a nawet rozkazy, sypały się, jak z rękawa. A że nie brak było na warchołach, jak zwykle wśród publicznego rozgorączkowania, ani też na głupcach, którzy ich za genjuszów poczytywali, nieład więc w myśleniu i usiłowaniu rósł bardzo widocznie. Trzeba było silnej i bezwzględnej władzy, ażeby mu kres położyć. Lecz nie brak też było i na poważnych usiłowaniach. I tak np. Gołu-



Brama Krakowska w Warszawie w pierwszej połowie XIX wieku.

chowski, profesor filozofji z Wilna, wystąpił w wielkiej sali uniwersyteckiej z szeregiem wykładów socjalno-politycznych, na które nie można się było dotłoczyć, zwłaszcza, że i kobiety bardzo żywy przyjęły udział. Lekcje jego o narodowości, o dążności narodów, o społeczeństwie i państwie i t. p. niezmiernie dużo do myślenia dawały. Gaszyński i Magnuszewski byli poniekąd poetami powstania. Co dni kilka występowali z nowemi śpiewkami, któ-

re w tysiącach egzemplarzy rozrzucano po mieście i śpiewano; śpiewane na znajome nuty, niesłychanie ożywiały publiczność. Teatry były przepełnione i odgrywały wszystkie sztuki, przez cenzurę dawniej wzbronione, np. „Barbarę Radziwiłłównę“, „Krakowiaków i Górali“. Z oper — „Niema z Portici“ niesłychanie była uczęszczana.

Z ogłoszeniem dyktatury nowy duch wstąpił w te chaotyczne ruchy, zaraz bowiem zaczęło się przygotowanie do zbrojnego oporu, gdyż pomimo, że wysłano do Petersburga delegowanych Lubeckiego i Jelskiego w celu objawienia cesarzowi pobudek powstania i z prośbą o radykalne reformy w ustroju Polski, nikt sobie nie robił złudzenia, żeby cała ta sprawa zgodnie załatwić się mogła. I rzeczywiście warunki, jakie nam cesarz postawił, (złożenie broni i zdanie się na łaskę i niełaskę), były tak twarde, że niepodobna było ich przyjąć; a znowu żądania nasze tak wygórowane (przyłączenie Wołynia i Litwy), że ich cesarz rosyjski w żaden sposób nie mógł uwzględnić.

Różnice między dwiema partjami, które u nas zaczęły się tworzyć: partją układów i partją wojny, odrazu upadły. Organizacja wojskowa i przygotowania do zbrojnego oporu do tego stopnia wszystkie zajęły umysły, że warchoły przestali być niebezpiecznymi.

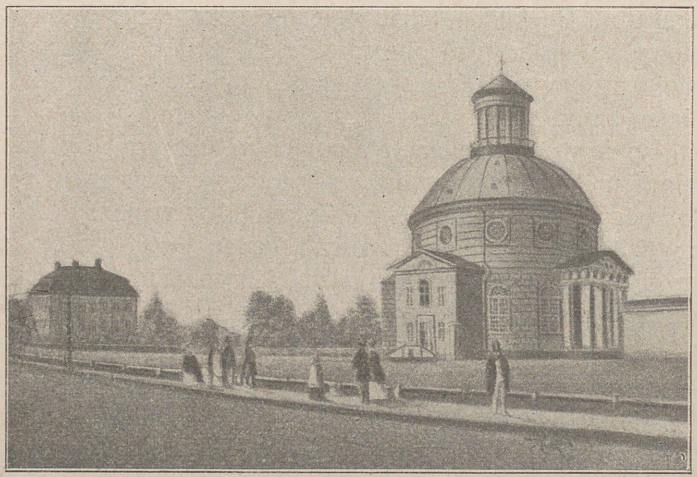
Dyktator przeniósł się do domu nowego pod filarami na rogu ulicy Senatorskiej i Wierzbowej. Przed domem stałą trzymała wartę kompanja wojskowa, a my akademicy zaciągnęliśmy wszystkie warty pokojowe wewnętrzne. W kilka dni po objęciu władzy Chłopicki zgromadził nas na placu Saskim, a przemówiwszy do nas, osiem kompanji naszych zamienił na bataljon wojskowy, nadając mu nazwę gwardji honorowej. Mieliśmy otrzymać właśnie umundurowanie i żołd, ale zarazem mieliśmy ulegać ścisłej subordynacji wojskowej. Tym, którzy mogli sobie konia wyekwipować, pozwolono zorganizować z pół szwadronu konnicy.

Ogół akademicki bardzo był z tego zadowolony, chociaż nie brakło na spuszczonych na kwintę nosach, którym się zdawało, że tylko krzewienie ducha narodowego będzie naszym udziałem. Kazano nam poszyć bardzo ładne mundury granatowe z lampasami amarantowymi, (spodnie i surduciki tego samego koloru) z amarantowymi wyłogami, z akademickim haftem oraz kołnierzem, i czerwone z barankiem czworograniaste czapeczki ze stojącemi z piór kitkami. Do każdej kompanji dodano instruktora. Po kilka godzin dziennie uczono nas robienia bronią i wojskowych obrotów. Szło to tak szybko, że, gdy w cztery tygodnie znów nas Chłopicki lustrował, jużeśmy się tak poruszali, jak starzy żołnierze.

Ponieważ się pokazało z papierów, zabranych w kancelarji podziemnego rządu, że było w kraju naszym pod dowództwem Rożnieckiego i Zaksa 5,000 szpiegów, którzy 6,000 zł. dziennie kosztowali, będąc płatni osobno za każdą denuncjację, ponieważ dalej wypadało koniecznie oczyścić nasze społeczeństwo z tych śmieci i uwolnić z pod pręgierza opinji publicznej niejednego poczciwego człowieka, na którego ludzka przewrotność podejrzenie rzucała, ustanowiono więc osobną komisję śledczą pod prezydencją Niemcewicza do rozpatrzenia się bliżej w tej sprawie. Otóż raz, gdy byłem na posyłkach w jej biurze, kazano mi dobrać sobie kilku kolegów i zabrać pozostałe jeszcze po znanym szpiegu Potrykowskim papiery. Miało to się wszystko zrobić po cichu i znienacka w ten sposób, ażeby nie obudzić tumultu. Zameldowawszy o tem mojemu kapitanowi, wykonałem zlecenie. Potrykowski mieszkał we dworku przy Marszałkowskiej ulicy, między ogrodem Saskim a Jerozolimską aleją; a była to wtedy droga polowa niebrukowana z dwoma głębokiemi rowami po obu stronach, poza którymi stały mizerne dworki i tu lub owdzie jakiś szczupły murowany domek. Potrykowski już dawno uciekł, pozostawiwszy bez grosza kobietę, ordynarną i ograniczoną, i dwoje obszarpanych dzieci. Nie mogliśmy się niczego z niemi do-

gadać, ale, zobaczywszy dwa duże kufry, pełne papierów w nieładzie, których widać spalić zapomniano, kazaliśmy je na wóz naładować i odstawiliśmy je na miejsce. Dowiedziałem się potem, że miały się znajdować między nimi ciekawe szpargały. Sprawiliśmy się tak gracko, że nikt o niczem nie wiedział.

Z naszym dziekanem Rolińskim miałem także dość ciekawą sprawę. Powiedziano nam, że stary tak się re-



Kościół i Plac Ewangelicki w Warszawie w pierwszej ćwierci XIX wieku.

wolucji przeląkł, iż zabarykadował się w swym domu z obawy, ażeby go nie zabito. Naśmieliśmy się z tego ja i Greuvé serdecznie, lecz postanowiliśmy go odwiedzić. Nie łatwo nam przyszło dostać się do niego, ale widocznie nasze odwiedziny sprawiły mu przyjemność, bo wreszcie dał się namówić i wyszedł z nami na miasto. Dziwił się niezmiernie nowej jego fizjonomji. Przeszedłszy z nami aż do ogrodu Botanicznego i napowrót, tak się ośmielił, widząc, że nikt na niego nie zwraca uwagi, że

radość tryskała mu z oczów i dziękował jak najserdeczniej za nasze odwiedziny. Odtąd widywano go samego na ulicach, a co się później z nim stało, nie wiem, gdyż go nie widziałem już więcej.

Powstanie nasze w Europie zrobiło ogromne wrażenie. Ubiegano się powszechnie o zaznaczenie obudzonej dla nas sympatji. W kraju naszym nawet nie bardzo dotąd sympatyzujące z nami warstwy społeczne ogłosiły się za nami. I tak np. w Łodzi niemieccy robotnicy zaczęli formować pomocniczy legjon, a Żydzi wogóle wszędzie zapisywali się do gwardji narodowej. W Warszawie były osobne bataljony żydowskie, bardzo porządnie umundurowane, które co noc patrolowały i sto pociech nam zawsze dawały przy spotkaniu się z patrolami naszymi. My znowu staraliśmy się ciągle wykazywać, że Rosjan uważamy za braci i pragniemy żyć z nimi w jak najlepszej zgodzie. Uderzające w tym celu było nabożeństwo manifestacyjne, wyprawione za spokój Murawjewa, Bestużewa, Rylejewa i in., poległych w powstaniu, przy wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja. Nabożeństwo to, bardzo wystawne, odbyło się w cerkwi obrządku greckiego. Potem obnoszono po mieście trumnę, zatrzymywano się na placach publicznych, gdzie trumnę witano gorącemi przemówieniami, a w orszaku niesiono chorągwie z napisem: „Za naszą i waszą wolność". Z niewolnikami rosyjskimi obchodzono się jak najwzględniej, przeznaczając im Częstochowę za miejsce pobytu, skąd mogli się jak najwygodniej do Prus wynosić, lecz nie było wielu amatorów do tego.

Wielkie dla Warszawian zajęcie stanowiło sypanie okopów fortyfikacyjnych na Pradze, do których, idąc za przykładem danym nam przez przodków w r. 1794, śpieszyła niemal cała warszawska ludność i pomagała w pracy od rana do wieczora. Most był przepełniony gromadami ludzi wszelkiego stanu. Z łopatami i motykami śpieszono do pracy. Pracowali kupcy, artyści, księża, zakonnicy, urzędnicy, szkoły, żydowskie kahały, panowie i słu-

dzy, mieszczanie i arystokraci, obok saperów i płatnego robotnika, pod wodzą inżynierji wojskowej. Każdy pośpieszał, ażeby choć garstkę ziemi dorzucić do wspólnego dzieła. W kilka tygodni stanęła potężna warownia, tworząca zarazem przedmostowy szaniec, opasana ogromnym wałem i szerokiemi fosami. Pracowaliśmy i my przy tem, honorowi gwardziści, korzystając z godzin wolnych od naszego wojskowego zajęcia. Przy robocie było wesoło i gwarno. Na śpiewach i dowcipach nigdy nie brakowało.

Wieczory często spędzaliśmy w kawiarni u Honoratki przy ulicy Miodowej naprzeciw Kapucynów. Obszerny lokal był zawsze natłoczony po brzegi. W sali, od tyłu z obszernemi galerjami, na których siadywały kobiety, stał stół pośrodku, służący za mównicę. Każdy się popisywał czem umiał, a nie brakło nieraz na pocieszych wybrykach. I tak, gdy zaczęła wyczerpywać się werwa, wtoczył się do sali obywatel poważnej tuszy, Grąbczewski, trochę podchmielony, dostawca furażu dla wojska. Gdy go zobaczono, zaraz wzięto go pod ręce i na stół postawiono, dając znaki do uciszenia się, bo Grąbczewski miał mówić. I rzeczywiście zaczął się niby namyślać, chwiejąc się na nogach, a wreszcie machnął ręką i zawołał: „Honoratko! Honoratko! sto i jedna szklanka ponczu dla tych panów“ i na tem skończył. Przemowa udała się jak najdoskonalej; przyjęta została oklaskiem i homerycznym śmiechem.

Kawiarnia Honoratki była publicznym klubem, każdy bowiem, kto jakąbądź otrzymał nowinę, wyłaził na stół i zaraz ją rozgłaszał. Dawała ona bardzo dokładny obraz usposobienia ludności warszawskiej i w historji naszego powstania zasłużyła sobie na wspomnienie.

Co niedziela chodziliśmy na sumę do kościoła Wizytek. Zebrawszy się wtedy na dziedzińcu uniwersyteckim, w paradnym szyku szliśmy do kościoła, sześć kompanji stawało przed kościołem dla braku miejsca, dwie zaś i kawalerja wchodziły do wnętrza i stawały po obu stro-

nach nawy wpośród natłoczonej publiczności, której większość stanowiły damy. Podczas podniesienia prezentowaliśmy broń przy uderzeniu w bębny, a nasza konnica wydobywała do połowy z pochew pałasze staropolskim zwyczajem, mającym oznaczać gotowość do obrony wiary świętej. Potem śpiewaliśmy w kościele i przed nim „Święty Boże“, tylko w wierszu od powietrza, ognia i wojny, zmieniono ostatni wyraz — od niewoli. Zmiana ta dotąd się utrzymuje.

Tymczasem w miarę dokonywającej się organizacji wojennej i przybywania coraz nowych pułków, szeregi gwardji honorowej powoli przerzedzać się zaczynały, każdy bowiem wiedział, że czyniła tylko zadosyć przejściowej potrzebie trzymania młodzieży w rygorze i przygotowania jej zwolna do służby publicznej. Wielu przeto z naszych zaciągnęło się do wojska, a wielu pomieściło się w cywilnej i wojennej administracji, wielce potrzebujących ludzi wykształconych. Dla nas medyków obszerne otwierało się pole w szpitalach i polowej służbie. Cisnęliśmy się też do Ujazdowa, jako aplikanci, ażeby się z zajęciami wojskowo-lekarskiemi obeznać.

Mnie ojczym Kowszewicz zaraz wziął do siebie, do Ujazdowa, ale nie długo to trwało, gdyż go przeznaczono na sztabslekarza do nowo-uformowanego pułku 17-go piechoty linjowej. Musiał więc niebawem Warszawę opuścić. Zarekomendował mnie koledze swemu Leblowi, którego poprzednio znałem już doskonale, bywał bowiem bardzo często u pani Juwen i do najstarszej panny się zalecał. Był to mocno już podżyły stary kawaler, który był lekarzem wojskowym, ale wkrótce przed rewolucją usunął się ze służby, a teraz wszedł znowu do niej. Galant, ciągle wyświeżony, wykrygowany, z ciągłemi grzecznościami na ustach, udawał, że się do najstarszej panny, już trochę przekwitającej, umizgał, a tymczasem z najmłodszą się potem ożenił. Byłem jego asystentem szpitalnym. Uczęszczałem oprócz tego do oddziału chirurgicznego, gdzie całe przepędzałem rano. Potem, wraz

z Leblem do miasta wracałem. Otóż raz, gdyśmy o bieżących wypadkach i o zapale ogólnym mówili, powiedział mi z sarkazmem, że Polska choruje na zapalną gorączkę, lecz ozdrowieje, jak jej krwi upuszczą. To oburzyło mnie do najwyższego stopnia i wstrętu nabrałem do mego mentora.

Ponieważ nas zachęcano, ażebyśmy wchodzili, jako pomocnicy lekarscy, do służby polowej w charakterze podlekarzy, podałem się też i ja niebawem. Przeznaczony zostałem do pułku 13-go piechoty, świeżo w Płockiem usztyftowanego. Pożegnałem się bardzo czule z matką, która mnie swemi obsypała błogosławieństwami. Została ona z wujem Antonim, który się do nas sprowadził. Wuj Seweryn już wówczas nie żył, umarł bowiem na suchoty.

Zanim jednak opuściłem Warszawę poszedłem się pożegnać z panią Puchalską. Zastałem Edmunda rozprózniaczonego i nie wiedzącego, co ze sobą robić, bo nawet do gwardji honorowej się nie zapisał i ciągle mówił o zamiarze zaciągnięcia się do pułku kawalerji Mazurów, sztyftującego się w Łęczycy, ale jakoś nie sporo mu było i skończył na tem, że z matką wyjechał w Poznańskie, otrzymawszy od dam warszawskich kądziel, jak to wówczas było we zwyczaju względem wszystkich zuchów, których proch odrażał swą wonią.

Na tydzień przed bitwą pod Grochowem wyjechałem w Płockie do mojego pułku. Zastałem go w Zakroczymiu, w pochodzie do Modlina, gdzie miał konsystować. Przybyłem wkrótce przed jego wymarszem, tak, że mogłem zaledwie zameldować się pułkownikowi Sierakowskiemu, który go usztyftował i nim dowodził. Był on doskonale nie tylko w wojsku, ale w całym kraju znanym, wysoko cenionym, ale nielubianym. Dobry i zdolny żołnierz, doskonały organizator, przytem wykształcony i gładki salonowiec, honorowy a nawet poczciwy, ale popędliwy despota, — a nawet tyran, gdy się gniewem zapalił. Pod tym względem zdawało się nawet, że

był na obraz księcia Konstantego ulany, choć na mniejszą skalę i to z polskiego metalu. Przed kilku laty dowodził pułkiem, ale mu go odebrano i na reformę go skazano, a to z następującej przyczyny. Gdy mu raz ordynans, napaliwszy w piecu, nadymił, otworzył, wpadłszy w pasję, drzwiczki i kazał mu coś w palącym się drzewie poprawić, a potem drzwiczki przymknął, przyparł kolanem, tak że się ręka biedaka w ogniu upiekła. Można sobie wyobrazić, jakie straszne wrażenie zrobiło to w społeczeństwie naszem. Po wybuchu powstania powołano go znowu do służby, ale kara poskutkowała i był już łagodniejszy nierównie.

W parę godzin pułk stanął w Modlinie, a było już ciemno. Przygotowano dla trzech bataljonów, każdy po 600 ludzi, trzy szopy, podobne do tych, jakie w cegielniach widzimy, gdzie dach, gontami pokryty, spuszcza się do samej ziemi. Naniesiono tam słomy i ulokowano ludzi kompanjami. Dla sztabu znalazł się dom osobny, a mnie ulokowano w szpitalu, w pokoiku już zajętym przez dwuch podlekarzy asystentów. Byłem przydany jako pomocnik sztabslekarzowi pułku panu Rudnickiemu, który nie budził wcale mojej sympatji. Dosyć słusznego wzrostu, przy leniwem usposobieniu, miał on coś zadąsanego w swojem wejrzeniu, jak gdyby chciał dodać sobie tym sposobem powagi, a przytem drobiazgowiec, nadrabiał fantazją brak głębszego wykształcenia. Przewidywałem z góry, że stosunki nasze nie będą bardzo miłe, i tak też rzeczywiście było. Męczył mnie i wyzyskiwał, a sam nic prawie nie robił. Miałem nadzieję, że się czegoś przecież przy nim nauczę, ale i to mnie zawiodło.

Moi dwaj koledzy w kwaterze byli to bardzo ciekawi ludzie, ściągnięci do służby szpitalnej w chwili naglącego werbunku. Obaj mówili bardzo źle po polsku, jeden był Francuzem, a drugi Niemcem. Sprzeczali się ciągle ze sobą w naszym języku, co było nieskończenie śmiesznem. Niemiec był krępy, otyły i szorstki, utuczony na piwie, a Francuz wysmukły, zwinny, udający dystynkcję, ciągle

uśmiechnięty i podrwiwający. Pan Bloch wyglądał na golibrodę, który się na podlekarza wykształcił, był ciągle zły i kwaśny, bo piwa w fortecy nie było, a pan Desetange, Francuz, miał rzeczywiście wyższe kwalifikacje, był bowiem uczniem drugorzędnej szkoły medycznej (Ecole secondaire) w Besançon i przyznawał się do tytułu Officier de santé. Widać, że mu z praktyką nie szło, przerzucił się bowiem na artystę dramatycznego, dostał się do teatru francuskiego w Warszawie, i pod nazwiskiem Mr. Victor, występował na francuskiej scenie, utrzymującej się aż do powstania w Saskim pałacu. Był to człowiek bardzo w świecie obyty, który połapał na drodze życia mnóstwo najróżnorodniejszych wiadomości, a potem je z francuskim szykiem umiejętnie sprzedawał, tak, iż u nas Polaków, nie wiedzących w owym czasie jeszcze co to francuskie wykształcenie znaczy, za uczonego uchodził człowieka. Mnie było z nim bardzo wygodnie, raz, że musiałem z nim po francusku rozmawiać, a po wtóre, że znalazłem w nim bardzo przyjemnego towarzysza w pośród rzeczywistego zresztą osamotnienia, bo jakkolwiek byliśmy tylko o cztery mile od Warszawy oddaleni, świat u nas był jakby deskami zabity, pomimo palących interesem ówczesnych wypadków.

Ponieważ szpital forteczny, w którym w następstwie mojego ojczyma przewodniczył dr. Liebich, nie wystarczał na wielce powiększoną załogę, dano nam trzy ciasne pokoje w odległych koszarach na szpital pułkowy, ale oprócz pieców i kątów nie było w nich nic zgoła. Naniesiono słomy, usłano ją pod ścianami, dano nam nędzne kołdry wełniane, a zamiast poduszek sznurkami pozwiązywane snopki. Przykomenderowano kilku gamoniów z pułku na posługaczy, a podoficera na intendenta, i to było już wszystko. Brak bielizny, przyborów opatrunkowych i wszelkich naczyń szpitalnych najdotkliwiej uczuwać się dawał, do tego stopnia, iż napojem dla chorych była jedynie czysta woda, którą czerpano z konewki blaszaną kwaterką. Służba lekarska składała się

z mojego pana Rudnickiego, próżniaka, i ze mnie nieuka, który, oprócz anatomji i fizyologji i niektórych rozdziałów chirurgji, nic zgoła nie wiedział. Przydano nam jeszcze do pomocy Blocha, który oprócz puszczania krwi, wówczas niesłychanie będącego w użyciu, nic zresztą nie umiał. Pięknieśmy wyglądali! Lecz cóż było robić w owych gorączkowych czasach, gdzie wszystko naraz było do zrobienia, a ani środki, ani praca, ani wykształcenie nie odpowiadało najkonieczniejszej potrzebie. Załamywało się ręce z rozpaczy i co chwila popełniało błędy, dla braku wiedzy i doświadczenia. Dzisiaj, pomimo tych samych mizernych środków, umiałbym sobie inaczej poradzić, ale to już 60 lat od owej chwili.

O ile przypominam sobie, na mnie młodziku w owym szpitalu spoczywało wszystko, bo mój pan sztabslekarz, odbywszy swoją wizytę, grał sobie potem najspokojniej w bilard, albo w pikietę. Byłem też nad siły przeciążony pracą. Rano o piątej musiałem być przy apelu przytomnym, ażeby tych obejrzeć, którzy zasłabli i ważniejszych do szpitala odesłać. O siódmej musiałem już być w szpitalu przy wizycie pana Rudnickiego i spisywać lekarstwa oraz pożywienie, potem musiałem rannych opatrzyć, a było ich zawsze około 20; następnie w aptece, razem z innymi, wszystkie przygotować leki, albowiem aptekarza nie było, — i w końcu porozdawać je chorym i każdemu dać w uszy, jak ma je zażywać, a posługaczom jak mają pilnować, ażeby wszystko dobrze było robione. Mieliśmy stale około 70 chorych w oddziale, ale, że wszyscy nasi żołnierze byli nowozaciężnymi, do nowego sposobu życia wcale nienawykłymi, można więc łatwo wyobrazić sobie, jak mozolna co dzień czekała na mnie praca, zwłaszcza, że wymagano jeszcze, ażebym sam co wieczór odbył wizytę i o stanie wszystkich ważniejszych chorych nazajutrz zdawał sprawę.

Zaraz po wybuchu naszego powstania zadekretowano znaczne powiększenie wojska. Każde z ośmiu województw miało wystawić w jak najkrótszym czasie po

dwa pułki piechoty i po jednym jazdy, nie licząc w to pułków i oddziałów, jakie się obowiązali zebrać i wyekwipować prywatni, a takich było niemało. Wzięto się z niesłychaną energją do dzieła, tak, że mój pułk 13-ty, który już wcale pokaźnie wyglądał, istniał zaledwie od sześciu tygodni. Nie mogłem się wydziwić, jakim cudem pułkownik Sierakowski z parobków od pługa w tak krótkim czasie mógł zrobić żołnierzy, ubrać ich i wymustrować. Gdym się jednak bliżej nieco przypatrzył, pojąłem dopiero, jak tam wszystkiego brakowało. Umundurowanie na porę roku, w której byliśmy, było wygodne i dostateczne, uzbrojenie natomiast—bardzo mizerne, gdyż pierwsze tylko szeregi, a czasem i drugie, miały broń palną, a trzecie były opatrzone w Kościuszkowskie kosy, których niezgrabność i niepraktyczność biła jasno w oczy. Że kosa osadzona prosto na trzyłokciowym drągu musi być straszną bronią, to nie ulega żadnej wątpliwości, ale potrzeba na to, ażeby kark, w który ma uderzyć stał spokojnie i czekał na uderzenie, gdyż kosynier dziesięć ukłuć otrzyma bagnetem zanim jeden i to bardzo niepewny cios zada. Kosa przeżyła się już była w 1831 roku, tak jak się dziś broń skałkowa przeżyła. Nigdy też nie widziałem ćwiczeń z kosami, czy to pojedyńczo, czy to w szeregu, ale za to ciągłe zamieszanie przy obrotach, z powodu plątania się ze sobą i uderzania o siebie kos nad głowami. Zapewne też brzęk nieznośny, gdy go powoduje uderzenie kulek o kosy, jest bardzo dla żołnierza niemiły. Zamiast trzymać kosynierów w szeregach, gdzie w manewrach przeszkadzali tylko, lepiej było tworzyć z nich bataljony bez broni, wprawiać ich do obrotów wojskowych, zbroić ich, stosownie do przybytku karabinów, które dostarczał zarówno handel zewnętrzny, pomimo wielkich przeszkód ze strony pruskiej i austrjackiej, jak i rękodzielnicy krajowi, tudzież urządzona na prędce w Warszawie fabryka broni, zatrudniająca już kilkuset robotników.

Brakowało nam także armat. Pomyślano więc zaraz

o ich fabryce i założono ją przy ulicy Gęsiej. Za materjał służyły dzwony kościelne, które z całego kraju zwożono, ale z samą fabryką szło nieco trudniej, gdyż na nią potrzeba było czasu tak dużo, iż w pół roku dopiero stanęły na placu boju pierwsze jej wyroby.

Pułkownik Sierakowski był niezmordowany. Męczył swoich oficerów i żołnierzy od rana do nocy, boć i ci oficerowie byli po największej części nowozaciężnymi i sami dopiero swego rzemiosła uczyć się musieli. Mała ich tylko liczba przeszła z awansem z dawniejszego wojska, a reszta powsuwała się, jak mogła. Od rana do nocy Sierakowski zwijał i rozwijał swoje bataljony, cwałował na koniu, unosił się, łajał, szydził i zwykł był mawiać: „chciało wam się wojny, będziecie ją mieli, ale ja nie ścierpię, dopóki jestem waszym dowódcą, żebyście wyszli na dudków“. A bywał on także jowialnym. I tak raz w mojej przytomności, gdy kompanje zwijał w kolumny, jeden z kapitanów, zamiast iść na prawo, poszedł na lewo i uszedł już kilkadziesiąt kroków. Wtedy pułkownik przypadł do niego na koniu i gromko śpiewać zaczął: „a kiedy odjeżdżasz, bądźże zdrów! Do widzenia, panie kapitanie!“ Cały bataljon roześmiał się na wiwat, a kapitan, jak zmyty, z kolumną się złączył.

Kiedy w końcu stycznia ogłoszono tron polski za wakujący....., formowano Rząd narodowy. Nakazaną wtedy została przysięga na wierność dla narodowej sprawy. Otóż i my w fortecy dopełniliśmy tego aktu, o ile się dało jak najsolenniej. Po odbytem nabożeństwie polowem pułk nasz uszykował się w kwadrat, we środku stanął sztab pułkowy, pułkownik przemówił wymownie i energicznie, potem wyszedł ksiądz w komży, wszyscy podnieśli po dwa palce w górę, duchowny czytał rotę przysięgi, a pułk powtórzył ją za nim. Było wiele uroczystości i spokoju w tym całym akcie i bardzo miłe pozostało mi po nim wrażenie.

Modlin przedstawiał teraz o wiele inne wejrzenie, jak za mojej w nim przed dwoma laty bytności, zaraz bo-

wiem po wybuchu powstania wzięto się do naprawy fortyfikacji i w przeciągu sześciu tygodni dokonano ulepszeń nie do uwierzenia. Wiele szańców podwyższono, w wielu ponaprawiano szczerby, w fosach postawiono szeregi ostrokołowych pali, armaty pozataczano na wały. Na najwyższym punkcie, czyli na tak zwanym kawalierze, nad Wisłą, ustawiono telegraf powietrzny, komunikujący się z telegrafem w Warszawie, ustawionym na szczycie budującego się wówczas wielkiego teatru, na szczycie bardzo dobrze z Modlina widzianym. Chociaż nie wszystko było jeszcze gotowe i około 200 chłopów z okolicy pracowało codziennie, forteca wyglądała już imponująco. Miano nas też na oku.

Oddziały kozackie ciągle nas szpiegowały i ucierały się nawet potrochu ze szwadronem Krakusów, który nam przysłano. Alarmowano też nas nieraz w nocy. Wtedy na odgłos bębna każdy oddział stawał na szańcach, w miejscu sobie oznaczonem, a z armat rzucano świecące kule, które, padłszy na ziemię, długo się jaskrawo paliły i cały oświetlały krajobraz.

Ponieważ się rozeszła była wiadomość, że znaczne siły nieprzyjacielskie ciągną ku Warszawie na Pułtusk, urządzono więc z fortecy rekonesans, złożony z dwuch kompanji naszego pułku, jednej starego wojska, jednego sześciofuntowego działa i z pół szwadronu Krakusów. Ekspedycja wyszła przed wschodem słońca, a ja dopiero w godzinę potem dostałem rozkaz, ażebym za nią z felczerem pośpieszył. Przewiesiłem mu zatem torbę opatrunkową przez plecy i pośpieszyłem natychmiast, ażeby uchodzących dogonić. Około trzeciej w południe już byłem przy nich i zameldowałem się dowódcy. Będąc niesłychanie zmęczony, położyłem się na ławie w jakiejś chałupie i niebawem zasnąłem. Gdym się około piątej obudził, ujrzałem ze zgrozą, że byłem sam jeden. Zapomniano mnie obudzić i zostawiono. Baby wskazały mi kierunek, w którym oddział odszedł, podążyłem więc za nim, trzymając się śladu zostawionego na ziemi po przej-

ściu naszego działa. Lecz wkrótce zmrok zapadł i zrobiło się ciemno, ślad przestał mnie już prowadzić, ogarnął mnie strach wielki, ażeby nie wpaść w ręce kręcących się ciągle kozaków, aż wreszcie zdaleka ujrzałem obozowe ognisko. Lecz tu znów zaszło pytanie: czy nasze, czy nieprzyjacielskie? Podkradłem się więc ostrożnie w krzakach pod stojącego na wedecie żołnierza i usłyszałem z radością jak wołał: „zimno, a bodajcie siarczyste zatrzasły". Kiedy tak, to dobrze, pomyślałem sobie i, wychylając się z za krzaku, głośno zawołałem. Stanął, zmierzył karabin do mnie, ale nie strzelił, a gdym mu powiedział, co się ze mną stało, widząc mnie w mundurze, pozwolił mi iść dalej. Wykrzyczałem środze gamonia felczera, a młodzi oficerowie, naśmiawszy się z mojej przygody i z mojego strachu, poczęstowali mnie prowiantem, który ze sobą z fortecy zabrali.

Nazajutrz szliśmy bocznemi drogami w kierunku Pułtuska, który obeszliśmy na lewo i roztasowaliśmy się w namiotach na wzgórzu w lasku, skąd na dolinę roztaczał się obszerny widok. Zaraz rozesłaliśmy patrole w celu zasięgnięcia języka.

Na drugi dzień o świcie natknęła się na nas półsetnia kozaków. Dano do nich ognia z naszego działka, ale kula nie doniosła, a tymczasem nasi Krakusi rzucili się do koni i, dogoniwszy lotem błyskawicy, zmieszali się z nieprzyjacielem. Strzelanina i zamęt trwały kilka minut zaledwie. Kozacy, jak stado kaczek, na wszystkie rozpierzchli się strony, a nasi wrócili z kilkoma zdobytymi końmi i kilku lekkiemi ranami, które opatrzyłem natychmiast. Przekonawszy się wreszcie, że w okolicy żadnych poważnych sił nieprzyjacielskich nie było, piątego dnia po wyjściu wróciliśmy do fortecy.

Z bólem serca wróciłem do moich codziennych zajęć, a na nieszczęście przybyło mi wiele roboty, gdyż w batalionach naszych, w szopach rozlokowanych, wybuchnęła epidemja egipskiego zapalenia oczów, z powodu niewygody w pomieszczeniu, na które był wystawiony nasz

żołnierz, mianowicie braku niezbędnego w nocy przykrycia w otwartych barakach, stłoczenia się, a najwięcej z powodu nieznośnego kurzu, pochodzącego od pyłu ze startej na proszek słomy. Codzień przybywało nam chorych po kilkunastu, a żaden z nas lekarzy nie miał o chorobach oczów wyobrażenia. Doniosłem o tem natychmiast memu ojczymowi, prosząc go o radę, a gdym ją otrzymał, zaraz wedle niej postąpiłem. Szczęściem, że Rudnicki wyjednał sześć płóciennych namiotów, które kazałem rozbić w przyległym bastjonie, i tam umieściłem osobno wszystkich moich chorych na oczy. Potem dostałem trzy beczki, które codziennie zimną świeżą napełniano wodą. Do każdej beczki dosypywałem po łyżce siarkanu cynku, a felczer, postawiony na straży, pilnował, ażeby każdy chory co parę godzin przemywał sobie oczy. Na nieszczęście wielu oślepło, ale ¾ całej liczby wyleczyło się. Serce mi się krajało na tę całą sprawę, bo ani wiedziałem, co miałem pod ręką, ani co robię. Strzelałem, a Bóg kule nosił. Nikt mi nie pomagał. Owszem, winę całą za oślepłych na mnie składano, zwłaszcza, że ogromna potem była z nimi bieda. Nie można ich było odesłać do domów z powodu ogólnego w kraju zamieszania.

W ten sposób rozpocząłem w kraju mój okulistyczny zawód. Wśród tych nader przykrych rzeczy z kolei wybuchnęła nam druga epidemja w fortecy, mianowicie tyfusu brzusznego, niesłychanie złośliwego i zabierającego liczne bardzo ofiary. Szczęściem tylko, że ulitowano się nad nami w Warszawie, i przysłano nam do pułku w charakterze lekarza bataljonowego doktora Weis'a, z Frankfurtu przybyłego. Był on już lekarzem w szpitalu cywilnym swojego miasta i stał na stanowisku ówczesnej wiedzy. Mówił trochę po francusku i porozumieć się z nim nie było mi trudno.

Otóż jedną z pierwszych ofiar tej epidemji padł Wiktor Desetange, ów lekarz i aktor, o którym dopiero co wspomniałem. Pielęgnowałem go jak najpilniej. Weiss

i Liebich, a nawet mój pan sztabslekarz, robili co mogli, ale wszystko było daremne. Umarł w dniu 13-tym choroby na moim ręku. Gdy już był ciężko chory, ale jeszcze przytomny, oddał mi list do lampiarza Norblina w Warszawie, oraz trzos, który miał opasany w pasie z dziesięcioma dublonami hiszpańskimi w złocie, z poleceniem, ażeby je razem z listem doręczyć. Pochowaliśmy go w Nowym Dworze na cmentarzu miejskim.

Zawiadomiłem natychmiast Norblina o tem, co zaszło, prosząc o odebranie listu oraz powierzonej mi sumy, ale otrzymałem odpowiedź, że z Warszawy ruszyć się nie może i prosi mnie o odesłanie listu i dalsze przechowanie pieniędzy.

Norblin miał wtedy wielki skład lamp na Bielańskiej ulicy; był powszechnie znanym i szanowanym człowiekiem. Propozycja zatrzymania nadal pieniędzy była mi bardzo przykrą, gdyż przy niemożności ich zabezpieczenia, mogłem być okradziony i popaść w podejrzenie, żem sobie powierzoną mi sumę przywłaszczył. Chcąc z tem skończyć, prosiłem pułkownika, ażeby mi pozwolił do Warszawy na 24 godzin się oddalić, ale mi wręcz odmówił. Skorzystałem więc najniezręczniej w świecie z innej okoliczności, która mnie zaraz potem wielkiej nabawiła przykrości. Rodzina Wiktora Desetange pisała do mnie z Paryża, ażebym jej urzędowy akt zejścia zmarłego przesłał. Nie śmiałem odmówić, ale ponieważ nie było w fortecy żadnego urzędu, ani cywilnego, ani duchownego, a nie wiedziano, gdzie było czego szukać, odesłano mnie do komendanta twierdzy z prośbą o wydanie prostego świadectwa.

Komendantem Modlina był wówczas jenerał Sowiński, ten sam, który w kilka miesięcy później poległ bohaterską śmiercią w kościołku przy wzięciu Woli. Był to człowiek jeszcze młody, bez nogi, którą starcił pod Lipskiem. Wysokiego wzrostu, nader ujmującej powierzchowności, uczynny, serdeczny bez przesady, zyskiwał sobie serca i szacunek. Przedłożyłem mu moją prośbę, ale

ponieważ nikogo nie było pod ręką, dosyć z językiem francuskim obeznanego, ktoby rzeczone świadectwo zredagować potrafił, generał podjął się sam tej pracy i kazał mi po świadectwo nazajutrz się stawić. Nie omieszkałem tego uczynić. Wręczył mi świadectwo, wytwornym napisane językiem i opatrzone wszelkiemi formalnościami, a że był tak łaskaw mnie słuchać, opowiedziałem mu mój ambaras z pieniędzmi i konieczność udania się do Warszawy, choćby tylko na 24 godzin. Jeżeli o to idzie, to ja ci dam urlop, a pułkownikowi sam o tem powiem, tylko pamiętaj, że ci nad 24 godzin dłużej być nieobecnym nie wolno. Podziękowałem jak najuprzejmiej i natychmiast udałem się w drogę, zostawiwszy tylko maleńki do mojego sztabslekarza bilecik z doniesieniem, że w szpitalu w dniu następnym nie będę.

W Warszawie zabawiłem krótko, tyle tylko, ile mi czasu było potrzeba na odwiedzenie mej matki, załatwienie interesu z Norblinami, ażeby im wręczyć po nieboszczyku pozostałe pieniądze i rzeczy, a wreszcie na zjedzenie obiadu.

Powróciłem do Modlina w te pędy, ale zastałem już rozkaz od pułkownika do stawienia się osobiście przed nim. Był bardzo rozdrażniony i napadł na mnie odrazu: „Mój panie, odmówiłem ci urlopu, a ty samowolnie wyjechałeś z fortecy. A wieszże ty, czem to pachnie według wojskowego prawa? Dałeś jak najgorszy przykład. Gdybym nie miał względu na twą młodość, tobym cię stawił przed sąd wojenny, a kto wie czybyś kulką w łeb nie dostał!“

Opowiedziałem mu wtedy wszystko, co z powodu śmierci Wiktora między mną a generałem zaszło i starałem się usprawiedliwić, że bez pozwolenia nie oddaliłem się wcale. „Komendant nic nie ma do pana, bo ja tylko sam jeden jestem twoim zwierzchnikiem“ — rzekł opryskliwie. Wyraźnie był urażony, że komendant fortecy wdał się w jego atrybucje, ale pohamował się, ode mnie zaś niegrzecznie się odwrócił i rzekł z niechęcią: „ a teraz, idź

pan do swoich zajęć, ale ostrzegam, że jeśli coś nowego przeskrobiesz, to dowiesz się, czem jest Sierakowski". Po tej przemowie wyszedłem mocno dotknięty i to mnie tylko pocieszyło trochę, że mój pan Bloch został przeniesiony do innego szpitala, i że sam odtąd zajmować będę nasz mały pokoik. — A teraz wspomnieć tu muszę o Icku Saulsohnie Żydzie, gdyż go z wdzięcznością przypominam sobie do dzisiaj. Był to nizkiego wzrostu, nieco otyły, bardzo inteligentny, ciągle zajęty, ruchliwy, silny i nieoszacowanej poczciwości człowiek. Nie wiem, jakim sposobem dostał się na posługacza przed laty do szpitala fortecznego, ale taką tam rozwinął działalność i tyle okazał sprytu, że w każdej sprawie z jego rachowano się zdaniem. Przytem, jako samouk, wykształcił się w felczerstwie i pomagał w aptece, a wszędzie było go pełno. Chorzy lubili go bardzo i nie śmieli sobie z niego przedrwiwać, a lekarze cenili go niemniej z powodu jego sumienności i akuratności.

Podczas dwuletniego pobytu rodziców moich w Modlinie, Icek przywiązał się do nich i nie mógł się ich nachwalić. Mnie też poznał zaraz za mojem powtórnem przybyciem do twierdzy, ale, z powodu zbliżenia się mego z dwoma kolegami moimi, trzymał się zdaleka, a teraz dopiero, gdy sam zostałem, dawał mi co chwila dowody swej przychylności.

W ścisłem znaczeniu Modlin był tylko oszańcowanym obozem, pozbawionym jak najzupełniej wszelkich potrzeb życia, które z wielkim trudem trzeba było sprowadzać z okolicznych miasteczek. Otóż, gdyby nie Icek, mógłbym był umrzeć z głodu i niewygody, a niktby nawet uwagi na to nie zwrócił. Opieka Icka była dla mnie tem cenniejszą, że na początku maja zacząłem bardzo podupadać na zdrowiu. Sił mi brakowało, opanowała mnie bezsenność i bóle dolegliwe głowy, tak, że dnia pewnego, nie mogąc się już dowlec do posłania, nie stawiłem się do mego uciążliwego zajęcia. — W te pędy wpadł do mnie sztabslekarz i łajać mnie zaczął, ale za nim wsunął

się Icek i z najzimniejszą krwią się odezwał: „Panie majorze, a czyż pan nie widzisz, że on jest chory i że kto wie, czy nie dostanie tyfusu?“ Przeraziło mnie to orzeczenie, ale i pan Rudnicki zmiękł odrazu zupełnie i kazał mi w łóżku pozostać. Wieczorem przyszedł do mnie z Weissem i Liebichem, ażeby mnie dobrze wybadać. Gdy się gorączka wzmogła i zaczynałem majaczyć, posłano do mego ojczyma, który się wówczas w Warszawie znajdował, z żądaniem, ażeby natychmiast przyjechał. Trzeciego dnia rodzice byli już przy mnie, lecz przytomność tak mnie już odbiegła, iż poznawałem ich zaledwie. Matka kazała sobie urządzić przy mnie posłanie, a Kowszewicz odjechał. Co się następnie przez dni kilka ze mną działo, o tem nic nie wiem, matka tylko potem nie mogła się nachwalić usłużności i troskliwości Icka, któremu za to najczulej uścisnąłem rękę. Kowszewicz dojeżdżał do mnie co kilka dni konno. Uradzono wreszcie, żeby mnie do Warszawy przewieźć. W tym celu zrobiono nawet próbę. Wyniesiono mnie podczas prześlicznego majowego dnia na wały, ażebym odetchnął świeżem powietrzem. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie sprawił na mnie rozległy na Wisłę i Narew ku Warszawie widok. Wszystko mi się ćmiło przed oczyma, przedmioty dwoiły się przede mną; raz zdawało mi się, że nikną w oczach,— drugi raz, że malały i w odległą uciekały przestrzeń, aż wreszcie szumieć mi zaczęło w uszach, zawracać w głowie, i zemdlałem. Icek wziął mnie na ręce i do łóżka zaniósł, a matka wylękniona truchlała, sądząc, że konam. Po tej niefortunnej próbie stan mój znacznie się pogorszył, tak, że dopiero w dni dziesięć można było pomyśleć o moim odjeździe. Icek wystarał się o jakąś landarę, w którą mnie włożono i otulono betami, matka siadła przy mnie, a Kowszewicz jechał konno obok, i tak, wlokąc się noga za nogą, przybyliśmy naostatek na Ś-to Krzyską ulicę, gdzieśmy mieszkali. Po tej podróży pogorszenie było znów widoczne, tak, że dopiero w środku czerwca zacząłem przychodzić do siebie i przygotowy-

wać się na nowo do służby. Zacząłem wychodzić i odwiedzać moich znajomych, którzy mnie jednogłośnie zapewniali, iż tak byłem po tyfusie zmieniony, że mnie poznawali z trudnością.

Pobyt mój w Modlinie i choroba do tego stopnia mnie oderwały od świata, iż słabe tylko miałem wyobrażenie o tem, co zaszło w kraju od początku kwietnia. Do Modlina wiadomości przychodziły urywkowo i to często bardzo zmienione, a zresztą tak tam byłem znękany i pracą i moim panem Rudnickim, że nie bardzo na nie nadstawiałem ucha. Po sześciotygodniowem wahaniu się między życiem a śmiercią, urodziłem się wreszcie jakby do nowego bytu. Zauważyłem zaraz, że w Warszawie nowy jakiś wiatr powiał. Wszyscy spoważnieli i z owego styczniowego rozgorączkowania nie było śladu. Uderzyło mnie to, mianowicie na festynie, jaki gwardja narodowa wydała dla wojska w Saskim i Krasińskim ogrodzie. Było tam wprawdzie mów, wiwatów i śpiewów co niemiara, lecz widocznie bitwa pod Ostrołęką i wpędzenie do Galicji Dwernickiego, zrobiły przykre wrażenie, a śmierć Dybicza i koncentrowanie się armji rosyjskiej koło Pułtuska coś niepożądanego wróżyły.

Po rozhukaniu nastąpił cichy i spokojny rozmysł i męskie przedsięwzięcie dojścia do celu, z którem Warszawie było bardzo do twarzy. Zobaczyłem się znowu ze starym majorem Zabłockim, który z kazamat petersburskich powrócił. Znalazłem go strasznie znękanego, podczas bowiem swego uwięzienia stracił w jednym tygodniu dwoje najstarszych dzieci: syna, wielkich nadziei młodzieńca, który był porucznikiem w korpusie kwatermistrzowstwa, i rzadkiej urody 20-to letnią córkę, a nadto narzeczonego młodszej córki, adwokata Plichtę, który, nie mogąc wytrzymać podczas grochowskiej bitwy, pobiegł na plac boju, przyłączył się do pierwszego lepszego oddziału, podniósł karabin z ziemi, walczył po bohatersku i zginął. Znałem go dobrze, miał już około lat 40; był wielce cenionym w Warszawie.

Ponieważ Modlin mi obmierzł, postarałem się o przeniesienie do czynnej armji, a mianowicie do 17 pułku piechoty pod komendę mojego ojczyma. Przyszło mi to nader łatwo, lekarzem bowiem naczelnym armji, w miejsce lizusa konstantynowskiego Stummera, został nasz profesor uniwersytetu Kaczkowski, który rok przed wybuchem powstania powołanym został z Krzemieńca, gdzie był profesorem hygjeny, na katedrę kliniki wewnętrznej w naszym Uniwersytecie. Znałem go bardzo dobrze, interes więc mój poszedł bardzo gładko i we dwa dni miałem już rozkaz w kieszeni zameldowania się pułkownikowi Paszkiewiczowi, dowódcy pułku, który stanowił część korpusu Milberga w województwie Płockiem.

Wuj Antoni kupił mi konia z rzędem, a ojczym, który w tym pułku był sztabslekarzem, mając sam furaż na trzy konie, obiecał mi mojego żywić. Mogło mi być przeto wygodnie. Za siodłem miałem mantelzak i przytroczoną sławucką burkę, przed siodłem płaszcz i, zamiast olster, dwie skórzane torby.

Pożegnałem się najczulej z moją kochaną matką i poszedłem w drogę znowu na Modlin, ale tym razem po lewym brzegu Wisły. Przejechałem przez most pontonowy, który był przerzucony przez rzekę pod fortecą, a że było już późno i dostać się do niej nie mogłem, pojechałem więc do Nowego Dworu, ażeby tam przenocować u znanego mi burmistrza. Cała droga do Nowego Dworu była opatrzona nowemi fortykacjami i co chwila w przejeździe musiałem się strażom legitymować. Nazajutrz poczciwy Icek zaledwie mnie poznał w szpitalu, tak się poprawiłem. Podziękowałem mu serdecznie za jego opiekę i pożegnałem się także z moim sztabslekarzem, który już miał nowego na moje miejsce pomocnika. Oznajmił mi on, że pułk 13-ty ma także wkrótce wyruszyć na linję bojową.

Przejechawszy przez fortecę i nowe obszerne jej wzmocnienie, udałem się prosto przez las na północ i o jakie dwie mile napotkałem na obszernej leśnej polance

obozowisko mojego nowego pułku. Ojczym przyjął mnie radośnie i przedstawił mnie lekarzowi bataljonowemu, Czechowi, doktorowi Bogdalikowi, człowiekowi już nie młodemu i nie bardzo ku sobie pociągającemu. Natychmiast zameldowałem się pułkownikowi, a ten mnie przyjął bardzo niegrzecznie, wymawiając mi, że z mojem przybyciem niesłychanie się spóźniłem. Zmiękł dopiero, gdy się przekonał, że zaledwie przed kilku dniami odebrałem nakaz udania się do pułku.

Miałem pełnić służbę w zastępstwie bataljonowego lekarza i zaraz mi pokazano przybory lecznicze. Już to wyznać należy, że służba nasza lekarska polowa niesłychanie była wadliwa, z powodu braku wszystkiego, co było niezbędne. Lekarze stanowili zbieraninę z różnych końców świata, najczęściej mało uzdolnioną. Wprawdzie na wezwanie rządu narodowego zbiegło się ich z zagranicy mnóstwo, — ale, obok ludzi bardzo poważnych, jak np. Antomarchii (?), lekarza Napoleona na wyspie Ś-tej Heleny, Malgaigne, Foi, Le Roi d'Etiolle i kilku Niemców, było mnóstwo ludzi lichej wartości, którzy więcej byli zawadą, aniżeli pomocą, nie mogąc się z nami porozumieć. Przy każdym bataljonie był koń, noszący na grzbiecie dwie skrzynki, przeznaczone na apteczkę i potrzeby opatrunkowe, ale skrzynki te były tak wykonane mizernie, że się paczyły, pękały i zaciekały, a środki w nich zawarte były albo bardzo skąpe, albo niewiele warte. Słowem, wszystko to żydowskim liwerunkiem trąciło.

W mojej opatrunkowej skrzynce znalazłem dwa tuziny nędznych bandaży, kilkanaście starych kompresów i cztery funty zleżałej i skawalonej skubanki; zamiast wyskoku—paskudną fuzlową gorzałkę i t. p., a w dodatku zwitek kieszonkowych, chirurgicznych, tępych, pokrzywionych, starych narzędzi, wyraźnie z Pociejowa pochodzących. I czemże tu opatrywać rannych w razie potyczki i jak im dać chociażby też najmniejszą wygodę?!

Skarżyłem się na moje baraki i szpitale w Modlinie, ależ to był raj jeszcze w porównaniu z pułkowym sani-

tarnym porządkiem. Utyskiwałem na to przed moim ojczymem, ale mi odpowiedział ze smutkiem, że my temu nie poradzimy, że ranionych dotąd nie było w pułku, a wszystkich chorych, nie mogąc inaczej, musimy zostawić na los szczęścia po wsiach. Jest to bardzo żałośnie, dodał, ale zróbże inaczej!

W dniu następnym zauważyłem, że ojczym mój był jak najzupełniej w pośród gwaru obozowego osamotnionym. Przekonałem się, że znowu dostał swego napadu mizantropji i zagrzebania się w swych myślach. Starałem się go rozerwać, ale to w części mi się tylko udało. Wreszcie odkryłem, iż rozmyśla, ale nad czem? — Nad systemem umysłowych chorób. Nie mogłem zrazu temu uwierzyć, lecz, gdym ten przedmiot poruszył, ożywił się odrazu i, mogąc się wywnętrzyć, stał się jakby innym człowiekiem. Skąd to się wzięło? Przecież on w całem swojem życiu nigdy z warjatami nic wspólnego nie miał. Zapomniałem atoli o tem, że ojczym mój był przekonanym, że do wszystkiego dojść można przez rozumowanie. Nie zważając nic na wojenny rwetes, wziął sobie więc za zasadę psychologję prawidłową, taką, jak ją rozumiał, i, przypuszczając różne zboczenia, wywnioskował sobie różne chorobowe formy. Była to zabawka umysłowa wpośród nudów życia obozowego, ale tak go zaabsorbowała, że go mało obchodziło to, co go otaczało, a zwłaszcza pogawędy z oficerami mało odpowiednimi dla jego usposobienia. Miano go za tetryka i mizantropa, ale on tego nie spostrzegał wcale. Pozwoliłem mu wykładać sobie swój system psychjatrji i starałem się zbliżyć go tymczasem do kilku oficerów, którzy mi się więcej podobali: do majora Goreckiego, do kapitana Kwileckiego z Księstwa Poznańskiego, mającego syna w swej własnej kompanji w stopniu podporucznika, do kapitana Gorajskiego i t. d. Wkrótce znalazły się jakieś zatłuszczone karty, urządzono wiścika, a potem ponczyku na nędznym araku, którego dostarczali Żydzi, i Bogu chwała choroby umysłowe w kąt poszły. Kowszewicz był bardzo szanownym

i rozumnym człowiekiem, ale bez żadnej w życiu samodzielności, idący na oślep za okolicznościami, lub też za swem urojeniem.

Krążyła między nami wiadomość, że ponieważ nie udało się Dybiczowi wziąć Warszawy, atakując ją z frontu, następca więc jego Paskiewicz postanowił, przeprawiwszy się przez Wisłę pod Płockiem, zaatakować ją z dwuch stron: od wschodu i zachodu. I rzeczywiście główna skoncentrowana armja rosyjska przeszła pomiędzy Modlinem a Mławą, oparta jednym skrzydłem o Prusy, a drugim o Wisłę, dążąc ku zachodowi. Cały nasz korpus (Milberga) miał iść za nią, ażeby z tyłu ją szarpać przy przejściu przez Wisłę, które od frontu miało bronić wojsko z pod Warszawy, lewym brzegiem rzeki idące. Wieść ta sprawdziła się wkrótce, otrzymaliśmy bowiem rozkaz ruszenia na Nasielsk i posuwania się krok za krokiem za Rosjanami w odległości jednego dnia marszu. Od tej chwili nie traciliśmy ich z oczu. Na nas czatowali kozacy, a na nich Krakusy. Często przychodziło między nimi do bójki, w której nasi zawsze mieli górę, gdyż kozacy bali się naszych jak ognia, nazywając ich djabłami w czerwonych czapkach. Rosjanie wlekli się noga za nogą, a nas na każdy nocleg i wypoczynek rozstawiano zawsze w szyku bojowym.

Otóż przypominam sobie, że raz około 3 po południu, w dzień bardzo skwarny, rozstawiono nas na wzgórzach, panujących nad obszerną równiną. Dla naszego bataljonu przypadło miejsce, krzakami porosłe, nad którymi kilka ogromnych wznosiło się gruszy, a pod frontem biegła wiejska drożyna. Ustawiono w kozły broń i zaczęto gotować zupę, a dla mnie czarną kawę, którą zawsze miałem w torbie przy siodle,—gdy zbliżył się do nas na koniu kapitan kwatermistrz, w którym poznałem syna majora Zabłockiego. Powitaliśmy się serdecznie, a a gdy przyjął moją szklankę kawy i zsiadł ze swego konia, zaczęliśmy rozmawiać o obecnych naszego wojska poruszeniach. Spytałem go, czy ów zamiar przejścia przez

Wisłę jest rzeczywiście prawdą. Odrzekł mi na to, że byłoby to jeszcze pół biedy, ale dodał zarazem, iż mówią w dobrze poinformowanych sferach, że przejście do skutku nie pod Płockiem, ale pod Toruniem ma nastąpić, i że Rosjanie w tym celu zawarli z rządem pruskim umowę, mocą której Prusy zobowiązały się nie tylko dozwolić przejścia na swem terytorjum, ale nadto udzielić armji rosyjskiej wszelkiej innej, byle nie orężnej pomocy, jako to: dostarczyć żywności i amunicji, przyjmować chorych i rannych w swych lazaretach i t. d. I dlatego to zapewne armja rosyjska tak powoli na zachód się wlecze, mając bowiem zapewnione wszelkie wygody, będąc opartą prawem stkrzydłem o Prusy, a lewem o Wisłę, korzysta z nich i wypoczywa. Gdyby miała Płock na oku, to, przeciwnie, śpieszyćby się bardzo powinna.

— Ale czyż my sobie damy radę z Rosjanami w Warszawie, mając ich z przodu i z tyłu, a nadto Prusaków w odwodzie? — zapytałem strwożony.

— Nie wiem, odpowiedział mi na to, bo trafiają się różne niespodzianki na wojnach, ale prawdopodobnie bardzo w nasze powodzenie wątpić należy. Daj mi, dorzucił, 50,000 dobrego żołnierza, a przeważyłbym szalę na naszą stronę, ale na nieszczęście jesteśmy prawie już wyczerpani. Znaczne przestrzenie kraju są zupełnie zniszczone; brak nam amunicji; żołnierz obdarty i bosy, a tu zima się zbliża. Nie ma też dziś już tyle zapału, jak w początkach roku, a chociaż do zwątpienia jeszcze daleko, zaczyna się już w niektórych sferach objawiać znękanie.

A i cóż będzie z nami wtedy? — zapytałem żywo. Chyba przepadniemy?

— O tak źle znów nie jest, odpowiedział mi na to, ale wszystkie nadzieje nasze trzeba będzie na lat kilkadziesiąt odłożyć. Istnieć będziemy, choć może nie w dzisiejszej formie, lecz wam młodym, tak jak ty, mój panie Wiktorze, wypadnie smutne przeżyć losu koleje.

Długo jeszcze rozmawialiśmy ze sobą w tym guście. Odjechał nareszcie, zostawiwszy truciznę w mem sercu.

— Bywaj mi zdrów, mój drogi, dodał na pożegnanie, może się już nie zobaczymy więcej. Ale zobaczyliśmy się jeszcze w 15 lat później, ale w jakich to było odmiennych warunkach! On był wówczas inżynierem przy budowie wodociągu w Marsylji, a ja lekarzem szpitala w Burgundji.

Wkrótce potem zmieniła nam się naraz pogoda i nastały ciągłe i ulewne deszcze. Była to straszna dla nas klęska. Przemoczeni do ostatniej nitki, przez dni 10, mniej więcej, nie mogliśmy się obsuszyć. Przemiękła ziemia wszystkie nasze tamowała poruszenia, dowóz żywności niesłychanie był utrudniony, ogień się nawet nie palił. Spać trzeba było w błocie, a zmoczone gałęzie nie mogły nam już służyć do budowy baraków. Nikt sobie nie wyobrazi przykrości, jakiej się doznaje, gdy, stojąc np. na nowozaoranym gruncie, przemiękłym przez kilkudniową ulewę, trzeba się na nim do snu ułożyć i przez noc całą wytrzymywać strumienie, z obłoków lejącej się wody.

Wlekliśmy się żółwim krokiem ku Płocku i dopiero gdyśmy mieli doń wchodzić rozpogodziło się trochę. Pomimo tej ciągłej flagi, stan sanitarny mojego bataljonu był dobry, kilka tylko okazało się przypadków cholery, które, dla braku wszelkiej możliwości wygody, do rozpaczy mnie przyprowadzały. Oprócz rozcierania chorych i pojenia ich gorącą wodą, nie miałem innego ratunku, a że nawet suchego dla nich okrycia nie było, odsyłałem ich do wsi najbliższych. Szczęściem, że miałem się kim przynajmniej posłużyć, gdyż miałem pod rozkazami moimi dwuch felczerów i prowadzącego mego aptecznego konia; a byli to ludzie bardzo zaradni i bardzo mi przychylni, widząc, że się starałem, o ile mogłem, o ich wygody.

Wśród takich trudów nazwyczaiłem się pić wódkę. Mając jej dosyć, pijałem jej po kilka szklanek, dziwiąc się

bardzo, że mnie wcale nie odurzała. Pijałem ją ze wstrętem, lecz mnie wzmacniała i orzeźwiała. Było mi bardzo łatwo potem odzwyczaić się od niej.

Za Płockiem flagi rozpoczęły się znowu i tak towarzyszyły nam ciągle aż w pobliże Lipna. Tutaj staliśmy właśnie w lasku, na twardszym trochę gruncie, chociaż woda z drzew na nas strumieniami się lała, gdy nas głuchy huk armat doleciał. W kilka dni dowiedzieliśmy się dopiero, że pod Rypinem jeden z oddziałów naszego korpusu zetknął się z gwardjami i że wiele ucierpiał. Nie mogliśmy mu pośpieszyć z pomocą, gdyż ugrzęźliśmy w błocie do tego stopnia, że sześciokonne działo, zagrzebane po szprychy, nie dawało się z miejsca poruszyć przy pomocy nawet 30 popychających ludzi.

Ponieważ było już jasnem, że armja rosyjska do Prus uchodzi, otrzymaliśmy więc rozkaz do powrotu pośpiesznymi marszami na Modlin. O sto kroków od granicy postawili Rosjanie na naszem terytorjum trzy mosty. Gdybyśmy nawet mieli miejsce i odpowiednie do przeszkodzenia ich przeprawie siły, toby ich trudno było użyć, gdyż kule padałyby za pruską granicę i z Prusakami przyszłoby do zwady. Szczęściem, że deszcze ustały, ale w ich miejsce mieliśmy znowu upały. Ziemia wprawdzie obeschła, ale nocami głównie maszerować nam przyszło. Spałem wtedy, siedząc na koniu, a co więcej, że spał także cały mój bataljon i tylko automatycznie poruszał się, idąc nogami; jeżeli kto w poprzednim szeregu upadł, natrafiwszy na jaką przeszkodę, to idący za nim, potykał się na nim, dopóki się hałas nie zrobił, który innych rozbudzał.

W dni kilka stanęliśmy pod fortecą i zaraz otrzymaliśmy rozkaz przeprawienia się przez Wisłę i pomaszerowania pod Bolimów, między Łowiczem i Błoniem, ażeby zająć stanowisko na drodze, przez którą armja rosyjska przechodzić musiała do Warszawy. Pod Bolimowem w środku sierpnia zastaliśmy już zgromadzone główne nasze siły w ilości 50,000 mniej więcej, a i Rosjanie też nad-

ciągali. Rozstawiono nas w ten sposób, żeśmy sobie niemal oko w oko patrzeli. Nasz korpus stanął długą wyciągnięty linją na szerokim łąk roztoku, nad rzeczką i frontem do niej o jakie 400 kroków. Na drugiej stronie mostu stała naprzeciw tak samo linja Rosjan. Trwało to dni kilka jak najspokojniej, bez żadnej zaczepki, a że spokojność ta była bardzo męcząca, chwytaliśmy się więc każdej sposobności do jakiejbądź rozrywki. I tak trafiło się np. że biedny wystraszony zając dostał się między nas i rzekę i zmykał, ile miał siły, ale gdy go spostrzeżono, parę tysięcy ludzi z ogromnym krzykiem hejże biedz za nim. Co się z nim stało, tego już nie wiem, ale Rosjanie, słysząc tę wrzawę, zaalarmowali cały swój obóz i stanęli pod bronią. Z obu stron potem pełno było śmiechu, gdyż przez cały ten czas żyliśmy ze sobą bardzo po przyjacielsku i przy pojeniu koni wdawaliśmy się ze sobą w długie i wesołe rozmowy. Nie brakło nam także i na turniejach, znalazł się bowiem jakiś młody lekarz, Polak, który nad wieczorem codzień przejeżdżał przez rzeczkę na dzielnym koniu, a w te pędy wyjeżdżało naprzeciw niego kilku kozaków, ażeby go otoczyć i pojmać; ale tak się zręcznie między nimi wykręcał, że musieli dawać za wygranę. I z naszej i z rosyjskiej strony patrzyło na to po kilka tysięcy ciekawych, formujących jakby ogromne amfiteatralne koło, a każda strona wołaniem i klaskaniem lub śmiechem podsycała swoich. Widząc ich wtedy, pewniebyś nie przypuszczał, że lada chwila tłumy te rzucą się na siebie, ażeby się zobopólnie mordować.

Z pod Bolimowa cofnęliśmy się do Błonia. Stanąwszy po za Bzurą, zatrzymaliśmy się znów dni kilka. Tu wyprawiono nam solenne nabożeństwo na uproszenie opieki dla oręża polskiego. Cała armja stanęła na obszernej równinie w szyku, we środku ustawiono namiot, w którym duchowieństwo odbywało modły. Podczas podniesienia prezentowano broń, uderzono w bębny i dano salwy armatnie, a zaraz z placu eszelonami ruszyliśmy ku Warszawie, gdyż lada chwila mogliśmy być zaatakowani.

Zauważyłem, żeśmy już kos nie mieli, tyleśmy bowiem na nieprzyjacielu karabinów i tyle armat nabrali, żeśmy się mieli czem uzbroić. W pochodzie szarpano nas potrosze; miałem nawet kilku ludzi zabitych kulą armatnią w moim bataljonie. Nareszcie minęliśmy silnie ufortykowaną Wolę i stanęliśmy w wieńcu nowozbudowanych naokoło miasta bastionów. Ukończono je dopiero przed kilkunastu dniami, a sypała je cała ludność Warszawy bez różnicy płci, stanu i wieku. Między pracującymi widziałem ministrów, niższe i wyższe duchowieństwo, gwardję narodową, kupców, Żydów, szkoły męzkie i żeńskie, kobiety wszelkich stanów i tłumy ludu, zupełnie tak samo, jak przed pół rokiem przy sypaniu szańca na Pradze. Pracowano przy nich jeszcze przy końcu lipca, to jest wtedy, kiedy część już przez wojsko zajętą została.

Z niemałem naszem zdziwieniem dowiedzieliśmy, że Skrzyneckiemu odebrano dowództwo z powodu, że Rosjan w przejściu przez Wisłę nie atakował i spokojnie na lewym jej brzegu zorganizować się dozwolił. I rzeczywiście, nazajutrz, a było to w środku sierpnia, uszykowano nas w czworobok. Skrzynecki z całym swym sztabem i Dembińskim, swoim następcą, stanęli we środku. Skrzynecki, żegnając się z nami, napomknął, że mu sumienie nie dozwalało działać inaczej, Dembiński zaś oświadczył, że, będąc wybrany przez Rząd Narodowy, jako żołnierz rozkazom ulega. Obaj dowódcy po przyjacielsku podali sobie ręce i odjechali od nas, zdziwionych, chociaż przyznać trzeba, że i nam spokojne przypatrywanie się koncentrowaniu się nieprzyjaciół na lewym brzegu Wisły, oraz nasz spacer na jego tyłach na prawym, nie był po myśli.

Tułając się przez miesiąc prawie w Płockiem na tyłach armji rosyjskiej, teraz dopiero dowiedziałem się, co przez ten czas zaszło. Wojna wrzała na całem Powiślu. Na Wołyniu i Litwie partyzanckie oddziały trzymały się, jak mogły. Atoli dwa nader smutne zaszły dla nas wypadki. Korpus Rüdigera, około 12,000 liczący, otoczo-

ny był przez naszych w Lubelskiem i najniezawodniej powinien był broń złożyć, tymczasem generał Jankowski, czy to przez nieudolność, czy przez zdradę, otworzył mu ujście i wzmocnił poważnie siły nieprzyjaciela. Była to bardzo ciężka klęska, na losach naszych ciążąca. Drugą nie mniej ważną stanowiło złożenie broni przez kor-



Generał Henryk Dembiński.

pus Giełguda Prusakom. Korpus ten, odcięty po bitwie pod Ostrołęką, podążył ku Żmudzi, w której w całej sile wrzało powstanie, i podał mu rękę. Skutkiem tego była bardzo szczęśliwa i zaszczytna dla nas bitwa pod Rajgrodem, ale też w tej chwili same posypały się błędy. Giełgud, zamiast gromady się trzymać, podzielił swój korpus na trzy kolumny: jedną oddał pod dowództwo Dembiń-

skiego, a drugą dał Chłapowskiemu, który, jako stary wojskowy z czasów Napoleona, a potem czupurny szlachcic w Poznańskiem, odwołując się do swych dawnych zasług, do nas się przyplątał. Ten, po kilku nieszczęśliwych walkach pozwolił się wpędzić do Prus, gdzie swemu pruskiemu królowi broń złożył. Za nim poszedł także Giełgud, czy to przez nieudolność, czy przez zdradę, bo tak to zrozumiał przynajmniej jeden z jego podkomendnych oficerów i na samej granicy w łeb mu z pistoletu strzelił przed frontem, wykrzykując: że tak zdrajcom bywa. Sam tylko dzielny Dembiński nie dał za wygranę i z nad granicy kurlandzkiej, przekradając się przez 60 mil blizko w pośród ze wszech stron otaczającego go nieprzyjaciela, korpus swój przyprowadził nad Niemen, mając tylko dwa naboje na każde działo i po cztery dla każdego żołnierza. Był to czyn rzeczywiście bohaterski, który naród nasz cały umiał wysoko ocenić. Właśnie w kilka dni przed naszem przybyciem pod Warszawę, korpusik Dembińskiego, zgłodniały i obdarty, zjawił się na Pradze i doznał przyjęcia, jakiego żadne nie opisze pióro, a jego dzielny dowódca, o ile mógł tylko, usuwał się i chował przed owacjami Warszawian. Kiedym później poznał go bliżej, miałem sposobność przekonać się dowodnie, że to był człowiek zacny, wysokich zdolności i ujmującej skromności.

Tymczasem zapał, trwający ciągle w Warszawie, zaczynał przybierać barwę zawziętości i gniewu na złowrogie losy. Ściskająca się coraz bardziej obręcz nieprzyjacielska naokoło miasta dawała wiele do myślenia, a jednak nie oddawano się rozpaczy, a że w takowych razach usposobienie tłumów zawsze wymaga ofiar, zaczęto głośno szemrać na powolność sądów wojennych i bezkarność zdrajców, aż wreszcie motłoch rzucił się na ich więzienia, wywlókł z nich więźniów i literalnie rozszarpał. W ich liczbie znaleźli się generałowie Jankowski, Bukowski i Sałacki, szpieg Szymanowski i kilkunastu łotrów, dopuszczających się najokropniejszych okrucieństw. Najbar-

dziej przerażającą była śmierć generała Hurticha, zausznika księcia Konstantego i okrutnego komendanta Zamościa. Rzucono się na niego w chwili, gdy go z więzienia u Franciszkanów na Nowem Mieście, otoczonego wojskiem, prowadzono do sądu wojennego w Zamku. Odepchnięto żołnierzy, a na struchlałą ofiarę rzucały się mianowicie rozwścieczone kobiety, wydzierając mu włosy z głowy, drapiąc, jak dzikie zwierzęta, i okładając kijami, dopóki go nie zabiły, z okropnym krzykiem wyrzucając mu, że im zgnoił w kazamatach zamojskich: to syna, to ojca, to męża, że ich głodem i pragnieniem zamarzał, karmiąc ich wyłącznie śledziami, że ich kładł na tortury, ażeby ich zmusić do wyznań i t. d...

Przechodząc przypadkiem ulicą, byłem tym męczarniom przytomny, i nigdy nie zapomnę tego, jaką to furją może być kobieta. Wśród tych okropności były także i komiczne sceny. Szpieg Kawecki, z którego synem kolegowałem u Pijarów, widząc się w niebezpieczeństwie, przebrał się za kobietę, wsiadł do dorożki i kazał się wieść za Wolskie rogatki, ale go w drodze poznano, wywleczono i powieszono na latarni przed Bankiem.

Ponieważ się pokazało po tych skandalicznych wypadkach, że Rząd Narodowy był za słaby, skasowano go zatem i oddano rząd w ręce prezesa ministrów, Krukowieckiego. Że zaś poprzednio już postanowiono, że nie Sejm, ale rząd będzie na przyszłość mianował naczelnego wodza, na mocy więc tej atrybucji, Krukowiecki cofnął nominację Dembińskiego i jako zastępcę przyszłego wodza naznaczył Jana Małachowskiego. Dembiński mówił mi później, że przyjął dowództwo, gdyż go o to proszono, ale, rozpatrzywszy się w rzeczach, przyszedł do przekonania, że w Warszawie utrzymać się nie można. Pozwalając Rosjanom przejść przez Wisłę, trzeba było przewidywać wzięcie Warszawy, obmyśleć, co dalej robić i przygotować sobie inną do działania podstawę. Tymczasem, czekając bezczynnie, stracono wiele czasu, a teraz wypadałoby chyba Warszawę opuścić, przenieść na

Litwę cały teatr wojny, odciąć Paskiewicza od Rosji i szarpać go w Królestwie przez ogólne ludowe powstanie. Przysposobiwszy sobie środki ku temu, można było jeszcze przez zimę przetrzymać, ale, dopuściwszy Rosjan pod Warszawę, było już za późno.

Między Pragą a Sielcami manewrował ciągle 30,000 korpus rosyjski Rosena, unikając walki z naszym korpusem Romariny, to się cofając, to goniąc za nim, stosownie do jego poruszeń, tak iż Romarino nie mógł nam przyjść w pomoc pod Wolą, co bardzo być może przerzuciłoby na naszą stronę zwycięstwo. Tymczasem nackoło miasta toczono z różnem powodzeniem zacięte potyczki, które poczciwy „Kurjerek Warszawski“ wystawiał zawsze jako zwycięstwa, chociaż przyprawiano nas o bardzo dotkliwe straty, biorąc np. w niewolę 1,500 ludzi wysłanych jako rekonesans pod dowództwem pułkownika Le Galcis, świeżo przybyłego z Francji. Bo też przyznać trzeba, żeśmy do okrzyczanych francuskich wojskowych, którym ufaliśmy na oślep, wcale nie mieli szczęścia. Przychodzili tylko albo jakieś niezdary, jak ostatni, albo młodziki, niemal dzieci jeszcze, jak Montebello, młody Józef Poniatowski i t. p. Sam tylko Romarino stanowił wyjątek.

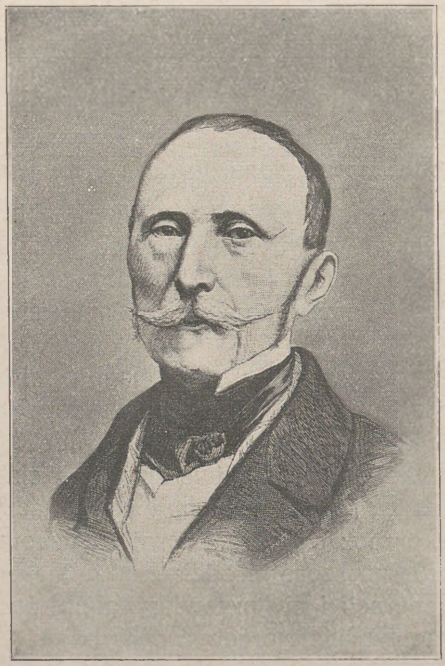
Niedługo staliśmy z moim bataljonem w bastjonie pod Wolą. Przeniesiono nas na Koszyki, a miejsce nasze zajął jeden ze starych pułków. Było nam tu bardzo wygodnie, gdyż codziennie mogliśmy bywać u matki. Staliśmy tam blizko dziesięć dni bezczynnie, ale na całej linji ruch był wielki, gotowano się do odparcia szturmu, a wieczorem bawiono się, jak można było. Nie mieliśmy pułkowych muzyk, ale w każdym bataljonie było grono śpiewaków; śpiewano więc chóralnie rozmaite pieśni, a było ich wtedy wiele. Potem posłano mój bataljon do Mokotowa i postawiono go na górze dla obserwowania doliny, rozciągającej się ku Wiśle, a nacostatek przeniesiono nas do Królikarni, gdzie przed pałacem, frontem obróconym ku bitej drodze, wzniesiono potężną baterję z sześ-

cioma działami. Było to już wieczorem. Ułożyliśmy się między budynkami, zupełnie opróżnionymi, w Szopach. W dniu następnym o świcie pokazały się kolumny nieprzyjacielskie na wyżynach pod Służewem. Wystąpiliśmy do boju, lecz skończyło się na kilku armatnich strzałach, za które nasza baterja nie została dłużną. Wtem granat padł przed frontem bataljonu mojego, a był to pierwszy, który widziałem, ale nie zrobił nam szkody, wyjąwszy, że jednemu szeregowcowi jego odłamek urwał wielki palec u nogi. Opatrzyłem go natychmiast, a że nieprzyjaciel się cofnął, odesłałem zaraz mojego rannego do Ujazdowskiego szpitala. Dzień następny był spokojny, bawiłem się tam, jak mogłem, czytając sobie w cieniu pod płotem skrypt z chirurgji Cheliusa, tłómaczenia Janikowskiego, który ktoś kazał litografować i do połowy dzieło już doprowadził, pomimo srożącej się wojennej grozy.

Od czasu mojego wejścia do służby chirurgja interesowała mnie bardzo poważnie, a zwłaszcza nauka o ranach i krwotokach. Znając doskonale przebieg arterji i mając poddostatkiem w Modlinie zmarłych ciał ludzkich, wprawiłem się na nich w podwiązywaniu naczyń krwionośnych, ale oprócz owego wczoraj zgruchotanego palca u nogi, którego szczątki odciąłem, żadnej na żywym nie robiłem operacji i nie przewidywałem, że mi niebawem pierwsze przyjdzie przebyć opały.

Nazajutrz było spokojnie, lecz dnia następnego napadnięto nas o brzasku, a współcześnie dała się słyszeć silna kanonada pod Wolą. Do napadu byliśmy przygotowani i, podłożywszy ogień pod wszystkie zabudowania w Szopach, cofnęliśmy się do naszego bastjonu w Królikarni, pod piekielnym ogniem ręcznej broni i artylerji rosyjskiej, na który odpowiadały nasze działa na wałach. W Królikarni było nas około 2,500 zbieraniny z różnych piechotnych pułków i sześć dział baterji Piętki, świeżo w naszej ludwisiarni odlanych. Dowodził nami generał Wroniecki. Strzelcy finlandzcy z poza ogni w Szopach

razili nas okropnie, wysyłaliśmy więc co chwila wycieczki, ażeby oczyścić od nich równinę. Artylerja nieprzyjacielska strzelała celnie i zdemontowała nam kilka dział, a strzelcy wybijali nam kanonierów. Kule armatnie przenosiły pałac i jedna z nich nawet zabiła kapitana, stoją-



D-r med. Kazimierz Fryderyk Skobel,
profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.
(Według drzeworytu w zbiorach Katedry historji medycyny w Uniwersytecie Jagiellońskim).

cego na dole za rzeczką ze swoim oddziałem dla obserwacji nadwiślańskiej równiny. Rannych mieliśmy ogromną liczbę. Urządziliśmy nasz ambulans na tylnym tarasie pałacowym nad stawem. Był w nim dr. Skobel, późniejszy profesor Krakowskiego Uniwersytetu, jakiś Francuz

i ja. Obadwa byli właśnie zajęci przy amputacji, gdy na gwałt zawołano na parapet do rannego niebezpiecznie porucznika artylerji Walewskiego, z którego krew strumieniem broczyła. Pobiegłem natychmiast i, wpośród pękających granatów i świstu kulek od ręcznej broni, ujrzałem bardzo dorodnego mężczyznę, którego kulka trafiła w górną część uda i widocznie przerwała udowe naczynia. Jedynym ratunkiem było więc natychmiastowe podwiązanie arterji udowej, ale ani o odniesieniu ranionego na bok, ani o poczekaniu, ani o pomocy moich w ambulansie kolegów nie mogło być mowy. Trzeba mi się było zdecydować na operację samemu, pierwszą w mem życiu i to jeszcze pod ogniem nieprzyjaciela. Opanowałem się wszelkiemi mojemi siłami; szczęściem, że miałem starego felczera pod ręką, który mi zimną krwią swoją imponował. Przyniósł w lot wszystko, co było potrzeba, a ja, otrzaskawszy się trochę z granatami i nieznośnem świstaniem kulek, zapomniałem zresztą o wszystkiem i wziąłem się do dzieła. Podwiązanie arterji w pachwinie poszło dość gładko, ale ponieważ krew jeszcze od dołu broczyła, musiałem więc podwiązać dolną część arterji i dość głęboko sięgać. Ale i to się jakoś udało i krew broczyć przestała. Jak tam ta operacja dokonaną została, to Boże odpuść; pewnieby mi za nią żaden profesor przy egzaminie nie przysądził stopnia, ale rezultat był osiągnięty. Kazałem odnieść ranionego za pałac, wśród czego już po raz trzeci mi zemdlał, i położyć go na trawie. Od jego służącego dowiedziałem się, że był on zamożnym obywatelem w Kaliskiem i że służył w artylerji pruskiej, z której dopiero co wyszedł. Gdy tak zbroczony krwią pracowałem około niego, nie uważałem, że generał Wroniecki mi się przypatrywał. Spytawszy się o moje nazwisko, zapisał je sobie w pugilaresiku i odszedł, ale w parę godzin przywołał mnie do siebie, o zdrowie Walewskiego, którego znał dobrze, zapytał i za moje starania mnie pochwalił. Mojego operowanego kazałem odwieźć do szpitala Ujazdowskiego, gdzie w parę tygodni umarł,

SZKOŁY

jak się o tem w 40 lat dopiero dowiedziałem od starej jego ciotki. Zanim go jednak wzięto, dał mi znowu trzos z luidorami, na co się potężnie skrzywiłem, przypominając sobie w podobnym razie moje korowody z cudzymi pieniędzmi w Modlinie. Szczęściem, że już nazajutrz upomniał się o nie przez swego krewnego i uwolnił mnie od wielkiej niespokojności.

Około godziny trzeciej w południe bój ustał. Rosjanie się cofnęli. Zanim to jednak nastąpiło, przybył nam w pomoc oddział rakietników, którzy, ustawiwszy swoje koziołki na szosie, zaczęli z nich rzucać rakiety. Ta broń, nieznana nieprzyjacielowi, zdawała się w nim wielkie wywoływać wrażenie, a śmiesznie było patrzeć jak się kolumny kawalerji rozlatywały, jakby kupy kaczek, kiedy takowa rakieta ze swym szumiącym i ognistym ogonem wpadała między konie. Mieliśmy nie mało zabitych i rannych, ale i nieprzyjaciel ciężkie poniósł straty, sądząc z liczby trupów, jaką nam zostawił na placu. Załatwiwszy się z opatrunkami, wyszedłem przed szaniec na plac boju, zasłany trupami, których właśnie grzebano, i widziałem kilku zabitych, którzy zatrzymali postawy, jakie mieli w chwili, gdy ich raptem śmierć zaskoczyła. Jeden np. zesztywniał w postaci strzelającego, inny gdy sobie ręką osłaniał oczy od słońca.

Pobojowisko to rzecz okropna. Kto go nie widział, ten nie pojmie grozy, jaką w sercu obudza. Wojna to najohydniejsza zbrodnia, istniejąca pod słońcem, pomimo całej maskarady wielkości, bohaterstwa i chwały, w jakie ją duma, chciwość i próżność ludzka przystraja. Wspomnij sobie na nie, gdy zobaczysz zwłoki człowieka, kulą armatnią rozszarpanego na dwoje, lub gdy ujrzysz ranionego biedaka, leżącego na ziemi, gdy po nim w pędzie przejeżdża sześciokonne działo galopem i gruchocze mu kości za życia, a zobaczysz jak ci się wyda laurowy wieniec dumnego zwycięzcy.

Przez cały dzień trwała zacięta walka pod Wolą, a od huku kilkudziesięciu dział ziemia się trzęsła. Około go-

dziny drugiej ogromna tam w pobliżu nastąpiła eksplozja, granat bowiem nieprzyjacielski pękł, wpadłszy w naszą redutę; zapaliwszy stojących tam kilka naszych jaszczyków z amunicją, wysadził szaniec w powietrze. A gdy potem zaczęły pękać granaty w jaszczykach się znajdujące, kanonada ogromne przybrała rozmiary. Nad wieczorem dopiero wszystko naraz ustało. Nie wiedzieliśmy, co to miało znaczyć, i dopiero adjutant, przybywający z rozkazem, zawiadomił nas wreszcie, że Wola została wzięta, że broniący ją generał Sowiński poległ z bagnetem w ręku na stopniach ołtarza tamtejszego kościoła i że obecnie umawiano się o kapitulację Warszawy. Ziemia rozstępująca się u stóp naszych większej między nami nie byłaby wywołała grozy. A więc wszystko skończone, myśleliśmy sobie; coś przecie musi być dalej, ale co będzie, tego cierpienie nasze domyśleć się nam nawet nie dozwalało.

Równo z brzaskiem dnia następującego (7 września) przeniesiono nasz bataljon pod Jerozolimskie rogatki, gdzie już zastaliśmy resztę naszego pułku. Cały ranek przeszedł spokojnie. Ja też, korzystając z tego, pobiegłem do matki, gdy około 3-ciej salwa z kilkudziesięciu dział naraz dała się słyszeć, a wkrótce potem druga taka sama na nią odpowiedziała. Zerwałem się od obiadu, chwyciłem za czapkę i zbiegłem ze schodów, nie żegnając się nawet z matką moją. Słyszałem tylko jej słowa: Niechaj cię Bóg w swojej zachowa opiece!

Walka grzmiała z daleka, na ulicach było zupełnie pusto i tylko tu i owdzie widziałem biegnących cwałem do armji. Mijając Ś-to Krzyski folwark, byłem i ja niebawem na placu, ale nie mogłem nic dojrzeć, słońce bowiem rażąco świeciło mi w oczy, a przytem powietrze napełnione było dymem i kurzem. Wpośród pękających granatów i kul świstu, dostałem się nareszcie do mojego pułku i przyłączyłem się natychmiast do ambulansu, który się roztasował pod oknami, gdzie zastałem już mego ojczyma i kilku lekarzy ze starych pułków. Znoszono

nam rannych, których po opatrzeniu układaliśmy za miejskim okopem, a stamtąd odnoszono ich do Ujazdowa. Gdy tak byliśmy zajęci, nagle usłyszeliśmy tętent szarży kawaleryjskiej za sobą. Sądziliśmy, że już nasza ostatnia wybiła godzina. Była to istotnie szarża na nasze kolumny, ale przeleciała lukami i znalazła się na naszych tyłach. Był to pułk huzarów, ale tak pijany, że się jeźdźcy zaledwie zdołali na siodłach utrzymać. Pomiarkowali się jednak i zawrócili, ale też i kolumny nasze zrozumiały, co to się stało, i, w tył się obróciwszy, przyjęły napastników krzyżowym ogniem. To zmieszało szyki: żołnierze spadali z koni, szeregi się zmieszały, konie luźne zaczęły się rozbiegać, a gdy się plac oczyścił, ujrzeliśmy na nim gromady zabitych i rannych. Byliśmy w wielkiem niebezpieczeństwie, nie tyle od nieprzyjaciela ile od naszych; szczęściem, że broń ówczesna nie niosła daleko i kulki martwo padały nam pod nogi.

Po zachodzie słońca spostrzegliśmy, żeśmy się jeszcze trzymali, ale dopiero o zmroku uderzył nas straszny widok. Wiatraki marymonckie gorzały, jak pochodnie, równie jak i całe przedmieście zawolskie oraz ulica Czysta aż do placu pod Lwem, to jest tam, gdzie dziś kościół Ś-go Karola Boromeusza.

Już było ciemno, gdy nas cofnięto, ustawiono przy Ś-to Krzyskim cmentarzu, a niebawem dowiedzieliśmy się, że Warszawa kapitulowała i że mieliśmy natychmiast udać się na Pragę. Wielu z pomiędzy nas było zabitych i rannych, wielu na placu boju zbłąkanych nazajutrz się dopiero znalazło; ja zaś byłem tak zmęczony, że ledwie się na nogach mogłem utrzymać. Zebrawszy jednak sił ostatek, przywlokłem się do mojego baraku na Koszykach i rzuciłem się na słomę. Pusto tam było zupełnie, gwar dolatywał tylko zdaleka, a palące się domy krwawą łunę rzucały na niebo. Usnąłem, ale niebawem rozbudziło mnie zimno; sen mnie jednak pokrzepił. W tem nadarzył się jakiś człowiek, niosący kilka szyneli rosyjskich na ręku. Wdałem się z nim w handel, za dwa złote

jeden z nich kupiłem i, włożywszy na siebie, przez plac Trzech Krzyży i Nowy Świat chciałem iść do matki. Było wtedy już około pierwszej. Plac był pusty i ciemny. Przyklęknąłem przed kościołem na stopniach i pomodliłem się trochę. A ponieważ po obu stronach kościoła stały barykady, uzbrojone w działa, zbliżyłem się do wejścia z lewej, gdy mnie przywitał szyldwach swoim: stój, kto idzie? Zamyślony nie uważałem na to, a w tem nastąpił strzał i kulka świsnęła mi przed uchem. Zrobił się na odwachu hałas, wyszedł oficer, a gdy mu się skarżyłem, odpowiedział mi na to, że trzeba było odpowiedzieć i, wskazując mi na mój szynel, zwrócił na to moją uwagę, że jestem przebrany. A niechże cię licho, zawołałem wtedy, zdjąłem szynel, rzuciłem go na ulicę, ale wziąłem ze sobą część egipskich baranków, którymi był zaludniony.

Nie mogłem się dostukać do mojej matki, bo wszystkie domy były zabarykadowane, spodziewano się bowiem stanowczej nazajutrz walki, do czego oddawna bardzo kosztowne porobiono przygotowania. Ulice były barykadami poprzecinane. Gwardji narodowej było 8,000, jej artylerja miała armat 8, a kawalerja dwa szwadrony, co razem z armją stanowiło jeszcze potężną siłę. Rzeczywiście można się było w Warszawie bohatersko bronić, ale to nie przeważyłoby szali na naszą korzyść, a na polityczne stosunki nie było co rachować.

Matki mojej nie zastałem w domu, bała się sama pozostać i poszła do Grabowskich na noc; wuj poprzednio wyprowadził się od niej, a służąca nie wiedziała jego adresu. Przykro mi było niezmiernie, że musiałem bez pożegnania z matką opuścić Warszawę.

Poszedłem więc na Pragę. Most był zapchany, równie jak i ulice przyległe, wojskiem, i dopiero około trzeciej odnalazłem mój pułk, moje rzeczy i mojego konia, którego stratę przewidywałem. Rzuciłem się na ziemię. Słońce już było wysoko, gdym się obudził. Pierwszą moją myślą było pożegnanie się z matką, ale mi powie-

dziano, że było polecenie rozebrania mostu niebawem i nie obiecywano mi wcale swobodnego powrotu.

Tymczasem dano nam rozkaz podążenia ku Modlinowi. Dzień był skwarny, a pochód rozbitej armji przerażający. Gromady żołnierzy z rozmaitych pułków bez komendy szły samopas razem, niektóre armaty zaprzężone końmi dorożkarskimi wlekły się jak smoła. Wszystkie twarze były zrozpaczone, znękane lub zapłakane, a śmierć była we wszystkich sercach. Jakże smutno było, patrząc na rozścielającą się na drugim brzegu Warszawę, pomyśleć, że wszelkie jej szlachetne aspiracje poszły na marne. A czyż był w tym rozbitym tłumie choć jeden człowiek, któryby sercem nie przywiązał się do ogólnie uznanych nadziei? Dreszcz przechodził po ciele na widok tych tysięcy rozbitków, a cóż dopiero, jak się pomyślało o przyszłych losach ojczyzny?! Rozpaczliwa otchłań przedstawiała się wtedy, a w jej głębi ani promyczka nadziei. Idea odkupienia naszego przez nas samych i to nie pięścią, ale rozumem i organiczną pracą, jeszcze nas nie oświetliła wówczas, bo ona i dziś dopiero wschodzić przed nami poczyna. Naród nie może być niewolnikiem, jeżeli nim być nie chce, jeżeli rozniecił w sobie iskrę samopojęcia i rozwinął w sobie bohaterstwo pracy i wytrwania. Oto jest nauka, jaką nam przyniosło sześćdziesiąt ostatnich lat naszego cierpienia, nauka, która zaczyna dziś nurtować do głębi nasze przekonania.

Przenocowaliśmy pod lasem w Jabłonnie, a nazajutrz szliśmy ku Modlinowi, ale tu już zmieniła się postać rzeczy. Przyszło już do pewnego uporządkowania i wyglądaliśmy na wojsko. Wszystkie też miny były weselsze, a raczej zrezygnowane, bo nie było z czego się cieszyć. Przybyliśmy do fortecy pod wieczór. Mój bataljon posłano do Pomiechowic, o jakie ćwierć milki od Modlina odległych, nad Narwią, i postawiono go na cmentarzu, z którego obszerny naokoło roztaczał się widok. Ponieważ na nim chowano wszystkich zmarłych w Modlińskim

szpitalu, przypadło na mnie dziwne zdarzenie, że lekarz spać musiał na grobach swych dawnych pacjentów. Niedługo to jednak trwało, gdyż już dnia trzeciego posłano nas do Serocka, poleciwszy pilnowanie tamtejszej przeprawy. Zaledwie stanęliśmy na miejscu, a już zameldowano mi kilku zapadłych na cholerę i kilku innych zagrożonych tyfusem. Dano mi zaraz lokal na ich pomieszczenie i słomę na posłanie, ale też nic więcej. Lecz Opatrzność zesłała mi kobietę, która potrafiła wszelkiemu brakowi zaradzić. Krzątałem się właśnie z mymi posługaczami około rozesłania słomy, gdy jakaś staruszka wysokiego wzrostu, czarno ubrana, z krzyżem na piersiach, w białym czepcu na głowie, weszła ze służącą, o wiele młodszą od siebie, i najspokojniej rzekła:

— Dowiedziałam się, że tu u pana są chorzy i przyszłam ich pielęgnować.

— I któż pani jesteś? — zapytałem zdziwiony.

— Stara kobieta, znękana życiem, starająca się przydać jeszcze na coś, dopóki ją Bóg nie powoła do siebie.

— Ale, szanowna pani, — pani się na niebezpieczeństwo narażasz, bo ja tu mam kilku na cholerę zapadłych, a mówią ludzie, że ta straszna choroba jest zaraźliwą.

— A i cóż to ma do tego, odrzekła mi najspokojniej, patrząc na mnie swemi poczciwemi oczyma. Przecież i do was strzelają, giniecie jak muchy, a jednak robicie swoje. Ale nie traćmy czasu, czego wam potrzeba?

Prosiłem o kołdry, o szklanki, o naczynia kuchenne i o mnóstwo innych rekwizytów szpitalnych. Wszystko się niebawem znalazło, a szanowna staruszka ciągle się krzątała przy chorych, krzepiąc ich i uspakajając z awangelicznem istotnie namaszczeniem. Patrzyłem na nią z podziwieniem i wysokiem uznaniem, a gdym się Żyda faktora zapytał, co ona za jedna, ten mi powiedział: „aj waj, to święta osoba, a jaka ona dla Żydów dobra! Gdzie tylko kto chory, to ona zaraz przy nim!“ Powiedziano mi potem, że jest wdową po urzędniku, że żyje

ze szczupłej bardzo emerytury, że miała syna, który był księdzem. Gdy ten umarł, osiadła w miasteczku i stała się siostrą miłosierdzia całej okolicy. Podziwiałem jej poświęcenie się i oddanie się bezwzględne przyjętemu na się obowiązkowi. Przyznać muszę, że wobec strasznego ówczesnego zrozpaczenia, stara ta kobieta ewangeliczną swoją prostotą wielką mi przyniosła pociechę. Oto tak wyglądają aniołowie na ziemi, pomyślałem sobie, i za wielką sobie poczytuję łaskę, że kilka takich w ciągu mojego życia na mojej napotkałem drodze.

Z Serocka zarządzono wycieczkę ku Radzyminowi w celu zasięgnięcia o Romarinie języka. Przeznaczono na to dwa bataljony: mój i jakiś inny, oraz poczet Krakusów. Przeszliśmy więc przez Bug i weszli w lesistą okolicę nad Czarną, zamieszkałą przez niemieckich kolonistów, którzy, jak się zdawało, nie ucierpieli wiele przez wojnę. Żywności mieliśmy dosyć. Odszedłszy jakie trzy mile, rozłożyliśmy się na obszernej polance w lesie, obstawili czatami i wysłali w różne strony patrole, oczekując na wiadomości, które przynieść mieli.

Tymczasem rozwinęły się w korpusiku naszym ogromne dezercje, tak, iż po odbytej naradzie postanowiono przez krwawy przykład kary położyć jej koniec. Pierwszy więc schwytany uciekinier miał być stawiony przed sąd wojenny i na śmierć skazany. Wyrok miał być wykonany natychmiast, ja zaś miałem być rozstrzelaniu przytomnym. Złapano jakiegoś zabiedzonego cherlaka, wykopano dół w lesie na przyległej łączce, delikwenta ustawiono nad nim, z zawiązanemi oczyma, a siedmiu żołnierzy wpakowało mu siedm kulek w piersi, mnie zaś wtedy kazano stwierdzić, czy jeszcze żyje. Ponieważ puls po chwili bił jeszcze, zbliżył się do niego żołnierz i w samo wystrzelił mu serce. Potem przed leżącym nad grobem pułkownik dowodzący ostro przemówił, obiecał toż samo każdemu zdybanemu w ucieczce, szeregi pomaszerowały przed trupem i w ich oczach go pogrzebano. Oddział prosto z tej smutnej ceremonji pomaszerował do

Serocka z powrotem, dowiedziawszy się, że Romarino ku Zamościowi się cofnął.

Z liczby czterech chorych, zostawionych pod opieką siostry Marji, żaden nie umarł, a że nam kazano do Nasielska podążać, pożegnałem się więc z nią serdecznie, pocałowałem ją w rękę, a ona nad głową moją zrobiła znak krzyża świętego.

Odtąd zaczyna się powolna całego naszego wojska ku Płocku wędrówka, wobec najzupełniejszego rozczarowania. Dezercja, której pierwsze ślady widzieliśmy za Bugiem, wzmogła się stopniowo, a co więcej, że nie tylko żołnierze, ale i oficerowie zaczęli znikać z obozu, a wieść niosła, że się pojedyńczo poddawali..... Przyznam się, że i mnie strach brać po trochu zaczynał o moje rozpoczęte uniwersyteckie nauki. Korzystając więc raz ze zbliżenia się do głównej kwatery, zobaczyłem się z Kaczkowskim i zasięgnąłem jego rady, co mam ze sobą robić, gdyż mi bardzo żywo chodziło o to, ażeby bez straty czasu stanąć na własnych siłach. Poczciwy profesor, a teraz lekarz naczelny armji, przyjął mnie po ojcowsku i radził nie śpieszyć, ale się przekonać jaki obrót wezmą okoliczności; dodał on tylko, iż bardzo wątpi, ażeby..... Uniwersytet Warszawski był utrzymany i że zawsze wypadnie mi gdzieindziej się udać w celu dopięcia moich zamiarów, które zupełnie pochwalił.

Pod Włocławkiem postawiono most no Wiśle i przeprawiono nawet kilka bataljonów na drugą stronę w zamiarze atakowania od tyłu Rosjan, pod Warszawą stojących. Rzecznikiem tego planu był generał Umiński, ale rada wojenna go odrzuciła, zważywszy, że, odcięci od wszelkiej podstawy działania, nie mieliśmy dosyć sił na to. Dembiński zapewniał mnie później, że tu była jeszcze na to rada, że można było pod Płockiem z wojskiem się usadowić i powoli go organizować, a wszędzie w kraju rozwinąć partyzantkę, któraby ani chwili nie dała spokojności nieprzyjacielowi. Ale cała nasza wojna prowadzona była w wielkim napoleońskim stylu, a o powoła-

niu do życia ludowego żywiołu nikt nie miał wyobrażenia.

Wkrótce potem musiałem się rozstać z moim ojczymem, powołano go bowiem do dywizji kawalerji generała Jagmina, a niebawem przyłączono go do sztabu głównego tejże kawalerji w charakterze lekarza dywizyjnego.

Tymczasem, idąc powoli, przeszliśmy przez Płock, Lipno i Raciąż, ale ta wędrówka tak słabo się zarysowała w mojej pamięci, że nie przypominam sobie jej szczegółów. To tylko pomnę, że zimno jesiennych nocy dokuczało nam bardzo dotkliwie, iż szeregi nasze przez dezercje topniały stopniowo i że subordynacja utrzymywała się tylko z łaski. Szczęściem, że głodu nie było, żywiły nas bowiem łany dojrzewających kartofli i obywatelskie owczarnie, w których straszne robiliśmy spustoszenia, tem pocieszając się tylko, że jeżeli je będziemy oszczędzać, to wpadną w ręce wrogów, postępujących za nami i szarpiących nieustannie nasze tylne straże.

Nie tęsknię wcale za przypomnieniem sobie wypadków z owej smutnej epoki. Został mi tylko w pamięci epizod następujący. Było to już za Rypinem pod samą granicą, gdy, oddaliwszy się, nie wiem już sam dlaczego, od mojej kolumny, ujrzałem się sam jeden wpośród ogromnej, pustej, torfiastej niziny, na której stały rozsiane kępy krzaków. Już zmierzchło, drobniuchny deszczyk kropić zaczynał, a jakaś niewyraźna drożyna wiła się przede mną. Przeląkłem się, gdyż mi na myśl przyszło, że mogą mnie złapać kozacy. Zaciąłem konia, ale nie było widać ani wsi, ani domostwa, a ciemność nocna ogarnęła mnie niebawem. Nie mogąc się wtedy kierować, puściłem na los szczęścia cugle wolno koniowi, który wszedł na jakieś mokradło, a potem zaczął skakać po ciemku przez rowy. Byłem bardzo niespokojny, gdy naraz zoczyłem jakieś światełko w oddali, i skierowałem się ku niemu z największą ostrożnością. Nakoniec dotarłem do mizernej chatki, zaklęśniętej w ziemię, a w niej przez maleńkie okienko spostrzegłem chłopca i dwie ko-

biety. Zlękli się, gdy wszedłem do izby, ale znajomość nasza zawarła się niebawem, do czego dopomogła mi wódka z mojej obficie opatrzonej manierki. Powiedziano mi, że żadne tamtędy wojsko nie przechodziło, że kozaków dotąd nie widzieli, a że nie przypuszczałem, żeby ich patrole po ciemnej tułały się nocy, uspokoiłem się nieco i zażądałem czego do zjedzenia. Gdy usłyszałem gęganie gęsi w chlewiku, zaraz kazałem sobie gęś zarznąć i z kartoflami ugotować na zupę. A że świeżo skoszona trawa znalazła się dla konia, przespałem się więc trochę, zanim się gęś ugotowała. Byłem właśnie przy drugiem udzie, gdy tętent zadudnił przed domem. Oho, kozacy, pomyślałem sobie, ale gdy do izby weszło dwuch oficerów od Krakusów, zaraz ożyło we mnie serce. Znajomość wnet się zawarła, poczęstowałem ich także wódką i do mojej zaprosiłem ich gęsi. Smakowała im wybornie, a że jej było na trzech za mało, kazałem zabić drugą, potem położyliśmy się pokotem na ziemi, zostawiając jednego na straży. Zapłaciwszy za gęsi, o brzasku puściłem się w drogę z mymi nowymi przyjaciółmi. A że i oni na owej przeklętej równinie bez końca także po ciemku zbłądzili i równie, jak ja, nie wiedzieli, gdzie się znajdują, pojechaliśmy drogą, która nam się najwłaściwszą wydała. Nie upłynęło kwadransa, gdyśmy się natknęli na dwuch kozaków, którzy drapnęli przed nami, spostrzegłszy nas zdala, my zaś wcale nie mieliśmy ochoty ich gonić. Byliby mnie niezawodnie pojmali, gdyby mi Opatrzność nie przysłała była do chaty gości na moje gęsi i rosół.

Wkrótce wyjechaliśmy na drogę, po której widocznie przechodziła przed kilku godzinami kawalerja i działa. Jadąc za ich śladem około dziesiątej, natrafiliśmy na nasze obozowisko, rozłożone pomiędzy dwoma stawami.

ROZDZIAŁ II.

W drodze na tułaczkę.

W dniu następnym przyszliśmy nad samą granicę pod wieś pruską Gołąb i rozstasowaliśmy się na ostatni na ziemi naszej nocleg. Tu mi skradziono konia, co mnie bardzo zmartwiło. Gdy szedłem nazajutrz przez małe zarośla, spotkałem jakiegoś draba, który go za uzdę prowadził. Koń zarżał do mnie, ale gdym się o zwrot upomniał, złodziej mię z szyderstwem ofuknął. Pokazało się, że chyba siłą tylko mógłbym moją własność odebrać, a na nieszczęście byłem od niego nierównie słabszy. W tej chwili przejeżdżało kilku oficerów, a między nimi dwaj moi onegdajsi znajomi Krakusi. Odwołałem się do nich, a drab, widząc, że to już nie żarty, puściwszy uzdę, uciekł w zarośla.

Wyjechaliśmy na obszerną, przeciętą granicznymi słupami równinę, na której w rozwiniętym froncie stało wojsko nasze w liczbie około 20,000, obdarte i zmizerowane, a na pruskiej stronie kilka bataljonów pruskich i parę armat. Wtem okazały się rosyjskie kolumny, dano do nas kilka strzałów armatnich i szykowano się do ataku, ażeby uzyskać pozór, że nas za granicę wpędzono, lecz zaraz wdał się w to pruski parlamentarz z żądaniem, żeby nie strzelano, gdyż kule przenoszą i na pruską stronę padają.

Około 11-ej godziny zjawiła się starszyzna pruska.

Zbliżył się wtedy do niej generał Rybiński, nasz wódz naczelny ze swoim sztabem, oddał jej swą szpadę, a my, przeszedłszy tymczasem przez granicę, uszykowaliśmy się znów rozwiniętym frontem, złożyli karabiny w kozły, przewiesili przez nie ładownice i pałasze, a potem zajęli znów miejsca w szeregach bez broni i na komendę od nich odeszli. Piechota odeszła na bok, ale kawalerja była bez porównania więcej w ruchu. Ponieważ cały rynsztunek miał być oddany Rosjanom, a Prusakom wcale nie chodziło o to, w jakim miał być stanie, rozwinął się zaraz handel na konie. Żydzi naprowadzili mnóstwo wiejskich zdechlaków i za dopłatą wymieniali je na nasze dobre, choć trochę wyniszczone konie kawaleryjskie. Handel odbywał się na wielką skalę, a Prusacy patrzyli się na to przez szpary, radzi zresztą z tego, że im się parę tysięcy dobrych koni w kraju zostanie, gdyż, po złożeniu broni, postawiono łańcuch wojska na granicy i nikomu już nie pozwolono powracać. Zaraz po smutnej tej ceremonji popędzono nas w dalszą drogę ku miasteczku Brodnicy, a że nas noc zaskoczyła, musieliśmy w drodze nocować, i odrazu dało się nam we znaki nasze położenie. Nie było co jeść, bo kartofli nie było wolno już kopać; nie było się czem rozgrzać, bo chociaż staliśmy pod laskiem, nie wolno było rąbać gałęzi na opał bez pozwolenia, a zresztą nie było czem rąbać, skoro się oddało krótkie pałasiki piechotne, które doskonale służyły za tasaki. Żołnierz przeklinał Niemców, oficerowie byli wybaczliwymi, bo nocleg w polu nie był przewidziany; a w pierwszej zaraz chwili nie mogło być wszystko urządzone odrazu. Przepraszano nas, ale to nie przeszkadzało wcale, żeśmy głodni przez całą noc drżeli od zimna, gdy sąsiednie nasze pruskie oddziały gotowały sobie przy ogniach zupę. Nazajutrz dopiero w Brodnicy rozdano żywność i płacę, a pułki zaraz w dalszą ku Żuławom wyprawiono drogę.

Ja spotkałem się z ojczymem i zaraz wyszukałem Kaczkowskiego, prosząc, aby mnie pod komendę ojczyma

postawił, co on też niezwłocznie uczynił, przeznaczając mnie do pułku 7-go ułanów, jako pomocnika do mającego się urządzić w Tczewie (Dirschau) szpitala kawalerji, któremu ojczym mój miał przewodniczyć.

Miasteczko, które Niemcy Strasburgiem przezwali, było przepełnione. Gwar był nie do zniesienia. Przybyli też zaraz komisarze rosyjscy po odbiór kapitałów i depozytów bankowych, któreśmy z sobą z Warszawy zabrali, co natychmiast uskuteczniono. Dowiedzieliśmy się przytem, że nas miano zostawić w okolicy Elbląga i Gdańska, aż do dalszego rozporządzenia. Główna kwatera Rybińskiego miała być w Elblągu, a kwatera kawalerji w Tczewie, pod zarządem pułkownika Koski; wszyscy zaś nasi generałowie, z wyjątkiem Rybińskiego, mieli rozjechać się natychmiast, gdzie komu się podobało. Nadspodziewanem szczęściem znaleźliśmy obiad w jakiejś traktjerni, i chociaż nadzwyczaj był skromny, przecież wydawał nam się być ucztą Lukullusową. Samo już jedzenie przy nakrytym stole, na talerzach, przy butelce piwa i świeżym chlebie, nader przyjemne robiło na nas wrażenie. I gdy tak zajadaliśmy we dwuch z ojczymem, wpadł do izby brudny i obdarty Brawacki, przyskoczył do nas i ochrypłym zawołał głosem:

— A wy co tu robicie, gałgany? To i wy uciekliście? Zobaczycie, co wam za to będzie!

— A wszakże i ty tu jesteś, odparł mój ojczym spokojnie.

— O, to co innego, ja jestem męczennikiem narodowej sprawy i na dalsze przybywam tu męczeństwo. Ale te łotry, którzy zdradzili i sprzedali ojczyznę, a teraz wrogom oddają pieniądze, to bohaterzy wasi Dwerniccy, Dembińscy, Szembeki, Skrzyneccy i tutti quanti szubrawcy, którzy, wziąwszy obce pieniądze, wreszcie pouciekali. O, tych my powywieszamy.....

Patrzyliśmy na niego zdziwieni i przekonani, że zwarjował na dobre, nic jednak nie odpowiedzieliśmy, pamiętni na ową garść marchwi z półmiska, którą mój

ojczym przy stole w Warszawie oberwał. Tymczasem Brawacki biegał po izbie, w której było, oprócz nas, kilku jeszcze starszych oficerów, aż wreszcie trzasnął drzwiami i wyszedł, a całe zgromadzenie roześmiało się głośno, wszyscy bowiem doskonale go znali i nas zawiadomili, że ta szalona pałka była niejako naczelnikiem gromady warchołów warszawskich, którzy rządzili wieszaniną Jankowskiego, Hurticha i szpiegów warszawskich, że był zaaresztowany, stawiony przed sąd wojenny i uwolniony tylko dla braku oczywistych dowodów.

Wśród tej rozmowy zbliżył się do nas jakiś oficer od Mazurów, około 35 lat mieć mogący, przedstawił się nam, jako dawny znajomy, któregośmy sobie nie mogli przypomnieć. Nazywał się Taegie. Dowiedzieliśmy się od niego, że kupił 8 koni i wóz pociągowy i na nim jutro do Tczewa jedzie, a zarazem ofiarował nam w nim miejsce, co nam pewnie wygodniej będzie, jak telepać się na koniu. Ofiara ta była tak dobroduszna i przyjacielska, że ojczym mój nie mógł odmówić. Nazajutrz więc zebrała się kalwakata z 10 koni (bo naszych było 2), oraz czterech służących, gdyż nasi dwaj nie chcieli nas opuszczać; wszyscyśmy się umieścili w rozstasowanej słomie, na drabiniastym wozie. Jechaliśmy nie dobrze, konie bowiem do pociągu nieprzywykłe kaprysiły, a zresztą niewygoda odjęła im siły, wypadało więc często i długo popasać i wlec się noga za nogą. Na drugim już popasie pan Taegie, który nas przez całą drogę bawił wybornie i zyskał sobie przychylność mojego ojczyma, prosił go, ażeby wydatek zapłacił, gdyż mu pieniędzy zabrakło. Obiecywał oddać natychmiast po przybyciu do Tczewa i po sprzedaniu koni. Poczciwe ojczysko uległo, i tym sposobem wzięło na siebie wydatek aż do przybycia na miejsce, co wynosiło razem 20 z górą talarów. Nie było nam to na rękę, ale cóż było robić? Jechaliśmy na Eylau przez owe sławne pole bitwy pod Napoleonem, które nam Taegie tak żywo na miejscu opisał, jak gdyby tam był przytomny. Przybyliśmy do Malborga, ale tu wypadło, dla utrudnionej prze-

prawy przez Wisłę, kilka dni się zatrzymać, mostu bowiem wtedy jeszcze nie było i trzeba się było posiłkować promem bardzo pierwotnie urządzonym.

Gdy wieczorem tego dnia w Malborgu siedzieliśmy w knajpie przy małym stoliczku, grając w szachy, zbliżył się do nas jakiś młody człowiek w mundurze lekarza i zameldował się ojczymowi, że jest przeznaczony do jakiegoś kawaleryjskiego pułku pod Gdańskiem. Ojczym przyjął go bardzo uprzejmie i dowiedział się, że się Julian Szotarski nazywał, że pochodzi z Krakowa, że jest siostrzeńcem Brodzińskiego i że sam nie wie, gdzie się na noc ma podziać, bo przyszedł piechotą, a żadnej kwatery nie ma. Ojczym, nie namyślając się długo, zaprosił go do siebie i tym sposobem, oprócz pana Taegiego, mieliśmy drugiego jeszcze gościa, ale tego przynajmniej bez stada koni. Pan Julian podziękował wzruszony, gdyż musiałby, jak mówił, na ulicy nocować. Był to młodzieniec średniego wzrostu, o parę lat starszy ode mnie, chociaż czarne jego włosy zaczęły mu się już przerzedzać na czole. Miał wzrok krótki i ciągle okulary nosił, rysy regularne twarzy i powierzchowność wcale przystojną, uśmiech tylko jego miał lekki zakrój szyderskości. Bardzo starannie wychowany i z ludźmi obyty, nadzwyczaj umiał być przyjemnym w rozmowie, a niemały zasób jego wiadomości i pewien poetyczny, chociaż bez przesady, sposób wyrażenia się, czynił go bardzo interesującym. Skreśliłem tu w krótkości jego sylwetkę, albowiem byliśmy później bardzo z sobą zażyli, a przyznać muszę, że wywarł on bardzo ważny wpływ na mojego życia koleje.

Nazajutrz stanęliśmy w Tczewie, w rozległem, starożytnem, ale bardzo zaniedbanem miasteczku. Dano nam na kwaterę obszerny pokój na dole, u jakiegoś bogatego mydlarza, ale ten, widząc całą naszą czeredę, przyjąć nas nie chciał, mówiąc, że ma palet na dwie tylko osoby i służącego. Zaledwieśmy go uspokoili, zapewniając, że nazajutrz wszystko się inaczej urządzi. Taegie zajął się ulokowaniem wozu i koni. Było już bardzo późno, gdyś-

my zasiedli we czworo do obiadu, czy też kolacji, którą nam przyrządził nasz służący, z wielkiem niezadowoleniem gospodyni mydlarza, wdowy, że jej ktoś obcy w kuchni gospodaruje. Nazajutrz jeszcześmy spali, kiedy Taegie był już u gospodarza i tak mu się potrafił przypodobać oraz tak gospodynię zachwycić, że zaraz kazano trzecie wstawić łóżko do naszej kwatery.

Szotarski podobał mi się bardzo. Odjeżdżając wieczorem, obiecał do mnie pisywać.

Wszystko szło jakoś dobrze, gdyż z końmi załatwiła się sprawa, tak nam bowiem nawóz ceniono wysoko, że do paszy mało trzeba było dopłacać.

Ponieważ rząd pruski wziął nas na swój żołd aż do załatwienia sprawy, płatni więc byliśmy według pruskich etatów: ojczym, jako lekarz dywizyjny, a ja jako batalionowy; a to nam nietylko wystarczało na życie, ale jeszcze na posyłki pieniędzy dla matki, zwłaszcza nieco później, skoro mnóstwo bogatych chłopów żuławskich zaczęło zgłaszać się po porady lekarskie do mego ojczyma, co mu wcale pokaźny zapewniało dochód.

Urządzono nam także bardzo wygodny szpital wojskowy, do którego meble i rekwizyta sprowadzono z Gdańska. Objął go pod swoją dyrekcję ojczym i, oprócz mnie, wezwał młodego lekarza bataljonowego, rodem z Krakowa, bardzo porządnego i wykształconego człowieka, którego nazwiska sobie nie przypominam.

W pierwszym liście, któryśmy z Warszawy otrzymali od matki, znalazła się szczególna wiadomość. Pan Antoni na kilka tygodni przed powstaniem ofiarował cesarzowi jego własny portret, w całej figurze, w formacie półarkuszowym, minjaturowy, niesłychanie starannie zrobiony. Potem ani przypuszczał, ażeby kiedykolwiek mowa miała być o nim, aż tu najniespodziewaniej piątego dnia po wzięciu Warszawy, staje przed nim adjutant generała gubernatora Witte i oddaje mu ekspedycję od dworu, a w niej podziękowanie i sumę 150 dukatów. Jak się to stało, że wśród wojennej wrzawy o tym drob-

nym myślano szczególe, trudno było sobie to objaśnić, w każdym jednak razie była to uderzająca względność, a pieniądze były bardzo na czasie, bo zarobek artysty w tych ciężkich czasach był zredukowanym do zera.

Taegie rósł niesłychanie w łaskach u gospodyni i bywał często u gospodarza, którego oczarował swą wesołością i swemi anegdotkami. Był to człowiek nader sprytny, a co był za jeden, nigdyśmy się dowiedzieć nie mogli, bo nam nigdy nie mówił nawet o swych wojskowych przygodach. Mniejsza z tem było, gdyż bawił ojczyma i umiał sobie we wszystkiem poradzić. Ponieważ znał doskonale język niemiecki, poznał się zaraz z zamożnem mieszczaństwem i zaczął między niem rej wodzić, a co się tyczy gospodyni, to rzeczy tak zaszły daleko, żeśmy mieli codzień wyborną śmietankę do kawy i różne na obiad przysmaczki, a nadto doskonale nam w piecu palono, co w owym czasie w Tczewie, dla braku na Żuławach drzewa, nie było bagatelką. W piecach paliło się słomą, a to wymagało pewnej wprawy i sztuki. Palacz siadał przed piecem, kręcił twarde wianki ze słomy i jeden za drugim rzucał w ognisko, ażeby się żarzyły powoli. Gdyby może nie wzgląd pani gospodyni dla pana Taegiego, nasi służący z tą całą procedurą radyby sobie pewnie nie dali, a my bylibyśmy drżeli od zimna.

Ponieważ było postanowionem w Warszawie nie tylko zamknięcie uniwersytetu, ale nawet ograniczenie gimnazjów do czterech klas pierwszych, wypadła więc stąd dla mnie konieczność kończenia rozpoczętych nauk w jednym z uniwersytetów niemieckich. Było to bardzo przykre zadanie pod względem kosztów, a oprócz tego zmuszało mnie do nauczenia się, i to najszybciej, niemieckiego języka, gdyż do kończenia nauk w Krakowie nie miałem wielkiej ochoty. Jakkolwiek z wielkim bólem serca, wziąłem się właśnie do niemczyzny, lecz strasznie mi to nie szło. Zasmakowałem w życiu obozowem, czynnem, a dukwienie nad książką było mi wstrętnem.

Zwyciężyłem się jednak i zacząłem się uczyć przy pomocy ojczyma i Taegiego, a pierwsza książka niemiecka, którą przeczytałem była „Podróż kapitana Rossa do Abisynii", a to z tej prostej przyczyny, że innej nie miałem, bo w Tczewie ludzie książkami się nie bawili i nawet gazety dochodziły tak skąpo, że jeden tylko egzemplarz jakiegoś berlińskiego świstka można było oglądać.

Pułki nasze, nadzwyczajnie przerzedzone, pod dowództwem pułkowników, a nawet majorów, rozłożone były na zimę na Żuławach, w okolicach Gdańska i Elbląga, i tylko sztab główny miał bezpośrednią styczność z władzami pruskiemi. W ogólności obchodzono się z nami zimno, lecz grzecznie, i wszelką nam zostawiono wolność. W Gdańsku nie wolno było przebywać, ale, przejeżdżając, można się tu było zatrzymywać na jeden dzień lub kilka. Nie byliśmy wcale więźniami, jeździliśmy bez paszportu, byle tylko za naszymi urlopami własnymi. Ludność przyjmowała nas grzecznie i wchodziła chętnie z nami w stosunki. Wprawdzie była to głównie ludność polska albo kaszubska, ale i niemiecka nie tchnęła przeciw nam nienawiścią, jaka się rozwinęła obecnie. Były wprawdzie sprzeczki i bójki, a nawet krwawe zajścia np. pod Fischau z pruskimi huzarami, ale to stanowiło rzadkie wyjątki. Z tem wszystkiem pobyt w Tczewie był niesłychanie nudny, a wiadomości, dochodzące nas z kraju, o reakcji i ucisku, same już przez się były nader smutne, a cóż dopiero, gdy je w trójnasób powiększyła przesada.

Mnie uderzał cały tryb gospodarstwa pruskiego: systematyczność, porządek i przezorność, przebijająca się we wszystkiem. Wszystko tu było przewidziane, obrachowane i logicznie obmyślane, a potem wykonane jak najdokładniej, spokojnie, z wytrwałem do celu dążeniem. Podziwiałem spokój i dokładność, z jaką pruska machina rządowa wzięła nas w swoje objęcia, jak nas odrazu na naszem postawiła miejscu i z największym spokojem nami obracała, przewidziawszy najmniejszy

szczegół, dotyczący naszych koniecznych potrzeb i zaspakajając skrupulatnie wszystko, co było słuszne i sprawiedliwe.

Rozgospodarowawszy się w Tczewie, wypadało mi zameldować się dowódcy pułku 7-go, właśnie stojącego o dwie mile po za Wisłą i zawiadomić go, że zostałem odkomenderowany przez moją lekarską władzę do szpitala dywizyjnego, zwłaszcza, że od tego zależała wypłata mojego żołdu. Wybrałem się konno, przeprawiwszy się przez Wisłę pod samym prawie szpitalem, stanąłem na nadbrzeżnym wale, po którym szła droga, i zmiarkowałem wkrótce, że takie same wały krzyżowały się w różnych kierunkach, odgraniczając różnokształtne doliny, że między nimi przebiegały kanały wysokimi obwałowane brzegami, w których woda płynęła powyżej dna tak, że wedle upodobania można do dolin wody napuścić, a potem ją usunąć za pomocą wiatraków, poruszających pompy. Domyśliłem się, że to był ów sztuczny system irygacyjny, na wzór holenderskiego, którym słyną Żuławy. Owe doliny stanowią najwytworniejsze łąki, które się przez nawodnienie kilkakrotnie co roku napawają wilgocią, przez co ogromna ilość doskonałego osiąga się siana. Przy takiej manipulacji wielka masa ryb, a mianowicie sandaczy, dostaje się na łąki, a gdy się wypompuje woda, stają się one bardzo łatwym łupem. Siana, starannie uprawiane, pozwalają znów na hodowle inwentarzy, holenderskim w niczem nie ustępujących. Wszelkie wzgórkowate wyniesienia gruntu, zalewów mniej doświadczające, lub też chociażby i nizkie, ale doskonale obwałowane, dają obfite żniwo, z powodu ogromnych ilości otrzymywanego nawozu.

Niesłychanie mnie to wszystko zajmowało, dając mi zarazem dokładne wyobrażenie o stopniu cywilizacji mieszkańców, oraz o ich skrzętności. Jakżeż nam to bardzo jeszcze do tego daleko! Łzy mi się zakręciły w oczach, a zły duch jakiś szeptał mi do ucha: „nie trzeba było przez dwa wieki w złotą bawić się wolność, gardłować

nad zbawieniem Rzeczypospolitej, nie robiąc nic wcale dla jej zbawienia, a bylibyśmy doszli niezaprzeczenie tam, gdzie dziś są i oni, zamiast jęczeć w niewoli i żebrać pomocy u obcych. Pięścią dziś nie zapewnisz sobie stałego bytu, a choćbyś się oswobodził od nieprzyjaciela, czyhającego na twoją zgubę, to nie dopniesz celu, dopóki przez twoją organiczną pracę, nie obwarujesz się od powodzi ludzkiej zawiści i chciwości, tak, jak ci żuławscy chłopi, nie tylko że obwarować się potrafili od zalewów Wisły, ale nadto umieli ją obrócić na swój pożytek. Uczymy się sami poznawać, porównywając się bezstronnie z drugimi". Tutaj, na nieszczęście, to poznawanie na naszą nie wyszło korzyść.

W kilka dni po tej mojej wycieczce przyjechał w interesie sztabowym do Tczewa major Suchodolski, dowódca pułku, w którym był Juljan Szotarski, i przywiózł go ze sobą. Odwiedziwszy nas razem, namówili mnie, ażebym pojechał z nimi do Kronenhoffu, w bok Gdańska, gdzie kwaterowali, zapewniając, że przez właścicieli tej posiadłości, nad morzem położonej, jak najgrzeczniej będę przyjęty. Ponieważ ojczym zgodził się na to, dałem się więc jak najchętniej namówić. Wyjechaliśmy już późno, a że przez fortecę nie wolno było w nocy przejeżdżać, zatrzymaliśmy się o dwie milki u państwa Braunów, bliskich krewnych bankiera Debensa, właściciela Kronenhoffu, w którym major stał na kwaterze i bardzo się zaprzyjaźnił z całą rodziną, wobec czego razem z Szotarskim do Braunów bywał zapraszany. Braun był bogatym właścicielem ziemskim i słynnym gospodarzem żuławskim. Ucieszyło mnie to bardzo, że będę mógł jego gospodarstwo obejrzeć. Był to człowiek, który już przeżył czterdziestkę, barczysty, dobrego wzrostu i dobroduszny, z energicznem wejrzeniem. Badeńczyk rodem, przesłużywszy lat kilka w wojsku, ożenił się z bogatą dziedziczką na Żuławach i całą duszą poświęcił się gospodarstwu. Z Prusakami nie bardzo sympatyzował, nauczył się dobrze mówić po polsku i zżył się z polskimi sąsiadami, których

bardzo lubił, chociaż się ciągle z nimi o ich niepraktyczność kłócił. Dom był urządzony na wyższą skalę, ale nie wychodził bynajmniej ze średniej zamożnej sfery. Pani Braun, bardzo miła kobieta, lubiła bardzo polskie towarzystwo, bo też w owych czasach harmonja między polskiem a niemieckiem obywatelstwem w Prusach nadwiślańskich nie pozostawiała nic do życzenia. Gdańszczanie byli nam bardzo życzliwi, i to też właśnie było powodem, że nam w Gdańsku nie wolno było przebywać.

Przyjęto nas nader gościnnie i pomieszczono w pokoju, urządzonym z wielkim konfortem. Nazajutrz prosiliśmy pani Braun, ażeby nam pokazała swoje gospodarstwo domowe, co ona przyjęła z pewnem dumnem zadowoleniem i zaraz zaprowadziła nas do kuchni, która mnie uderzyła swoim gospodarskim wykwintem. Ściany jej były jasno pokostowane, żeby je gąbką obmywać, podłoga biało wyszorowana, szyby kryształowe, wszystkie naczynia drewniane z mosiężnemi obręczami wyszorowane, a przepych lśniejącej się miedzi w szafach i na półkach zadziwiający. Była to rzeczywiście siedziba jakiejś rusałki, która się przemieniła w kucharkę. Matka moja była dobrą gospodynią i wzorowo porządną, ale ani mowy być u nas nie mogło o tym przepychu światła, powietrza i czystości, który tu widziałem. Zwiedziliśmy potem pralnię, śpiżarnię, wędzarnię w osobnym budynku, lodownię, piwnicę, i wszędzie uderzała mnie staranna praktyczność i rzeczywiście holenderski porządek. Przechodziliśmy przez salę, gdzie jedli parobcy i wiejskie dziewki. Siedzieli przy stole, obrusem nakrytym; jedli na talerzach; każdy miał nóż, łyżkę i widelec; pili piwo, a chociaż to już było przy końcu obiadu, zauważyłem, że na obrusie nie było żadnej plamy. Pomimo, że dopiero co przyszli od pracy, wszyscy byli czysto i porządnie ubrani, umyci i uczesani. Wszystko to zajęło mnie bardzo i dziwiło, a okazało mi zarazem, czem to jest kobieta, która z zamiłowaniem ima się swojego dzieła i, o-

bok pracy i uczucia porządku, potrafi wpleść złotą poezji niteczkę nawet w parcianą ścierkę kuchenną.

Przy obiedzie pan Braun przedstawił nam trzech synów obywatelskich z okolicy, oddanych mu na praktykę gospodarską dwuletnią, zanim się do szkoły agronomicznej zapiszą. Dwuch było Niemców, a trzeci Polak. Ponieważ życzyłem sobie bardzo gospodarstwo obejrzeć, pan Braun polecił ostatniemu, ażeby mi wszystko szczegółowo pokazał. Poszliśmy przeto przedewszystkiem, ażeby zobaczyć prześliczne żuławskie bydło, ustawione jak najwygodniej w oborach widnych, wysokich, powietrznych, wyszorowanych, czyściutkich, jakby w jakich salonach. Obeszliśmy potem stajnię i trzodę chlewną z równym utrzymaną wykwintem. Uderzyła mnie bardzo, sala, przeznaczona do mycia wieprzy ciepłą wodą, które się odbywało co tydzień. Obejrzeliśmy młockarnie i sieczkarnie, które u nas w kraju były wielką jeszcze wówczas nowością, oraz ogromne sterty słomy, obok stojące, gdyż tu słoma, oprócz zwyczajnego folwarcznego użycia, służyła jeszcze za opał. Zdziwił mnie także ogromny pod szopą kocioł do gotowania dla inwentarza kartofli, oraz szatkownice do strugania w tym samym celu brukwi i marchwi, które mieszało się z sieczką. Nadto zwrócił moją uwagę wpośród zabudowań folwarcznych wiatrak do szrutowania ziarna. Dyrygował nim jeden z gospodarskich uczniów. W końcu zaprowadzono mnie do kancelarji, gdzie, obok buchaltera, pracowało jeszcze dwuch pisarzy. Ponieważ przed trzydziestym rokiem u nas o buchalterji przy gospodarstwie nikt nie miał wyobrażenia i w kalendarzach tylko sobie przychód i rozchód zapisywano, a więc i to mnie nie mało zainteresowało. Mój cicerone zaprosił mnie potem do swego pokoju, gdzie wdaliśmy się w obszerną o gospodarstwie wiejskiem gawędkę. Przekonałem się, że był w niem rozmiłowany i z wielkiem mu się poświęcał zajęciem.

W Prusach w owym czasie chłop już był uwłaszczo-

nym, o pańszczyźnie zatem nie było mowy. Powstawał też na nią mój młody gospodarz i jej to właśnie przypisywał nizki stopień gospodarstwa w Królestwie. Ponieważ przedmiot ten był mi zupełnie obcy, rozmowa nasza przeciągnęła się długo, zwłaszcza, że to wszystko, com widział i słyszał, a co u nas obecnie weszło już w życie, w owym czasie jak najzupełniejszą było nowością.

Przy kolacji, gdy mnie się pan Braun zapytał o moją wycieczkę, nie mogłem mu zataić mego zadowolenia, ale pozwoliłem sobie na wzmiankę, że mi to wszystko, com widział, więcej na fabrykę, jak na gospodarstwo wiejskie wygląda. „Otoś mi w same centrum trafił, odpowiedział mi Braun wesoło, bo też każde gospodarstwo wiejskie powinno być fabryką rolniczych produktów i takim samym, jak każda inna rękodzielnia, odpowiadać warunkom. Otóż o to właśnie od tylu lat się spieram z pańskimi landsmanami i przekonać ich nie mogę, bo oni biorą to tylko, co im ziemia udzieli, byleby ją trochę połechtali pługiem. Ja nie chcę od jej zależeć łaski, muszę być jej panem i dać mi ona musi, czego od niej żądam; ma się rozumieć, jeżeli nie żądam więcej, jak tego, co mi dać może. Ziemia jest dla mnie warsztatem, a ja, pracując na niej, muszę być nie tylko technikiem, ale co gorsza i kupcem, a więc to nie na nią, jak wy sądzicie, ale na mnie pada punkt ciężkości rolniczej. Równie jak każde inne przedsiębiorstwo techniczne, tak i gospodarstwo wiejskie wymaga rozumu, pracy i kapitału, a jeżeli ich nie masz, to sfuszerujesz, chociażby i na najlepszym warsztacie rolnym. Kto chce być rolnikiem, nie może być najgłupszym członkiem rodziny, jakiego wy panowie Polacy przeznaczacie ku temu, nie może baraszkować po świecie i nie może być utracjuszem, bo ziemia jest jak dojna krowa, która ci wtedy tylko dużo mleka daje, jeżeli ją dobrze karmisz i dbasz o nią sumiennie. Tak, tak, mój młody przyjacielu, wy musicie wiele się jeszcze nauczyć i zupełnie się inaczej wychować, jeśli chcecie dobrze gospodarować; a

jeżeli nie zrobicie tego, to przyjdzie cudzoziemiec i zabierze waszą ziemię z pod ręki".

Wszystko to, co mówił, trafiało niesłychanie do mego przekonania, ale działało zarazem na mnie, jak ceber zimnej wody, wylany na głowę. A więc i nasze osławione rolnictwo, które, jak nam się zdaje, stały byt nam zapewnia, usuwa nam się z pod nóg? Zatem zginęliśmy, o Boże! i Cóż więc robić mamy? — pytałem się sam siebie. Lecz Braun, jak gdyby podsłuchawszy me myśli, rzekł: „Rozpaczać niema potrzeby, bo to widzisz pan, mówicie, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło; otóż ja wam przepowiadam, że to dzisiejsze wasze polityczne odczarowanie, ten pogrom bohaterskiego powstania waszego, to wyrzucenie z kraju kilkunastu tysięcy ludzi w kwiecie wieku, zmusi ich do praktyczności, pozwoli im się w świecie rozejrzyć i do produkcyjnej przymusi pracy, która w nich żar serca przygasi, ale im w głowach rozjaśni, a to narodowi waszemu wyjdzie bardzo na dobre".

Dla wszystkich z Królestwa przybywających do Gdańska jest on miastem nader ciekawem, nosi bowiem na sobie swój właściwy, średniowieczny, morski charakter, zupełnie nam obcy. Wszystkie domy są do ulicy zwrócone szczytami, wysokie na sześć piętr niekiedy, a na każdym piętrze z oknami, do tego stopnia zbliżonemi do siebie, poodzielanemi tak wązkiemi tylko paskami rzeźbionego zazwyczaj kamienia, że się tych przedziałów niekiedy nie widzi. Dom taki czubaty u wierzchu, wygląda jak latarnia, a tem się jeszcze odróżniał wówczas (bo dziś, to już zniesiono), że przed każdym, na szerokich mianowicie ulicach, było przedsienie (perron) kamienne, tak jak dom szerokie, wystające aż do środka ulicy, zostawiając tam wązki tylko i zaledwie na minięcie się dwuch powozów wystarczający przejazd. Na takie przedsienie wchodziło się po kilku schodkach z ulicy, a każde otoczone było balustradą, oddzielającą je

zarazem od przyległego domu. Letnią porą, gdy je obstawiono wyniosłymi w donicach krzewami, ogrodzono ławkami i stoliczkami, musiało tam być przepysznie, o czem w zimie, na nieszczęście, nie mogliśmy się przekonać. Domy takie przeładowane były najczęściej rzeźbami i wyglądały rzeczywiście jak cacka. Szotarski, który już je znał dobrze, oprowadzał mnie wszędzie i na ciekawsze miejsca zwracał moją uwagę. Wszędzie widniała zamożność, porządek i staranność o komfort. Zwiedziliśmy wielką salę giełdową, pełną polskich pamiątek, które, jak wszędzie, tak i w Gdańsku, rząd pruski szanuje. Zwiedziliśmy następnie kościoły, port, przepełniony okrętami, i magazyny zbożowe, gdzie mnie zajęła bardzo przeróbka naszej sandomierskiej pszenicy, przez naszych dokonywana szyprów, w celu uchronienia jej od stęchlizny. Wszędzie był ruch i życie, śpieszono się jednak, ale żaden wysiłek nie chybiał. Nie było tam tego gorączkowego działania, na jakie napatrzyłem się później we Francji, ale spokojna i pewna siebie praca, jednostajnie dążąca do celu.

Major odjechał zaraz do Kronenhoffu, a nas zostawił do jutra, obiecując przysłać po nas konie. Szotarski pokazał mi na bramie zachodniej posąg człowieka z XV wieku bogato przybranego, ale bez głowy. Jest to pamiątka po Zygmuncie Starym, który, uśmierzywszy bunt w Gdańsku, kazał ściąć pierwszego burmistrza i pro aeterna rei memoria postawić mu posąg z uciętą głową. Nie wiem, czy rząd pruski nie kazał dotąd tej pamiątki obalić. Umieszczono nas na nocleg w domu państwa Debensów, gdzieś na szóstem piętrze, w ogromnej sali, umeblowanej bardzo nielicznymi sprzętami, gdzieśmy przy jednej świecy, w przestrzeni prawie ciemnej, zniknęli. Na dworze tak było ciemno, że nie mogłem dojrzeć bruku, a cichość taka, jak gdyby całe miasto wymarło, tylko od czasu do czasu odzywał się zegar ratuszowy i wygrywał nam na dzwonach smętne jakieś kuranty. Dla przepędzenia czasu Szotarski zaczął mi opowiadać powieść fanta-

styczną E. T. A. Hoffmana o jakimś nadbaltyckim zamku, gdzie się miał przechadzać duch margrabiego. Gdy usnąłem, ciągle mi się różne po głowie uwijały strachy.

W dniu następnym czekano na nas w Konenhoffie z obiadem. Major natychmiast przedstawił mnie pani domu, siostrze pani Braun, bo o panu Debens nie było mowy. był to mały, chudy, łysy, niedbale ubrany człowieczek, śliniący się ciągle i ciągle pijany, gdyż, jak to mówią, raz tylko się upił, a potem tylko dolewał. Przy stole wygadywał androny do tego stopnia, że żałowałem, że umiał po polsku. Biedna żona siedziała jak na rozżarzonem zarzewiu, i dopiero odżyliśmy trochę, gdy się po obiedzie do snu ułożył. Pani Debens była starszą nieco od swojej siostry i bardzo do niej podobną. Wydano ją zamąż za bankiera, który, rozpiwszy się potem, osiadł na wsi, i na swego wspólnika zdał cały interes. Pani Debens była kobietą bardzo wykształconą, światową, ale musiała siedzieć nad morzem, skwaszona, więc towarzystwo majora i kilku naszych oficerów, a zarazem obywateli z Królestwa, było jej bardzo na rękę. Major był człowiekiem bardzo urodziwym i obytym w wyższych towarzystwach. Sentymentalista i byronista, grywał jeszcze na gitarze, zwyczajem Księstwa Warszawskiego, śpiewał i wielki był z kobietami galant, w rodzaju tężyzny z pod Blachy. A co się Szotarskiego dotyczy, to dodać jeszcze muszę do powyższej jego sylwetki, że był poetą, marzycielem, zakochanym w kuzynce, którą w Krakowie zostawił, i ciągle do niej z nad Baltyku wzdychał.

Otóż to w takiem towarzystwie miałem tydzień przebyć, gdyż pani Debens oświadczyła mi z góry, że mi przed tym terminem koni do Tczewa nie da.

Po kolacji, gdy gospodarza, lepiej podpitego, odprowadzono do jego pokoju, wyniosłem się zawczasu z Szotarskim, zostawiając majora z panią Debens. Dla nas przeznaczono trzy małe gościnne pokoje, łączące się ze salą. Ledwieśmy weszli, gdy naraz wpadła pokojówka pani Debens do Szotarskiego, z jakimś niby to od swej pani

zleceniem, i zaraz potem drzwi się od jego pokoju zamknęły.

Pierwszą moją myślą nazajutrz było zobaczyć morze, bo jakkolwiek przez dwie blizko mile jechałem wczoraj nad jego brzegiem, nigdzie go dojrzeć nie mogłem. Przyczyną tego były wysokie, strome i piasczyste pagórki nad samym brzegiem, szeregiem biegnące (Dünen), które mi go jak najzupełniej zakrywały. Pagórki te są bardzo ciekawe, gdyż samo je sobie wytwarza morze, i samo kładzie poniekąd kres swoim ku lądowi postępom. Jeżeli brzeg jest płaski, a dno morza piasczyste, to bałwany, wchodząc na ląd i cofając się potem, wyrzucają kupy piasku, a gdy te wyschną potem i na piasek się ruchomy zamienią, to wiatr, od strony morza wiejący, podnosi tumany do góry, przerzuca je przez wierzchołki kup i składa je na drugiej ich stronie. Tym sposobem powstają góry, jakby jaki olbrzymi wał stanowiące, które stopniowo rosną, i, odsuwając się zarazem zwolna od morza, na ląd się posuwają, tak długo przynajmniej, dopóki góra się nie ustali i jej opór z siłą wiatrów się nie zrównoważy. Natenczas piasek pokrywać się zaczyna rzadką, ale długą i nader ostrą trawą (Seegrass), którą się tak, jak brzytwą można okaleczyć, gdyż bardzo wiele zawiera w sobie krzemionki, a ta jej tęgość nadaje. Otóż, wziąwszy kij w rękę, wdrapałem się na diuny, roztaczające się o jakie dwie wiorsty od dworu, aby się z morzem oko w oko spotkać. Nie było to wcale łatwo, nogi zapadały mi bowiem w grzązkim piasku, a trawy jak postronki owijały się o nie. Gdy, cały zajęty walką z piaskiem i trawą, dochodziłem do szczytu, naraz podniosłem oczy: — cóż to za wspaniały uderzył mnie widok! Obłoki przewalały i piętrzyły się po pochmurnem niebie, bałwany z szumem wylatywały na brzegi i pianą okryte cofały się nazad. Między niebem a wodą wszelki zniknął przedział, a skrzeczące mewy jak strzały migały przed okiem powabnym swym lotem. Zresztą cichość i spokój, tylko od czasu do czasu szum wpadających na ziemię bałwanów. Usiadłem

na piasku i utonąłem całem mojem jestestwem w tem, co miałem przed sobą. Nie myślałem o niczem, tylko jakaś smętna i dzika harmonja drgała w mych piersiach. Zdawało mi się, że lada chwila ukażą się przede mną skandynawskie bóstwa, lub cienie Celtów z groty Ossyana. Zsunąłem się potem ostrożnie na dół, na sam brzeg morza i, przypuszczając bałwany aż do stóp moich, podziwiałem ich ruch, życie i pewien rodzaj junakierji, którą jakby się chciały naigrawać z lądu. Idąc po twardym piasku, znalazłem bryłkę bursztynu, wielkości laskowego orzecha, co mnie bardzo ucieszyło. Zaraz potem na grzbietach bałwanów okazały mi się z rozpiętymi żaglami dwa małe rybackie statki. O jakże to ten świat boży cudownie jest piękny i jaka szkoda, że to serce ludzkie, tak wązkie, nie może wchłonąć w siebie wszystkiego, co dziwi i co zachwyca!

Poszedłem na obiad i nie mogłem przed Juljanem zataić mojego zachwytu. Popatrzył na mnie uważnie i rzekł potem ze swym szyderskim śmieszkiem.

— No proszę, a ja myślałem, żeś ty medyk i materjalista aż do szpiku kości, a tu naraz coś innego w tobie zakołatało.

— Alboż to koniecznie trzeba żyć za pan brat z duchami i chodzić w spirytalnej liberji, ażeby widzieć, co piękne?

— No, nie koniecznie, odrzekł mi na to, ale świat jest martwy, trzeba go swoim uduchowić duchem, a mnie się zdawało, żeś ty nie do tego.

— Dziękuję za komplement, odparłem, ale się wcale nie gniewam, żeś się może pomylił, bo widzisz, mój drogi, w konnej na pegazie jeździe, wcale chluby nie szukam, a tę trochę poezji, którą noszę w sobie, mam wyłącznie dla siebie, ale nie dla ludzi na pokaz.

Do stołu z nami siadał rządca majątku, agronom doskonały, polecony przez Brauna, Kaszuba, rodem z pod Gdańska. Wkrótce się z nim poznałem. Mówił on łamaną polszczyzną, a ja niedojrzałą jeszcze moją niemczyzną.

Łataliśmy jednak, jak mogli, aleśmy się rozumieli i serdecznie z naszych zobopólnych wyśmiewali błędów.

Po obiedzie poszedłem obejrzeć jego gospodarstwo. Było ciekawe, choć znacznie różne od tego, jakie przed dwoma dniami oglądałem. „I nie dziwota, powiedział mi rządca, gdzie gospodarz (i tu psztyczkiem uderzył w gardło) o niczem nie myśli, tam się nic rozwinąć nie może, a wielka szkoda, że u nas jest eine polnische Wirtschaft". Ale biedny Niemiec spostrzegł zaraz, że mu język psotę wyrządził i zaczerwienił się jak burak, — ja zaś zaciekawiony zacząłem się wywiadywać, co to owo polnische Wirtschaft oznacza, a on rad nie rad musiał mi objaśnić, że to jest przysłowie na oznaczenie nieładu. Pięknej się dowiedziałem rzeczy, ale pan rządca, chcąc mię ułagodzić, zawiadomił mnie, że koń wierzchowy jest na moje rozkazy, jeżelibym chciał zwiedzić odleglejszy brzeg morski.

Nazajutrz, zostawiwszy panią Debens i majora, gruchających ze sobą, pojechałem z Juljanem w odwiedziny do doktora teologji Fischera, który był pastorem parafji. Pomimo że był bardzo jeszcze młody, odznaczył się już przez swe teologiczne i literackie prace. Ponieważ Kronenhoff należał do liczby bogatszych na Żuławach parafji, dom przeto uczonego, prowadzony przez młodą, wcale ładną gosposię, wyglądał bardzo pokaźnie. Doktór Fischer wyglądał nieco na niemieckiego pedanta, ale był jeszcze za młody, ażeby się bardzo do swego prototypu dostroić. Zastaliśmy go otoczonego bibljotecznymi, greckimi, hebrajskimi i arabskimi foljantami, które właśnie wertował, pisząc coś o Ś-tym Pawle Ewangeliście, gdyż go za główny filar rodzącego się chrystjanizmu uważał. Był to właśnie świetny dla krytyki teologiczno-historycznej czas, który później wyłonił ze siebie dzieło Straussa o życiu Chrystusa. Dzieło to pękło jak bomba nad głową całej katolickiej i protestanckiej ortodoksji w Niemczech, a Fischer był właśnie jednym z tych, w których duch czasu nurtował. Przyjął nas bardzo uprzejmie, uprzątnął kilka

krzeseł z leżących na nich foljantów—i, posadziwszy nas na nich, wdał się zaraz z Juljanem w gawędkę o swojej pracy, z którą ten po trochu był obeznany. Słuchałem ich z wielkiem zajęciem, chociaż przedmiot rozmowy zupełnie dla mnie był obcy,—ale, gdy pan Fischer w toku rozmowy napomknął, że Polska byłaby dotąd istniała, gdyby za Jagiellońskich czasów protestantyzm była przyjęła, do czego bardzo niewiele brakowało, gdy dowodzić zaczął, że więcej myśleliśmy zawsze o interesach papiestwa, aniżeli o naszych własnych, że nas Jezuici zgubili i t. d. zacząłem brać udział w rozmowie, ale, na nieszczęście, moje argumenta padały na twardy puklerz. Spostrzegłem niebawem, jak to mi się już raz zdarzyło podczas mojej w Krakowskiem podróży, gdy się z Borkiem sprzeczałem, że mi brak dostatecznej wiedzy i że wiele mi jeszcze nauczyć się potrzeba, ażebym w kwestjach tego rodzaju własne mógł mieć zdanie. Z tem wszystkiem rozmowa doktora Fischera głęboko mi w myśli uwięzła i odtąd zacząłem zwracać uwagę na życie religijne i na jego wpływy w dziejach mojego narodu.

W czterdzieści lat później w Warszawie prowadziłem z pastorem Otto o tym samym przedmiocie długie dysputy, lecz dochodziłem zawsze do przeciwnego zdania.

Pani Fischer zatrzymała nas na kolację, przy której pastor zrzucił z siebie swojej uczoności szatę, bawił nas wesoło, a po kolacji siadł do fortepjanu i wcale nas dobrą uraczył muzyką. Te odwiedziny pozwoliły mi po raz pierwszy wejrzeć w życie rodzinne protestanckich pastorów i przyznaję, że mi się podobało bardzo.

Czas mi przechodził odtąd na tłómaczeniu Werthera Göthego lub Lenory Bürgera, na konnych nad morzem wycieczkach, oraz na nader miłych z majorem i Juljanem rozmowach. Major posiadał niezwykły talent w opowiadaniu i był niewyczerpany w przedstawieniu nam przygód z wojen Napoleońskich. Szotarski znów był literatem w całem znaczeniu tego wyrazu. Przy pomocy Bro-

dzińskiego przeczytał z korzyścią rzeczy polskie, a francuskie dobrze były mu znane. Był sam poetą i pisał wcale udatne pieśni, ballady i epizody z naszego powstania, pełne energji i zapału. Szkoda, że zaginęły. Czas schodził nam więc bardzo przyjemnie, aż wreszcie trzeba było do Tczewa powracać.

Podczas mojego w Kronenhoffie pobytu przyszło od rządu pruskiego zawiadomienie o tem, co względem nas postanowiono. Żołnierze nasi i podoficerowie mieli bezwarunkowo do kraju powracać; oficerom zaś i urzędnikom wojskowym pozwolono wybierać między powrotem lub przesiedleniem się do Francji, gdzie rząd dalsze starania o emigracji zapewnił. Dla mnie więc nie było wyboru, zwłaszcza, że mieliśmy już autentyczne zawiadomienie o zamknięciu Warszawskiego Uniwersytetu. W księdze więc otwartej w sztabie kawalerji zapisałem się do wyjazdu do Francji. Wyjazd mój jednak mógł dopiero w końcu marca 1832 roku nastąpić, po zwinięciu szpitala, w którym pełniłem moje obowiązki.

Zawiadomiliśmy matkę i wuja o naszych planach; oni jak najzupełniej na nie się zgodzili i przysłali mi papiery legitymacyjne, niezbędnie potrzebne do zapisania się do jakiegobądź zagranicznego uniwersytetu. Chodziło jeszcze o kwestję finansową, ale i ta pomyślnie rozwiązaną została. Po owym bowiem najniespodziewańszym upominku cesarza Mikołaja dla mojego wuja, uwaga na niego, jako na portrecistę, zwróconą została. Nie mógł robocie nastarczyć, a ta mu sowicie była nagradzana, tak, iż się zobowiązał łożyć na moje za granicą utrzymanie. Chodziło więc teraz tylko o wyuczenie się, i to jak najprędzej, niemieckiego języka, gdyż ten w każdym razie niezmiernie mi był potrzebny. Wziąłem się też ostro do niego przy pomocy Taegiego i mego ojczyma. Szło mi z nim jakoś coraz raźniej.

W celu ułatwienia nam przejazdu do Francji, rząd francuski przysłał do naszej głównej kwatery w Elblągu swego agenta, który miał rozdawać paszporty. Ponie-

waż można było otrzymać paszport jedynie za świadectwem właściwej komendy, legalizowanem przez sztab główny, wypadło mi zatem w Elblągu osobiście się zgłosić. Wybrałem się więc, w towarzystwie Taegiego i kilku innych oficerów, końmi Taegiego i na jego drabiniastym wozie. Przeprawa przez Wisłę i Noteć była bardzo trudna, z powodu, że rzeka puściła i kra była groźna. Natłok też u promu był niesłychany, tak, iż przeprawa przez dwie rzeki zajęła nam całe dwa dni czasu. Droga w towarzystwie wesoła, wcale przyjemną nie była z powodu flagi wiosennej, a Elbląg okazał się miastem wcale nie ciekawem.

Udałem się naprzód do Kaczkowskiego, który mi radził do Paryża się dostać i tam kończyć moje nauki. Ponieważ mu powiedziałem, że miałem zamiar prędzej czy później do kraju powrócić, był przeto zdania, żeby wypadało z rok przynajmniej w jakim uniwersytecie niemieckim pobawić. Gdyśmy tak rozmawiali, przypomniał sobie nagle, że byłem przedstawiony do wojskowego krzyża za bitwę pod Królikarnią, co mnie niemało zdziwiło, nic tam bowiem nie zrobiłem nadzwyczajnego i do bohaterstwa wcale się nie poczuwałem. Przyjemnie mi to było jednakże i postanowiłem bliżej się o wszystkiem dowiedzieć. Kaczkowski, jako lekarz naczelny armji, wydał mi wymagane świadectwo, a gdy z nim do sztabu, w celu poświadczenia, przybyłem, o mojej dekoracji nie łatwo mi się było dowiedzieć. Kwestja paszportowa do tego stopnia wszystkich zajmowała, że zaledwie mnie zawiadomiono, iż byłem przedstawiony, że mi krzyż przyznano za niesienie pomocy na placu bitwy pod ogniem nieprzyjaciela, ale że później dopiero otrzymam na to odpowiednie dowody, gdyż obecnie nikt się tem trudnić nie może. Oddałem następnie w konsulacie francuskim prośbę, którą mi dawny kolega Maguszewski zredagował, i powróciłem do moich kolegów, lecz przedsięwziąłem sobie nic im o mojej dekoracji nie mówić, gdyż byli to zasłużeni wiarusi, których pominięto, a mnie mło-

dzikowi nagrodę wojskową przyznano. Zresztą przykroby mi było ją nosić, kiedy mój ojczym jej nie miał.

Powrót nasz do Tczewa był nierównie łatwiejszy z powodu, że kra już w znacznej części spłynęła. Powróciłem też natychmiast do moich zatrudnień, ale mnie niebawem zaskoczyła choroba. Zimnice były i są dotąd jeszcze plagą Żuław, co wiosna dając się bardzo we znaki. Nasz szpital był przepełniony; chininy, ogromnie w owym czasie drogiej, nie mogliśmy nastarczyć, lecz i u mnie gorączka niebawem wybuchnęła, męczyła mnie co dni trzy okropnie, i uporczywie wracała, a co gorsza ojczym mój przewidywał, że mnie nie opuści, dopóki nie wyjadę z zapowietrzonej żuławskiej niziny.

W tydzień po mojej elbląskiej podróży nadesłano mi paszport, a niebawem otrzymałem od Szotarskiego list z propozycją, żebyśmy razem mogli odbyć wędrówkę do Francji, na co z chęcią przystałem. Tak stały rzeczy aż do początku kwietnia, gdy już kilkanaście kolumn naszych do Francji odeszło.

Odsyłano nas kosztem rządu na ogromnych drabiniastych czterokonnych wozach. Na noc dostawaliśmy wszędzie oficerskie kwatery, a co dni kilka wypłacano nam djety, odpowiednie do stopnia.

Przed wyjazdem zaopatrzyłem się, o ile moja na to pozwalała kasa, w bieliznę i garderobę. Ojczym zaś podzielił się ze mną swoją gotówką, wynoszącą około 40 dukatów. Byłem więc o wiele zasobniejszy od innych. Rozstanie się moje z Kowszewiczem było nader smutne. Odprowadził mnie o połowę drogi do Stargard, o 3 mile odległego miasteczka, i tam się rozstaliśmy na drodze. Zdawało mi się, że mi serce pęknie, ale nie pękło, bo miało jeszcze wiele innych przeciwności wytrzymać!

W Stargardzie spotkałem się z Braunem, który tam z żoną przyjechał na bal składkowy, i koniecznie wciągnął mnie ze sobą, chociaż mi wcale na sercu balowo nie było. Co gorsza, musiałem tańcować, gdyż w owym czasie zaczęła wchodzić w modę galopada, a tej jeszcze nikt w

okolicy nie umiał. Musiałem się więc popisywać tańcem, i to był mój pierwszy występ na szerokim świecie.

Nazajutrz rano byłem już na wozie, poznawszy się uprzednio z moimi różnobarwnymi,—bo wszyscy byli w mundurach,—towarzyszami podróży. Szotarski nie stawił się na termin, ja zaś nie mogłem dłużej na niego czekać, gdyż moja odjazdowa kolumna była jedną z ostatnich.

Podróż szła nam leniwo, pomimo wybornej drogi bitej, obsadzonej drzewami, jak wszystkie dotąd, któreśmy przebywali, ale o wiele węższej od naszych.

Na pierwszy nocleg stanęliśmy w jakiejś wsi polskiej, w okolicach Czerska, która się ciągnęła wzdłuż niesłychanie gliniastej i od deszczu przemokłej drogi, wpośród długiego szeregu bardzo porządnych dworków, śmiało i nawet ozdobnie dźwigających się do góry, a zewnątrz tarcicami obitych. Po obu stronach drogi były głębokie rowy i mostki do każdego domostwa, a każde było otoczone bardzo starannie wyplatanym chrustowym płotem. W domach były wysokie powybielane kominy i okna duże, tafłowe. Wieś ta, pomimo swego gliniastego błota, wyglądała bardzo pokaźnie. Postawiono mnie na kwaterze u chłopa, który bardzo z waszecia wyglądał. Izby były w domu wysokie, z podłogą tarcicową, starannie wymytą, kuchnia osobna, angielska, stodoła i obora folwarczne, a całe wewnętrzne umeblowanie wychodziło już o wiele z naszej wieśniaczej sfery. Sam gospodarz, w średnim wieku, przyjął mnie jako człowiek w świecie obyty, a ponieważ było zimno, wietrzno i mokro na świecie, na rozgrzanie zaraz poczęstował mnie gdańską wódką z blaszkami złota, pływającemi w niej. (Goldwasser). Żona jego, czysto po wiejsku ubrana, z białą chustką związaną na głowie, w czyściutkiej koszuli, w czerwonym kaftaniku i z kilkunastu rzędami korali na szyi, przywitawszy się ze mną, zaraz mnie zapytała, co jeść sobie życzę? Powiedziałem, że kaszę z mlekiem i pieczone kartofle, według menu z mojej krakowskiej podróży. Zaraz też potem za-

sadzono mnie za stołem, a gospodyni z własnej woli dodała mi jeszcze kiełbasę i gotowane suszone owoce.

Wieczorem przyszło kilku sąsiadów zobaczyć, jak też to ten wygląda, co robił rewolucję w Warszawie. Siedliśmy w gromadzie, a gospodarz postawił butelkę goldwasser na stole i nuż mi się wypytywać o różne różności. Poznałem z tych zapytań i ze sposobu jak rozumiano moje odpowiedzi, że chłop poznański był o wiele wyżej rozwinięty od naszego kongresowego, który, rzec można, że obecnie dopiero zaczyna być tem, czem tamten był już przed blizko siedmdziesięciu laty. Rząd pruski nie wysilał się jeszcze wówczas, jak dzisiaj, na jego wynarodowienie, a przykład osiadłych Niemców we wsiach okolicznych, systematyczna pruska administracja, ogólna, lecz krótkotrwała służba wojskowa, cywilizacyjnie na wieśniaka oddziaływająca, — przyczyniły się bardzo do jego okrzesania. Jeżeli jednak, trzymając w pamięci jego stan ówczesny, zwrócę na to uwagę do jakiego dziś doszedł stopnia, na jego rolnicze spółki, na jego czytelnie wiejskie, na jego wiece, jego stowarzyszenia wzajemnej pomocy, to widzę dopiero, jaki to postęp się dokonał w trzeciej już generacji, a jeżeli się obrachuję z rozbudzeniem się jego narodowości, pomimo wszelkiego pruskiego ucisku, to duch wstępuje we mnie i z ufnością wpatruję się w przyszłość.

Na noc, chcąc mi dogodzić, dano mi ogromne łóżko z betami i stosem poduszek, wpośród których, jak mysz, się spociłem. Rano poczęstowano mnie kawą i chlebem ze świeżutkiem masłem, a gdy za to wszystko zapłacić chciałem, ani nawet o tem nie chciano słyszeć. Podziękowałem jak najuprzejmiej i pomyślałem sobie: oto mi dopiero prawdziwa gościnność! Szlachcicowi, na którego chłopi pracują, wcale o nią nie trudno, ale chłop, gdy sam na gościnność zapracuje, ma prawo inaczej się na nią zapatrywać.

ROZDZIAŁ III.

Na obczyźnie.

Robiliśmy 4 do 5 mil dziennie. Po kilku dniach zauważyliśmy, że usposobienie mieszkańców względem nas zmieniać się zaczęło. Patrzono się na nas krzywo, jakby na wilków, odpowiadano opryskliwie i niegrzecznie, kazano sobie za wszystko przepłacać, a nieraz z za krzaka rzucono na nas kamieniem, lub też polnische Hunde zawołano. Nic a nic nie wiedzieliśmy, co to miało znaczyć, dopóki bliższa rozwaga nie przywiodła nam na pamięć, że w Pomeranji byliśmy, w tej nieszczęsnej krainie, ujarzmionej przez Niemców i tak długo przez nich cywilizowanej (!?), dopóki ani jeden słowianin nie został. Man hat sie wegcivilisiert, jak to mówią niekiedy. Że zaś nic żywiej zaślepionej nienawiści w prześladowcy nie budzi, jak zacięty opór jego ofiary, więc uwieczniła się w Poznańskich junkrach tradycyjnie i od nich odbiła się w ludzie, co nam przejeżdżającym dało się we znaki. Lecz czemże są przez nas doznane nieprzyjemności w porównaniu z tem, czego obecnie Polska doznaje w Księstwie Poznańskiem, skoro hipokryzja, dzikość, bezwstyd dochodzą tam do stopnia dawniejszej krzyżackiej tłuszczy, jakby na dowód, że jabłko nigdy daleko od jabłoni nie pada. Niechęć ta ludu dawała nam się uczuwać, dopókiśmy nie objechali Berlina, przez który nam nie wolno było przejeżdżać.

Küstrin przedstawił nam się jako piękna, oblana wodą

forteca, a żeśmy dosyć wcześnie do niego przybyli i po obiedzie nie było co robić, wybrałem się więc do teatru, zobaczywszy na afiszu „Kölchen um Heilbrunn“ Lessinga. Aktorowie przyjezdni ulokowali się tutaj w jakiejś zaimprowizowanej budzie, ale grali wcale niezgorzej, a ja się rozpływałem z radości, żem ich rozumiał, i wyszedłem z widowiska z dumnie podniesioną głową.

Na noc dostałem łóżko guzowate i przeraźliwie twarde. Pamiętam dobrze, że mi się śniło, że jestem olbrzymem, że się położyłem na Pirenejach i że głowę maczam w oceanie, a nogi w Śródziemnem morzu; przyczyną zaś tego było, że mi dano jakąś dziecięcą kołderkę, w którą otulić się nie mogłem.

We Frankfurcie nad Odrą wypadło nam się kilka dni zatrzymać, gdyż zaszła jakaś przeszkoda w transporcie. Gdy tam byłem w kawiarni na bilardzie, naraz ujrzałem wchodzącego Juljana Szotarskiego. Powitaliśmy się serdecznie, a chociaż nam nie zbywało na wymówkach, pojednaliśmy się natychmiast, i odtąd byliśmy nieodstępnymi towarzyszami. Było to dla mnie nader przyjemnie, gdyż moja przebrzydła zimnica znowu mi się wróciła.

W fortecy Torgau trafiliśmy na bal, wydany przez miasto na cześć komendanta. Zaproszono nas na niego, ale tylko mała część naszych mogła z tego skorzystać, gdyż reszta była źle ubrana i zbiedzona. Poszedłem tam z kilku innymi; na moje nieszczęście, przyjęto nas bardzo grzecznie, ale nas proszono, abyśmy tańczyli mazurka, którego nigdy jeszcze dotąd nie widziano. Odmówić nie można było, a ja w dzień po paroksyzmie zimnicy musiałem puścić się w tany.

Gdyśmy przybyli do granicy saskiej pod Lipskiem, wstrzymano naszą kolumnę, a niebawem wyszła na nasze spotkanie deputacja studentów i obywateli z powitaniem i zaproszeniem w gościnę, tłumy zaś ludu wysypały się przed bramy, przyjmując nas okrzykami, jako bohaterów wolności. Usposobienie zmieniło się jakby za dotknię-

ciem czarodziejskiej różdżki. Rozlokowano nas na koszt miasta po domach i po najpierwszych hotelach, a wieczorem wyprawiono suty festyn, na którym nie było końca mowom i wiwatom. Nie mogłem być na nim, gdyż zmuszony byłem pozostać w łóżku w hotelu. Gdy gospodarz dowiedział się o tem, sam do mnie przychodził co parę godzin z zapytaniem, czy mi na czem nie zbywa.

W Jenie wpadliśmy w ręce studentów uniwersytetu, którzy wyszli naprzeciw nas w liczbie 500. Uszykowani wedle swych związków, w swoich malowniczych ubiorach, zaprosili nas na ogólny komers. Wieczorem zatem zgromadzono nas w domu, na którym pozawieszano chorągwie z barwami związków, a gdyśmy w wielkiej stanęli sali, otworzyły się podwoje i weszło 50 burszów szykiem wojskowym, w długich butach, łosiowych spodniach, w kaftanach suto srebrem szamerowanych, z długimi rapirami u boku i w maleńkich różnobarwnych czapeczkach. Uszykowawszy się w dwa rzędy, na komendę powyciągali rapiry i przed nami salutowali. Oddaliśmy im pokłon, a gdy wykrzyknięto: es leben die Polen! — odpowiedzieliśmy: vivant Jenenser Studenten! Tu dopiero zaczęły się mowy, śpiewy i wiwaty, a że nikt trzeźwo nie poszedł do łóżka, to się ma samo przez się rozumieć.

W Neunburgu zaproszony byłem z Szotarskim na kolację do bogatego właściciela domu, lecz, zabawiwszy trochę, musiałem się wcześniej do łóżka położyć. Dopiero nazajutrz dowiedziałem się w drodze, że poczciwy Niemiec, żegnając się z Szotarskim, obdarzył go 50 talarami do podziału ze mną, a to w sposób bardzo obowiązujący, mówiąc, że kto z placu boju przybywa, tego kasa bywa zazwyczaj pusta. Cóżkolwiekbądź datek ten dosyć przykre zrobił na mnie wrażenie, była to bowiem zawsze jałmużna, jaką mi nie łatwo przełknąć przychodziło. Moi koledzy otrzymywali również aż do granicy francuskiej liczne podarunki, — nietylko w pieniędzach, ale i w bieliźnie oraz sukniach. Kilku, najbardziej potrzebujących, wyglądało już zupełnie inaczej, jak pod Berlinem.

W Erfurcie, gdzieśmy się kilka dni musieli zatrzymać, znowu z powodu jakiejś przeszkody w transporcie, było mi znacznie lepiej, tak, iż z przyjemnością chodziłem sobie po mieście i przypatrywałem się strumieniowi żywej źródlanej wody, która, ujęta w wązkie kamienne koryta, płynie wzdłuż ulic, wysadzonych drzewami. Wystawiałem sobie, jak tam podczas skwarów letnich musi być rozkosznie.

Wyjechawszy dopiero coś czwartego dnia, ominęliśmy Weimar, gdyż wielki książę ówczesny, będąc blizko spowinowaconym z dworem rosyjskim, przejazdu nam przez to miasto odmówił, nie chcąc się na wiwaty na cześć Polaków narazić. Za to w Gotha książę panujący kazał nas przyjąć łaskawie, poczęstować bardzo starannym obiadem i pokazać nam potem nader piękne zbiory osobliwości oraz galerję obrazów, za co jak najuprzejmiej podziękowaliśmy marszałkowi dworu.

Do Eisenach przywieziono nas już późnym wieczorem, a bardzo rano dalej nas wyprawiono. I tak szło dalej aż do małego miasteczka heskiego Grünberga, gdzie zatrzymaliśmy się właśnie na obiad. Nie przewidywałem wówczas jak ważną rolę będzie odgrywało to miasteczko w mojem życiu.

Był dzień piękny, a nawet gorący. Miałem się dość dobrze, gdyż moja febra miała mnie dopiero napastować nazajutrz. Wygramoliwszy się z naszego wozu, gdy już wszyscy moi towarzysze zabrani zostali przez uprzejmych mieszkańców na obiad, siedliśmy sobie przed pocztą na kamiennej ławeczce, przypatrując się tłumowi ludu, który nas otaczał. Wtedy zbliżyło się do nas dwuch ślicznych chłopców, jeden może 13-to letni, a drugi dziewięcioletni, w czerwonych konfederatkach na głowach, jak to było natenczas w modzie, i zaprosili nas do rodziców na obiad. Zaproszenie przyjęliśmy z wdzięcznością i daliśmy się prowadzić; dowiedzieliśmy się po drodze, że ich ojciec nazywał się Budden i był zawiadowcą rządowych podatków w powiecie. Wyszedł naprzeciw nas mężczyz-

na dobrej tuszy, łagodnych i ujmujących rysów twarzy, około lat 50 mieć mogący, podał nam ręce i przedstawił swej żonie, już nie młodej kobiecie, która jednak zachowała jeszcze ślady piękności. Oprócz dwuch synów, którzy nas zaprosili, starszego Karola i młodszego Hermana, były tam jeszcze dwie córki: starsza piętnastoletni podlotek — Luiza i młodsza trzechletnia, prześliczne dziecko— Zofijka. Siedliśmy do stołu, na zwłokę bowiem nie było czasu. Obiad nie był wykwintny, ale bardzo porządny i smaczny, a rozmowa bardzo ożywiona. Już to przyznać trzeba, że Szotarski umiał ją prowadzić i pomimo, że mu język kulał, potrafił się zawsze wykręcić, a wyrażając się nieraz w nader komiczny sposób, Niemców rozśmieszał. I tak pamiętam, że gdy raz, nie wiedząc jak się nazywają okulary, zwei Fenster auf der Nase powiedział, ku wielkiej słuchaczów uciesze. Ja byłem znękany, a więc i mało rozmowny, zajęła się mną jednak niesłychanie mała Zofijka,—a że ja dzieci lubię i bawić się z niemi umiem, natychmiast staliśmy się dla siebie dobrymi przyjaciółmi. Najniespodziewaniej zerwała się z miejsca, wybiegła do ogrodu i przyniosła mały zamknięty koszyczek. Otworzyłem go z nienacka, a tu z niego wyskoczyła ogromna zielona żaba. Wstyd mnie ogarnął, żem się jej przestraszył. Wszyscy śmiać się poczęli, a żabka zaczęła po pokoju skakać. Zofijka puściła się za nią i, złapawszy, znowu do koszyczka włożyła. Ojciec objaśnił nas wtedy, że mała dziś rano pierwszy raz w ogrodzie żabę skaczącą spostrzegła i zaczęła ją gonić, póki nie złapała, a matka przytomna nie przeszkadzała wcale, boć przecież żaba nic złego dziecku zrobić nie mogła, a więc pocóż się miała jej lękać i wstręt do niej w sobie obudzać? Słuchałem tego ciekawie. Pomyślałem sobie, że to muszą być ludzie wcale nie głupi i z większym jeszcze zacząłem zapatrywać się na nich szacunkiem. Ponieważ wozy nasze czekały już na nas, pożegnałem się z tymi poczciwymi ludźmi. Żal mi było istotnie z nimi się rozstawać.

W drodze Szotarski bardzo był jakoś zamyślony i na moje nie odpowiadał uwagi, aż naraz mnie zawiadomił, że zaszła okoliczność bardzo ciekawa, ważna i wielkiej wymagająca uwagi. Oto pan Budden, dowiedziawszy się, że jesteśmy obaj warszawskimi akademikami, że radzibyśmy nasze nauki skończyć, oświadczył, że gdybyśmy się zdecydowali zrobić to w Uniwersytecie w Giessen, o dwie tylko milki od Grünberga odległym, to moglibyśmy z łatwością otrzymać na utrzymanie dosyć znaczne stypendja. Juljan oświadczył mi przytem, że co do niego byłby bardzo do tego skłonnym i że nie radby wcale się ze mną rozstawać. Budden dał nam trzy dni czasu do namysłu i prosił o piśmienne z Frankfurtu zawiadomienie. Oniemiałem ze zdziwienia. Dowiedziałem się dopiero potem, co Budden rozpowiadał Juljanowi w czasie, gdy ja się z Zofijką i jej żabą bawiłem. Najniespodziewaniej te propozycje pomieszały wszystkie moje na Paryż plany, na nieszczęście, już mocno zachwiane, gdyż dowiedzieliśmy się, że rząd francuski Polaków do Paryża nie puszcza, tylko ich po drugorzędnych miastach rozkwaterowywa. A zresztą pobyt i spokojne poświęcenie się pracy wpośród najsympatyczniejszych stosunków, miało w sobie tak coś ponętnego, że odrazu wybór mój przechyliło na stronę Niemiec. Postanowiłem jednakże jeszcze lepiej się namyślić.

Nazajutrz około południa przybyliśmy do Frankfurtu nad Menem, w chwili najcięższego mojego febrycznego napadu. Cała ludność miejska wysypała się na ulice, przez które przejeżdżaliśmy, a kobiety z okien powiewały chustkami. Postawiono nas obu w hotelu. Mnie położono do łóżka, a pan Johann Benjamin Busch, bogaty mieszczanin frankfurcki, zarazem członek tamtejszego komitetu polskiego, wziął mnie zaraz w swoją opiekę. Sprowadzono mi natychmiast najpierwszego wówczas frankfurckiego lekarza d-ra Passavant, który, wybadawszy mnie troskliwie, wręcz oświadczył, że dopóki nie przyjdę do siebie, dalej jechać nie mogę. Posta-

nowiono więc natychmiast, że obadwa, ja i Juljan, musimy się we Frankfurcie przez kilka tygodni zatrzymać, co nam, z powodu naszych giesseńskich projektów, było bardzo na rękę. Następnych dni byłem niesłychanie osłabiony. Nie brakowało mi na odwiedzinach, a między innemi było kilka kobiet, które mnie jak siostry miłosierdzia odtąd pielęgnowały. Zaraz nazajutrz Juljan wystylizował z kiepska po niemiecku list do Buddena z zawiadomieniem, że propozycję jego obydwa jesteśmy gotowi przyjąć. Odpowiedź jego niebawem poleciła nam czekać, dopóki się polski komitet Giesseński do nas nie zgłosi.

Sympatja dla sprawy polskiej w całych Niemczech, z wyjątkiem Prus i Austrji, była tak wielką, że wszędzie potworzyły się komitety polskie dla wsparcia naszych usiłowań. Zbierano składki pieniężne i rekwizyta szpitalne, i posyłano je do Polski, chociaż część tylko nas dochodziła, gdyż w Prusach je konfiskowano. Otóż po upadku Warszawy uzbierane fundusze straciły już swój cel i każdy komitet przemyśliwał nad tem, co z nimi zrobić, gdyż o zwrocie ofiarodawcom nie było co myśleć, każdy bowiem dawał kilka groszarów, a stąd znaczne powstały fundusze. Komitet w Giessen powziął wtedy myśl owych stypendjów, co też ogólnym poklaskiem przyjęto, a my dwaj mieliśmy z nich korzystać. Były to zatem ofiary dobroczynne dla Polski, a ich przyjęcie nie poniżało nas wcale. Poczciwi Niemcy chcieli naszej sprawie służyć, a że się im to nie udało, chcieli przynajmniej wykształcić dla Polski kilku ludzi zdolnych na jej późniejsze potrzeby. Tak mi to tłómaczono później, i przyznam się, że było coś ujmującego, a zarazem szlachetnego w tem tłómaczeniu.

W tydzień po naszem przybyciu zacząłem już wychodzić. Pooddawałem wizyty moim łaskawcom, co mi odrazu otworzyło przystęp do ich domów, gdyż mnie jak najuprzejmiej zapraszano. W tej właśnie chwili Szotarski na dni kilka wyjechał do Moguncji i do Wiesbadenu, korzystając z zaprosin, które stamtąd otrzymał, tak, iż sam je-

den z Polaków pozostałem we Frankfurcie. W tem Both jednego poranku przybył do mnie zdyszany i zawiadomił, że Lafayette z Paryża pisał do komitetu polskiego we Frankfurcie, iż w tych dniach przejeżdżać będzie tamtędy pewna polska dama z dziećmi, uciekająca przed rosyjskiem prześladowaniem; żąda więc pomocy dla niej i ułatwienia przejazdu do Paryża. Komitet prosi mnie przeto, ażebym mu ułatwił jego zadanie przez pośrednictwo z ową damą, gdyby niemieckim nie władała językiem. Zdziwiła mnie trochę owa osobistość prześladowana, za którą sam Lafayette się wstawia, ale wielką z mej strony oświadczyłem gotowość, będąc mniej więcej na to przygotowany, że z księżną Czartoryską, panią Szembekową, Dembińską albo Skrzynecką będę miał do czynienia. Nazajutrz pan Both przybiegł, również zdyszany, z zawiadomieniem, że już przyjechała i że już zawiadomiono damy opiekunki frankfurckie, żeby ją odwiedzały. Pobiegłem z Bothem natychmiast do wspaniałego hotelu, gdzie dla naszej pani przygotowano mieszkanie, lecz, stanąwszy przed nią, ledwie nie zemdlałem. Adyć to była pani Brawacka, pod postacią brudnej pomywaczki, otoczona szeregiem obdartych dzieciaków. Widziałem ją tylko raz i to przypadkiem w Warszawie, gdzie doskonale było wiadomo, że Brawacki z kucharką się ożenił, która się w skandaliczny i niedelikatny sposób z nim obchodziła.

Jeszczem nie ochłonął, gdy weszło kilka eleganckich pań z wyższego frankfurckiego mieszczaństwa. Moje zgnębienie wzmogło się na nowo, gdy pani Brawacka poczęła je szeregiem w ręce całować. Zdziwienie, wstręt i bolesny zawód malowały się na ich twarzach, a ja byłbym o wiele wolał, zamiast patrzeć na to, żeby się była ziemia pode mną zapadła. Panie wykręciły się i wyszły, zapewniwszy, że na niczem nie będzie zbywało, ja zaś zostać musiałem, ażeby to wszystko w jakibądź przyzwoity załagodzić sposób. Wtedy to dopiero pani kucharka swoją rozpuściła buzię i zaczęła na swego mężulka wymyślać, że ją z dziećmi bez grosza pozostawił w Warsza-

wie, że w ostatniej przebyła nędzy, że niemal o żebranym chlebie dostała się do Drezna i że tam dopiero doszło ją trochę z Paryża pieniędzy, oraz polecenie, ażeby się zgłosiła do komitetu polskiego we Frankfurcie. Zaczęłąm potrosze przychodzić do siebie, gdy naraz zjawiło się kilka panien służących z pudłami, zawierającemi bieliznę, suknie i ubiory dla dzieci. Gdy je wykąpano, umyto, wyczesano i ubrano, to przecież cała ta czereda zaraz wyglądała pokaźniej. Bądź co bądź jednak panie opiekunki bardzo łatwo poznały się na rzeczy i odtąd za pośrednictwem panien służących z Brawacką się znosiły. Była ona, jak się dowiedziałem, córką kolonisty Niemca z pod Białobrzegów. Mówiła łamaną niemczyzną; mogła się jednak jako tako porozumieć ze swem otoczeniem, tak, iż nie potrzebowałem nieustannie jej adjutantować. Komitetowi cała ta przygoda bardzo była niemiłą, a gdy mnie o nią pytano, powiedziałem szczerze, że to musiała zajść jakaś pomyłka, albo podejście, że między naszymi ludźmi wpływowymi żadnego pana Brawackiego nie było i że był tylko lekarz tego nazwiska, którego używano jako agenta dyplomatycznego (co nie było prawdą) z powodu jego biegłości w wielu językach i że tem zapewne, dopadłszy do Lafayetta, całego nawarzył piwa, tak iż szanowny generał przesadził ton swej rekomendacji. Krzywiono się bardzo na francuską lekkomyślność i starano się jak najrychlej pozbyć się pani Brawackiej. Opłacano więc miejsce w dyliżansie, mającym odejść nazajutrz o 5 rano do Paryża, dawszy jej dwa dni wypoczynku w jej wspaniałym apartamencie. Kufry jej odesłano na pocztę. Gdy do hotelu przyszedłem rano, zawiadomiono mnie, że dwoje dzieci zostało i list do mnie zaadresowany, w którym szanowna mama, godna ze wszech miar swojego małżonka, pisała najhaniebniejszą polszczyzną, że, ponieważ ci Frankfurczycy są porządni ludzie, więc zostawia im na wychowanie dwoje najstarszych swych dzieci, po które się zgłosi ojciec, jak tylko będzie mógł. A tego już było za wiele! Wpadłem w złość niesłychaną, byłbym ubił babę,

gdybym ją był miał pod ręką. Lecz to nie zaradzało złemu. Musiałem pana Botha zawiadomić o wszystkiem. Szczęściem, że znalazło się dwoje ludzi szanownych, którzy się podjęli opieki nad sierotami: jakiś drukarz z przedmieścia i adwokat Zeissler z Wiesbadenu. Pierwszy wziął chłopca, około 10 lat mieć mogącego, a drugi o rok młodszą dziewczynkę. Chłopiec łobuz w kilka tygodni zginął gdzieś bez wieści, mała zaś, objawiająca jak najlepsze skłonności, wychowała się razem z dziećmi adwokata, i po śmierci jego żony objęła całe gospodarstwo domu. Jak się z nim we 20 lat później widziałem, nie mógł się jej dosyć odchwalić.

Tak skończył się dla mnie nader przykry i upokarzający frankfurcki epizod, szczęściem, że zaraz nadeszły okoliczności, które mi go usunęły z myśli. Oto otrzymaliśmy od pana adwokata Banzy z Giessen list, w którym ponawiał nam wszystkie przez Buddena dane nam zapewnienia, dodając, że komitet Giesseński może nam aż do ukończenia nauk, w ciągu trzech lat zapewnić utrzymanie, przeznaczając każdemu po 30 guldenów (to jest 15 rubli) miesięcznie i zwalniając nas od wszelkich opłat uniwersyteckich. Ofiara ta nic nam nie pozostawiała do życzenia, a ponieważ d-r Banza zawiadomił nas zarazem, że jeżeli ją przyjmiemy, to sam po nas do Frankfurtu przyjedzie, Juljan odpisał mu natychmiast, że jesteśmy gotowi na jego rozkazy.

Teraz, doszedłszy do chwili, w której postanowiłem w Księstwie Heskiem pozostać i w Giessen ukończyć nauki, przy pomocy, tak szlachetnie mi ofiarowanej, muszę znowu przerwać moje opowiadanie, ażeby zwrócić uwagę na kraj i społeczeństwo, wpośród którego żyć miałem, chociaż to w trzech słowach opowiedzieć się nie da. I tak przedewszystkiem zauważyć nam trzeba, o czem my Polacy zawsze zapominamy, że są dwie rasy niemieckie: szwabska, południowa i saksońska, północna, wielce od siebie różne pod względem charakteru, i że my, z północną tylko mając ciągle do czynienia i znienawidziwszy

ją sobie, najniesłuszniej na świecie, niechęć naszą przenosimy i na drugą rasę, nie wchodząc w bliższe rzeczy, ocenienie.

Oba szczepy są niezaprzeczenie dzielne i nie wyrodziły się wcale od owych Germanów, którzy pokonywali rzymskie legjony, ale w umysłowem usposobieniu rasy szwabskiej przeważa sercowość, a w saskiej, którą nam dziś reprezentują głównie Prusacy, przeważa zimny rozum i wyrachowanie, nieraz nawet z prześlepieniem zupełnem tego, co sprawiedliwe i ludzkie. Szwab jest serdeczny, przyjacielski, otwarty, wesoły; chodzi mu o to, żeby go kochano i sam gotowy jest tąż samą monetą odpłacać. Jest idealistą, z natury poetą i człowiekiem towarzyskim. Prusak, przeciwnie, jest zimny, systematyczny, wyrafinowany egoista, pyszałek, chciwy władzy i mienia, pomiatający wszystkiem, przed czem nie potrzebuje się korzyć; jest fałszywym, podstępnym, ale mądrym, cierpliwym i konsekwentnym do zbytku. Działa według zasad i nie pyta się o podszepty serca do tego stopnia, że, gdyby takiego przeciętnego junkra położyć na stole sekcyjnym, toby się znalazł mózg normalnie człowieczy, ale zamiast serca głaz, na którymby było heglowskie „ja“ wyryte. On wie o tem, że go nienawidzą, ale też jemu o to nie idzie, byle pięść miał twardą i trzymał za kark tego, co mu nie sprzyja.

Nas Polaków nikt pewnie nie oskarży o sympatje pruskie, ale za to całym naszym zakrojem umysłowym do tego stopnia jesteśmy zbliżeni do południowców niemieckich, że z nimi bardzo łatwo porozumieć się, a nawet polubić możemy. Poznawszy bliżej ich domowe cnoty, ich cywilizacyjne wyrobienie, rzeczywisty uczuwamy w sobie dla nich szacunek. Tak też było i ze mną, ale ważniejsze jeszcze były przyczyny politycznej natury, które nas zespoliły ze sobą i zdawały w owych czasach poniekąd sprawę z uderzającej względem Polaków sympatji.

Przy końcu zeszłego wieku Niemcy Nadreńskie były porozdrabniane na mnóstwo baronji, hrabstw, księstw i

krajów, rządzonych absolutnie przez biskupów i władców świeckich, dopuszczających się wszędzie zdzierstw i nadużyć, oraz kłócących się wiecznie ze sobą. Że wtedy idee liberalne, płynące z Francji, przyjmowały się łatwo wśród ogólnego ucisku, aż nadto daje się zrozumieć. Napoleona zrazu przyjęto, jako wybawiciela, a sympatje francuskie wzmogły się jeszcze, jak drobnym baronom odebrał władzę, pokasował udzielne księstwa biskupie i utworzył obszerne dzielnice, łączące ze sobą części i cząsteczki, a z nich nareszcie Związek Reński utworzył. Na nieszczęście, absolutna gospodarka napoleońska zastąpiła niebawem dawny swojski ucisk i oburzyła wreszcie przeciwko wybawcom; ale posiane ziarno swobody silnie się zakorzeniło i zaczęło kiełkować. Zrozumieli to doskonale występujący przeciw Napoleonowi monarchowie, którzy, bijąc go jego własną bronią, obiecywali na przyszłość liberalne rządy, po wyswobodzeniu się z tłoczącego jarzma. Atoli słowa nie dotrzymali, bo, kiedy po urządzeniu stosunków przez kongres Wiedeński, mieli już rozwiązane ręce, ucisk i samowola odrodziły się w całym swym blasku i obiecane konstytucyjne wolności poszły w poniewierkę na dworach nowo ugruntowanych i wznowionych potentatów.

Księstwo Heskie miało już poprzednio pewne znaczenie w składzie Niemieckiego Cesarstwa, ale znacznie zwiększone i zaokrąglone zostało dopiero przez Napoleona, którego względy musiało pozyskać sobie. A gdy kongres Wiedeński zatwierdził granice tego państewka, przyznawszy mu godność Wielkiego Księstwa, władca jego Ludwik I-szy postąpił sobie szlachetniej od innych książąt, nadał krajowi swemu konstytucję bardzo liberalną, a co większa, wyrzekł się na zawsze obszernych dóbr swoich, zastrzegając sobie i swoim następcom dość skromną listę cywilną. To go z jego związało ludem, ale też i rzuciło nań w Austrji i Prusach podejrzenie, że sprzyja liberalizmowi. Przyznać trzeba, iż familja Darmstadzka odznaczała się stale w pośród niemieckich dworów

godnością i rzeczywistem przywiązaniem do swoich poddanych; dlatego też opozycja w kraju nie zwracała się nigdy przeciw niej, ani nawet przeciwko miejscowym rządom, ale zawsze przeciw uciskowi, jaki zewnątrz wywierała Rzesza Niemiecka, a raczej przewodniczące w niej Prusy i Austrja.

Niezadowolenie i zawód po ogromnych przeciw-napoleońskich wysiłkach ciążyły na całych Nadreńskich Niemczech za czasów Restauracji we Francji. Legitymizm, wszelki postęp dławiący, absolutnie zawładnął nad wszystkiem; można więc łatwo wyobrazić sobie, jakie ogromne wrażenie wywarła rewolucja lipcowa w Paryżu i wysadzenie z siodła starszej linji Burbonów. Wpadła ona naraz jak piorun z nieba, zatrzęsła w podstawach cały wiedeński porządek z Bożej łaski, i to w chwili, gdy się zdawało, że liberalizm ostatecznie już został zdławiony, że idee francuskiej rewolucji zostały wystraszone z umysłów przemocą i że wszystko jak najspokojniej do starego porządku powróci. Powstanie Belgijskie i Brunświckie odezwały się echem, a nakoniec w Rosji, w owej silnej fortecy Ś-go przymierza, wybuchnęło powstanie polskie.....

Polacy, zapomnieni i zdławieni, wyszli odrazu świetnie na scenę. Wszystkim zdawało się jednak, że dosyć będzie pokonać kilka batalionów nad Wisłą, ażeby Polacy na kolana padli, a tu przed trzydziestotysięczną gromadą pod Grochowem ustąpić musiała potężna stutysięczna armja. Niespodzianka zdziwiła świat cały i okazała Polaków w bohaterskiem świetle. Liberalizm europejski widział w tem swój tryumf, a chociaż niezaprzeczenie przesadzał jego doniosłość, niemniej jednak serdecznie wiązał się z narodem, który, broniąc swoich praw oraz swojej godności i nie targując się ze swym obowiązkiem, umiał dla niego odrazu wszystko poświęcić. Stąd też popłynęły wogóle owe świetne dla Polaków owacje i owa wspaniałomyślna uczynność dla nas, którzy zostaliśmy w Niemczech.

W całym kraju Nadreńskim opinja publiczna rozłamała się na dwa obozy: autokratyczno-konserwatywny i demokratyczno-postępowy, nibyto republikański. Przeciwieństwo w Wielkiem Księstwie Heskiem nie było tak uderzające, gdyż je łagodziło ogólne przywiązanie do panującego domu, ale gdzieindziej, np. w pogranicznej Hessji Elektorskiej przychodziło do zbrojnych zaburzeń lub napadów chłopskich, które za cel sobie brały niszczenie hipotek po sądach w celu uwolnienia się od coraz uciążliwszych fiskalnych wymagalności.

W Saksonji zmuszono króla Antoniego do abdykacji, a jego następcę do rządów konstytucyjnych, w Hanowerze zaś przyszło do tak radykalnej zmiany w skutku nacisku opinji publicznej. Rzecz naturalna, że partja liberalna była naszą orędowniczką, arystokratyczna zaś patrzała na nas z ukosa, chociaż, oprócz oziębłości i trzymania się zdaleka, nie widać zresztą było wyraźniejszej niechęci w jej obejściu się z nami.

Oprócz dwuch powyższych prądów: absolutnego i liberalnego, nurtował jeszcze i trzeci—głuchy, tajemniczy, ale sięgający bardzo głęboko. Ludzie, poważnie zapatrujący się na rzeczy, boleli nad rozdziałem Niemiec i marzyli o przywróceniu Cesarstwa, któreby skupiło i w jedno ciało związało roztargane i poodosabniane członki i jednym natchnęło je duchem. Myśl ta przedstawiała się wprawdzie jako mgliste dążenie, w żadną jeszcze polityczną nie odziane formę, ale dwaj dzielni jej przedstawiciele Börne i Heine byli jej orędownikami i potrafili nią ożywić ciężkie germańskie masy. Heine zachwycał, Börne nauczał i swoją ostrą podniecał satyrą, a myśl w średnich mianowicie klasach zaczynała kiełkować i zespajać zwolna zastygłe dotychczas w pojedyńczych niemieckich państewkach gromady. Cały ten ruch centralizacyjny krył się pod zasłoną liberalizmu, a sprawa polska i wytworzenie się komitetów do wsparcia jej usiłowań nadała mu odpowiednią organizację, podsuwając sposobność do materjalnego działania. Sprawa polska budzi-

ła drzemiące nad Renem narodowe życie, błąkające się dotąd w historycznych mrzonkach i mglistych przypomnieniach przeszłości.

Jakie stąd wynikły następstwa, zobaczymy niebawem, wspomnę tylko pokrótce, że współcześnie z owem życiem budzić się także zaczęły materjalne konieczności, którym owo rozćwiartowanie Niemiec na zawadzie stawało. Kraje te i kraiki tak dziwnie były ukształtowane, że ich granice głęboko się zazwyczaj w siebie wrzynały, a co więcej, że niektóre ich części, poodcinane zupełnie, leżały często jak wyspy wśród obcych posiadłości; stąd też i rządzenie nimi było wcale niełatwe. A że każdy kraj miał swoją celną odrębność, wewnętrzny przeto handel niesłychanie był utrudniony. I tak np. ażeby przejechać z Giessen do Frankfurtu przez 8 mil drogi, potrzeba się było poddać czterem rewizjom i czterem celnym opłatom. Urodziłeś się np. w książęcej Hessji, to ci nigdzie nie wolno było zostać ani kupcem, ani adwokatem, ani lekarzem, ani duchownym lub nauczycielem, dopóki tam, gdzie to miało nastąpić, nie otrzymałeś prawa obywatelstwa. Dyplom, czy to szkolny, czy uniwersytecki, był ważny jedynie tylko na miejscu. Żaden obcy rzemieślnik nie mógł być przyjęty do cechu, a było to wszystko tak uciążliwe, iż nieraz dawało się słyszeć, jak chłop, mieszczanin albo wyrobnik mówił: „A żebyśmy to już raz mogli wszyscy należeć albo do Prus, albo do Austrji“. Krążyły różne monetarne systemy, istniały różne miary i wagi, jedne kraje miały swe własne poczty, inne znów posiłkowały się pocztami księcia Thurn i Taxis, ustanowionemi jeszcze za czasów dawnego niemieckiego Cesarstwa. Słowem, istnienie tam wcale łatwem nie było dla ludzi, którzy, zgodnie z nowożytnem dążeniem, nie mogli żyć w odosobnieniu, lecz koniecznością zmuszeni byli łączyć się ze sobą w coraz kunsztowniejsze społeczne związki.

Utyskiwano i skarżono się wszędzie; liberaliści skupiali się w coraz silniej organizujace się grona; szli za nimi nieśmiało konserwatyści, filistrami zwani; urzędnicy,

wystraszeni wzmagającym się ruchem, silniej wiązali się ze swoją władzą; a nad wszystkiem panował Metternich, wszechwładna potęga, przed którą, jak dziś przed Bismarckiem, wszyscy korne pochylali czoła.

Wielkie Księstwo Heskie, około miljona ludności mające, otacza ze wszech stron wolne miasto Frankfurt, ówczesną rezydencję Rzeszy Niemieckiej, w której każdy z niemieckich dworów przez swego pełnomocnika był reprezentowany, pod prezydencją Prus i Austrji naprzemian, co lat kilka się zmieniającą. Dwie wielkie rzeki: Ren i Men rozdzielają Wielkie Księstwo na trzy prowincje: 1) Starkenburg, którego stolicą, a zarazem stolicą całego kraju jest Darmstadt; 2) prowincję Zareńską ze swą stolicą Moguncyą, potężną fortecą związkową, z garnizonem mieszanym z Austrjaków, Prusaków i Hessów; 3) prowincję Hessen wyższą (Oberhessen) ze swoją stolicą Giessen, miastem uniwersyteckiem, do którego właśnie mieliśmy podążać. Kraj był wyłącznie rolniczy, produkował ziarno, bydło i wino; innego przemysłu oraz handlu wcale tam nie było. Przez sześć lat mojego tam pobytu dwie tylko widziałem fabryki: hamernię, niedaleko Darmstadtu, i pod Grünbergiem piec żelazny na odlewy, w którym wyrabiano narzędzia kuchenne, gospodarskie, a mianowicie opałowe piece, gdyż oprócz żelaznych, żadnych innych w kraju nie używano. O wyższym handlu również nie było tam mowy, gdyż w zupełności gromadził się we Frankfurcie; w Księstwie zaś byli tylko sami kramarze i rzemieślnicy. O całym zatem ruchu, jaki przemysł i handel społeczeństwu nadaje, nie miano tam żadnego wyobrażenia. Ludzie żyli szczęśliwie, jak u Pana Boga za piecem, nie goniąc za zbytkiem, ani za okazałością, a nikomu ani do głowy nie przychodziło nawet, ażeby gromadzić i dusić pieniądze. Bankierzy, spekulanci, lichwiarze były to istoty znane tylko z opowiadania; a jedyny Shylock, którego widziałem, był Żyd Slawicer, który czasem studentom pożyczał pieniędzy, ale drżał przed sędzią uniwersyteckim, gdyż ten krótko go trzymał.

Wzamian za to wszystko nie było w kraju ani bogaczów, ani żebraków; było wprawdzie wielu ubogich, ale żaden nie wyciągał ręki; wszystko, co żyło, pracowało skrzętnie, zarabiało skąpo, ale im wystarczało. Chorych starców i niedołęgów musiały utrzymywać gminy. Nie było bogactwa, ale był dostatek. Fortuny nawet baronów medjatyzowanych, panujących jeszcze przed niedawnym czasem, nie przenosiły majątku dostatniego naszego szlachcica. Chociaż przemieszkiwał w feodalnym zamku i duma jego nie miała granic, żył bardzo skromnie, a synów swoich oddawał do pruskiego lub austrjackiego wojska, które było dla nich istną opatrznością, tam bowiem wyższe stopnie stały dla nich wyłącznie otworem. Smutna to była dola takiego grafa, albo barona, który miał tylko 3—4 tysiące guldenów dochodu. Pracowitość, oszczędność, brak sztucznych potrzeb, pociągały za sobą ogólny dobrobyt, odbijający się w zabudowaniach wsi i miasteczek, nieokazałych, ale starannie porządnych, gdzie wszystko lśniło się, wymyte, wybielone, ułożone w porządku i wyszorowane. Prawie też każdy miał mały kapitalik, złożony w gminnej kasie oszczędności na czarną godzinę, a kasa ta, była zarazem kasą pożyczkową. Urzędnicy państwowi mieli małą płacę, ale za to mnóstwo udogodnień, które im bezpiecznie i swobodnie żyć pozwalały. Urzędnik, dostawszy się raz na etat, nie mógł już być usuniętym ze służby, chyba w razie przewinienia i tylko za wyrokiem sądowym. Jeżeli go nie potrzebowano, musiano mu płacić pół pensji. Emeryturę dla niego płacił skarb z własnej kieszeni, tylko na ewentualną emeryturę dla żony i dzieci (Witwenkasse) składał wcale nieznaczne opłaty. Wychowanie zaś dzieci było tak łatwe i niekosztowne, iż nikt się o to nie troszczył. Ogólne oświecenie stało tam bardzo wysoko. Każdy chłop przebywał wiejską szkółkę pod przewodnictwem wytrawnego pedagoga i pastora, który musiał koniecznie posiadać stopień uniwersytecki. W miasteczkach były szkółki wyższe, trzyklasowe, pod zwierzchnictwem

wielce szanowanych przez ludność rektorów. Do służby rządowej, czy to sądowej, czy administracyjnej przystępowało się jedynie z patentem uniwersyteckim. Wykształcenie więc ogólne stało w kraju wysoko, co też odbijało się w pożyciu i w całym składzie społecznym. Życie rodzinne i społeczne niesłychanie było rozwinięte, życie zaś publiczne świtać dopiero zaczynało, idąc krok w krok za rozwojem powyżej wzmiankowanych prądów. Owo dzisiejsze niemieckie knajpiarstwo przy kuflu piwa nie istniało tam jeszcze, a ludzie stykali się ze sobą w domowem pożyciu, gdzie nigdy nie brakowało na umysłowem zajęciu, do którego nauka, sztuka i polityka przedstawiały nieprzeliczone temata.

Rzucony losem w taką społeczność, nader ściśle związaną ze sobą, długiego czasu potrzeba mi było, zanimem się z nią obeznał. Przyznam się, że mnie nieraz raziły formy, które mi brakiem towarzyskiego poloru trąciły, ale z drugiej znów strony zachwycała mnie wszędzie uwydatniająca się prawda. — prawda w słowie i w życiu, a przytem obok wielkiej materjalnej skromności, wielkie umysłowe bagactwo i w obyczaje wpojona zacność, która zupełnie zdawała się o sobie nie wiedzieć.

Doktór prawa Banza był wcale niezwykłym człowiekiem; średniego wzrostu, mógł mieć przeszło lat 50, trochę do otyłości skłonny, przedstawiał się bardzo poważnie, co mu nie przeszkadzało być dosyć ruchliwym. Twarz miał regularną, myślącą i bardzo przyjemną, wzrok bystry, ale spokojny, pewny siebie, lecz w pewnych razach ruchliwy i przenikający. W jego rozmowie uwydatniała się łagodność i energja zarazem, a przytem widoczne piętno wyższej inteligencji. Zrobił na nas jak najlepsze wrażenie i odrazu obudził w nas zaufanie i szacunek.

Pożegnaliśmy się z panem Bothem, podziękowaliśmy mu za jego najserdeczniejsze z nami obejście i odjechaliśmy z dr. Banzą. Jednym tchem przybyliśmy do Butzbach, miasteczka o 2 mile tylko odległego od Giessen,

gdzie mieliśmy być formalnie powitani przez deputację studentów Giesseńskich. Wysiedliśmy i zatrzymaliśmy się na obiedzie u szkolnego jeszcze d-ra Banzy przyjaciela—doktora filozofji Werdiga, rektora tamtejszej szkoły. Był on uderzająco do naszego Brodzińskiego podobny, tak, że Szotarskiemu nawet zdawało się, że ma swego wuja przed sobą. Werdig przyjął nas z radością, gdyż projekt stypendjum polskiego w jego wykluł się głowie i z wielką przyjemnością ujrzał jego spełnienie. Wielce szanowany, był on jednym z koryfeuszów partji liberalnej w całej okolicy; posądzano go nawet o dążności demokratyczne, za które srogie później spotkało go prześladowanie. Ponieważ był doskonałym fortepjanistą, uraczył nas po obiedzie bardzo dobrą muzyką, wśród której nie obyło się bez mazurka Dąbrowskiego i innych naszych narodowych pieśni, niesłychanie wówczas w Niemczech upowszechnionych. Poszliśmy potem do hotelu, gdzie na nas studenci czekali. Zastaliśmy siedmiu bardzo dorodnych chłopców, z których jeden wystąpił z powitalną mówką, w imieniu całego studenckiego grona. Szotarski odpowiedział na nią w ten sposób, że, ponieważ jeszcze dobrze językiem niemieckim nie włada, musi prosić przeto o głos za trzy miesiące, a na teraz przez zwięzłe tylko odpowiada: „najserdeczniej dziękuję“. Poszedł on potem z nimi do Giessen piechotą, a ja, będąc jeszcze na to za słaby, pojechałem z dr. Banzą, który mnie ulokował u siebie.

Nazajutrz rozejrzałem się po mieście, a raczej miasteczku, liczącym około 7000 mieszkańców, w liczbie których było 500 studentów. Umieszczone na lekkiej wyniosłości, wpośród ogromnego łącznego rozłogu, wydawało się zdaleka, jak skupiona gromada domów, otoczona naokoło aleją. Przez łąki wił się bardzo obszerny strumyk, ale podczas swoich wiosennych wylewów zamieniał całe otoczenie miasta w jezioro, skąd poszło nawet, że jakiś francuski geograf, opisując Giessen w zeszłym stuleciu, twierdził, że było fortecą na wyspie wpośród

obszernego jeziora, a raczej rozlewu rzeki, nad którą jest miasto umieszczone. I rzeczywiście była to forteca, po której pozostało zacieśnienie ulic i domów, a gdy jej mury rozwalono i zrównano fosy, to na ich miejscu porobiono naokoło planty, dzisiejsze miasto otaczające. Poza łąkami wznosiły się łagodne pagórki, po części pokryte lasem i ogrodami. Zdala piętrzyły się znaczniejsze wzgórza, a nad niemi panowało kilka wyniosłości, uwieńczonych zwaliskami feodalnych zamków. Cała okolica nader jest miłą, pełną zieloności, światła i wolnego od wszelkiej kurzawy powietrza. Tchnęła w niej jakaś wesoła, sielska swoboda. Największą ozdobą okolicy jest błękitna wstęga rzeki Lahn, pod miastem płynącej, i most przez nią przerzucony, wpośród zadrzewionych brzegów, średniowieczny, z mocno wygiętym grzbietem.

Główną rolę w mieście odgrywał uniwersytet, wszelki ruch władz rządowych przygłuszający, chociaż to tylko był uniwersytet miejscowy, na potrzeby wyłącznie Księstwa obrachowany i bardzo skąpo przez cudzoziemców uczęszczany. Różnił się on też wielce od sławnych niemieckich uniwersytetów tem właśnie, że był wszędzie w mieście, a nigdzie w szczególności. I tak gmach uniwersytecki, zapomniany od wszystkich, stanowił jakiś stary, rozwalający się budynek, długi jednopiętrowy barak z koślawą wieżą, z długą i wązką aulą, w której popaczona podłoga, spróchniała katedra i szeregi portretów byłych rektorów świadczyły o zgrzybiałości. Nikt też tam nigdy nie chodził, bo nawet tam sal wykładowych nie było, albowiem każdy profesor wykładał u siebie i jeden z pokojów swego pomieszkania na audytorjum poświęcał. Przychodził na lekcje bez ceremonji, w paltocie, który mu w jego gabinecie za szlafrok służył. Posiedzenia wydziałowe uniwersyteckie i egzamina odbywały się również w prywatnych domach, klinika tylko, gabinety i laboratorja mieściły się w gmachu okazałym na wzgórzu, panującem nad miastem, ale leżącem już poza jego obrębem. Ponieważ wszędzie na-

der było blizko, nikogo to nie utrudzało, a miało tę dobrą stronę, że profesora i ucznia zbliżało ze sobą, skutkiem też czego zapanował w Giessen pomiędzy nimi nader przyjacielski stosunek.

Oprócz dwóch profesorów: Vogta, ojca znakomitego później Karola naturalisty, i chemika Liebiga, który wówczas do zenitu swej europejskiej sławy dochodził, nie było w Giessen, za moich czasów, pierwszorzędnych znakomitości naukowych, ale byli dzielni pedagogowie, oddani całem sercem swemu zawodowi, z którym bardzo często się mija ten, kto, oprócz swych nauczycielskich zadań, pracuje jako badacz, albo myśliciel dla postępu nauki. Zajęcia pedagogiczne i badawcze nie kwadrują ze sobą, i dlatego doskonale poradzili sobie Francuzi, oddzielając, ostrzej jak gdziekolwiekindziej, szkołę od akademji, jako przybytku naukowego rozwoju.

Student w Giessen, równie, jak w całych Niemczech, mógł był uczęszczać na prelekcje według własnego wyboru i bez urzędowo wytkniętego porządku, nie zdawał żadnych egzaminów przejściowych, tylko w końcu ostro był egzaminowany. Student był wyjęty z pod władzy policji; jedyną dla niego porządkową władzą był sędzia uniwersytecki, który nie żartował wcale i sądził wszelkie zatargi i przewinienia, czy to między studentami, czy to z mieszczanami, doraźnie i w ostatniej instancji. Każdy student należał do jakiegoś stowarzyszenia, odznaczającego się kolorami czapek i wstążek, idących przez piersi. Związki te miały za cel zażyłość i wspólną zabawę, ale stowarzyszenie burszów miało także i polityczne dążności, do których się nie przyznawano wprawdzie, chociaż nikt o tem nie wątpił. Było patrjotycznem, liberalnem i nawet republikańskiem, i składało się zawsze z najdzielniejszej młodzieży; a że w każdym niemieckim uniwersytecie takie stowarzyszenie istniało, przyszło więc bardzo łatwo do tego, że wszystkie podały sobie ręce, tworząc potężne między młodzieżą polityczne w Niemczech stronnictwo, a zarazem jakoby

szkołę opozycji i liberalizmu. Z tem to właśnie stronnictwem zawsze i wszędzie najserdeczniej harmonizowali Polacy, przeto bursze po naszem do Giessen przybyciu przyjęli nas z najszczerzej otwartemi rękoma.

D-r Banza mieszkał w swym prześlicznym domku jednopiętrowym, wpośród ogrodu, na samym skraju miasta. Miał drugą już żonę, ale z pierwszej pozostała mu córka, około 15 lat mieć mogąca. Druga żona była kobietą przystojną, już po latach trzydziestu, poważną i rozumną, taką właśnie, jaką człowiek, jak Banza, mieć był powinien. Mieli jednego synka siedmioletniego, który, pomimo że dzieci lubię, nie przypadał mi do serca. Ponieważ rodzina zajmowała dom cały i jeden tylko na poddaszu pozostał do wynajęcia studencki pokój, prosiłem, aby mi go było wolno zająć, ma się rozumieć, pod warunkami, jakieby od kogo innego żądano. Bardzo mi było przyjemnie, że się na to zgodzono.

Z Szotarskim wielka zaszła zmiana. Pokręciwszy się trochę po Giessen, wybrał się do Frankfurtu i Darmstadtu, a że łatwo nader robił znajomości, zawiązywał stosunki i umiał z nich korzystać, poznał się więc z członkami tamecznego komitetu, a ci mu w Heidelbergu przyrzekli taką samą pomoc, jaką miał otrzymywać w Giessen. Widocznie Giessen było mu za skromne, przyjął więc Heidelberg i, zawiadamiając mnie o tem, pragnął mnie także tam ściągnąć, ale odrzuciłem jego propozycję, uważając za wyraźną niewdzięczność odepchnięcie od siebie ludzi, którzy mi ze szczerem i otwartem sercem podali rękę. Banza skrzywił się na postępek Szotarskiego. Natychmiast odesłaliśmy mu jego rzeczy, a ja zająłem moją izdebkę. Była ona czyściutko wydmuchana, umeblowana bardzo wygodnie, z rozległym widokiem na łąki i lasy.

Banza przedstawił mnie kilku profesorom uniwersytetu i kilku członkom komitetu, którym podziękować wypadało. Zaraz potem zapisałem się w poczet studentów lekarskiego wydziału. Rektorem z wyboru był teo-

log, superintendent, profesor Palmier (?), najdziwaczniejsza figurka, jaką zdarzyło mi się widzieć, a o której nieskończone anegdotki puszczano w obieg. Człowieczek malutki, ale pękaty jak kula, na krótkich nóżkach, o krótkich rączkach i krótkiej szyi, na której znów potężna osiadła głowa, łysa, z dwoma pękami włosów na skroniach. Siedział na nizkim fotelu i świszczącym zapytał mnie głosem, czego sobie życzę. Gdym mu moją rzecz wyłożył i pokazał matrykułę warszawską, odpowiedział mi na to, że Uniwersytet, wiedząc już o tem, iż miałem w Giessen pozostać, pytał się w ministerjum, jak ma sobie względem mnie postąpić. Odpowiedziano na to, iż rząd żadnych stawiać nie myśli przeszkód. Mówiąc to, wyjął nagłówek matrykularny z szuflady, sam na nim moje napisał nazwisko i, żegnając mnie, rzekł swoim świszczącym głosikiem: — a więc jesteś pan już przyjęty. Audjencja moja była skończona.

Nazajutrz zacząłem już chodzić na wykłady i bardzo byłem z tego zadowolony, żem wszystko rozumiał. Odtąd wziąłem się ostro do rzeczy i pracowałem codziennie późno w noc, bo też i wykłady w Giessen odbywały się zupełnie inaczej, jak w Warszawie.

Bogactwo niemieckiej literatury medycznej pozwalało profesorowi być tylko komentatorem i przewodnikiem, pomijając szczegóły, które student, wedle wskazówek, sam sobie powinien był znaleźć. Zbliżenie się przyjacielskie z profesorami ułatwiało niesłychanie takie wykłady, i to mi właśnie okazało korzyść małych uniwersytetów niemieckich, w których profesor nie stoi gdzieś na trudno dostępnej wyżynie, lecz jest pod ręką każdego, kto go się pragnie o radę zapytać.

Ponieważ nie było bibljoteki publicznej, profesorowie raczyli mi książek ze swych własnych księgozbiorów pożyczać, a to mnie jeszcze więcej do nich zbliżyło. Tym sposobem uczyłem się poniekąd w familijnem kółku, a to niesłychanie było pożyteczne. Przyjaźń profesorów Vogta, Belcera(?) i Rittgena do śmierci pozostanie mi w pamięci.

W Giessen wzięto już rozbrat z łaciną. Nie miałem jednak ochoty zapomnieć tego, czegom się z niesłychanym mozołem nauczył. Sprowadziłem więc sobie z Lipska dzieło Reimanna o patologji ogólnej, według którego nam Szczucki w Warszawie zaczął ów przedmiot wykładać, i zacząłem je wertować. Ale cóż to za uderzająca różnica! Wszystko w książce Reimanna było jasne, proste i zrozumiałe, bardzo dostępnym napisane językiem, a nasz warszawski pedant wszystko gmatwał i przeinaczał, jakby dlatego, ażeby nas od nauki odstraszyć.

Tak stały rzeczy, gdy się dowiedziałem, że na uniwersytet przybywa dwuch jeszcze Polaków, z którymi też niebawem się zaznajomiłem. Byli to: Lubański z Lubelskiego rodem, i Chrzanowski, Ukrainiec. Pierwszy — bardzo ładny chłopiec, ośmnastoletni, delikatny, jak panienka, nader miły w obejściu i bardzo dobrze wychowany w rodzicielskim domu; jeździł ślicznie na koniu i jeszcze lepiej tańczył; stał się też potem ulubieńcem wszystkich żeńskich towarzystw, a między młodzieżą umiał sobie mir zjednać. Ukończywszy w Lublinie szkoły, zapisał się na wydział prawny w Warszawie, ale w Giessen zaciągnął się do rzędu medyków.

Drugi—Narcyz Chrzanowski był starszy. Istny kozak, wysmukły, czarno zarastający, cienki i smagły; zaniedbany w swoich manierach, zadumczywy, nadmiernie wesoły lub smutny, miał w sobie coś dziko przyciągającego. Wychowanie jego było zaniedbane, cudackie, bo sam mi opowiadał, że, jak się na powstanie wybierał, to go ojciec na rycerza pasował, obserwując przytem ściśle wszystkie średniowieczne formy. Dobry zresztą chłopiec, nie łatwym był w pożyciu; naukowe zaś jego wykształcenie nie uspasabiało go wcale do uniwersyteckich wykładów, do tego stopnia, że śmiech mnie dotąd bierze, gdy sobie przypomnę, jak przekręcał łacińskie i greckie techniczne wyrazy. Zjawił się między nas z ukraińskim teorbanem, na którym, przebrzękując, śpiewał ukraińskie dumki. Zamyślał się często i płakał, lecz, gdy się dorwał

konia lub strzelby, był w swoim żywiole, wesół, gadatliwy, a nawet podrygiwał nogami, jak gdyby chciał wyskoczyć.

W przejeździe poznał się on z młodym synem pocztmistrza von Eifa w Grünbergu i tak się pokochali, że familja von Eifów wszystko zrobiła, co mogła, ażeby go tylko przy sobie zatrzymać. Zapisano go więc do uniwersytetu, jako cudzoziemca, a o kwalifikację nie troszczono się wcale.

Wiadomości z Polski i Francji dochodziły nas nader skąpo; czytywałem tylko Gazetę Frankfurcką, a ta o emigracji we Francji nic nie mówiła, a o reakcji w polityce nadzwyczaj mało. Listy zaś, które od matki otrzymywałem, wszelkie polityczne stosunki przemilczały, jak najzupełniej. Dowiedziałem się z nich, że ojczymowi, po powrocie z Prus, ofiarowano miejsce lekarza ordynującego w szpitalu Ujazdowskim, w tym samym stopniu i z tem samem wynagrodzeniem, jak przedtem, jeśli wejdzie do służby rosyjskiej, ale na to zgodzić się nie chciał. Wolał przenieść się do miasteczka Pilicy w Krakowskiem, o którem w mojej podróży piechotnej wspomniałem, i tam rozpocząć praktykę. Postanowienie to bardzo mnie dotknęło, gdyż ojczym mój był już za stary, ażeby na nowe rzucać się drogi, a po wtóre, do praktyki cywilnej zanadto był ciężkim. Nie przewidywałem niczego dobrego w przyszłości; co się też rzeczywiście ziściło.

Z ciężką troską w sercu poszedłem w odwiedziny do Buddenów w Grünbergu i tam z największą serdecznością zostałem przyjęty. Oświadczono mi wręcz, że mnie będą uważać za syna i że pokoik gościnny stać będzie zawsze dla mnie gotowy. Nie pojmuję rzeczywiście, czem mogłem sobie zobowiązać tych poczciwych ludzi, że ich przywiązanie ani na jedną chwilę mnie nie zawiodło podczas całego mojego sześcioletniego prawie nad Renem pobytu. Zaprzeczże tu teraz, że nie istnieją między ludźmi jakieś niepojęte sympatje!

Tymczasem ruch polityczny nad Renem rozwijał się

żywo; gazeta „Der Freisinnige“ stanęła na jego czele. Całe nadreńske Niemcy zadrżały. W celu bliższego się porozumienia postanowiono na wielką skalę urządzić zebranie w zwaliskach zamku Hambach, położonym w Bawarji nadreńskiej, na górze naprzeciw Heidelberga, z drugiej strony Renu. Banza, Vogt, Werdig i kilku profesorów podążyli na nie, wraz z mnóstwem koryfeuszów liberalnych, między którymi Rottek, Völlkers, Jakób Grimm, Gagern, Jtzstein, Hecker, Struve głównie się odznaczyli.

Zwiedzałem później zwaliska Hambach i znalazłem, z wyjątkiem daleko większego rozmiaru, że były bardzo do zwaliska Rabsztyna pod Olkuszem podobne. Takie same cztery potężne i do znacznej wysokości dochodzące ściany, ustawione w czworobok, bez żadnych na zewnątrz otworów, z jedyną bramą. W tym czworoboku stały zapewnie budynki drewniane, owymi potężnymi murami ubezpieczone, a gdy z biegiem czasu znikły, pozostał tylko czworoboczny przestwór, nader wygodny na zebrania ludowe, gdyż dosyć było zrównać ziemię i postawić mównicę, aby się zabezpieczyć od wiatru, kurzawy, i osiągnąć wszelkie możliwe akustyczne dogodności.

Zebranie było nader liczne, kilkutysięczne. Objawiły się na niem jak najwidoczniej republikańskie dążności. Zrobiło ono ogromne w Niemczech wrażenie, ale też odtąd zaczęła się budzić wyraźniej reakcja, która jednak na moje losy żadnego nie wywarła wpływu.

Pracowałem ogniście i uchodziłem za niesłychanie pilnego, co mi nie przeszkadzało od czasu do czasu zaglądać do knajpy burszów. Grano tam w kręgle, dysputowano, kłócono się i godzono, i nie jeden się tam w mych oczach pojedynek wywiązał; słowem, było jak w owym czasie w każdym uniwersytecie niemieckim, ale nie trafiło się zauważyć nic nigdy, coby moralności i honorowi ubliżać mogło.

Najliczniejszym był fakultet teologiczny, bo też, jak

powiedziałem, każdy wioskowy duchowny musiał przez studja uniwersyteckie przechodzić. Teologowie byli najburzliwszymi, jak gdyby im o to chodziło, ażeby się wyszumieć, zanim, ożeniwszy się z panną, z którą zwykle, będąc jeszcze studentami, się zaręczali, spokojnie na całe życie osiądą w jakim sielskim zakącie, przy bardzo szczupłych dochodach, którymi jednak umieli tak oszczędnie szafować, że im wystarczało nie tylko na własne potrzeby, ale i na utrzymanie synów, których trzeba było do szkół i do uniwersytetu posyłać. Życie uniwersyteckie studentów, pełne najdziwaczniejszych wybryków, zupełnie było dla mnie niezrozumiałe, i, dopókim się nie napatrzył studenterji francuskiej, nie umiałem go cenić. Później dopiero, pod pokrywką szaleństw i przestarzałych form knajpiarskich, odkryłem jego dobre strony; ale o tem powiem obszerniej na właściwem miejscu.

Na niedzielę chodziłem zawsze do Grünberga. Jeżeli dopisywała pogoda, wychodziłem w sobotę wieczorem, a powracałem w poniedziałek rano. Dwie milki prześlicznej drogi, wpośród łąk i gajów, wielką sprawiały mi przyjemność. Towarzyszył mi zwykle pan Narcyz, w którym coraz więcej odkrywałem zalet, chociaż był zawsze dla mnie zagadką, gdyż niczego się nie mogłem dowiedzieć o jego przeszłości. Jego stosunki z von Eifami były zupełnie podobne do moich z Buddenami, a że w małem miasteczku wszyscy żyli bardzo blizko ze sobą, przeto i ja bliżej się z nimi poznałem.

Owo małe miasteczko nie trzeba brać w znaczeniu naszych małych miasteczek. Stało na górze nad głębokim parowem, w którym płynęła rzeczka. Było bardzo porządnie zabudowane, z fontanną na rynku, ciągle zasilaną z rzeczki wodociągiem, starannie utrzymywanym. Był tam powiat z kilkunastoma urzędnikami, kilku zamożnych kupców, kilku emerytów, dwuch lekarzy, aptekarz, sąd, policja, słowem, towarzystwo bardzo przyzwoite. Pocztmistrz von Eif był zupełnie głuchy i trudnił się głównie staraniem około pięknego kawała ziemi, któ-

ry miał pod miastem, a syn jego, trochę letkiewicz, choć dobry chłopak, koniarz i myśliwy, poczthalterją się zajmował. Całe towarzystwo męskie schodziło się codziennie wieczorem, z kreisrathem na czele, do klubu na pogadankę i lampkę wina, bo piwo jeszcze nie było tak jak dzisiaj w modzie. W niedziele przychodziły zwykle i panie z córkami, a wtedy występowała miejska muzyka i rozpoczynały się tany. Prócz tego było kilka większych balików corocznie, na które zjeżdżali się z rodzinami okoliczni dzierżawcy. Na te bale wyprawiała się zwykle karawana studentów z Giessen, a o wschodzie słońca, jakby dla orzeźwienia się po tańcu, powracała piechotą do domu. My dwaj Polacy byliśmy poniekąd miejscowymi, a ja nadto zawołanym tancerzem, mieliśmy przeto nasze stanowisko socjalne. Często, zamiast tych balików, urządzano letnie do lasów wycieczki, a nawet leśne pikniki. Wtedy von Eif i Narcyz udawali się z robotnikami do lasu z kilkoma furami desek. Na polance układano podłogę, zatykano żerdzie, na nie latarnie, i w najbliższą niedzielę całe towarzystwo wylegało z prowjantami. Traktowano się wzajemnie, śpiewano chóralnie i tańczono do upadłego, a starzy tymczasem ciągnęli winko i dawne sobie przypominali czasy, lub wyrzekali na zepsucie obyczajów, śpierając się z liberałami. Znaczny procent uczestników stanowili urzędnicy leśni, a jeszcze większy duchowni ze swemi rodzinami i dlatego też zebrania te ewangelicznemi zwano.

Już to przyznać musiałem, że stosunki rodzinne moich nadreńskich przyjaciół nic nie pozostawiały do życzenia. Przez cały bowiem czas mojego między nimi pobytu nie słyszałem nigdy o żadnych skandalicznych zajściach, o złych ojcach lub matkach, bo też cały układ towarzyski temu na przeszkodzie stawał, a stosunki matrymonialne w ten sposób obyczajowo ujęto, iż małżonkowie musieli doskonale poznać się ze sobą, zanim sobie na ślubnym kobiercu ręce podali. Było to dla mnie rzeczą niesłychanie ciekawą, w porównaniu z tem mianowicie,

co później we Francji widziałem. Przedewszystkiem zauważyć trzeba, że dorastające dzieci równie, jak u nas, wychowują się wspólnie. Nikomu na myśl nie przychodzi, że dwie płcie od siebie oddzielać potrzeba w przewidywaniu, że erotyczne myśli mogą w ich umysłach się zrodzić. Nie było, jak we Francji, osobnych pensjonatów dla chłopców i klasztorów dla dziewcząt, i wszystko chowało się razem wśród dnia jasnego pod okiem rodziców i społeczeństwa całego. Gdy później wykształcony młodzieniec pannę sobie upodobał i jej uzyskał wzajemność, to się jej oświadczał i byli już narzeczonymi, a jeżeli wybór nie znajdował ze strony rodziców oporu, to narzeczeni stawali się już dziećmi obudwuch rodzin, żyli ze sobą, jak brat i siostra, używając w tym zakresie wszelkiej możebnej wolności. To trwało długi czas, nieraz dopóki pan młody nie dorobił się kawałka chleba, a jednak byli sobie wierni, a chociaż się zdawało, że się rozchodzili, to jednak przypadki takie, do wyjątkowych się zaliczały. I tak, znałem np. pewnego djetarjusza w służbie administracyjnej, który, będąc jeszcze w uniwersytecie, zaręczył się z panną i już trzynasty rok mijał, a ożenić się nie mógł. Ona zwiędła, on wyłysiał; widziałem ich, jak chodzili spacerem do lasku, cierpliwie lepszych czekając czasów. Dla majątku nikt się nie żenił w sferach, w których żyłem, bo go nikt nie miał. Prędzej dla wpływów, ale i to nie dopisywało, gdyż protekcje niesłychanie były ograniczone, słowem, decydowały głównie osobiste sympatje, nie krępujące bynajmniej ani jednej, ani drugiej strony, które wtedy dopiero do nierozerwanego prowadziły związku, gdy się okazało, że na nie stale można rachować. W jaki sposób ten stosunek narzeczeństwa uwydatniał się w życiu towarzyskiem, zwłaszcza w mieście uniwersyteckiem, owym steku męzkiej i żeńskiej młodzieży, jak się odbijał w towarzyskich formach, łatwo każdy sobie wyobrazić potrafi. Dla mnie zaś było to zupełną nowością.

Na ferje lipcowe przeniosłem się do Grünberga. Po-

nieważ znudzony byłem jednostajnością moich medycznych studjów, przeczytałem kilka powieści Walter Scotta, a potem wziąłem się do Göthego i Schillera, którzy całą ówczesną publiczność do tego zajmowali stopnia, iż na dwa rozdzielała się obozy, przyznając jednemu albo drugiemu pierwszeństwo. Najwięcej intrygował ją Faust, łamano sobie bowiem głowę, co w nim chciał Göthe rzeczywiście powiedzieć, szukano niesłychanie głęboko, a wątek leżał na wierzchu. Nikt nie przejmował się tą myślą, że wiedza ludzka jest ograniczoną i że zrozumienie naszego do świata stosunku jest właśnie pierwszorzędnem dla człowieka zadaniem, bo, jeżeli noza wytkniętą granicę będzie chciał umysłem swoim przenikać, to albo musi się przed Bożą ukorzyć potęgą, albo się djabłu pychy zaprzedać. Materjalizm filozoficzny nie podoła Faustowi i dlatego też, o ile mi wiadomo, w społeczeństwach katolickich łatwiej z nim sobie dano radę. Bardzo obszerne w tym względzie prowadziłem dysputy z kandydatem teologji Hauptem, który tymczasowo mieszkał w Grünbergu, przy matce emerytce po sędziu okręgowym. Miała ona oprócz niego dwie dorosłe córki: starszą Idę i młodszą Elizę, której nie znałem dotąd, gdyż bawiła przy familji w Darmstacie. Rozmowy nasze były dla mnie bardzo przyjemne i pouczające, zwłaszcza, że na teologiczne zbaczały pole, rezultaty bowiem ówczesnych poszukiwań historycznych nie zgadzały się wcale z ortodoksją duchowną, a stąd poszło, że duchowieństwo protestanckie rozdzieliło się także na dwa obozy: pozytywistów i supernaturalistów, zacięte między sobą prowadzących spory, które i mnie bardzo interesowały, gdyż mimowoli wszedłem w towarzystwo pastorów.

W Grünbergu utworzył się klub szachistów, do którego należało kilku okolicznych duchownych, a że klub ten zgromadzał się koleją u składających go członków, a ja należałem do ich liczby, wszedłem więc w grono pastorów. Znalazłszy tam jak najlepsze towarzystwo, z przyjemnością do niego przylgnąłem.

Czas schodził mi bardzo mile. Raz przechodząc przez podwórze domu, gdzie mieszkali Hauptowie, spostrzegłem młodą pannę, trzymającą małe dziecko na ręku. Ach! jakaż ona piękna, pomyślałem sobie i domyśliłem się zaraz, że to musi być chyba siostra młodsza mojego kandydata teologji, która wróciła do domu. I rzeczywiście tak było. Bardzo była ładna, płowa blondynka, o ślicznych niebieskich oczach, z długiemi rzęsami, cery alabastrowej, kształtna, wysmukła, istna Grötchen, odziana z całym naiwnym wdziękiem dziewicy, jaką nam Göthe w swoim Fauście przedstawił. Ukłoniłem się jej grzecznie, nie będąc jednak pewnym, kogo mam przed sobą; przeszedłem obok niej. Przyszedłszy do siebie, dowiedziałem się od pani Budden, że w domysłach moich się nie pomyliłem. Przez cały dzień nie mogłem się pozbyć wrażenia, jakie na mnie wywarła, a gdym zaczął czytać Egmonta Göthego, Klärchen jego ulubiona stanęła przede mną w postaci panny Elizy.

Nazajutrz poszedłem w odwiedziny do Hauptów i, mojej pannie przypatrzyłem się bliżej. Że ładna, to ładna, pomyślałem sobie, bo wdziękiem swoim jakiś urok roztaczała naokoło siebie. Szkoda tylko, że głos jej głębcki, stłumiony i trochę gardlany psuł nieco ogólną harmonję, a pewna powolność, w zgrabnych wprawdzie bardzo ruchach, brak energji zdradzać się zdawała. Bądź co bądź podobała mi się bardzo i odtąd u Hauptów byłem prawie codziennym gościem. Kandydat dotrzymywał placu, rozmawialiśmy dużo, czytali, spierali się i czas nam mile przechodził; a że obie panny bardzo były wykształcone, a prócz tego Eliza wcale dobrze grała na fortepjanie, a Ida śpiewała niezgorzej, więc i na muzyce nam nie zbywało. Gdy nam książek zabrakło, puszczaliśmy się obadwa na improwizowanie powieści, które potem ostrej poddane były krytyce.

Tymczasem zbliżał się czas powrotu do Giessen. Na kilka dni przedtem, spotkała nas niespodzianka, która poczciwych Buddenów wielce ucieszyła. Oto ich sio-

strzenica panna Matylda Hoffman, którą pani Budden wychowała od dziecka, przyjechała w odwiedziny znienacka. Przybył nam w domu bardzo miły towarzysz. Była to panna w wieku Elizy. Równie kształtna, jak tamta, ale pełniejsza i silniej zbudowana brunetka, z lasem prześlicznych czarnych włosów na głowie, ze ślicznemi oczami, o spojrzeniu łagodnem, wesołem, ale energicznem, i ciągłym uśmiechem na ślicznie przykrojonych ustach. I ona była piękna, ale inaczej jak panna Eliza. Było coś południowego w jej całej postaci; kiedy Eliza była czystej krwi Niemką. Matylda była wesołego usposobienia, jasno na świat patrzała i czarnych na nim nie szukała plamek; szła w życie pewnym przed siebie krokiem, książkowego wykształcenia nie miała, ale wiele rozumu, sprytu i coś takiego, co do niej wzbudzało ufność. Z jej przybyciem pełno było wesołości i śmiechu w domu Buddenów, a w przeciągu dni kilku zupełnie nas oczarowała. I ona mi się podobała bardzo, ale zachodziło pytanie, która z obu więcej? Zdawało mi się, że panna Eliza, ale spostrzegłem, że dosyć mi było dzień cały przebyć z Matyldą, a obraz pierwszej jakoś się w mgle przede mną rozpływał. Kochliwej natury nie miałem, ujmowały mnie bardzo estetyczne przymioty, ale potrzałem na nie, jak na piękny obrazek. Szukałem w kobiecie zawsze zalet moralnych, było to bowiem wynikiem mojego wychowania, a tutaj wybór był wcale nie łatwy. Serce więc moje było jakby wahadło pomiędzy dwoma biegunami magnesowymi; żaden z nich nie trzymał je długo. Gdym się z tego wyspowiadał w liście do Szotarskiego, odpowiedział mi, drwiąc sobie ze mnie, że się w żadnej nie kocham, tylko z obiema się bawię. Niechaj i tak będzie, pomyślałem sobie, jednakże postanowiłem z ogniem nie igrać. Powrót do Giessen przypadł mi niesłychanie w porę.

Ze świeżym umysłem przystąpiłem znowu do pracy. Spostrzegłem niebawem, że w tej medycynie giesseńskiej jakiś inny przebija odcień, aniżeli w tej, której przed-

smak przeczuwałem w Warszawie. Było tam wprawdzie mnóstwo teorji i ogromna doza filozofowania, ale już zaczęły wychodzić na jaw zasadnicze fakty, na których późniejsze poglądy się miały oprzeć. Fakty te, uzyskane rozwojem nowszej chemji, anatomji i fizjologji przedstawiały chorobowe objawy w innem o wiele świetle, i stanowiły ogromny postęp, gdyż zaczął się już budzić krytyczny na rzeczy pogląd, któremu my w Warszawie byliśmy jeszcze obcy. I nie dziwota, gdyż nasz uniwersytet warszawski był niesłychanie młodym, odosobnionym od wszelkiego ruchu naukowego i dopiero rozwijać się zaczął, gdy go zabito; z tem wszystkiem, jeśli tu w Giessen czysto medyczne kursa nierównie wyżej sięgały, to u nas w Warszawie przyrodnicze przygotowanie niesłychanie było donioślejsze, jakby w przeczuciu kierunków, które znacznie później dopiero uwydatniały się w całym swym blasku.

Podczas mojego w Giessen pobytu wyłoniła się też homeopatja, którąby chyba za ostatni podryg spekulacyjnego w medycynie kierunku można poczytać. Wychodziła ona z tej apriorycznej zasady, nibyto na doświadczeniu opartej, że każdą chorobę, wywołaną sztucznie zatruciem przez wielką dawkę jakiegobądź lekarstwa, z pewnością się leczy, dając systematycznie maleńkie dozy tegoż samego lekarstwa. Było to więc twierdzenie z góry powzięte, z którego następnie cała medycyna praktyczna rozwinąć się miała, twierdzenie, które oczarowało wszystkich nieuków i wszystkie płytko sięgające umysły; bo pocóż tu sobie tyle pracy zadawać nad wyuczeniem się wszystkiego, co po sobie zostawiły wieki, kiedy dosyć jest zatruwać czy to ludzi, czy to zwierzęta arszennikiem, belladonną, rtęcią, strychniną i t. p., patrzyć w jaki się sposób każde zatrucie objawia, a potem, jeśli coś podobnego w praktyce lekarskiej się zdarzy, to tylko dać, ile możności, najmniejszą dozę tej samej trucizny jako lekarstwo.

Wobec takiego kierunku cała dotychczasowa nauka

lekarska stawała się farsą, tracąc jak najzupełniej swoją rację bytu; bo pocóż tu oddawać się anatomji, fizjologji, patologji i mnóstwu innych gałęzi wiedzy, kiedy w praktyce nie mogą mieć one żadnego zastosowania? Szmermel jednak, przez Hahnemanna rzucony, miał niesłychany rozgłos i rozdzielił publiczność na trzy obozy: na ludzi głęboko wnikających w rzeczy, na zapaleńców, wierzących, że nowe jakieś wschodzi nam słońce, i na ludzi na medycynę dotychczasową srodze zagniewanych za to, że nie jest wszechpotężną i że nie odkryła dotąd średniowiecznego eliksiru długiego życia oraz uniwersalnego lekarstwa na wszystkie ludzkie niemoce.

Homeopatja jest nihilizmem w dziedzinie medycznej; garnie do siebie wszystkich, zniechęconych lub zrozpaczonych, jako swoich adeptów; a że na nich nie zabraknie nigdy, może więc być spokojną o siebie na długie lata.

W pewnem wielkiem mieście żyło dwuch lekarzy znajomych od studenckiej ławki. Jeden z nich odznaczał się wielką pilnością i brał ciągle złote medale, drugi zaś zaledwie przelazł przez egzamina. Otóż do ostatniego nie można się było dotłoczyć, a pierwszy zaledwie zarobił na życie. Zniecierpliwiony tem biedak raz, gdy był u swego szczęśliwego kolegi, zapytał go po przyjacielsku o powód jego powodzenia, mówiąc: wiesz przecie, że mnie miano za uczonego, a ty wcale orłem nie byłeś, skądże więc ta publiczności niełaska?

Na to gospodarz pociągnął gościa swego do okna i zapytał nawzajem: jak myślisz, wiele też obecnie przez plac przechodzi osób?

— Około stu, odpowiedział, zdziwiony.

— A wiele też pomiędzy niemi światłych, a wiele ograniczonych?

— O, tych pierwszych może być chyba trzech na sto.

— A to widzisz, mój drogi, ci ostatni należą do twej klienteli, a reszta to moja.

Ponieważ rozpisywanie podatków oraz ich ściąganie należało do obowiązków Buddena, mogłem więc nie-

co rozpatrzyć się w stanie ekonomicznym kraju i przekonać się zarazem, że wcale nie wyglądał wesoło. Odosobnienie polityczne i ekonomiczne, utrudnienie komunikacji, brak przemysłu i handlu zwaliły na rolnika cały podatkowy ciężar, tak, iż stękał pod nim nieborak, bez żadnej nadziei pomyślnej odmiany. Stąd też zniechęcenie było ogromne i popęd do emigrowania do Ameryki ogarnął nietylko tłumy wieśniacze, ale i średnią klasę mieszczańską, nie widzącą przed sobą przyszłości. Wskutek tego język angielski był w modzie; uczono go się z gorączkową niemal usilnością, a pisma o Ameryce, jej zwyczajach i jej sposobie życia były niezmiernie poszukiwane. Wiedziało o tem pismo perjodyczne „Ausland“; starając się zadosyć uczynić potrzebie, niesłychanie się rozpowszechniło. Czytywałem go też stale, gdyż trzymał je Budden, będąc wielkim zwolennikiem nowoamerykańskiego porządku, równie jak wszyscy chłodniejsi liberaliści, którzy byli zwątpili o przyszłości nietylko Niemiec, lecz i Europy, przewidując tylko wojny, grabieże, spustoszenia i ucisk. Budden był do tego stopnia zniechęcony, że postanowił dwuch najstarszych synów do Ameryki przesiedlić i dać im takie wychowanie, iżby tam odrazu dali sobie radę. Po skończeniu kilku klas oddał najstarszego do wielkiego warsztatu ciesielskiego w Mannheim, gdzie budowano statki do spławu na Renie. Poniósł znaczne koszta na kształcenie go w języku angielskim, oraz w odpowiednich naukach technicznych. Był to śliczny, mocno zbudowany chłopiec, który później dopiero się po mnie w domu rodzicielskim pokazał. Młodszy miał być kupcem i miał być oddany do szkoły handlowej, w tym samym celu. Pani Budden zalewała się łzami, ale stary był nieugięty i o szczęściu dla swoich dzieci marzył pomiędzy Jankiesami; tak się też swojej Ameryki wyuczył pod każdym względem, że był w niej jak w domu.

Nadeszła zima, a z nią napełniło się Giessen gośćmi okolicznemi. Nastały wieczorki i bale, bardzo skromne

wprawdzie pod względem wystawy, ale błyszczące ochotą i dobrem towarzystwem. Studenci dawali zwykle dwa bale doroczne dla miasta; miasto odwdzięczało się nawzajem. Było więc gdzie bawić się i tańczyć. Na wszystkie te zgromadzenia byłem zawsze proszony. Stawało niekiedy po 70 par do kotyljona. Męski ubiór balowy składał się z czarnego fraka, czarnej kamizelki z różową lub karmazynową podkładką, białego muślinowego krawata, białych spodni i białych rękawiczek. Kobiety występowały zawsze strojno, chociaż szwaczka, modystka i fryzjer były to osobistości w Giessen nieznane. Każda panna sama sobie wystarczała, kosztownych materjałów nie używano, a pomimo tego ubiór stosował się do mody i odznaczał się zawsze swoją oryginalnością, bo strój kobiecy jest sztuką do tego stopnia, że wartoby osobną muzę wydelegować dla niego, ale zbytnie hołdowanie modzie odbiera mu wszelką estetyczną wartość i sprowadza go do rodzaju głupiej rutyny. Oprócz tych balów bywały jeszcze i inne, to Strauss wtedy ze swymi walcami zabłysnął na horyzoncie i po całych Niemczech swoją obwoził orkiestrę. Otóż korzystano z tego ile razy zjawił się w okolicy. Składano się na muzykę dosyć wprawdzie kosztowną i za nią puszczano się w tany. Odwiedzały nas także często dramatyczne wędrowne trupy, a że nie było stałego teatru, urządzano go naprędce w starym arsenale i to w sali, która służyła studentom do fechtunku, gdyż szermierka była bardzo uprawianą. Pojedynki na rapiry stały na porządku dziennym. Stąd rzadko spotykało się którego ze starszych burszów, któryby nie miał kresy przez fizjognomję, bo też przy pojedynku tak się ubierano, że twarz była jedynie odkrytą.

Widząc nas tak hulających, niejeden mógł był twierdzić, że tańcujemy na wulkanie, albowiem horyzont polityczny zaczynał się zaciemniać i groził burzą.

Mowy i artykuły dziennikarskie do niczego nie prowadziły, rządowe zaś władze zdawały się bardzo wy-

raźnie przemawiać: „gadajcie sobie, co chcecie, a my swoje będziemy robić“. Zaczęto się więc burzyć, umawiać i myśleć o czynie do czego organizacja stowarzyszeń burszów po uniwersytetach (Burschenschaft) i mnóstwo istniejących klubów liberalnych doskonałym były materjałem. Widzieliśmy ciągle jakieś nowe uwijające się między studentami figury, które wyglądały bardzo na agentów ruchawki. Atmosfera była bardzo ciężka, a znałem się z nią dobrze z Warszawy. Opowiadano sobie różne rzeczy do ucha; naznaczano nawet dzień ogólnego powstania. Jakiś pan Grünfeld, ni to Polak, ni Niemiec zjawił się też w Giessen, twierdząc, że napisał historję powstania polskiego i że zbierał przedpłaty. Był on bardzo ruchliwy; mnie się bardzo nie podobał. Narcyz stronił od niego, ale Lubański bardzo się z nim pobratał.

Było to przed Wielkanocą 1833 r.. Chrzanowski i ja wybraliśmy się do Grünberga na święta. A tu naraz gruchnęła wiadomość, że we Frankfurcie wybuchnęły rozruchy. Rozgłoszono poprzednio między wtajemniczonymi, że z Bawarji miało dążyć 6000 zbuntowanego wojska na Frankfurt, że burszenszafty we wszystkich miastach uniwersyteckich miały dać do powstania hasło, że we Francji i we Włoszech miała rewolucja wybuchnąć i że czekano tylko z Frankfurtu na sygnał. Zebrało się też tam około 80 zbrojnej młodzieży akademickiej, młodych kupców i urzędników, oraz Polaków, między którymi znalazł się Lubański. Uderzyli znienacka na ratuszowy odwach i rozbroili go z łatwością, ale też na tem wszystko się skończyło, bo nikt się w mieście nie ruszał, gdy tymczasem nadciągnęły dwie kompanje policyjnej straży, otoczyły i rozpędziły spiskowych. W parę godzin potem policja pozamykała rogatki i zaczęła sprzysiężonych wyławiać. Szczęściem, że Lubańskiego przewieziono przez rogatki w zaszpuntowanej beczce. Wystawiwszy na mnóstwo nieprzyjemności znajomych i przyjaciół, którzy mu pomagali, do Francji nareszcie się dostał. Opowiadał mi potem w Paryżu, że się tułał po lasach przez dni kilka

BIBLJOTEKA SZKOŁY GŁÓWNEJ GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO

w Nadreńskiej Bawarji i że doszedłszy nad ranem do francuskiej granicy spostrzegł z góry, lasem obrośniętej, człowieka, tłukącego kamienie; że zeszedł do niego i, trzymając w jednej ręce talara, a w drugiej pistolet, zażądał, aby go przeprowadził przez kordon, dając do wyboru talara lub kulkę. Niemiec wybrał talara i przez knieje doprowadził go do samej granicznej linji, ale, gdy nasz zbieg na ziemi francuskiej zaledwie sto kroków zrobił, zjawiło się dwuch żandarmów bawarskich i dwie za nim wysłali kulki, które mu mimo nosa gwizнęły.

Tak zwany Frankfurter Krawal ogromne zrobił wrażenie. Dopiero na trzeci dzień doszły nas szczegóły, bo w Grünbergu natenczas listowna tylko komunikacja istniała. Otóż rozmawiając o tem, co się stało, i wielu domyślając się rzeczy, wyszedłem z Chrzanowskim na frankfurcką szosę do gaiku z kasztanów i zaczęliśmy tam dla zabawki do celu z pistoletu strzelać. Naraz zbliżył się do nas jakiś nieznajomy i zaczął po polsku przemawiać, gdyż słyszał nas ze sobą rozmawiających. Był bardzo porządnie ubrany, ale tak zakurzony, brudny i zmizerowany, że wyglądał jak żebrak. Było to już blizko w trzy doby po frankfurckim wybuchu, ale ani nam na myśl nie przyszło, ażeby ten, który z nami rozmawiał, mógł w nim mieć udział, bo przecież nie byłby na wschód uciekał, gdzie lada chwila mógł być pojmany. A jednak tak było.

Dziwnej bardzo dowiedzieliśmy się od niego historji. Przejeżdżając z Galicji do Paryża, dowiedział się od jakiegoś Polaka, zamieszkałego w Hanau, że we Frankfurcie coś się gotuje. Gdy tam przyjechał, miał zamiar zaraz nazajutrz pocztą w dalszą udać się drogę, nie mając wcale ochoty być zamieszanym w obce mu sprawy. Stanął na noc w jakimś drugorzędnym hotelu i, posiliwszy się nieco, wyszedł na miasto. Gdy lampy były już wieczorem pozapalane, znalazł się na pięknej szerokiej ulicy i zauważył tam jakiś ruch niezwykły. Wtem padło kilka strzałów, a za nimi coraz więcej. Lud zaczął uciekać. Odsłoniła się bójka, kilku już leżało na ziemi. Naraz zoba-

czył garstkę w czerwonych czapkach Polaków, przypartych przez siłę przeważającą. Krew mu zawrzała. Chwyciwszy karabin, na ziemi leżący, stanął w szeregu. Lecz, gdy ich rozpędzono i trzeba było uciekać, znalazł się w ciemnej i pustej jakiejś ulicy, nie wiedząc, gdzie się ma obrócić, gdyż nazwy nawet swojego hotelu zapomniał, a co gorsza, nawet po niemiecku nie umiał. Szedł więc na los szczęścia i za rogatki wyszedł. Widział po drodze, jak policja prowadziła pojmanych; mógł więc łatwo przewidzieć, że i z nim to samo się stanie. Wyszedłszy za miasto, chciał jeszcze powrócić, ale już nie wpuszczano nikogo. Puścił się więc na pierwszą lepszą drogę za miastem i odtąd tułał się przez dwa dni, lękając się co chwila przyaresztowania. Szczęściem, mówił nam, że mam paszport przy sobie, ale z rzeczami w hotelu i z pieniędzmi, to chyba się nie zobaczę. Biedak nie wiedział, gdzie jest i kogo o drogę pytać. Zamiast dążyć na zachód ku Francji, tak jak Lubański, poszedł w przeciwnym kierunku. Nie wiedzieliśmy zupełnie, co mu mamy radzić, ale nakarmiwszy go należycie i wsparłszy kilkoma złotymi, wskazaliśmy mu najbliższy kierunek ubocznemi drogami do Renu i, wyprowadziwszy go na trakt, pożegnaliśmy się z nim w przekonaniu, że pewnie go gdzieś żandarmi pochwycą.

Tak się tedy skończyła owa Frankfurcka awantura. Rozczarowanie było ogromne. Rozwinęła się natychmiast ciężka reakcja. Dla Metternicha nic pomyślniejszego wypaść nie mogło, jak te wybryki głów zagorzałych. Padło to całym ciężarem na liberałów, pomimo że z powstańcami wcale nie sympatyzowali. Znając usposobienie Niemców dokładnie, nie przypuszczali oni nawet, ażeby krewkie występowanie z bronią w ręku, mogło poruszyć masy. Cały ruch dotychczasowy uważali jako przygotowanie i wyrobienie opinji, a nie jako pobudkę do bezpośredniego działania.

Aresztowano natychmiast kilkaset osób. We wszystkich krajach związkowych pozakładano sądy śledcze i

rozpoczęto badania na olbrzymią skalę, pod bezpośrednim Metternicha wpływem. W Giessen przyaresztowano dziesięciu studentów, osadzono pod strażą i sprowadzono dwa bataljony wojska dla utrzymania porządku, który ani na chwilę zakłóconym nie był. Sędzia uniwersytecki Georgii został sędzią śledczym, a był to człowiek ze wszechmiar podobny do naszego w Warszawie Szymanowskiego, którego powieszono. Obawiałem się, sądząc po warszawsku, że i nas zaczną turbować, a naostatek wydalą, ale omyliłem się jak najzupełniej. Zostawiono nas na oku i wywiadywano się o całem naszem zachowaniu się, podczas gorących dni frankfurckich. Budden i von Eif musieli pod przysięgą zeznać, żeśmy w chwili wybuchu byli w Grünburgu. Wiedziano dokładnie o naszym wędrownym Polaku, ale nas nie zaczepiano. Napatrzyłem się ich śledztwu oraz ich prześladowaniu, na które w niebogłosy krzyczano.

Nasłuchałem się co niemiara w Polsce i we Francji przytyków robionych gospodyniom niemieckim, że są kucharkami, praczkami i służącemi w domach swych mężów, zababranemi w gospodarstwie domowem, istotami zgnębionemi na świecie, pozbawionemi wyższego polotu. Aż mi wstyd rzeczywiście, że muszę stanąć w ich obronie przeciw tego rodzaju bredniom, wygłaszanym najlekkomyślniej bez żadnej znajomości stosunków. Że są gospodyniami więcej jak wszystkie inne w Europie kobiety, że sobie z gospodarstwa domowego osobny fach życiowy wyrabiają, że je tak traktują, jak ich mężowie swoje urzęda, swoje kantory lub swe fabryki, że je podniosły i uszlachetniły pewnym zasobem naukowej wiedzy i ozłociły pewnym estetycznym polorem, to nie podlega żadnej wątpliwości, chociaż to może poniżającem wygląda w oczach owych turystów, którzy podróżują dla napatrzenia się osobliwościom, ale nie wiele w swoich podróżach się uczą. W ich przekonaniu Niemka jest albo Grätchen, albo kucharką, albo mamką nareszcie, bo i to ją nawet w ich przekonaniu poniża, że każda własną

piersią karmi swe dzieci. Na życie średnich klas niemieckich nie można się zapatrywać z punktu widzenia polskiej szlachetczyny, a jeżeli je poznasz, to życie to zupełnie ci się inaczej przedstawi, jak je nasza opinja publiczna pojmuje.

W kilka tygodni po mojem zbliżeniu się z Buddenami przypadało wielkie u nich pranie. Nie mogło mi się w głowie pomieścić, dlaczego przygotowywano się do niego z wielkiem zajęciem. Wszakże i u nas w domu odbywały się wielkie prania, a nikt sobie nic z tego nie robił. Ale tu musiało być inaczej, gdyż w Niemczech Nadreńskich ogromne mają zasoby bielizny i pierze się tylko dwa razy do roku: na wiosnę i na jesieni. W domu, dobrze zagospodarowanym, każdy ma po kilkadziesiąt koszul, a pończochy to już tam nieledwie na setki par się liczą. Otóż stosy brudów uzbierane przez pół roku, pakują się na wozy i odwożą do pralni za miasto, a gospodyni wraz z dorosłemi córkami w osobnym pokoju przy pralni się instaluje. Tutaj sortuje się bieliznę, praczki miejscowe piorą, — panie dozorują i rządzą; potem bielizna w wodzie bieżącej się płucze, suszy i blichuje się na łąkach, gdyż takowe pralnie nad brzegiem strumyka zawsze są urządzane, magluje i znowu wozami odstawia do domu. Pozwolono mi temu wszystkiemu bliżej się przypatrzyć. Wszelka bielizna w owych czasach była domowej roboty, przetrwały bowiem jeszcze ślady owego zwyczaju, że w domu się przędło i płótno robiło. Widywałem stare babunie ciągle przy kołowrotkach, a gdy szły w odwiedziny, to kołowrotki za niemi noszono. Służby żeńskiej utrzymywano jak najmniej, i to tylko jako pomocnice do ciężkiej roboty, wszystko zaś rodzina robiła sama. Gotowała sama pani domu, albo jej kuzynki i córki; w ostatnim razie co tydzień mieniały się w zarządzie. Ale też i kuchnia była czysta, wietrzna, umieszczona zawsze w obszernym i pokaźnym pokoju, jasna, a nawet ozdobna. Widywałem także, ale to już w miastach, w zamożnych rodzinach, ściany w kuchniach kaflane,

podłogi co 2 dni myte i firanki w oknach. W takiej kuchni pani, ładnie ubrana, nie odrywając się od swojej roboty, spotykała się nieraz ze swemi przyjaciółkami. W kuchniach były szafy pełne błyszczących naczyń i mnóstwa przyrządów do siekania, do obierania, pieczenia i t. p. Przy każdej kuchni była osobna kucharka do odstawiania zbrukanych naczyń, a wszędzie ład i wesoły porządek. Nie były to kuchnie, ale rzeczywiste laboratorja, starannie utrzymane do preparowania pokarmów, ze wszelkiemi nieraz możliwemi ułatwieniami i ulepszeniami według postępu domowej techniki, do której należały także składy i piwnice. Od najmłodszych lat kształciła się w gospodarstwie domowem panna, nietylko praktycznie, ale nawet z pewną świadomością rzeczy, co się robi i dlaczego się robi, albowiem niemiecka literatura posiadała kilka dzieł o technice domowej i kuchennej. Były to traktaty z nauk przyrodzonych, zastosowane do domowego gospodarstwa, którego się uczy przyszła gosposia, podobnie, jak rolnik, zaprawiający się do gospodarstwa wiejskiego, uczy się w szkole agronomicznej. Wie ona już doskonale, dlaczego ogień się pali, dlaczego piwo kwaśnieje, dlaczego przez wpływ zimna kartofel słodyczy nabiera, jak się to robi, że kapusta kiśnie, a mąka w ciasto się obraca i t. d. Wszystko ją też zajmuje, a ta nudna i jednostajna rutyna dla nieświadomego umysłu, zamienia się na rzeczywiście umysłową strawę. Znałem też kobiety w Niemczech, które były zachwycone swym domowym zawodem, bo w nim nietylko kuchnia, lecz wszystko, co gospodynie i matki rodziny zajmuje, przedstawia jej obszerne pole do myślenia. Przypominam sobie z jakiem to zajęciem raz panna Matylda mówiła mi o kartoflach, o ich historji, o ich wprowadzeniu w życie, o ich pożywności, o różnych podawaniu ich sposobach, o przetworach, jakie z nich otrzymywać można, i jak mi wdzięczną była, gdym jej pod drobnowidzem pokazał kartoflaną mączkę i objaśnił różnicę od pszennej, kukurydzowej i ryżowej.

Wszystko to nie przeszkadzało ówczesnym pannom trudnić się igłą i estetyczną robotą. Każda musiała sobie wszystko nietylko uszyć, ale wyhaftować. Roboty na kanwie za moich czasów były na porządku dziennym, a bywały tak ładne, że można je było z najpiękniejszym gobelinem porównać. Każda panna umiała śpiewać, bo śpiew w szkołach żeńskich był obowiązujący; przeciwnie zaś gra na fortepjanie była dosyć rzadką i oddawano jej się tylko przy wybitnej zdolności. Nie wchodzę w to o ileby nasze polskie panny i matrony wyszły zwysięsko w porównaniu z powyższą sylwetką, ale jest wyraźnie niesłusznie rzucać kamieniem na Niemki, nie znając ich wcale. Wprawdzie i one zmieniły się dzisiaj, bo cały stan społeczny się zmienił, lecz zawsze bardzo wybitne pozostały różnice w pojęciach o stosunku kobiety do jej otoczenia. W kraju niezamożnym, wyłącznie rolniczym, pracowitym i oszczędnym, gdzie nie było ani nędzy, ani bogactwa, lecz niesłychanie wiele zdrowego rozumu i wysoki stopień oświaty, stosunek kobiety w rodzinie nie mógł się rozwinąć inaczej, a jakkolwiek wszystko obecnie w Księstwie Heskiem się zmieniło, fabryki i banki powstały, jak grzyby po deszczu, a za niemi i nieodstępny zbytek, trudno jednak przypuścić, ażeby to, co było przed 60 laty, miało doszczętnie wygasnąć.

Wobec nadchodzących ferji uniwersyteckich postanowiłem puścić się w dłuższą podróż piechotą nad Renem, na wzór tej, jaką odbyłem w Krakowskiem, a łatwo mi to było, miałem bowiem mnóstwo znajomych, którzy mnie zapraszali do siebie. Wyszedłszy bardzo rano z Giessen, zatrzymałem się w Garbenheim, gdzie Göthe pisał swojego Werthera, kombinując swój własny romans z losami zapaleńca Jeruzalema, który sobie z miłości w łeb strzelił. Zapewniano mnie, że w okolicy żyła dotąd jeszcze rodzina Lotty.

Na obiad trafiłem do Wetzlaru, bardzo ciekawego miasteczka, gdzie rezydował trybunał Rzeszy do załatwienia sporów pomiędzy związkowemi krajami, gdyż

wojna pomiędzy nimi była zakazana. Gmach trybunalski oraz piękna katedra gotycka warte były uwagi.

Na noc uszedłszy cztery mile drogi, zaszedłem do Brauenfels, dawniejszej stolicy udzielnego grafa, gdzie, obok pysznego średniowiecznego zamku, na wierzchołku foremnie czubatej góry zabudowało się miasto, przyparte do skały, jakby gniazdo sokole. W kilka dni następujących, idąc bardzo powoli, przeszedłem prześliczną dolinę Lahnu aż do Koblenz, silnej fortecy pruskiej, której część panująca nad Renem w rzeczywisty wprawiła mnie podziw. Dalej szedłem na południe ku Moguncji, prześliczną doliną Renu, którą zachwycają się turyści, przeprawiając się raz lub dwa razy nawet codziennie przez rzekę dla zwiedzenia wszystkiego, co było godne widzenia na obu brzegach.

Nie minąłem ani jednej ruiny starego zamku, ani jednej chaty, do której jakaś była przywiązana legenda, ani jednego miejsca historycznego, gdzie jakieś ważne zaszło zdarzenie. Krzyczałem na całe gardło przy skale Lurlej pod Oberwesel, jak to było wówczas w zwyczaju: „Wie heisst der Büurgermeister von Oberwesel?“ a echa odpowiadało mi siedm razy Esel, Esel, Esel i tak dalej.

Doszedłem naostatek do Bingen, aż do owej wieży, stojącej wśród prądu na wyspie, gdzie myszy miały zjeść jakiegoś biskupa, dowiedziawszy się zapewne od naszych jak im nasz Popiel smakował. Zatrzymałem się u pani Stark, bogatej wdowy, z której synem w Giessen kolegowałem. Tu przepędziłem kilka dni, robiąc liczne w okolice wycieczki do sławnych winnic po drugiej stronie Renu leżących, opychając się winogronami, które wtedy już prawie były dojrzałe. Ani mi do głowy nie przyszło wówczas, że byłem na tem miejscu właśnie, gdzie miał stanąć w kilkadziesiąt lat później pomnik dla cesarza Wilhelma, jako zdobywcy Alzacji i Lotaryngji. Zapraszano mnie na winobranie, odbywające się nad Renem z wielką uroczystością, ale musiałem się śpieszyć z powrotem do Giessen.

Cały dzień mi przeszedł na przejściu niewielkiej przestrzeni do Moguncji. Szedłem po południowym brzegu Renu, rozlewającego się tutaj w postaci prześlicznego jeziora, na którym toczyły się statki z rozpiętymi żaglami, a wybrzeża były tak piękne, że im się napatrzyć nie mogłem.

Przenocowawszy w hotelu, puściłem się do Frankfurtu wodą, gdyż co rano wychodził statek pocztowy, który, przeprawiwszy się przez Ren, wchodził na Men, i, tam ciągnięty końmi, około godziny szóstej wieczorem, zawijał do Frankfurtu. Nie wiedząc o niczem, trafiłem na rocznicę ogłoszenia konstytucji frankfurckiej. Całe miasto było rzęsiście iluminowane, spalono fajerwerk, obywatele chodzili przybrani w mundury gwardji narodowej, a przez otwarte okna widać było rzęsiście oświetlone salony. Zaszedłem do państwa Bothów, którzy mnie przez dzień następny zatrzymali u siebie, co mi dało sposobność odnowienia dawniejszej znajomości z posągiem Arjadny Danneckera w galerji już nie wiem jakiegoś bankiera. Ten posąg tak mi się niezmiernie podobał, żem go przy każdej mojej bytności w Frankfurcie odwiedzał. Owa młoda kobieta, leżąca na lwicy, jest oryginałem, przed którem godzinami mógłbym był zamyślony siedzieć, a który rozkołysał we mnie upodobanie do rzeźby, do tego stopnia, że daleko więcej imponuje ona umysłowi mojemu, aniżeli malarstwo. Było to pierwsze dopiero dzieło wysokiej wartości, które widziałem po owych posągach Thorwaldsena w katedrze warszawskiej, które rzeczywiście więcej dla znawcy, aniżeli dla dyletanta mają znaczenie.

Niebawem stanąłem w Grünbergu. Przeszedłszy przez obszerne plantacje wiśni, roztaczające się na milowej rozległości, naokoło Frankfurtu, szedłem następnie ciągle drogami wysadzonemi jabłoniami, których owoce już dojrzałe na zbiór czekały. Przechodzącym nie wolno nic zrywać z drzewa, ale co na ziemię spadnie jest już ogólną własnością. Tak jednakże uszanowanie dla cu-

dzej własności jest zakorzenione, że mało kto z prawa tego korzysta. Serce mi się na ten widok krajało, bo jakżeż my, Polacy, od tego jeszcze jesteśmy daleko, skoro nietylko owocowego, ale i dzikiego drzewa przy drodze nikt ci nie uszanuje, a nawet z pod ryglów oparkanionego ogrodu owoc wykradnie, i to dziś jeszcze trwa po sześćdziesięciu latach od chwili, o której tu mowa. Utrzymują, że lud nasz w Polsce bardzo jest nabożny i cytują za dowód pielgrzymki, odpusty, posty i t. p., ale cóż nam z tego przyjdzie, kiedy to nic a nic nie wpływa na jego umoralnienie. Unabożnienie, jeżeli tak wyrazić się wolno, i umoralnienie, są to dwie różne rzeczy, które nie zawsze chodzą ze sobą w parze, a co gorsza, w pewnej ze sobą stawają kolizji.

Wybierając się na moją nadreńską podróż, miałem zamiar spisywać mój dziennik i notować skrupulatnie wieczorem wszystko, co podczas dnia zobaczę. Rzeczywiście robiłem to przez kilka pierwszych dni, ale potem znużenie nie dozwalało mi regularnie oddawać się pisaniu. Odłożyłem je więc na później. Przybywszy zaś z Frankfurtu piechotą do Grünberga, po zwiedzeniu w drodze dwuch salin, a zarazem miejsc kąpielowych Nauheim i Salzhausen, wziąłem się natychmiast do roboty, dopełniłem mój dziennik, opatrzyłem go rycinami, wyobrażającemi widoki nadreńske, i posłałem tomik, około 60 kartek gęstym pismem mający, mojej matce do Polski. To ją ucieszyło bardzo, a dziennik mojej podróży latał przez długi czas imędzy znajomymi, a obecnie dostał się w ręce mej córki, wraz z całą moją długoletnią korespondencją z matką moją aż do chwili złączenia się naszego w Paryżu.

Podczas mojej nieobecności w Giessen wiele się tam zmieniło: więźniów stanu powypuszczano, z wyjątkiem dwuch, których przeniesiono do Frankfurtu, wojsko ustąpiło, i wszystko do swego przyszło porządku. Lecz na nieszczęście przyczepiono się do rektora z Butzbach, Werdiga, przyjaciela naszego, i pod ścisły wzięto go

areszt. Dosłuchy chodziły, że go męczono, ażeby zeznania z niego wycisnąć. To tylko pewna, że w rok potem w więzieniu umarł, i że śmierć jego przypisywano srogości pana sędziego śledczego Georgiego, który rzeczywiście przechodził stopniowo z porządnego człowieka na coraz większego szubrawca. Został on srodze ukarany, gdyż następnie rozpił się, zwarjował i sam się zabił w napadzie szaleństwa.

Po wypoczynku wziąłem się bardzo ostro do pracy. W Giessen wybuchła zaraz po moim powrocie burza w szklance wody, o której wspomnieć tu warto. Policja nie miała do studentów żadnego prawa. Lecz nie pamiętam już co się stało, ale jeden z burszów został przyaresztowany i kilka godzin przesiedziałem w kozie. To oburzyło niesłychanie całą młodzież uniwersytecką. Żądano zadosyćuczynienia, ale magistrat nie chciał słyszeć o niem. Uparł się, pomimo, że Senat uniwersytecki robił mu swe przedstawienia. W tem naraz około siódmej rano ogromna powstała wrzawa. Burschen heraus! zaczęto wołać po wszystkich ulicach. Ponieważ działano w porozumieniu, każdy z kosterem w ręku, cielakiem na plecach, i psem dużym, jeżeli go posiadał, stawił się na rynku. Tu uszykowawszy się w szeregi stowarzyszeniami, cała studenterja wyciągnęła z miasta i udała się do ruin Blizkiego zamku Gleiberga, gdzie się rozłożyła obozem. Stare zwaliska zawrzały w oka mgnieniu, okolica dostarczyła wiktuałów. Zresztą każdy miał w swoim tornistrze, co mu było potrzeba, a nawet kołdrę ciepłą, przytrokowaną do tornistra do przykrycia się w nocy. Miasto opustoszało, cały w niem ruch ustał. Po obiedzie każdy, kto miał między studentami bliższych, bez różnicy płci i wieku pośpieszył z koszem i butelką do ruin, na pociechę dla biednych i zgłodniałych, którzy się opierali tyrańskiej władzy. Magistrat pienił się ze złości, a władza administracyjna miejscowa wręcz mu oświadczyła swój brak ochoty mieszania się w tę sprawę. Tymczasem za nadejściem wieczoru porozpalano ognie, zaczęto piec kury i gęsi.

Pohulanka rozpoczęła się na dobre. Śpiewano, nawet na murawie tańczono, przywędrowała bowiem muzyka. Gdy się goście już oddalili, dając sobie rendez-vous nazajutrz, zbiegi do snu się poukładali, ustawiwszy czaty. Miasto nie spało, przyglądając się zdaleka łunie ognisk i zwaliskom prześlicznie oświetlonym. Nazajutrz wszystko, co żyło do Gleiberga wyległo. Karawany kobiet ciągnęły szeregiem. Nie było konia nawet kulawego, któregoby nie zaprzężono do jakiego wozu. W mieście pustka; wszystkie sklepy, zakłady, traktjernie i knajpy pozamykano; mieszczanie w kwaśnych humorach, bo handel ustał i ogólna powstała stagnacja. Trwało tak dni trzy. Magistrat musiał kapitulować. Burmistrz wymyślił jakieś usprawiedliwienie, studentom przedstawiono, żeby za daleko nie szli, i wszystko się załagodziło wreszcie. Powrót do miasta był okazały. Cała ludność na spotkanie wyległa, a burmistrz z radnymi municypalnie przyjmował wracające grono. Wszystko to odbyło się bardzo przyzwoicie, bez żadnego hałasu. W ciągu nadeszłej niebawem zimy było co opowiadać o owym Gleiberger Auswanderung. Takie wojny z filistrami, to jest z mieszczaństwem wchodziły wtedy w obyczaj studentów i nikogo nie dziwiły. Władza patrzała z pobłażaniem na nie, pozwalając się młodzieży wyszumieć, i przyznać należy, że doskonale wychodziła na tem, gdyż z tych często oryginalnych pustaków robiły się następnie bardzo porządni obywatele. Dziś, gdy każdy ruch młodzieńczy nosi na sobie polityczną cechę, takowe zdarzenia budziłyby zaraz represję.

Ponieważ panna Fryderyka Banga dorastać zaczęła i osobnego potrzebowała pokoju, z wielkim moim żalem wymówiono mi komorne. Przeniosłem się do dwuch małych pokoików na dole w domu przy ciasnej i jakby wymarłej ulicy. Dom był z dużemi naokoło oficynami, obudowanemi w podwórzu. Jedno moje okno wychodziło na nie, a drugie na ulicę; obok zaś była brama i mieszkał gospodarz, piekarz Wallenfels, jeden z moich najstar-

szych w Giessen znajomych. Było mi tam bardzo wygodnie, ale, pomimo świeżych codziennie bułeczek, już nie tak, jak u mego szanownego doktora Banzga, który teraz, będąc wybrany na deputowanego z Giessen, największą część swojego czasu przepędzał w Darmstacie.

Wspomniałem o rozkładzie mojego pomieszkania, gdyż miało dosyć pocieszne następstwa. Trzeba wiedzieć, że serenady stały u studentów na porządku dziennym i dosyć je często wyprawiano ulubionym profesorom, łącząc je nieraz z pochodami przy pochodniach, śpiewami i przemowami, za które profesor dziękował z otwartego okna. Bywało także, że po odbytym balu studenckim admiratorowie tej lub owej panny serenadą ją darzyli. Nikogo to nie raziło i było jak najniewinniejszą zabawką. Otóż po jednym z takich balów, w zimie nad ranem postanowiono zrobić serenadę córce docenta francuskiego języka przy uniwersytecie, pannie Morel, która rzeczywiście bardzo się odznaczała i bardzo w mieście była lubianą. Ojciec jej wyglądał na zatabaczonego niedołęgę i safandułę. Mieszkali oni w oficynie mojego domu. Chodziło o to, aby się z całą balową orkiestrą dostać na podwórze cichaczem, a że brama była zamknięta i gospodarza nie chciano budzić, postanowiono przejść przez moje mieszkanie. Otworzyłem więc okna, wystawiłem krzesła na podwórze i na ulicę pod okna; po nich wniesiono instrumenta oraz przeszedł cały orszak. Naraz zagrzmiała muzyka, potem śpiew chóralny i solowy, a naostatek znowu muzyka. Przytomnych było z 50 osób. W oknach panny nie pokazało się światełko, natomiast okna innych lokatorów w podwórzu, ze snu obudzonych, zostały pootwierane. Naturalnie nikt nie rachował na podziękowanie. Gdy już wszystko było skończone i cała czereda zabierała się do odrwotu przez moje izdebki, naraz otworzyło się okno Francuza i okazał się w niem w szlafroku, ze świecą w ręku, łysy pan Morel i z ręką na sercu dziękować zaczął swym najukochańszym uczniom za uznanie jego usiłowań, co naturalnie do homeryczne-

go pobudziło śmiechu, na którym wcale się Francuz nie poznał. Samo przez się rozumie, że nazajutrz całe miasto tylko o serenadzie mówiło, biorąc starego na fundusz. Panna Morel znalazła się w położeniu drażliwem, które osłodzić usiłowano, pełną szacunku grzecznością, a moja służąca była rozżaloną, że nielitościwie zadeptano podłogę.

Ostatnie dni karnawału obchodzono tradycyjnie na wielką skalę z okazałością we wszystkich miastach Nadreńskich. W Moguncji było zwyczajem, że, za nadejściem właściwego czasu, zbierało się grono wpływowych obywateli, z którego się nie wyłączali wyżsi urzędnicy, a nawet sam komendant fortecy, i obradowali poważnie nad programem, mających się odbywać trzydniowych zabaw. Obrady odbywały się tradycyjnie w czapkach arlekińskich z dzwoneczkami, a zgromadzenie nazywało się Narren-Komitee. Oznaczało ono zawsze program zabaw na karnawał bieżący, ale wyjątkowo tym razem przyjęto trylogię na trzy karnawały. W pierwszym roku miano obchodzić narodziny karnawału, w drugim jego wesele, a w trzecim jego życie rodzinne w postaci rozhulanego filistra. Idąc za przykładem miast Nadreńskich i innych poblizkich, obywatele w Giessen umyślili wydać bal maskowy, na który zaproszono całą okolicę; ażeby go zaś urozmaicić, proszono mnie, abym urządził mazura w krakowskich strojach, od czego naturalnie wymówić się nie mogłem. Dobrałem sobie zatem trzech dziarskich chłopaków, każdy umówił sobie swą znajomą pannę, kazaliśmy sobie poszyć krakowskie ubiory, a panny zrobiły je dla siebie same według mego rysunku. Na próby zbieraliśmy się u profesora kliniki Balsera, córka bowiem jego zaręczona z przyszłym znakomitym profesorem Winterem, wówczas bardzo skromnym studentem, do naszego należała grona. Bal udał się okazale, a ile tam było karykatur, żartów i dowcipów, tegoby i na wołowej skórze nie spisał. Największe wrażenie sprawiła cyganka, która wszystkim improwizorycznym wierszem z ręki wróżyła,

w sposób dobroduszno-satyryczny, wesoły i swobodny. Pokazało się potem o 11 godzinie, gdy się demaskować wypadło, że była to panna Louiza Langsdorf. Ani przeczuwałem, jak wielki wpływ wywrze ona na tok przyszłego mojego życia. Moją krakowianką, tancerką była panna Eliza z Grünberga, która z matką na bal przybyła i przez cały ciąg balu do tego stopnia zawracała mi głowę, żem na ową cygankę zaledwie zwrócił uwagę, pomimo, że mi coś wywróżyła bardzo trafnego, czego nie przypominam już sobie.

Panna Langsdorf była córką tajnego radcy, naczelnika administracji w Oberhessen, i dosyć blizką kuzynką profesora Liebiga. Rodzina ta, żyjąca w innych zupełnie sferach, trzymała mnie dosyć od siebie zdaleka, była jednak zawsze bardzo dla mnie uprzejma, ile razy znaleźliśmy się w towarzystwie. Nie tęskniłem też do niej bynajmniej i dopiero owa cyganka swoim dowcipem i przytomnością umysłu i swemi improwizacjami bardzo wpadła mi w oko, zwłaszcza, że miałem sposobność znów ją zobaczyć w kilka miesięcy później na majówce w pobliskim lesie w celu uraczenia się winem majowem. Była to nader komiczna wiosenna zabawa, wesoła, swobodna, pełna dowcipu, żartów i przyzwoitej pustoty. W lasach bukowych, Giessen otaczających, rośnie wiele wonnego ziela (Waldmeister, Asperula odorata), które, kwitnąc w maju i czerwcu, wydaje bardzo przyjemny zapach, namoczone zaś w białem lekkiem winie, z dodatkiem wody i cukru, daje wyborny napój, pod warunkiem jednak, że się go pije świeżo. Otóż w owych miesiącach tworzyły się z miasta do lasów wyprawy, gdzie każdy uczestnik miał w kieszeniach wino i cukier. Jedni nieśli dzbanki, inni łyżki wazowe lub koszyczki ze szklankami. W lesie upatrywało się miejsce przy jakiejś krynicy, a potem obierało się przez aklamację gospodynię, a zarazem preparatorkę nektaru. Następnie rozbiegano się po lesie na zbiór ziela, gospodyni przynoszono pęki, a ona zalewała winem w dzbankach i oddawała pod straż swe-

mu parobkowi, którego sama musiała sobie wybierać, a ten pilnował z zegarkiem w ręku, jak długo moknąć miały, strzegł dzbanki od przewrócenia i nosił wodę. Gospodyni, przyprawiwszy napitek, rozlewała go w szklanki i rozdawała go z akompanjamentem konceptów i żartów, które dopiero wtedy sypały się, jakby z rogu obfitości, gdy zaczęto krytykować napój, sadząc się na rozmaite przymówki. Śpiewano, tańczono, wyprawiano różne kasperlady, dopóki gdzieś, niby przypadkiem, nie znalazły się podwieczorkowe wiktuały, po których spożyciu przy szumnej zazwyczaj przemowie dziękowano nimfie leśnej, opiekunce gajów, która raczyła spuścić z nieba szynkę lub pieczeń wołową. Całe towarzystwo rozochocone powracało do domu, ten z dzbankiem zawieszonym przez plecy na sznurku, ten z wazą stołową na głowie, inny wywijając łyżką wazową, jakby buławą. Gospodynią, odgrywającą rolę mitologicznej Hebe, była panna Langsdorf, która w naszem giesseńskiem kółku była pewnego rodzaju Korynną, z wyjątkiem jej przesady i zarozumiałości. Wywiązywała się ze swej roli z takiem wdziękiem i wesołością, że wszystkie były zwrócone do niej serca, ale to było daremne, bo chociaż wszystkim pozwalała do siebie wzdychać, zbywała wszystkich żartami, uchodząc z niezdobytą fortecą.

Wszystkie te zabawy nie przeszkadzały mi bynajmniej w mej pracy, i owszem oddawałem się jej zapamiętale, przedsięwziąwszy sobie przystąpić do egzaminu przed zimą.

Z pomiędzy profesorów nader dla mnie życzliwym był Rittgen, który nam akuszerję wykładał. Był to już człowiek nie młody, trochę odludek, pracowity niezmiernie, którego wszystko interesowało i o wszystkiem też pisał dzieła, a nawet o budownictwie, w którem nawet wyrobił sobie znaczenie. Miałem szczęście mu się podobać. Często w długie się ze mną wdawał gawędki, wykładając mi swoje natury filozoficznej pojęcia, ściągające wszystko w przyrodzie do rozszerzania się (expansio) i

do skupiania się (contractio), które zdawały mu się być ostatecznemi wyrażeniami jej działalności.

Otóż w jednej z takich pogadanek, pokazał mi świeżo wyszłe dzieło profesora Velpeau w Paryżu o anatomji chirurgicznej, od którego, jak twierdził, nie mógł się oderwać, co mnie nie dziwiło wcale, albowiem, oprócz akuszerji, wykładał nam operacyjną chirurgję. Nie zważając na to, że byłem niesłychanie zajęty, wcisnął mi książkę w rękę i kazał mi się prędko z nią obeznać, zostawiając mi na to zaledwie kilka tygodni czasu. Rad nie rad, musiałem wszystko inne na bok odłożyć a wziąć się do anatomji, z którą zdawało mi się, że już skończyłem. Tymczasem im się głębiej wczytywałem w dzieło profesora Velpeau, tym się moje anatomiczne horyzonty bardziej rozszerzały przede mną, okazując mi nader obszerne chirurgiczne zastosowanie.

Okoliczności dziwnym rzeczywiście trafem tak się złożyły, że przymus Rittgena bardzo mi wyszedł na dobre.

Anatomję wykładał profesor Werneking. Był to człowiek potężnego wzrostu, okryty lasem czarnych włosów, z dużą głową, na szerokich plecach, łagodny przytem jak baranek, a śpiewał jak słowik. Mając w pamięci naszego krzywoustego Rolińskiego w Warszawie, o grubarskiej powierzchowności, nie mogłem długo zespolić ze sobą śpiewaka i anatoma, który był artystą skończonym i nieraz dawał się słyszeć z dużem powodzeniem na koncertach Towarzystwa muzycznego miejskiego. Otóż zdarzyło się, że prosektor przy katedrze anatomji ustąpił i profesor został bez pomocnika. Ofiarowałem się wtedy chwilowo zająć jego miejsce, co też bardzo chętnie przyjęto. W kilka dni potem Werneking zachorował. Gdy wykład został przerwany, ofiarowałem się kilku słuchaczom po koleżeńsku dalej anatomję wykładać, mając pracownię do mego rozporządzenia. Wykłady moje, aczkolwiek chropowate pod względem języka, bardzo się podobały, zwłaszcza, gdym je urozmaicił tem, właśnie,

BIBLJOTEKA PIELĘGNIARSKA

czego mnie Velpeau nauczył, a co było wówczas zupełną nowością. Przedmiot mój ożywił się niezmiernie, gdym z niego zaczął robić wycieczki na pole fizjologji i chirurgji praktycznej. Nietylko że mi nie przeszkadzano, ale nawet nie skąpiono do dalszego wykładu zachęty. Tym sposobem w 22-im mym roku stanąłem na katedrze niemieckiego uniwersytetu. Musiałem się nieźle na niej obracać, skoro studenci wyższych nawet kursów niekiedy przychodzili na moje wykłady, a szanowny mój przyjaciel, profesor Vogt nie szczędził mi pochwał.

Z nadejściem wakacji przeniosłem się do Grünburga i wróciłem do mego egzaminowego przygotowania. O kilka stai za miastem jest bardzo foremna górka, której wierzchołek wieńczył lasek sosnowy. Otóż tam założyłem moją pracownię. Wstawałem o czwartej rano, zabierałem ze sobą książki i śniadanie, a potem, rozciągnąwszy się na mchu, w cieniu i w sosnowym zapachu czytałem lub powtarzałem sobie głośno, błąkając się między drzewami. Czasem mnie tam schodzono z odwiedzinami, a mianowicie panna Eliza z matką lub z bratem, co mi wcale nie było na rękę. W ogólności zauważyłem, że gdybym się był z moją piękną Grätchen zaręczył, idąc za uniwersyteckim zwyczajem, to nicby przeciw temu nie miano, ale byłoby to zwichnęło całą moją przyszłość i odwiodło mnie od obowiązków względem rodziny i kraju, które mi niesłychanie na sercu leżały. Byłem uprzejmym, lecz powściągliwym.

Doszedłszy do pewnej granicy, nie zrobiłem ani kroku dalej, chociaż mnie to na nieustanne ze sobą samym walki narażało. Wiedziała o tem Matylda. Była mi ona w moich utrapieniach wielką podporą. Ze wstydem wyznać muszę, iż nie miałem dosyć odwagi, ażeby zerwać te stosunki, albo też przynajmniej tak je oziębić, ażeby ich płonność jasno wyszła na jaw. Matylda, której się zwierzyłem, wglądając bystro w moje położenie swem przenikliwem pojęciem, wręcz mi oświadczyła, że

dla mnie przyszłości w Księstwie Darmstadzkiem nie widzi i że obowiązek honorowego człowieka nie pozwalał na to, ażeby młodą kobietę wiązać przyrzeczeniami i zagradzać jej przyszłość. Byłem bardzo jej wdzięcznym za to zdanie.

Nasz klub szachowy zbliżył mnie jeszcze bardziej, iak w ubiegłym roku do ośmiu moich pastorów, a najwięcej do pastora Venatora z wioseczki o ¼ mili od Grünberga odległej. Był to człowiek wysokiego wzrostu. Nazwisko jego jakby przepowiedziało jego zamiłowanie, był bowiem zapalonym myśliwym a przytem poetą. Co niedziela musiał dwa nabożeństwa odprawiać: jedno u siebie, a drugie w filjalnej kaplicy o pół mili odległej, do której trzeba było przez las przechodzić. Otóż każdym razem powracał do domu, albo ze zającem, przytroczonym do torby, albo z nowym w pugilaresie sonetem. Żona jego, nader żywa kobieta, miała coś h i c m u l i e r w sobie, ale Venator nie był człowiekiem po temu, ażeby się pod pantofel dał wsadzić. Byłem u nich prawie codziennym gościem. Przyszło nawet do tego, żeśmy na współkę zaczęli komponować o parafji pastora powieść, do której pani Venator, jako gospodyni, wiele dorzucała swojego. Była to bardzo stara parafja z kościołkiem gotyckim z czasów przed Reformacją. To nam myśl podsunęło napisać powieściową trylogję w postaci trzech osobnych pamiętników, niby przez pastorów tej parafji skreślonych; jeden z czasów przejściowych między katolicyzmem a nauką Lutra, drugi z czasów wojen rewolucji francuskiej, trzeci z obecnych stosunków. Każda część miała być obrazem swojej epoki w rodzaju zbliżonym do Wikarjusza z Wakefield Goldsmitha. Zamiar ten mocno nas zajmował; długie godziny spędzaliśmy zawsze przy kieliszku wina nad ułożeniem szczegółowego planu całego naszego dzieła. Bawiliśmy się przytem wybornie. Pani Venator całą swą duszą utonęła w Hermanie i Dorocie Göthego, ażeby się, ile możności, do naszego przy-

stroić przedsięwzięcia. Pamiętam z jaką mnie przyjęła radością, gdym jej przyniósł powieść Tchokego, zaczerpniętą z życia biednego pastora.

Tymczasem zbliżał się termin mego egzaminu. Przesiedliłem się zatem znowu do Giessen. Egzamina były dwojakie: piśmienne i ustne, albo też same ustne. Piśmiennym i ustnym podlegali jedynie krajowcy, mający dobić się prawa praktykowania w księstwie; ustne zaś tylko egzamina składali wyłącznie obcy, którym to prawo nie służyło, a dyplom uniwersytecki miał być dla nich jedynie naukowem świadectwem. Rzecz naturalna, że ja, jako cudzoziemiec, nie miałem prawa zdawać według pierwszej formy dającej do praktyki prawo; poprzestałem przeto na drugiej i do egzaminu się zameldowałem. Egzamina ustne, według odwiecznego zwyczaju odbywały się przy stole suto zastawionym winem ciastami i konfiturami, na koszt szkładającego. Był już wyznaczony na to restaurator, który za kilka dukatów cały ten szmaus w auli akademickiej urządzał. Gdy i na mnie przyszła kolej pomyślenia o tem, zostałem wezwany do dziekana, którym był w tym roku profesor fizjologji Nebel. Oświadczył mi on, że profesorowie fakultetu nie chcą mnie narażać na wydatek, ale sami mnie proszą na egzaminowy bankiet, zważywszy, że jestem gościem miasta i że obowiązkiem ich było względem mnie stosować się do ogólnego w okolicy postanowienia.

Dysertację inauguralną skręciłem po łacinie, pod tytułem: „De facies Hippocratica, commentatio inauguralis pro gradu doctoris“, w której starałem się wygląd twarzy umierającego fizjologicznie wytłumaczyć. Kazałem rozprawę w 100 egzemplarzach wydrukować, z których dzisiaj ani jeden nie został i pomimo moich najstaranniejszych poszukiwań odnaleźć się nie dał. Była to wprawdzie ramota, ale zawsze bądź co bądź, pierwsza moja naukowa praca.

Egzamin odbył się świetnie, a nie żartowano ze mną,

trzymając mnie od 4-ej do 9-ej wieczór; wreszcie po krótkiej naradzie dziekan podał mi rękę i powitał mnie pierwszy, jako doktora medycyny, chirurgji i akuszerji. Podziękowałem jak najuprzejmiej w krótkiej, zwięzłej, ale czułej mowie, którą sobie starannie przygotowałem, i wybiegłem z sali, pytając się sam siebie, czy to tylko być może, ażebym ja był już doktorem, powątpiewając poniekąd, że tam była o mnie rzeczywiście mowa. Czekało na mnie kilku kolegów przed bramą. Przyjęli mnie jednomyślnie powinszowaniem, a wziąwszy pod ręce zaprowadzili do adwokata von Burry, mego dobrego przyjaciela, który swej żonie imieniny wyprawiał.

Widać, że się umówiono na moje przyjęcie, bo, gdym wszedł do sali, powitano mnie ogólnym wiwatem, a kobiety powiewały chustkami. Potem gospodarz powitał mnie szumną, nader komiczną przemową, naśladującą formy średniowiecznej doktorskiej habilitacji, potem przystąpiło kilku do mnie studentów, odebrali mi z ręki studencką czapkę i włożyli na głowę kapelusz, bo doktorowi nie wolno już było z czapką dalej chodzić. Stąd też owo niemieckie D o c t o r s h u t powstało. Wszystko to działo się z nader komicznemi ceremonjami, na których widok całe towarzystwo za boki się brało. Naostatek zbliżyły się do mnie dwie panny, niosąc na talerzu pierścień ugnieciony z chleba. Miał to być pierścień doktorski, który mi panna Landsdorf z wielką powagą na palec włożyła, a inne panie odziały mnie czerwonym szalem, mającym naśladować doktorską togę. Naostatek pani von Burry posadziła mnie przy stole obok siebie i bardzo dobrze zrobiła, gdyż mi wzruszenia egzaminowe porządny napędziły apetyt.

Nazajutrz opanowała mnie czczość wielka. Celem wszystkich myśli moich i wszystkich usiłowań był mój egzamin. Gdy cel ten osiągniętym został,—nie wiedziałem co dalej ze sobą robić. Przedewszystkiem napisałem list do rodziców i do wuja. Z pewnym rodzajem zado-

wolenia, podpisałem się po raz pierwszy: Doktór Szokalski. Jakżeż ten tytuł doktór brzmiał mi miło w uszach, zwłaszcza gdy mój służący, przyniósłszy mi buty i wyczyszczone suknie, zapytał mnie najspokojniej: Was befehlen Sie weiter, Herr Doktor?

Potem poszedłem zaraz do mego szanownego doktora Banzy, ażeby podziękować za wszelkie względem mnie starania, zwłaszcza, że z natury rzeczy stypendjum moje skończyło się z osiągnięciem doktorskiego dyplomu. Następnie obszedłem szeregiem szanownych moich profesorów, wynurzając każdemu mą wdzięczność. Vogt oświadczył mi przytem, że Giessen opuszcza i że do Szwajcarji się przenosi.

W tym bowiem właśnie czasie otworzono dwa naraz uniwersytety w Szwajcarji: w Bernie i w Zurychu, i wielu niemieckich profesorów powołano do nich na nowe katedry, a między innymi i Vogta. Przy tej sposobności szanowny mój opiekun wyraził swą radość, że się do wolnego przenosi kraju, gdyż o najbliższej przyszłości Niemiec jak najsmutniejsze miał przeczucie. I rzeczywiście, system Metternichowskiej represji, szpiegostwo i prześladowanie wkradały się coraz głębiej w towarzyskie stosunki.

— Bywaj mi zdrów, mój młody przyjacielu, powiedział mi na pożegnanie mój szanowny profesor. Będziemy wkrótce oba wygnańcami. Wspomnij-że sobie niekiedy o mnie, a jeśli kiedy z moim synem Karolem (sławnym później geologiem) się spotkasz, to bądź mu życzliwym.

Nazajutrz opuściłem Giessen i przeniosłem się do Grünbergu na dobre.

Wkrótce potem doszła mnie wiadomość od wuja Antoniego i przy niej 150 dukatów. Wuj brał mnie na swoje utrzymanie i żądał ode mnie, ażebym, wypocząwszy sobie nieco po trudach egzaminowych, do Paryża na rok przynajmniej pojechał. Obiecał mi, że przez ten

czas otrzyma dla mnie amnestję. W powrocie do kraju zatrzymać się miałem pół roku w Berlinie lub Wiedniu; powróciwszy zaś do Warszawy, zdać egzamin, zamieszkać z nim razem i wyrobić sobie praktykę, ażeby wziąć potem rodziców do siebie, którym w Pilicy bardzo licho się wiodło. Byłem zachwycony tym planem. Oddałem Buddenowi moje pieniądze z prośbą, ażeby mi co miesiąc po 15 talarów wypłacał na moje utrzymanie, co aż nadto było wystarczającem. Wszyscy moi znajomi winszowali mi mego powodzenia. Pani Venator na zebraniu szachowem, które przypadało właśnie u nich, kazała indyka zabić, a on sam, zmartwiony, że mu się nie udało czegoś na polowaniu zastrzelić, wyciągnął z piwnicy parę butelek starego wina i skomponował sonet, który mi na zdrowie wygłosił.

W kilka dni potem pojechałem z Buddenem na winobranie do jego winnicy, którą wspólnie z jakimś kuzynem zasadził w wiosce, o 10 mil odległej na południe od Hanau. Kupili tam kilka morgów gruntu i zasadzili winnicę przed 5-ciu laty. W zeszłym roku doczekali się wprawdzie dosyć miernego wina, ale zawsze takiego, które pokrywało wydatki.

Wyjechawszy bardzo rano, stanęliśmy w Hanau na popas. Korzystając z czasu, poszedłem obejrzeć miasto. Wtem naraz stanąłem na skręcie ulicy oko w oko z moim dawnym kolegą szkolnym Kaweckim, który wręcz struchlał na moje wejrzenie.

— A ty tu co robisz?— rzekłem do niego, witając go.

— Ja tu mieszkam, ożeniłem się, mam parę domów, ale daruj, mój drogi, bo mi ogromnie się śpieszy i, podawszy mi rękę, uciekł ode mnie.

Zdziwiło mnie to niezmiernie. Gdym się potem kelnera w hotelu o pana Kaweckiego zapytał, rzekł do mnie, że ja chyba chcę mówić o polskim panu hrabi Kaweckim, który zeszłego roku ożenił się z bogatą jedynaczką, poznawszy ją gdzieś u wód, i żyje szczęśliwie. Panem

hrabią? rzekłem sam do siebie, zdziwiony; cóż to za maskarada bezczelna, a przecież to syn szpiega, którego ja sam widziałem, jak go powieszono w sukniach kobiecych na placu przed Bankiem w Warszawie. Pojmuję, że uciekł przede mną, lękając się chyba, żebym o jego nie rozpowiadał stosunkach, lecz niechaj będzie spokojny o swoją hrabiowską koronę, którą sobie przywłaszczył. Pytano mnie też kilkakrotnie, czy go znałem w Polsce, ale zawsze zapewniałem, żem nigdy o nim nie słyszał. Bezwątpienia przy dzisiejszem ułatwieniu komunikacji i przy międzynarodowem uspołecznieniu szacherka tego rodzaju byłaby niemożliwą.

Winobranie odbyło się doskonale. Według zwyczaju, od tygodnia przeszło winnice były zamknięte i strzeżone, ażeby tam nikt nie wchodził, dopóki burmistrz i ławnicy nie przekonają się, że winogrona już zupełnie dojrzały. Gdy to już nastąpiło, w dniu oznaczonym, o wschodzie słońca (właśnie nazajutrz po naszym na wieś przybyciu) trzy strzały z moździerzy oznajmiły mieszkańcom, że zbierać już można. Wszystko więc, co tylko żyło, udało się z koszyczkami na ręku naprzód do kościoła, a po mszy zaraz do winnic, gdzie rozpoczęła się robota. Mnie za współpracownicę dostała się jakaś młoda fertyczna Niemeczka. Napełniliśmy razem nasze koszyczki i wrzucali do kadzi na wozie, który winogrona odstawiał pod prasę. Było bardzo wesoło. Przywieziono nam śniadanie, obiad, wina i kawy co niemiara, któremiśmy się pospołu z najemnikami raczyli, a wieczór trzeba było iść jeszcze na bal i późno w noc przetańczyć. Po dwóch dniach takiej pracy odjechaliśmy do Grünberga, ale winobranie trwało jeszcez kilka dni dłużej, gdyż rok był bardzo urodzajny i tyle natłuczono wina, iż beczek na nie zabrakło. Trzymano je więc w baljach, konewkach i cebrach, dpóki nie nadeszły beczki z pszenicznych okolic. Całe winobranie odbyło się z wielką uroczystością, na którą wesoły Nadreński ludek przez cały rok z

utęsknieniem czeka. Nadmienić tu jeszcze muszę, że o piwie wówczas mowy nie było, i że w ogólności używano go stosunkowo nie wiele w czasie mego nad Renem pobytu, z wyjątkiem tylko studenckich knajp. Gambrynus rozpanoszył się później dopiero w Niemczech około roku 1845, a w dziesięć lat później zaczynał się wdzierać do Francji.

Po powrocie naszym do domu dowiedzieliśmy się, że doktór Glaser, fizyk obwodowy w Grünbergu, stanowisko swoje opuszcza i do Saksonji się przenosi. Była to dla mnie nie bardzo przyjemna wiadomość, gdyż Glaser był bardzo dla mnie uprzejmy i pomagał mi zawsze w moich naukach swą bibljoteką i objaśnieniami. Człowiek uczony, poważny, ufność wzbudzający, używał jak najlepszej w całej okolicy renomy, miał tu bardzo obszerną praktykę, zwłaszcza, gdy się na homeopatję przerzucił, która wówczas nad Renem niezliczonych miała zwolenników. Wkrótce reputacja jego, jako homeopaty do tego stopnia urosła, iż jakiś udzielny książę saski wezwał go do siebie w charakterze przybocznego lekarza. Glaser przyjął wezwanie, ale zarazem zobowiązał się zrazu tylko dojeżdżać do rezydencji książęcej, biorąc w Giessen dłuższe urlopy, a potem dopiero sprowadzić się na stałe. Wręcz mi oświadczył, że rachuje na moją pomoc i możliwe zastępstwo.

Z wielką chęcią zgodziłem się na to, ale pod warunkiem, że z homeopatją nic nie będę miał do czynienia i że, nie chcąc być w kolizji z prawem, praktyka moja będzie zupełnie bezpłatną.

Od tego czasu Glaser tymi tylko trudnił się chorymi, którzy wymagali homeopatycznego leczenia, ja zaś trudniłem się innymi, co mi niesłychanie było na rękę, dając mi sposobność praktycznego obeznania się z moim fachem. Trwało to może już jaki miesiąc, gdy mnie zapytał, powróciwszy ze swej saskiej wycieczki, jak idzie z moim zapatrywaniem się w praktyce lekarskiej. Odpowiedziałem mu na to, że wcale nie dobrze, gdyż tego,

com się nauczył, nie umiem z tem pogodzić, co widzę przy łóżku chorego, że wszystko przedstawia mi się jako niepojęty chaos. Roześmiał się fizyk i rzekł mi na to: „Bo widzisz, medycyna jest produktem ludzkiego umysłu, a choroba produktem natury, a na nieszczęście nasze pojęcia medyczne, bywają do tego stopnia spaczone naszem mędrkowaniem, że z naturą pogodzić się nie dają". Gdy ujrzał, żem go z ciekawością, lecz i ze zdziwieniem słuchał, rzekł dalej: „Bo to przedewszystkiem trzeba ci wiedzieć, panie kolego, że niema chorób na świecie, tylko są chorzy ludzie, a choroby są tylko objawami pewnych zboczeń w ich żywotnych funkcjach, wymuszonemi przez działanie szkodliwych przyczyn. Nie są to jakieś samoistne licha, wojujące w ciele człowieka, które lekarz ma z niego wypędzić lub zabić, ale wprost są to zwichnienia funkcji, rzucające nieład w sposób ludzkiego bytu, który usunąć należy przez nasze postępowanie lecznicze, przywodząc owe funkcje znowu do należytej harmonji. Otóż tedy radzę ci przedewszystkiem odrzucić od siebie wszelkie filozofowanie i uważać sobie człowieka zdrowego, jako dobrze idący zegarek, który bałamucić zaczyna, ile się razy jakie w nim kółko obrusza, gdy się zabruka, gdy sprężyna osłabnie, gdy wyschnie w nim oliwa i t. p. Sfałszowanie jego biegu to jest choroba, a nie coś obcego, co się przyczepiło do zegarka i w nim wojuje".

Wszystko to trafiło bardzo do mojego przekonania, słuchałem przeto bardzo uważnie, gdy mi fizyk tak dalej mówił:

— Każdy nieład w organizmie objawia się znakami, czyli symptomatami, a te są dwojakie: albo takie, które sam tylko chory odczuwa, albo takie, które i dla obcego stają się widoczne. Otóż niedowierzaj pierwszym i myśl ciągle o tem, że masz do czynienia z chorym człowiekiem, który w najfałszywszy sposób nieraz swą dolegliwość odczuwa. Wierz tylko temu, o czem się przekonasz, a nieszczęściem stajesz tu wobec niesłychanie bałamutnego

zadania, któremu nawet bardzo często nie sprostasz, objawy bowiem chorobowych zboczeń tak są wielorakie, tak się gmatwają, tak zmienne wedle indywidualności, że masz mgłę przed sobą, przez którą wzrok twój napróżno przedrzeć się usiłuje. Umysł ludzki wysila się od trzydziestu wieków, ażeby zbadać co po szczególe znaczy każdy chorobliwy objaw i co znaczy typowe objawienie tych kombinacji, i ze smutkiem wyznać nam trzeba, że nie doszliśmy dotąd ani do czwartej części naszego celu. Jeżeli sądzisz, mój młody kolego, że chorobę przez zestawienie jej objawów już dzisiaj tak poznasz, jak rozpoznasz arytmetyczną ilość przez cyfr zestawienie, to okropnie się mylisz, a gdzie się o stanie rzeczy pozytywnie dobadać nie można, tam jej domyślać się wolno. I tak się też w medycynie praktycznej dzieje, gdzie bowiem lekarz przyparty do muru musi sobie o stanie pacjenta koniecznie wyrobić pewne przekonanie, tam domysł wielkiej nabiera wagi, chociaż zaślepienie lub zarozumiałość nieraz na mylne prowadzą drogi. Chcąc ich uniknąć, potrzeba ci wiele przenikliwości, która ci się z małej ilości i to często niepewnych danych wiele się domyślać pozwala, przenikliwości, jaką posiada dyplomata, albo zakochana kobieta, która ci z oczów wyczytuje, co w tobie się dzieje. Potrzeba właściwego instynktu, niemal pewnego jasnowidzenia, a co większa, potrzeba, ażebyś sam w niego uwierzył, bo jeżeli tego nie dokażesz, to ci chory człowiek, nad którym masz pracować, (jak mówią Francuzi), pewnie nie uwierzy. Są ludzie, którzy widzą jak trawa rośnie i czują przez skórę, jak z każdym sobie postąpić. Otóż jeżeli posiadasz pewną dozę zmyślności oraz ten spryt instynktowny i połączysz go z nabytą wiedzą, to wielką rokuję ci przyszłość, a jeżeli ich nie masz, to będziesz łudził i siebie i innych.

— Jakto, więc pańskiem zdaniem medycyna żadnych nie przedstawia nam stałych podstaw, a ja ślęcząc nad nią pięć lat miałbym dziś stanąć na stanowisku prostego znachora? — przerwałem mu zniecierpliwiony.

— Uspokój się, kochany kolego, odrzekł mi spokojnie, bo dopóki przekonania nasze lekarskie, jak dzisiaj, wspierać się będą prawie jedynie na naszych spostrzeżeniach przy łóżku chorego, które każdy sobie robi według swego osobistego na rzeczy poglądu, a prawem będzie tylko zgodzenie się ogółu mniej więcej na jedno,— czyli raczej jak długo spierać się będziemy na zasadzie owej experientia fallax, jak ją już Hippokrates nazywa, tak długo cała nasza lekarska mądrość będzie jak okręt bez steru. I dlaczegóż ja, rzekł dalej Glaser, na homeopatję się przerzuciłem? Oto dlatego, że mi brakuje owego lekarskiego sprytu; znękały mnie do żywego ciągłe po omacku działania. Dziś, skoro mi mówią, że choroba, wywołana wielkiemi dozami lekarstwa lub do niej podobna, leczy się jego minimalnemi dawkami, to mi stały grunt pod nogi stawiają. Może on być wprawdzie zwodniczy, lecz niechaj sobie za to Hahnemann odpowiada, ale ponieważ wspiera się on także na klinicznej obserwacji, tak samo jak prawie wszystka nasza nauka o chorobach, nie widzę zatem dlaczego prawdy Hahnemanna miałyby być gorsze od prawd Franka albo Hufelanda. Pomijam jednak to wszystko i radzę ci tylko pielęgnować w sobie przenikliwość i spryt w postępowaniu, jeżeli ci natura je dała, a co się leczenia twego dotyczy, to przedewszystkiem staraj się zdobyć sobie i utrzymać zaufanie chorego człowieka, ale lecz go jak najmniej lekarstwami, bo to nie ty go leczysz, ale natura go leczy, a ona przezwycięża nietylko chorobę, ale i wszystkie nasze błędy lekarskie; odwracaj tylko od niego wszystko, co mu może być szkodliwe, podpieraj jego siły przez właściwe utrzymanie, a wiele na tem wygrasz, tak, jak ja wygrałem od chwili, jakem się na homeopatję przedzierżgnął. Bo to wiedzieć ci trzeba, że cała nasza homeopatyczna apteka, to wielka blaga, tylko piasek rzucony w oczy naszym pacjentom, bo homo vult decipi, ergo decipiatur, a gruntem naszym jest nasza djeta, nasza hygjena, nasza cierpliwość i wmówienie w chorego, że panami jego zdrowia jesteśmy.

I tu się nasza skończyła rozmowa. Opisałem ją tak,

jak sobie ją przypominam. Wywnętrzył się z nią przede mną człowiek poważny, myślący i zimno zapatrujący się na rzeczy, a jeżeliby kto mnie samego o mylność mojego zdania posądził, gdy mu te przyznaję zalety, to niechaj pomyśli, że to było w r. 1836, w owej pamiętnej epoce, gdy się panowanie medycyny hippokratycznej, czysto obserwacyjnej, kończyło, a nowe zaczęły kiełkować prądy na poszukiwaniu głównie oparte. Homeopatja była niejako ostatnim podrygiem konającej wielkości i dlatego bez duszy błąka się dotąd jeszcze pomiędzy nami, jakby widmo jakie skoślawionej przeszłości.

Nadmieniam, że jeżeli się o medycynie rozpisałem trochę może za wiele, to dlatego jedynie, że tak się zjednoczyła z mojem umysłowem jestestwem, że nie zdołałbym nawet sam siebie pojąć, gdyby mi ją odjęto. Ponieważ zaś działo się z nią jak z Polską, że na gruncie starego nowe w niej zaczęło się rozwijać życie, a ja i moją odrobinę do tej nowej dostarczyłem roboty, zmuszony więc będę w dalszym ciągu tego Pamiętnika z jej się postępami rachować, tak samo, jak się rachowałem dotąd z postępem politycznych wydarzeń.

Przez kilka dni po mojej rozmowie z doktorem Glaserem chodziłem jak struty, wszystkie moje ideały naraz mnie opadły. Jak to, więc moja nauka, której poświęcałem się z takim zapałem, ma być głównie tylko owocem ludzkiego domysłu; ma to być gmach wspaniały, ale wsparty na jakiejś kruchej podstawie, obiecującej wiele a dającej mało? To niepodobna! Myślałem, że będę mógł w mojem praktycznem życiu stale na niej się oprzeć, a tu mi się każą wszystkiego domyślać. Sądziłem, że, ująwszy mnie silnie za rękę, prowadzić mnie będzie bezpiecznie po manowcach mojego zawodu, a tu każą mi odwoływać się do mojego instynktu. Ależ to chyba w żaden sposób być nie może, pomyślałem sobie, do żywego dotknięty, i albo Glaser jest śledziennikiem, albo też zwodzono mnie niegodnie i kazano mi przez lat pięć budować medyczne zamki na lodzie.

W pierwszej chwili brała mnie chętka udania się na-

tychmiast do Giessen i przedstawienia moim profesorom tej sprawy, ale tu przyszło mi na myśl po raz pierwszy, że żaden z nich nie był praktykiem, że żaden swojej nie brał na próbę nauki i że sam nawet Balcer, oprócz chorych w klinice, absolutnie żadnymi się innymi nie trudnił. Uderzającą rzeczywiście było rzeczą, że w mieście uniwersyteckiem, mającem dobrze obsadzony cały fakultet lekarski, praktyka lekarska miasta i okolicy była w ręku jedynego miejskiego lekarza, który nawet wcale się nie odznaczał ani zdolnościami, ani zasobem wiedzy. Uczone grono nie patrzyło na matkę naturę, lecz tylko na drukowane folianty, i jakież mi ono mogło dać objaśnienie na wątpliwości, które się w mej myśli biedziły; chyba mnie na wiarę zapewnić, że one są bezzasadnemi i że wszystko idzie najlepiej w najlepszym lekarskim świecie. Ów rozbrat moich profesorów z całym elementem praktycznym w naszej nauce, uderzając mnie zupełnie znienacka, przedstawił mi ich w bardzo niekorzystnem świetle. Ależ to chyba są ideologowie, odstrzeleni od ruchomego świata, poczciwi, zacni mężowie, ale tworzący sobie świat myśli, zamiast się trzymać bożego realnego świata! I czyżby to tak miało być wszędzie? — pytałem się sam siebie. To niepodobna! Postanowiłem bez straty czasu udać się do Heidelberga i rozpatrzyć się lepiej w szerokim świecie.

Nazajutrz Budden zdziwił się mojem tak nagłem postanowieniem, zwłaszcza, żem mu nic nie mówił o jego powodach, boby mnie był pewnie z trudnością zrozumiał. Wybrałem się natychmiast, a ponieważ musiałem w przejeździe przez dni kilka zatrzymać się w Darmstacie, przeto pani Venator dała mi list polecający do swego brata ex-kapitana Pabsta, redaktora rządowej gazety darmstadzkiej, co mi bardzo było na rękę, gdyż w okolicy Księstwa żadnych znajomości nie miałem. Odesłano więc mój kufer do Heidelberga pod adresem Szotarskiego, przy którym zamówiłem sobie mieszkanie. Puściłem się w drogę piechotą. Zatrzymałem się w Frankfurcie u Bot-

hów, a nazajutrz wieczorem zaszedłem do stolicy Księstwa, zatrzymawszy się na obiad w Gerau, ciekawej miejscowości, w której od czasu do czasu dają się uczuwać trzęsienia ziemi. W owej chwili już ich dawno nie było, ale w jakie 15 lat potem naliczono ich około 30 w przeciągu czterech tygodni, wprawdzie na tak małą skalę, że budynki nic nie ucierpiały i mieszkańcy miarkowali je tylko po dzwonieniu wieżowych i pokojowych dzwonków, po poruszaniu się mebli, po spadaniu ze ścian obrazów i t. p.

Ze strony pana Pabsta nie spodziewałem się bardzo gorącego przyjęcia. Jako redaktor urzędowej gazety musiał należeć do partji, która nas Polaków nie darzyła wielką sympatją. Omyliłem się jednak bardzo. Przyjęto mnie jak najgościnniej i zażądano, abym się zaraz przeniósł na mieszkanie. Gazeta Darmstadzka w politykę się nie wdawała, zawiadamiała wprost o zaszłych wypadkach, drukowała wszystkie urzędowe akta, a jej redaktor był człowiekiem rozumnym, zacnym, konserwatystą, liberalnym o tyle, o ile był liberalnym rząd cały, chociaż go liberali za reakcjonistę uznawali. Zachowałem też z całą rodziną przez długie lata bardzo blizkie stosunki i dotąd je z przyjemnością przechowuję w pamięci.

Darmstadt leży na płaszczyźnie nad rzeczką Darm o jakie 2000 kroków od lasu, z którym go łączy piękna aleja, służąca za bardzo miłe miejsce do przechadzki. Miasto stare nie różni się niczem od dawnych miast niemieckich, ale za to nowe jest nadmiernie rozwlekłe, ma ulice długie, a domy pooddzielane od siebie ogrodami. Musiało się to zmienić do pewnego stopnia do tego czasu, lecz wtedy miasto to było po prostu rezydencją skromnego książęcego dworu i urzędniczą kolonją, przy braku wielkiego handlu i przemysłu, które Frankfurt sobie zagarnął. Między starem a nowem miastem zaległ sędziwy, szerokiemi fosami otoczony, zamek, w znacznej części bluszczem okryty, który jednak dla wtedy panującego Ludwika I-go był za ponury, więc kazał sobie niedaleko

postawić wesoły choć skromny pałacyk. W starem mieście wrzało jeszcze jakie takie życie, ale w nowem było tak bezludnie i pusto, iż człowiek, nie często na ulicy ukazywał się, a turkot pojazdu budził wątpliwości, czy to tylko nie grzmot przypadkiem. Osobliwości Darmstadt nie przedstawiał żadnych. Życie nawet towarzyskie było nader skromne, brakowało bowiem owego uniwersyteckiego ożywienia, jakie przedstawiało Giessen. Tylko Towarzystwo muzyczne, nadzwyczaj ruchliwe, które zyskało Darmstadtowi reputację muzykalnego miasta, i bardzo ładny, doskonale urządzony i obsadzony teatr, na który wielki książę nie żałował pieniędzy, ogniskowały w sobie całe towarzystwo miejskie. W ciągu kilkudniowego mego tym razem w Darmstadtcie pobytu byłem na dwuch przedstawieniach: „Dziewicy Orleańskiej“ Schyllera i „Egmonta“ Göthego, które mi niełatwo wyjdą z pamięci.

Pożegnawszy moich miłych gospodarzy, udałem się w dalszą ku Heidelbergowi drogę. Zapominając o trudach, przechodziłem zachwycony znaną Bergstrasse, długą na mil około 12, mając ciągle po prawej stronie prześliczne pasma gór, okrytych lasami i nader urozmaiconych, a po drugiej — Nadreńską, nie przejrzaną okiem, zasianą wsiami i miasteczkami dolinę, środkiem której toczył się Renski potężny strumień. Przenocowałem w pół drogi, a nazajutrz stanąłem nad Neckarem i naraz ujrzałem czarujący Heidelberg, leżący jak w gnieździe w swoim umajonym wąwozie, z przepyszną ruiną zamkową u szczytu.

Wchodząc do domu, gdzie mieszkał Szotarski, spotkałem się oko w oko z Taegiem, owym Mazurem, któregośmy z ojczymem przez całą zimę wraz z jego ośmioma końmi utrzymywali w Tczewie. Że był w Heidelbergu wiedziałem z listów Szotarskiego, ale tego pojąć nie mogłem, że się w swym wieku i w zupełnym braku przygotowania na medycynę zapisał, boć przecie było widocznem, że to nie prowadziło do żadnego celu.

Dwa małe pokoiki, które dla mnie zarezerwowano na pierwszem piętrze od ogrodu, z widokiem na blizkie

umajone góry, były prześliczne. Szotarski przyjął mnie bardzo uprzejmie, a Taegie oznajmił zaraz na wstępie, że ponieważ wszyscy trzej w jednym mieszkamy domu, a zatem jadać będziemy razem, a on za ową naszą gościnność w Tczewie wywdzięczy się w ten sposób, iż stół mój bierze na siebie przez czas mego w Heidelbergu pobytu. Było to wielką ulgą dla mojego chudego mieszka, a wielką przyjemnością zarazem, że sam o wywdzięczeniu się pomyślał.

Nazajutrz zjawił się żandarm do mnie z zapytaniem, jak długo zamierzam w Heidelbergu pozostać, a gdy mu oświadczył, że przez sześć miesięcy, kazał mi się udać do prezydenta, a ten mi wręcz oświadczył, że to niepodobna i że daje mi co najwięcej ośm dni czasu. Udział Polaków w zawierusze frankfurckiej i usiłowania emigracji obudzenia w kraju nowego powstania, nie pozostały bez skutku i ściągnęły na nas podejrzenie, że każdy Polak był rewolucyjnym agentem. Zewsząd przeto starano się też nas pozbyć, a chociaż nas nie wypędzano, to utrudniano nam pobyt nad Renem, ażebyśmy się sami wynieśli. Chciałem się zapisać w poczet studentów, ale mi oświadczono wprost, że to tylko wskutek decyzji ministerjum Badeńskiego nastąpićby mogło. Słowem, byłem w rozpaczy; szczęście tylko, żem trafił na jakiegoś bardzo poczciwego sekretarza uniwersyteckiego, który mi poradził, żeby żadnych nie robić kroków, tylko siedzieć spokojnie, unikać zebrań młodzieży, chodzić pilnie na kursa i że nikt mi pewnie żadnej przykrości nie zrobi. I tak się też stało; władze zdawały się nic o mnie nie wiedzieć, a ja zaraz zameldowałem się profesorom z prośbą, ażeby mi wolno było prelekcje ich odwiedzać, na co wszędzie przyzwolono z chęcią.

Gdym się profesorowi kliniki wewnętrznej Puchelto-wi, ówczesnej wybitnej znakomitości, przedstawił i na zapytania, skąd przybywam, odpowiedziałem, że z Giessen, odrzekł mi z pół uśmiechem: „A z owego patrjarchalnego Giessen, które dotąd jeszcze o fizykalnem badaniu

nic nie chce wiedzieć. Ciekawa rzecz istotnie, jak też to długo jeszcze ci ludzie pozostaną ślepymi". — Zdziwiło mnie niepomiernie to orzeczenie i poszedłem na klinikę zaraz nazajutrz. Puchelt skinął mi przyjaźnie; trafiłem na ciekawy przypadek. Student badał chorego, którego cierpienie odnosiło się do przyrządu oddechowego. Otóż, opukawszy i wysłuchawszy chorego, oświadczył wręcz, że to jest zapalenie dolnej części prawego płuca, a przytem katar oskrzeli. Pokazał palcem, gdzie jest zapalenie, ołówkiem na skórze zakreślił obszar zajętego miejsca i rychłe wyzdrowienie rokował. Jakto? a toż co znowu? — myślałem sobie, nasza stara medycyna o rozróżnieniu zapalenia płuc i oskrzeli napisała foljanty i w zupełności nie rozwiązała pytania; a ten student decyduje o rzeczy z impertynencką śmiałością! A Puchelt co na to? Przykłada ucho do klatki piersiowej, puknął w nią palcem, i nie rzekł ani słowa, prócz tego, że dobrze, i odszedł dalej. Przyznaję się, że mnie to wielce zainteresowało. Nazajutrz przywieziono chorego z zastarzałą zimnicą, tu egzamin był mozolniejszy; obnażono chorego, opukano go na wszystkie strony i na piersiach jego oraz na brzuchu określono ołówkiem wielkość wszystkich jego wnętrzności, a student oznaczył pod kontrolą profesora stopień twardości każdej części oraz szmery, które w niej podsłuchał, usprawiedliwił każdy objaw i orzekł, że jest to katar żołądka, znaczne powiększenie wątroby oraz śledziony, a nadto zastarzała niedomykalność zastawek sercowych. To ostatnie mianowicie wprawiło mnie w podziw, gdyż, przed odkryciem opukiwania i osłuchiwania, choroby serca uważano za coś niedostępnego i z gruba tylko coś o nich wiedziano. A gdy wkrótce potem zadeterminowano u innego pacjenta ropę w worku opłucnej, ściśle oznaczono poziom wysięku i poniżej zrobiono między żebrami przecięcie, gdy ropa strumieniem trysnęła i chory wyzdrowiał, byłem wprost oczarowany. Kupiłem też sobie zaraz młotek i podkładkę (pleszymetr) do pukania, oraz do słuchania stetoskop, bo je wtedy za niezbędne

uważano. Kupiłem zwięzłe i odpowiednie dziełko podręczne i zaraz wziąłem się do nowej nauki. Nająłem sobie chłopca szesnastoletniego, który codzień do mnie na godzinę przychodził, opukiwałem go i osłuchiwałem aż do znudzenia, iżby się ze stanem prawidłowym oswoić, a do tego Szotarski był mi wielce pomocny, gdyż z wielkim zapałem oddawał się nowej metodzie i wydał nawet bardzo praktyczną kieszonkową synoptyczną tabelę znaków opukowych i osłuchowych przy chorobach płuc i serca, która była bardzo rozpowszechnioną. Po kilku tygodniach zaczynało mi już zupełnie inaczej świtać w mojej głowie, gdy mi mnóstwo nowych wiadomości przybyło, a stare ułożyły się w nowym porządku. Już nie mówiłem, że w medycynie wszystko jest domysłem i owa mistyczna zmora, jakiej mi Glaser napędził, spadła ze mnie zupełnie. Poszedłem zaraz do profesora Puchelta, podziękowałem mu za to, czegom się nauczył u niego, co mu widocznie wielką sprawiło przyjemność.

Nie małą to jest zasługą nowej pedagogiki lekarskiej, że coraz mniej od studenta wymaga, ażeby na oślep wierzył profesorowi, że wszystko usiłuje mu dowieść, pokazać i do tego zaprawić, aby pod przewodnictwem profesora mógł samodzielnie wyrobić sobie zdanie. Myśl ta po raz pierwszy przyszła mi do głowy na wykładach profesorów fizjologji Tiedemanna i Bischoffa. Wszystko tam, o czem mówili, stwierdzane bywało natychmiast doświadczeniami lub okazami, dokonywanymi w pracowniach, co także najzupełniejszą było dla mnie nowością, a nadto było powodem, iż zacząłem się głębiej fizjologji oddawać, która właśnie w tym czasie w Niemczech jakby nowem ożywiona tchnieniem odrazu zabłysła. Pierwszem dziełem tego nowego kierunku, które w ręce mi wpadło, było znakomite dzieło Burdacha z Królewca, tak prześlicznie napisane, iż się czytało jak romans. Przypomniało mi jak najzupełniej wykwintne wykłady profesora Milego w Warszawie. Nierównie jednak większą miała dla mnie wagę niedawno wyszła Fizjologja Jo-

hannesa Millera, która dopiero w zupełności otworzyła mi oczy na niesłychaną wartość tej nauki dla medycyny praktycznej. Wziąłem się więc na nowo do książki i Müllerowi poświęcałem około czterech godzin codziennie, dopóki nie przewertowałem jego kilku grubych tomów. Nadto w tym czasie zajęła mnie chociaż wprawdzie nie w takim stopniu, akuszerja, a to z powodu okazałych wykładów profesora Naegelego, takich, jakich nie słyszałem ani przedtem, ani potem z żadnej katedry. Naegele był mistrzem słowa i umiał nadać swemu bardzo prozaicznemu przedmiotowi rzeczywiście poetyczny urok i to tak dalece, iż wszystkich czarował. Sale, w których wykładał, były zawsze za małe. Uczęszczali na jego lekcje studenci i nie studenci, a ci pierwsi nawet po kilka lat z rzędu? Nie zapomnę nigdy o tem wielkiem wrażeniu, jakie we mnie wywołał, mówiąc o położeniu lekarza, gdy ten, będąc okolicznościami przyparty do muru, musi się zdecydować albo na zabicie w łonie matki dziecka, albo na cięcie cesarskie, rzadko kiedy pomyślnym uwieńczone skutkiem, w nadziei, że chociaż jedno życie ocali. Truchleliśmy pod wpływem jego obrazów i ze zgrozą wychodziliśmy z prelekcji, drżąc przed odpowiedzialnością, ciążącą na sumieniu praktyka. Miałem szczęście poznać się bliżej z szanownym profesorem; pożyczył mi nawet spisany swój wykład, który kazałem jak najśpieszniej skopjować i trzymałem go przez długie lata jako relikwję, aż wreszcie w Warszawie złożyłem do bibljoteki Towarzystwa lekarskiego.

Inne znakomitości profesorskie, w Heidelbergu wówczas nagromadzone, mało mnie interesowały, nawet przesławny Chelius, którego chirurgiczny podręcznik, będący poniekąd kodeksem na wszystkich uniwersytetach, nie zachwycał mnie wcale. Profesorem był on miernym, praktykiem niezdarnym, ale jako pisarz miał niezaprzeczenie swoje zalety.

W Heidelbergu żyłem jak istny samotnik, nie znałem nikogo, czas mój przepędzałem albo na wykładach, albo

w domu nad książką. Wieczorem tylko wychodziłem na spacer, biorąc ze sobą ogromnego psa Taegiego. Rozkoszowałem się widokiem zamku, lub błąkałem się po okolicznych lasach, nadzwyczaj urozmaiconych, a mało bardzo zwiedzanych. Zresztą byłem skwaszony, bo wydałem wszystko, co miałem aż do ostatniego grosza, a ani Taegie, ani Szotarski, ani nawet Budden nie mogli mi dopomódz, gdyż i u nich była posucha. Jakąż mi to sprawiło przykrość, gdym, przechodząc koło kawiarni, nie mógł do niej wstąpić i przeczytać Szwabskiego Merkurego, bardzo wówczas poczytną gazetę, lub w ciągu moich przechadzek wypić kufelka piwa. Przez dwa tygodnie kieszeń moja cierpiała jak najdotkliwsze suchoty, których nie tak łatwo zapomnę. Nareszcie nadeszły z Warszawy pieniądze i zaraz moich towarzyszy zaprosiłem do teatru do Mannheim, o trzy mile odległego.

Czyściutkie i milutkie to miasto, nad samym brzegiem Renu, było już wtedy niesłychanie ruchliwe z powodu napływu cudzoziemców, mianowicie Anglików, którzy do niego na mieszkanie rzeczywiście hurmem się zbiegali. Teatr jego rywalizował z darmstadzkim. Często tam bywaliśmy. Tego dnia grano Oberona Wielanda. Wychodziliśmy zwykle w niedzielę około trzeciej po południu, wypoczywaliśmy potem w parku, po widowisku powracaliśmy piechotą do domu, w poniedziałek rano nie brakowało nas na lekcjach. Towarzyszył nam zazwyczaj Tobin, bogaty Amerykanin, ale hulaka taki, że zawsze prawie był goły, ale też za to jak dostał pieniądze, to przez dni kilka nie było u niego końca i miary, nie mogliśmy się od zaprosin, wycieczek i poczęstunków opędzić. Był namiętnym wioślarzem i kupił sobie łódkę, którą swą galotą nazywał, i puszczał się na niej do Mannheimu; ale że była maleńka, jak od orzecha łupina, więc nikogo nie zabierał ze sobą. Jak nie miał pieniędzy, to śpiewał, ale ich nie pożyczał nigdy od nikogo, żył wtedy kawą i obiadem, za który nie potrzebował płacić na razie, zresztą dojadał rzepą i marchwią, które sobie na polach zbierał. Dzi-

wak ten był ciągle wesoły, Anglików nie cierpiał, wymyślał na nich, ile się zmieściło, ale za to my, Polacy, byliśmy u niego w wielkich łaskach. Wspominał często o Kościuszce, z którym jego dziad, podczas wojny o niepodległość w Ameryce, miał żyć w przyjaźni.

Tymczasem nadszedł czas wakacji. Taegie pojechał gdzieć do znajomych w Badeńskie, a ja z Szotarskim do Darmstadtu, rachując na łaskawe u Pabstów pomieszczenie, gdzie też z otwartemi rękoma zostałem przyjęty. Zmęczony jednostajnością moich medycznych studjów, postanowiłem sobie przez parę tygodni o medycynie zapomnieć, a że Darmstadt posiadał bardzo dobrą bibljotekę, do której mi wstęp wyrobiono, czytywałem więc wszystko, co mi pod ręce wpadło, robiąc jednakże bardzo staranny wybór. Pomagałem także potrosze Pabstowi w redakcji jego gazety. Ponieważ to były czasy zażartego powstania w Hiszpanji w Barkijskich prowincjach, podjąłem się robić wyciągi z wiadomości z placu boju, które nas dochodziły. Pamiętam także, żem zrobił bardzo wyczerpujące sprawozdanie z podróży admirała Dumont-D'Urville do bieguna południowego. Zresztą w owym właśnie czasie spotkaliśmy się po raz pierwszy z Mickiewiczowskim Panem Tadeuszem, który nam wprost głowy pozawracał. Szotarski był w siódmem niebie i mnie po części swój zapał komunikował. Zresztą trudniła go niesłychanie „Wyprawa Igora na Połowców", której tekst w bibljotece odnalazł. Przedsięwziął sobie przetłumaczyć go na język niemiecki, literacko opracować i wydać. Przedsięwzięcie było nie lada, wziął się jednak do niego z całą energją i byłby go z pewnością dokonał, gdyby losy nie były zrządziły inaczej.

Życie towarzyskie w Darmstacie okazało się teraz daleko ruchliwsze, niż się zrazu przedstawiało. Oprócz wspaniałych koncertów, mieliśmy częste zbiorowe odczyty z różnych gałęzi nauki i literatury, to jest, gdy przedmiot nie wypełniał wieczora, to stawało kilku prelektorów, albo też wykłady mieszano z muzyką. Zresz-

tą teatr, który wielki książę z żoną bardzo często odwiedzał, wszystkich bardzo zajmował. Przypominam sobie, że jak księżna do teatru jechała, to przed karetą, starym zwyczajem, biegło dwuch z pochodniami laufrów, a gdy książę szedł bez żony, co najczęściej się zdarzało, to szedł zawsze piechotą, bo nie było człowieka bardziej od niego lekceważącego etykietę. Gdy się o mnie dowiedział, oraz że się kształciłem w jego Giesseńskim Uniwersytecie, kazał mnie sobie przedstawić. Zaprowadzono mnie zatem około czwartej godziny po południu do jego gabinetu. Zastałem tam człowieka poważnego, około 70 lat już mającego, w białym szlafroku, palącego fajkę i piwo popijającego. Czytał książkę przy otwartym na ogród oknie, ale ją odłożył. Gdym mu dziękował, że mi pozwolił w swoim zatrzymać się kraju, kazał mi usiąść i o moje przygody się wypytywał, a gdy mnie się pytał, co dalej robić zamierzam, odpowiedziałem mu na to, że przedsięwziąłem udać się do Francji, i, osiągnąwszy tam prawo praktykowania, osiąść gdzie w południowej Alzacji, — bo też to było rzeczywiście moim zamiarem, zanim mi wuj Antoni widoki na Warszawę otworzył. Książę mnie bardzo przychylnie odprawił i dał mi poznać, żem sobie zyskał jego sympatję.

Dwór książęcy był bardzo zacnym dworem jakby szlacheckim, tylko wielka księżna zadzierała głowę, ale na to mało zważano. Gdy raz wieczorem szedłem ulicą pod murem książęcego prywatnego ogrodu, wychyliła się nad murem bląd główka piętnastoletniego dziewczęcia. Ujrzawszy mnie, poprosiła bardzo grzecznie, ażebym jej przerzucił piłkę, która jej poza mur wypadła. Uczyniłem to natychmiast, za co mi jeszcze grzeczniej podziękowała. Była to przyszła cesarzowa rosyjska, matka obecnie panującego Aleksandra III-go. Między wielkim księciem a jego żoną nie było wielkiej harmonji, ale też nie było i zgorszenia na wzór innych niemieckich dworów np. w Kassel, gdzie wszelki wstyd stracono. Wielka księżna mieszkała głównie w Jungenheim, a córka ze swą ochmi-

strzynią wychowywała się pod okiem ojca i stryja, księcia Emila, zwolennika Napoleona i dosyć źle dotychczas widzianego przez dwór austrjacki, który wówczas rej wodził nad Renem. Wielki książę podzielał los swego brata, bo był zanadto liberalnym dla Metternicha, a stąd podobno pochodziło zupełne odosobnienie wielkoksiążęcego dworu, któremu zarzucano dziwactwa panującego. W każdym razie był to wielce szanowany człowiek, któremu nie dziwota, że po śmierci postawiono na wysokiej kolumnie posąg, na placu przed jego skromnym pałacykiem.

Co wieczór chodziłem z Pabstem do jakiegoś starego domostwa wpośród ogrodu za miastem na kufelek piwa, lub wina, gdzieśmy zawsze natrafiali na te same towarzystwa, bardzo ze sobą zżyte, złożone z urzędników, adwokatów i doktorów. Toczyły się tam bardzo ciekawe rozmowy o dysputach w Izbie deputowanych lub w Izbie wyższej księstwa, które właśnie obradowały obecnie, a zwłaszcza o pierwszej wybudowanej w Bawarji pomiędzy Nierenbergiem a Fürth kolei żelaznej, która wszystkich niesłychanie zajmowała tak, że ten, kto ją nareszcie widział nie mógł się o niej dosyć naopowiadać. Przyszłe koleje wobec przewidywanego ich rozpowszechnienia, były niewyczerpanym do rozmowy tematem, chociaż najbujniejsza nawet wyobraźnia nie przewidywała tego, co się dzisiaj stało, a gdyby kto był wówczas napomknął o fotografji, o telegrafie elektrycznym lub telefonie i o ich wpływie na uspołecznienie, toby mu pewno powiedziano, że w gorączce marzy.

W towarzystwie naszem mieliśmy także naturalistę, który był kustoszem wcale pokaźnego, ale bardzo zaniedbanego Gabinetu zoologicznego w starym zamku. Pracował on od rana do nocy, ażeby gabinet w części odnowić i przyprowadzić do ładu. Co niedziela wyprawiał się na wycieczki do okolicznych lasów i pozwolił mi sobie towarzyszyć. Był to człowiek bardzo miły, którego na-

zwiska przypomnieć sobie nie mogę. Lasy tak były pełne zwierzyny, że nieraz zachodziły nam drogę sarny, jelenie, a jak mnie zapewniał mój towarzysz włościciele polowań musieli nieraz grube płacić odszkodowania rolnikom za spusztoszenie na polach. Położenie np. 300 zajęcy i 50 saren na miejscu w polowaniu z naganką nie było wcale uderzającem, a sarny tak były z ludźmi oswojone, iż widywałem je w lecie do dnia, gdy przychodziły w Grünsbergu pić wodę do wodociągowego strumienia w dolinie.

Często całe towarzystwo nasze jeździło z Darmstadtu kąpać się do Renu, o dwie mile oddalonego. Zaprzęgano nam wtedy cztery konie pocztowe do omnibusa na 18 osób i wieziono nas do nadbrzeżnego miasteczka Gernsheim, ojczyzny Gutenberga, gdzie mu też podczas mego w Giessen pobytu piękny pomnik postawiono. Kąpiel taka z podróżą i kolacją w oberży kosztowała jeden złoty reński, można przeto było sobie na ten zbytek pozwolić.

W owym czasie istniała w Darmstacie rozgłośna firma nakładowa księgarza Leskego, który, obok bardzo rozgłośnych relacji, posiadał jeszcze pięć prześlicznych dorosłych i dorastających córek. Prowadził on dom otwarty. Z najstarszą córką ożenił się brat Pabsta, porucznik, który, opuściwszy służbę wojskową, wziął się do księgarstwa i wcale nie żałował tego, pomagając szwagrowi. Otóż wprowadzony zostałem do tego domu i bardzo tam miłe przepędziłem chwile. Na imieniny pana domu dano fetę na kilkadziesiąt osób, na którą i ja zaproszony byłem. Postanowiono z żywymi obrazami wystąpić, które miał urządzać Felsing, znakomity rytownik na miedzi, wielce w owym czasie rozgłośny, mianowicie z powodu prześlicznej ostatniej jego ryciny, wystawiającej dwoje dziewcząt przy studni. Rycina ta miała właśnie posłużyć za tło do jednego z obrazów. Dwie młode dziewczyny siedzą przy studni na ławeczce, pogrążone w żywej i serdecznej rozmowie. Jedna z nich blondynka w jasnej tu-

nice, z główką pochyloną na dół, jakby zamyślona i rozmarzona, wyraźnie Niemka, a druga brunetka z życiem i ogniem spoziera, z zapałem coś opowiadając. Publiczność mniemała, że to miała być włoszka, ale Felsing zapewniał, że modele obydwóch żyły nad Renem. Byliśmy bardzo zaciekawieni tym żywym obrazem. Jakież było moje zdziwienie, gdym ujrzał, skoro odsłonięto zasłonę, przy najmłodszej pannie Leske, w roli blondynki, czarnooką brunetkę w osobie panny Langsdorf z Giessen. Obraz podobał się bardzo, musiano go trzy razy odsłaniać i byłoby tego więcej, gdyby się firanka od świecy nie była zatliła. Dla obu koryfeek i dla Felsinga nie było dosyć pochwał. Ja też, korzystając z tego, do panny Langsdorf się zbliżyłem, wyrażając jej moje zdziwienie, że ją w Darmstacie najniespodziewaniej spotkałem. Podano zaraz kolację, w czasie której znalazłem się obok panny Langsdorf. Rozmowa nasza była bardzo ożywiona, mówiliśmy o obyczajach polskich i o sposobie życia w Warszawie, przyczem panna Langsdorf z niemałem mojem zdziwieniem dała mi dowody niespodziewanego obznajmienia się z historją i stosunkami polskiemi, dowody jakich nie spotykałem nawet u ludzi, mających pretensję do głębszego na rzeczy nasze poglądu, gdyż ci zazwyczaj, oprócz Sobieskiego i Kopernika, mało co więcej umieli przytoczyć. Gdym się zapytał, skąd doszła do tych wiadomości, odrzekła mi na to, że od początku naszego powstania tak dużo mówiono i pisano o Polsce, że najprostszy popęd do zaspokojenia ciekawości wystarczał do obeznania się z naszym krajem i społeczeństwem. Gdyśmy mówili o rozbiorze Polski, zdziwiła się bardzo, że przyczynę faktu głównie nam samym przypisywałem.

— A więc dajesz pan rozgrzeszenie trzem dworom?—zapytała mnie żywo.

— O bynajmniej, szanowna pani, w obliczu prawa moralnego i honoru rozbiór Polski jest zbrodnią, jakiej niema podobnej w historji, ale tej zbrodni nie podobnaby

było popełnić gdybyśmy byli oględniejszymi. Dziś sierdzić się na nią, to jest rzucać grochem na ścianę. Pokazało się teraz, że trzeba nam więcej hartu i więcej rozumu, trzeba nam się do przyszłych naszych zadań wychować, i kto wie czy historyczna Nemesis nie po to nas właśnie na wygnanie skazała.

— Ale cóż pan ze sobą zrobić zamyślasz?—zagadnęła mnie znienacka.

Zdziwiło mnie niewymownie to zapytanie w ustach młodej panny, zupełnie mi obcej, zrobione mi jednak poważnie i z nieudanem współczuciem. Przedewszystkiem, odpowiedziałem jej na to, muszę znaleźć sobie punkt oparcia na świecie, bo bez tego trudno wywierać swe siły na zewnątrz, a potem będę pracował dla mojego kraju. Ani bogatym, ani szczęśliwym nie będę, ale moją spełnię powinność.

— Niechaj Pan Bóg szczęści, rzekła podając mi rękę, bo my też waszą Polskę serdecznie kochamy.

— Dziękuję pani jak najgoręcej za jej oświadczenie i biorę za szczęśliwą dla siebie wróżbę.

Wstaliśmy od stołu. Gdy po chwili przyszedłem do siebie zdumiałem się skąd się taka poufna pomiędzy nami wzięła rozmowa, jak gdybyśmy oddawna się znali. Zresztą nic a nic nie rozumiałem tego, dlaczego z panną Langsdorf rozmawiałem zawsze, jakby z przyjacielem, i ani do głowy mi nie przychodziły grzeczność i względy, jakiemi się darzy kobiety. Jakaż to olbrzymia różnica między nią a moją sentymentalną Grätchen w Grünbergu lub moją miłą siostrzeniczką Matyldą!

Minął październik, lecz nie mogliśmy się z Darmstadtem rozstać, chociaż Szotarski myślał o egzaminie przed ferjami przyszłego roku, a ja o umówionem zastępstwie przez zimę kolei Glasera w Grünbergu. W tem otrzymaliśmy zaprosiny od dobrego znajomego naszego d-ra Szulca, który osiadł świeżo w Bobenhausen w Odenwaldzie o cztery mile od Darmstadtu i do siebie nas zapro-

sił. Bez zwłoki puściliśmy się w podróż, zwiedziwszy po drodze nader ciekawą zbrojownię grafa von Erpach w Erpach, którą rzeczywiście do osobliwości zaliczyć można. Już się ściemniło, gdyśmy do Bobenhausen zaszli. Jest to miasteczko heskie, położone nad samą granicą bawarską w wąwozie między dwiema górami, a nad niem panuje stare zamczysko, obecnie służące za siedzibę sądu i powiatowego zarządu. Czekano na nas u oberży z obiadem, na który Szulc z dziesięciu młodych ludzi zaprosił, bo cały skład urzędników szczególnym trafem złożony był z samej prawie nieżonatej młodzieży. Poznaliśmy się ze sobą natychmiast. Po obiedzie przybył jeszcze aptekarz, tudzież młody, dopiero co zainstalowany, pastor i rozpoczęła się wesoła przy dobrem reńskiem winie pogodanka, która się przeciągnęła do późnej nocy. Nazajutrz mieliśmy do Darmstadtu wracać, ale deszcz padał. Trzeciego dnia ziemia była tak rozmiękła, że o odwrocie ani było mowy, ale wesołość nie ustawała. Jeden po drugim z biesiadników zapraszał nas do siebie; wtem po wspólnym obiedzie, gdyśmy radzili o odwrocie pocztą, zjawia się dwuch żandarmów i nas o paszporta pytają. Zdziwienie było wielkie, gdyż to nie było w zwyczaju, a większe gdyśmy odrzekli, że ich nie mamy i gdy nam odpowiedziano, że z polecenia kreisratha jesteśmy aresztowani i mamy natychmiast do urzędu się stawić. Wszyscy oburzeni porwali za czapki, aby nam towarzyszyć i całe grono pod strażą żandarmów, ślizgających się po gliniastej ścieżce, zaczęło piąć się pod górę. Przyprowadzono nas do obszernej sali w zamku, służącej za poczekalnię, a żandarmi u drzwi stanęli. Wtem otwierają się podwoje z trzaskiem, wpada kreisrath, około 35 lat mieć mogący, wcale miłej powierzchowności człowiek, staje przed nami, założywszy na piersiach ręce i, patrząc na nas urzędowo z góry, obraca się do całego grona i rzecze: „A cóż to sobie panowie myślicie, a czy to tak szanuje się władzę, ażeby przez trzy dni pić i hulać, tak że aż do mnie z

dołu głosy dochodzą, a mnie tu zostawiać samego, nie pomnąc na to, że kreisrath siedzi sam na pokucie i ziewa. Otóż panowie za wasze ciężkie przewinienia aresztuję was wszystkich za uchybienie władzy. Żandarmi pilnować, ażeby nikt nie uciekł, a że mam litość nad wami proszę was na kawę". Wszyscy wybuchnęliśmy homerycznym śmiechem, nas obu przedstawiono panu kreisrathowi, który nas serdecznie pozdrowił. Po kawie zjawił się na stole kosz wina, żarty i koncepta trwały aż do dziesiątej, a potem zaszła poczta i odesłano nas do domu.

Była to ostatnia moja wesoła farsa. Pozostała mi ona właśnie dlatego w pamięci, gdyż odtąd nad moim widnokręgiem gęste zaczęły się gromadzić chmury.

W Grünbergu nic nie zaszło nowego, a gdym się z doktorem Glaserem zobaczył, pierwszą moją mową było oświadczenie, że pomylił się bardzo, sądząc iż nasza medycyna praktyczna na samych się domysłach wspiera, a nasze leczenie na instynkcie polega, że czarować musimy chorych dla ich własnego dobra; chcąc bowiem zdobyć sobie stałe do postępowania zasady, nie dosyć się przypatrywać naturze, co ona robi, nie dosyć obserwować more antiquo, ale trzeba ją zmusić do wypowiadania nam swoich tajemnic przez wybadanie, przez eksperyment, na który obecnie zaczyna padać środek ciężkości. Opowiedziałem mu, com widział, czego mnie nauczyło wysłuchiwanie i wypukiwanie i czego się nadal po nowym w medycynie kierunku spodziewać należy.

Słuchał mnie cierpliwie, a potem z pewnem lekceważeniem mi odrzekł:

— A któżby tego nie czytał, ależ to nowość tylko, jak wiele innych, która przeminie, jak wiatr z innej strony zawieje.

— Ależ to nie dosyć czytać, odrzekłem na to, trzeba widzieć i samemu doświadczyć. Gotów jestem pana przekonać, jeśli raczysz mi trochę cierpliwości użyczyć.

— A i owszem, owszem, odpowiedział mi na to, ale

oświadczam ci, mój panie kolego, że jestem niedowiarkiem i starym wróblem zarazem, który się na plewy nie bierze.

Zwabiłem więc sobie znowu chłopaczka i w przytomności mego szanownego kolegi określiłem za pomocą opukiwania na jego piersiach i brzuchu kształty wszystkich jego organów. Kazałem mu potem obmacać i porównać ich opory i wysłuchać zachodzące w nich szmery. Naostatek rzekłem, że tu przeciwnie, nie trzeba ani żadnego sprytu, ani niezwykłej przenikliwości, a ma się ścisłą do odgadywania prawdy podstawę i że nie potrzeba ani domyślać się, ani zgadywać, ażeby sobie odrazu wiele umiejscowić chorób.

Dr. Glaser zamyślił się nieco i przyznał mi, że to odkrycie warto zbadać i przy mojej pomocy je sobie przyswoić.

Chorych zaczęło mi w Grünbergu napływać. Nie odmawiałem im mojej pomocy, skoro władza miejscowa nic przeciw temu nie miała, ale odmawiałem przyjęcia wynagrodzenia za moje trudy.

Wśród tego padł na mnie grom, który zdruzgotał nietylko wszelkie moje na przyszłość zamiary, ale i pozbawił mnie natychmiast wszelkich środków do utrzymania. Otrzymałem list z czarną pieczątką od matki z Warszawy, donoszący mi, że wój Antoni w przystępie silniejszego artretycznego ataku życie zakończył. Byłem przerażony. Przyszedłszy do siebie, ujrzałem ze zgrozą, że wszystko odrazu runęło, jakby po trzęsieniu ziemi, a ja zostałem bez pomocy na zgliszczach. O powrocie do kraju już nie mogło być mowy, obecnie żyć nie było z czego, a do jakiegobądź stanowiska na świecie bardzo długie, kręte i nieznane prowadziły drogi. Z wahania się ocknąłem, nabrałem w Boga i w siebie otuchy, postanowiłem bez dalszego namysłu jak najprędzej udać się do Francji i moje pierwotne na Alzację plany przywieść do skutku. Chodziło tylko o to, skąd wziąć pieniędzy na

koszta podróży i na pierwsze utrzymanie w obcym mi zupełnie kraju, gdyż moja ostatnia rata od wuja już się wyczerpała. Niebawem nadszedł obszerniejszy list od matki, w którym mi doniosła, że przybyła do Warszawy na ostatnie chwile pana Antoniego, że pielęgnowali go artyści koledzy, a szczególnie p. Piwarski, i że potem na jego grobie skromny postawili mu pomnik, który na Powązkach dotąd się utrzymuje, obok pomnika mej matki, gdyż życzyła sobie obok brata być pochowaną. Sprzedane ruchomości oraz kilka obrazów pokryły koszta pogrzebu i kilka bieżących długów.

Tymczasem stosunki pieniężne moich rodziców w Pilicy stawały się coraz gorszymi. Ojczym dziwaczał coraz dotkliwiej, zerwał ze wszystkimi, praktyka wstręt w nim budziła, stał się opryskliwym, pokłócił się z żydami w miasteczku, do tego stopnia, że go w bożnicy przeklęli. Matka moja ciężkie miała z nim życie, a skromna półpensyjka, którą od rządu pobierał, miała się już za dwa lata skończyć, tak iż zagrażała nędza.

Głowa mi pałała od zmartwień, nie mogłem sypiać po nocach, a tu znikąd nadziei. Szczęściem, że mi praktyka nie pozwalała myśleć o sobie. Utonąłem w niej cały i to mnie odurzało, a publiczność dziwiła się mej gorliwości. Doświadczyłem, że praca jest najlepszem lekarstwem na troski i oddałem się jej zapamiętale. Tymczasem szanowni przyjaciele moi myśleli o mnie, nie mówiąc mi nic o tem. Podali zbiorową prośbę do ministerjum, ażeby mi drogą łaski, pod warunkiem uzupełnienia mego egzaminu, dozwoloną została praktyka i to tylko na lat 4, dopóki nie upłynie 10-letni termin pobytu mojego w Wielkiem Księstwie, potrzebny do osiągnięcia indygenatu. Namyślano się długo nad odpowiedzią, a gdy nareszcie nadeszła, dowiedzieliśmy się że pozwolenie tylko wtedy nastąpićby mogło, gdybym się zgodził na pobyt w Vogelsbergu, a to równało się prawie odmowie.

Vogelsberg uchodził za niemiecką Syberję i od nie-

pamiętnych czasów żaden lekarz nie chciał się tam osiedlić. Pod tą nazwą znane jest pasmo gór nieurodzajnych, mianowicie w północnych częściach, rozciągające się na jakie mil 10 od Alsfeld do Fulda, i wznoszące się bardzo łagodnie do wysokości 1500 stóp o jakie 5 mil od Grünberga ku wschodowi. Stromy wierzchołek tego pasma wieńczy stary zamek, na który codzień patrzyłem z okna mojego. Zamek ten, po części w ruinach, przeznaczono mi na moją rezydencję. Klimat tego pasma był bardzo ostry i kapryśny, a grunt jałowy, porozrywany, lesisty, oprócz kartofli, owsa i żyta nie wiele obiecujący. Ludność była jędrna i zdrowa, ale bardzo biedna, rzadko rozsiana, bardzo dogodna do przemysłowego użytku, ale cóż, kiedy przemysł jeszcze się tam był nie narodził. Zimy były straszne, a jak śniegi zasypały jary, o komunikacjach ani nie można było myśleć, do tego stopnia, iż co dwie godziny dzwoniono we wszystkich kościołach dla zbłąkanych w podróży. Ciekawość nas wzięła, ażeby się nieco tamtejszym stosunkom przypatrzyć. Państwo Venater wraz ze mną wyprawili się na dni kilka w odwiedziny do znajomego w samej wsi Vogelsbergu pastora, z którym się bliżej oddawna znano. Było to już przy końcu maja 1837 r. Wszystko już kwitło w pełnym rozwoju, a na Vogelsbergu zaledwie na dobre się zazieleniło. Jechaliśmy wąwozami i od czasu do czasu wydostawaliśmy się na płaskowzgórze w pośród dosyć mizernych sosnowych lasów; ale za to, gdyśmy stanęli na miejscu, odsłonił się nam widok na kilkadziesiąt mil kwadratowych w okrąg rozległy. I tu nie było nędzy, ale oszczędność posunięta do ostatnich granic. Radzono sobie, jak można, ale kraj cały był jakby wyklęty i zapomniany od świata. Pastor, do którego zajechaliśmy, miał z żoną i sześciorgiem dzieci 400 reńskich dochodu. Istniało przekonanie, że kto się raz do Vogelberga dostanie, temu się już nie udaje wygramolić na świat szeroki, ten dziczał i głupiał. Dziś tam podobno już jest inaczej, miały powstać prze-

dzalnie, fabryki drzewne, stacje klimatyczne, hodowla owiec, polepszyły się komunikacje, ale w owym czasie niepodobna mi było zgodzić się na zaproponowane warunki i na lat 4 w najpiękniejszym mym wieku zagrzebać się w pustyni. Decyzja więc moja została powzięta, i moje na południową Alzację projekta zajęły mnie jak najzupełniej. Zaraz więc po powrocie do Grünberga zacząłem się gotować do drogi, a zwłaszcza, że miasto tak mnie zaopatrzyło w różne osobiste potrzeby, jak syna, którego się do Ameryki wyprawia, a w tydzień przed moim odjazdem Budden oświadczył mi, że zebrano 300 reńskich składki na koszta mojej podróży, wynagradzając mi moją bezpłatną praktykę. Przyjąłem ten dar z wdzięcznością, otwierający mi jedyną drogę do przyprowadzenia moich zamiarów.

Rozstanie się nasze było bardzo czułe. Opatrzono mnie od osób bardzo wpływowych kilkoma listami polecającymi do Paryża, a całe grono moich przyjaciół w liczbie kilkudziesięciu odprowadziło mnie piechotą o milę drogi, gdzie raz jeszcze przy najczulszem pożegnaniu podziękowałem za wszelkie dobrodziejstwa doznane, a kreisrath, mój szanowny przyjaciel, oddał mi w ręce najzaszczytniejsze świadectwo urzędowe z całego mojego pobytu w Wielkiem Księstwie, zredagowane w języku francuskim. Świadectwo to, wystawione za pozwoleniem ministerjalnem, dotychczas przechowuję, jako cenną dla mnie pamiątkę.

W Darmstacie zatrzymałem się na kilka dni, ażeby sobie od konsula francuskiego, za pośrednictwem Pabsta, paszport do Paryża wyrobić, bo, jak wspomniałem, do Paryża nie puszczano Polaków, lub też utrudniano im pobyt w stolicy, a konsularny z zagranicy paszport usuwał wszystkie trudności. Wreszcie ruszyłem statkiem parowym do Strasburga, w którym stanąłem w połowie września 1837 roku.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

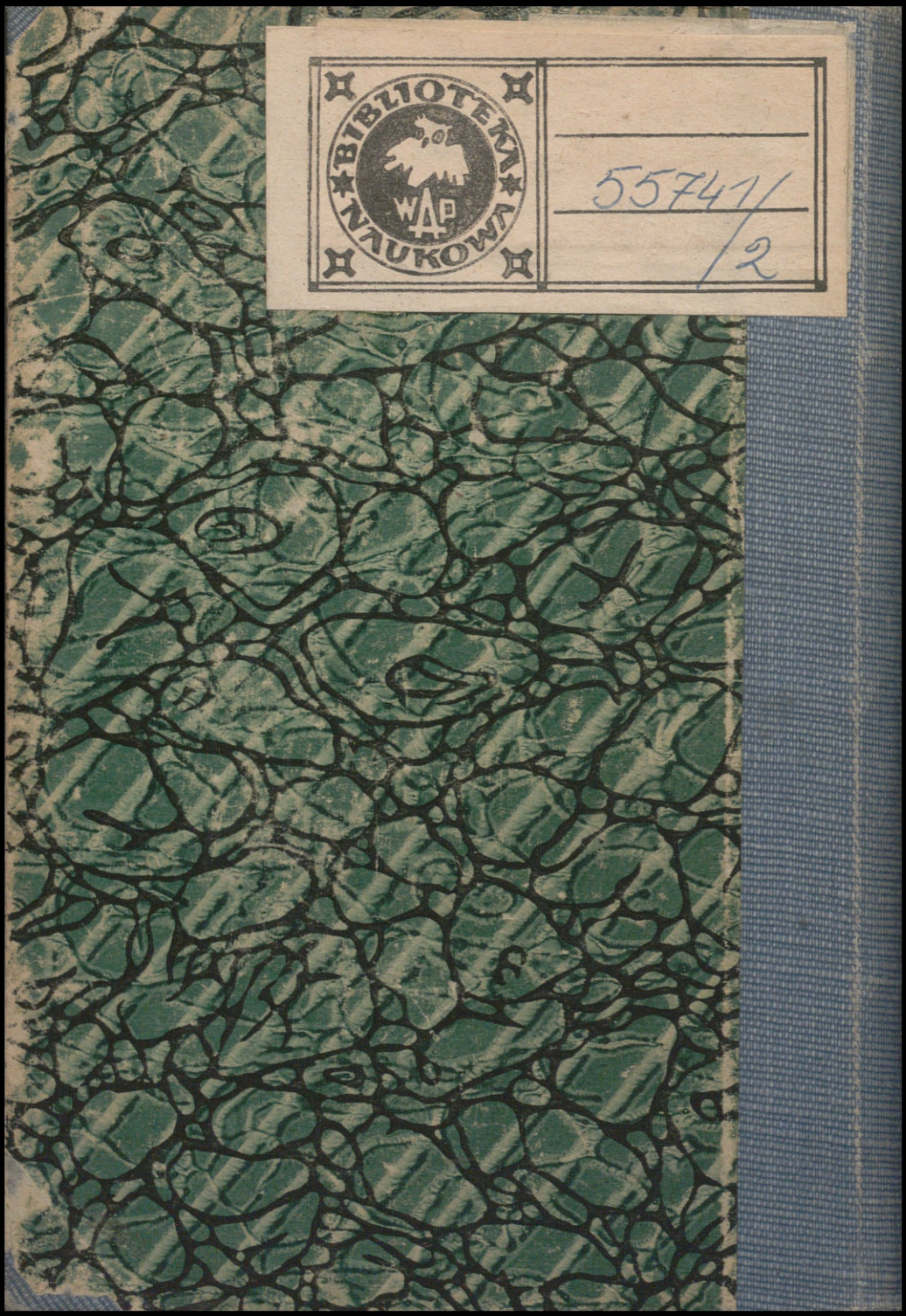
Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego

SPIS RZECZY W TOMIE DRUGIM.

Str.

Rozdział I. Powstanie 5
Rozdział II. W drodze na tułaczkę 58
Rozdział III. Na obczyźnie 83




BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
55741/2